

Elizabeth Thornton

*Panna
McBride*



Rozdział
I

Zamek Drumore, Szkocja, 1885

To był najzimniejszy, najbardziej ponury luty, jaki pamiętała Szkocja. Nad Morzem Północnym szalał sztorm. Rybacy, zmuszeni zwinąć sieci, chronili się na bezpiecznych wodach zatoki. Porywiste wiatry i ulewne deszcze atakowały wybrzeże.

John Sievewright, gospodarz lokalnej tawerny, opróżniał kolejny kufel piwa, wpatrując się przez okno w zasnutę chmurami niebo.

- To wszystko sprawka tej wiedźmy - obwieścił. - To lady Valeria McEcheran - dodał z szacunkiem, mając na uwadze przybysza, który schronił się w karczmie przed burzą i w ciemnym kącie popijał whisky.

Kilku tubylców pokiwało na te słowa głowami. Wszyscy doskonale znali nazwisko kobiety, która zamieszkała w zamku po tym, jak została wdową.

- Zamek Drumore należy do jej zięcia - powiedział Sievewright, czując się w obowiązku wtajemniczyć gościa. Sievewright był przede wszystkim biznesmenem i starał się, aby wszyscy czuli się w jego tawernie mile widziani. Zwłaszcza obcy, którzy zamawiali najdroższą whisky.

Jeden z miejscowych rybaków podjął wątek:

- Kiedy burza ucichnie, lady Valeria zniknie.
- Tak - powiedział inny - wiedźma zniknie, ale kolejna zajmie jej miejsce.

- Bzdury i zabobony! W dzisiejszych czasach nikt już nie wierzy w czarownice. Żyjemy w dziewiętnastym wieku, na litość boską! - krzyknęła żona karczmarza znad stolika, który szorowała.

Nikt nie zaprzeczył. Kobieta nie pochodziła z tych stron - wyszła za Sievewrighta zaledwie dziesięć lat wcześniej. Poza tym, była Angielką. Należało wziąć na to poprawkę.

Nagle z zewnątrz dał się słyszeć przeraźliwy krzyk. Pani Sievewright gwałtownie wciągnęła powietrze.

- To tylko wiatr - uspokoił ją mąż.

- To może być szyszymora - podpowiedział usłużnie wiekowy, siwobrody staruszek, pochylony nad kuflem ale*. - Pojawia się, gdy ktoś ma umrzeć. Na przykład wiedźma. To ona ją wezwała.

Pani Sievewright zadrzała. Już nie była tak pewna siebie.

- To tylko bajka. Ona nie może być czarownicą. Jest wielką damą, prawda?

Kolejny krzyk zapędził żonę karczmarza aż za ladę. Rozległy się tłumione chichoty. Sievewright rozejrzał się po sali, mierząc gości stalowym spojrzeniem. Tylko kilka osób nie uciekło wzrokiem, zanim odwrócili głowy.

- Nie bój się, kochanie. To nie burza zwiastuje rychły koniec jaśnie pani. Rodzina się zjeżdża. Jej trzej dorośli wnukowie już tutaj są. Nie podróżowaliby w taką pogodę, gdyby po nich nie posłano.

- A co z resztą rodziny? Przyjadą pociągiem? - W głosie karczmarzowej słyhać było drżenie. - Nie ufam pociągom. A jeśli wiatr przewrócił ich wagon? Bywały takie przypadki.

Sievewright roześmiał się, aby dodać żonie otuchy.

- W taką pogodę nie kursują pociągi.

Włożył w te słowa całą pewność, jaką mógł z siebie wykrzesać. W rzeczywistości nigdy nie jechał pociągiem i nie wsiadłby do żadnego, nawet gdyby mu za to zapłacono.

- Wierz mi, Esther. Zaszli się w jakimś frymuśnym zajęździe na granicy i tam czekają, aż burza przejdzie.

*Ale - angielski gatunek ciemnobrazowego piwa (przyp. Ilum.).

Wiatr stracił nieco na sile, a krzyki przeszły w jęk.

- To pewnie wrózkowe dudy wzywają wiedźmę do domu - napomknął głos z sali. W odpowiedzi goście zaczęli nagle kasłać.

Pani Sievewright, wiedząc, że stała się przedmiotem kpin, zapaliła świecę od lampy stojącej na ladzie.

- Idę na górę sprawdzić, co z dziećmi - powiedziała, wysuwając wojowniczo podbródek. Pchnęła drzwi prowadzące do przedsionka i szybko wspięła się po schodach. Sievewrightowie mieli trzech synów, niewiele różniących się wiekiem, na których burza nie robiła żadnego wrażenia. Opatuleni, spali błogo razem w wielkim łóżku.

Synowie przypomnieli karczmarzowej o wnukach lady Valerii. Wszyscy trzej byli podobno bardzo przywiązani i troskliwi w stosunku do babki. Ukrywali przed nią swe liczne występki, a jeśli szerzące się plotki nosiły choć cień prawdy, naprawdę było co ukrywać.

Dwaj z nich, Aleks i Gavin Hepburn, byli braćmi. Najstarszy z trójki, ich kuzyn, James Burnett, miał zostać pewnego dnia panem Drumore. Otaczał go nimb tragedii - w alkoholu topił ból po stracie żony. Potrafił upić każdego do nieprzytomności, co w Szkocji było cechą godną podziwu. Gavin był bawidamkiem. co również było tolerowane. Największą zagadką był Aleks. Wiedziano o nim tylko tyle, że jest szalenie inteligentny i pracuje w jednym z rządowych biur na Whitehall.

Karczmarzowa rozmyślała, jak powiedzie się jej chłopcom, gdy zaczną torować sobie drogę w dorosłość. Miała nadzieję, że zostaną blisko domu. Wnukowie lady Victorii mieszkali w Londynie. Ale na każde wezwanie babki wsiadali do pociągu, by stawić się w domu - pieniądze nie stanowiły dla nich problemu. Nie powinna im zresztą mieć tego za złe. W końcu ona także zostawiła matkę i siostry w Anglii, kiedy przeprowadziła się na północ, aby poślubić Johna.

Esther postawiła świecę na stole, podeszła do okna i odciągnęła zasłonę. Ledwie mogła zobaczyć światła zamku stojącego na skalistym cyplu. Był jak latarnia, ostrzegająca statki przed

zdradliwym wybrzeżem. Tej nocy zdawał się wzywać burzę do siebie.

Karczmarzowa westchnęła z irytacją. Te stare marudy na dole z pewnością znów parskałyby w rękaw, gdyby tylko znały jej myśli. Co jest nie tak z tymi Szkotami? Nigdy nie wiedziała, kiedy mówią poważnie, a kiedy zmyślają. Może naśmiewanie się z niej było ich sposobem zachowania twarzy. Bo który rozumny mężczyzna chciałby, aby jego sąsiedzi wiedzieli, że wierzy w zabobony? Wiedzmy, czarnoksiężnicy, szyszymory - to wszystko bajania starych bab. Rozmyślenia Esther przerwał najmłodszy syn, który sturlał się z łóżka na twardą podłogę i zaczął płakać.

* * *

Tymczasem we wschodniej wieży zamku, w komnacie, której okna wychodziły na Morze Północne, leżąc na łożu z baldachimem, lady Valeria uśmiechała się słabo. Przez ostatnią godzinę lub dwie dryfowała na granicy snu i jawy. Czasami tylko, gdy wiatr wydawał nagły wrzask, podnosiła powieki, ale grube mury zamku tłumiły odgłosy burzy, pozwalając jej odpoczywać. Teraz cofała się pamięcią do czasów, gdy była dzieckiem. Widziała całkiem wyraźnie twarze braci i siostr, bawiących się w rozległych ogrodach, otaczających dom rodziców w Feughside.

Przez jej myśli przebiegały też inne twarze, inne wspomnienia - Mungo McEcheran w kilcie, w dniu ich ślubu; ich córki, Morag i Lucy, matki ich wnuków, których żywoty zakończyły się zbyt szybko. Łagodny uśmiech zbladł. Wszyscy ci, których kochała najbardziej na świecie, odeszli i nareszcie nastał czas, aby do nich dołączyć. Nie bała się. Była starą, słabą kobietą, a stan jej zdrowia był brzemieniem, którego nie chciała już dłużej znośić. Ale przed tą ostatnią podróżą musiała dopełnić ważnego obowiązku.

Odwróciła głowę i skupiła wzrok na trzech młodych mężczyznach, rozpartych na sofach w przeciwległym końcu pokoju, którzy rozmawiali ze sobą szeptem.

Jej serce zamarło. To byli spakobiercy starożytnego, celtyckiego rodu wróżbitów i jasnowidzów? Lady Valeria głęboko kochała wnuków, ale nie mogła zaprzeczyć, że brakuje im zasadniczych cech klanu O'Grampian. Wydawali się bardziej Anglikami niż Szkotami. Wątpiła, aby którykolwiek z nich nosił kilt. Nie znali ani słowa po gaelicku. Nawet ich łagodny, szkocki akcent zupełnie zanikł podczas długich lat, które spędzili w Anglii. Wnuczka na pewno przyniosłaby jej więcej pociechy. Kobiety były bardziej wrażliwe na fakty wymykające się zdrowemu rozsądkowi. Inteligencja mężczyzn była natomiast zbyt podatna na cielesne żądze.

Lady Valeria westchnęła. Niedobrze jest się tak zadręczać. Nie mogła przecież zrobić nic więcej. Obowiązek tak czy inaczej zostanie przekazany następnemu pokoleniu, jednemu z jej wnuków. Mimo umiejętności przewidywania przyszłości nie mogła jednak rozpoznać któremu.

Przełknęła ślinę, aby zwilżyć wyschnięte gardło, i zapytała:

- Co mówią we wsi?

Przytłumiona konwersacja przy kominku ucichła.

- Babciu, obudziłaś się.

To był Gavin, najmłodszy z nich. Rozmarzone, prawie granatowe oczy ocienione grzesznie długimi rzęsami sprawiały, że wiele dam szukało w nich pocieszenia. Lady Valeria doskonale rozumiała, skąd wzięła się jego reputacja kobieciarza. Nikt nie mógł oprzeć się temu uśmiechowi, nawet ona, która znała go najlepiej.

- Mówią, że wiedźma z Drumore spoczywa na marach - powiedział Aleks, rodzinny uczony, bezpośredni i zawsze poważny. Trudno było uwierzyć, że jako dziecko był obdartym dzikussem. Potem odkrył liczby. Ona wolałaby, aby odkrył dziewczęta.

- Ale są przy tym pełni szacunku - dodał Aleks głosem, w którym pobrzmiwały ślady młodzieńczego akcentu. Lady Valeria rozpoznała dowcip i zaśmiała się krótko.

- Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja, Aleks.

Wzrok lady Valerii przesunął się na najstarszego wnuka, Jamesa. Trzymał w reku kielich.

- Jeśli to kolejny cudowny lek doktora Leipera, możesz go wylać. Nie będę odchodzić z tego świata, cuchnąc czosnkiem.

- To dobra, szkocka whisky z Moray.

- W takim razie poproszę.

Pociągnęła malutki łyk, wpatrując się ponad brzegiem pucharu we wnuka, który przyprawiał ją o tyle zmartwień. James był wdowcem już od czterech lat i nie był to dla niego łatwy okres. Chociaż był jedynakiem i dziedzicem Drumore, rzadko odwiedzał posiadłość. Niektórzy twierdzili, że to talent do pomnażania pieniędzy absorbował cały jego czas i energię. Inni myśleli, że bolesne wspomnienia o młodej żonie trzymają go z dala od zamku. Lady Valeria podejrzewała jednak, że było coś innego, coś, czego nawet jej doskonale rozwinięta intuicja nie umiała zdefiniować.

Nazywali ją wiedźmą, jej moce były jednak bardzo ograniczone. Nie umiała czytać w myślach, przepowiadać przyszłości ani rzucać uroków. Jej dar pozwalał zobaczyć, co się stanie. Czasami widziała wyraźnie, czasami, jak tym razem, jakby przez mgłę.

- Cóż, nie stójcie tam jak żałobnicy. Jeszcze nie umarłam. Weźcie krzesła i przysiądźcie się bliżej. Chcę wam coś powiedzieć.

Zachichotali, ale zauważyła ukradkowe spojrzenia, które wymienili, spełniając jej rozkaz. Wiedzieli, co chciała przekazać. Kiedy byli dziećmi, fascynowały ich opowieści o wieszczach i jasnowiedzach, którzy należeli do klanu. Powiedziano im też, że jeden z nich zostanie wybrany, aby przekazać dar następnemu pokoleniu, ale w miarę dorastania mądrzeli, stawali się coraz bardziej sceptyczni i w końcu stracili młodzieńczą wiarę.

- Kiedy umrę, jeden z was lub wszyscy trzej. Boże dopomóż, odziedziczycie umiejętności swoich przodków. Wiecie, o czym mówię - powiedziała lady Valeria bez wstępów.

Aleks westchnął ciężko. Gavin poluzował kołnierzyk, a James upił whisky z wprawą, która przyprawiła księżną o kolejny

paroksyzm bólu. Posłała każdemu z nich przeszywające spojrzenie.

- Nie martwcie się tak. Ja nie mogę dokonać wyboru. Może będziecie mieć szczęście i dar przeskoczy jedno pokolenie, ale nie słyszano dotychczas o takim przypadku. Pocieszam się myślą, że czasami najśłabsze ogniwa sprawiają niespodzianki.

- Głosuję za pominięciem tego pokolenia - powiedział Aleks. - Popatrz na nas, babciu. Nie będzie z nas pożytku, nawet nie mówimy po gaelicku. Żadni z nas wajdeloci.

- A kto to jest wajdelota? - zapytał Gavin.

- Osoba posiadająca szósty zmysł - odparł James, rozglądając się za karafką whisky. - Czy ktoś mógłby mi zdradzić, który z nas ma złożyć tę najwyższą ofiarę i wyprodukować następne pokolenie jasnowidzących O'Grampianów?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Cóż, tak myślałem.

Znalazł karafkę, napełnił kieliszek i usiadł.

- Dalej, babciu. Dam pensa za twoje myśli.

- To chyba kwestia powietrza, ale zaczynasz mówić jak Szkot. - Lady Valeria głośno odetchnęła i mówiła dalej: - Mam wiadomość dla każdego z was. więc słuchajcie uważnie. Nie wiem, co to oznacza, i wątpię, abyście wy zrozumieli. Ale w najbliższej przyszłości przypomnicie sobie moje słowa i będziecie wiedzieli, jak się zachować. Gavin, odstaw mój kieliszek i podaj mi dłoń.

Gavin ociągał się, ale gdy James kopnął go ukradkiem w kostkę, przybrał urażoną minę, odstawił kieliszek i wyciągnął prawą rękę. Lady Valeria chwyciła ją lekko. Wpatrywała się w jego oczy z irytującą intensywnością. Nikt się nie poruszył, oprócz słabego szeptu starej kobiety nie było słyhać nic, nawet syczenia gazowych lamp na ścianach.

- Nie zawieź Makbeta. To twoje przeznaczenie. Jesteś na krawędzi, Gavin. Jeśli zawiedziesz Makbeta, będziesz tego żałował do końca życia.

Kiedy puściła jego dłoń, Gavin wzdrygnął się mimowolnie.

- Aleks?

Aleks potulnie podał babce rękę.

- Pęcherze - powiedziała lady Valeria, rozprostowując jego palce i wpatrując się w dłonie. - Jak to możliwe, aby człowiek, który pracuje za biurkiem, miał tak stwardniałe dłonie?

- Znowu trenuję szermierkę. - Aleks wzruszył ramionami.

- Hmm... - zadumała się lady Valeria, wąpiąc w słowa wnuka. Ciężko było cokolwiek odczytać. Z nich wszystkich Aleks najlepiej ukrywał swe myśli i uczucia. Westchnęła.

- Przejdiesz przez ogień, który cię nie pochłonie, jeśli zaufasz swojej intuicji. Logika ci nie pomoże. Zrozumiesz moje słowa, kiedy nadejdzie czas. Trzymaj się swoich uczuć. Aleks. W nich jest twoje zbawienie.

Gavin głośno stłumił ziewnięcie, za co otrzymał kolejnego kuksańca od Jamesa.

- Dziękuję ci, babciu - powiedział Aleks. - To dało mi do myślenia.

Lady Valeria prychnęła szyderczo.

- Ach, możesz sobie dziękować, ale twój spokój mnie nie zwiedzie. Ślepy najbardziej ten, kto nie chce zobaczyć, a wy jesteście właśnie jak te trzy ślepe myszy z bajki. Możesz lekceważyć moje słowa, ale czynisz tak na swoją zgubę.

Zignorowała ich słabe protesty i popatrzyła na Jamesa. Zaskoczył ją, odstawiając kieliszek, ujmując jej dłoń i tuląc ją delikatnie. Przemówił pierwszy:

- Widzisz, babciu, jak to z nami jest. Nie możesz nas jeszcze zostawić. Jesteśmy przecież praktycznie Anglikami. Zostań jeszcze z nami. opowiedz nam te wszystkie stare historie i naucz nas, kim powinniśmy być.

Wzruszenie ścisnęło gardło lady Valerii. Zadanie Jamesa było trudniejsze niż te, które los postawił przed jego kuzynami. Przylegał do niego cień, jakby wszystkie jego marzenia rozwiąły się. Tak bardzo chciała mu pomóc, ale jej czas się kończył. Mogła tylko wskazać mu drogę.

Przemówiła tak cicho, że musiał przyłożyć ucho do jej ust i poprosić o powtórzenie. Oddychając płytko, wyszeptwała:

- Ona jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, James. Jeśli

jej nie odnajdziesz, z pewnością umrze. Nie rozpaczaj. Zobaczysz przyszłość i będziesz mógł ją zmienić.

Dostrzegła wątpliwość w jego oczach, gdy odsuwając się, wpatrywał się w jej twarz.

- Wiem, wiem. Teraz nie ma to dla ciebie sensu. Jeszcze nie. Zapamiętaj tylko moje słowa, a z czasem wszystko stanie się dla ciebie jasne.

Kuzyni popatrzyli na Jamesa, marszcząc brwi. Nie słyszeli, co dokładnie powiedziała mu babka. Lekko wzruszył ramionami i rozparł się wygodniej na krześle.

Lady Valeria wydawała się drzemać, więc Gavin odwrócił się do pozostałych i powiedział półgłosem:

- Czy to jest jakiś test? Wiecie, ten, kto pierwszy wypełni zadanie, zdobędzie tytuł, dar czy cokolwiek?

- Gdyby to było takie proste, musielibyśmy tylko oblać test i byłibyśmy wolni - odpowiedział James.

Aleks pokiwał głową z dezaprobatą.

- Czasami zastanawiam się, co z wami dwoma jest nie tak. Nie żyjemy w średniowieczu. To era postępu. Babcia jest... - przerwał, szukając odpowiedniego słowa - reliktem minionej epoki zabobonów. Nie wierzę w wajdelotów, tak jak nie wierzę w króla Artura i rycerzy okrągłego stołu.

W tym momencie lady Valeria, nie otwierając oczu, włączyła się do rozmowy:

- Twoim problemem. Aleksie, jest to, że za dużo czasu spędzasz w otoczeniu liczb. Widziałam więcej rzeczy w moim życiu, niż ty jesteś w stanie sobie wyobrazić. Urodziłam się na przełomie stuleci. Byłam z rodzicami w Brukseli, gdy Wellington i Napoleon starli się pod Waterloo. Przeżyłam inne wojny, okresy panowania czterech monarchów i niezliczonych premierów. A zmiany, które widziałam... - Potrząsnęła głową. - Pociągi, podróżujące z jednego krańca Anglii na drugi, gaz, który oświetla domy, klozety i nie wiem, co jeszcze. Rozumiem ten świat w równie wysokim stopniu, jak ty go rozumiesz. Proszę cię przy tym, abyś zaczął dostrzegać rzeczy niezmiennie i nie z tego świata.

- Babciu - pospiesznie wtrącił Aleks - nie chciałem...
Uciszyła go machnięciem ręki.

- Wiem, że nie chciałeś. Upewnij się tylko, czy wiesz, czego chcesz.

Spojrzała na Gavina.

- Nie wiem, czy poddano cię testowi, ale wiadomość dla ciebie płynęła z głębi mojego serca. Chcę tylko, abyście byli szczęśliwi. Obiecujcie mi, że nie zapomnicie moich słów.

Gdy złożyli obietnicę, twarz lady Valerii rozpozodziła się.

- Teraz sprawcie mi przyjemność i poczęstujcie maleńkim kieliszkiem wody życia".

Było to jedno z niewielu określeń, które zapamiętali z dzieciństwa.

- Na zdrowie! - powiedziała księżna.

- Na zdrowie! - odpowiedzieli jej wnukowie, stukając się szklaneczkami whisky.

W tej właśnie chwili, pełnej harmonii i rodzinnego szczęścia, mając u boku trzech ukochanych wnuków, lady Valeria McEcheran wydała ostatnie tchnienie.

* Whisky - z gaelickiego: uisge beatha - woda życia (przyp. tłum.).



Rozdział
II

Tym razem nie śnił. Miał halucynacje. On, James Burnett, który nigdy nie przejawiał żadnych skłonności do mylenia fikcji z rzeczywistością, powoli tracił rozum.

Jedno pchnięcie posłało leżącą na nim damę na deski podłogi. Zapiszczała z przerażenia i odczołgała się od łóżka, łapiąc na oślep halkę i zasłaniając nią biust.

Była w szoku. To był przecież stały klient. Myślała, że go zna, ale ten oszołomiony mężczyzna z zaciekle wyrażeniem oczu wyglądał jak dzikus, który dopiero co wyszedł z lasu.

- Jeden mój pisk - zdołała wykrztusić, łapiąc oddech - a Duży Andy wpadnie tu i połamie twoje pieprzone kulasy.

Nie poruszył się. nic nie powiedział. Pomyślała, że być może lunatkuje, i to skłoniło ją do dodania:

- Co w ciebie wstąpiło, Burnett? Nigdy cię takim nie widziałam. Dobrze się czujesz?

James przeczesał włosy palcami. Zdezorientowany, rozglądał się po pokoju. Powoli docierała do niego rzeczywistość. Rozpoznał miejsce. Powinien. To był przecież praktycznie jego drugi dom, luksusowy burdel tuż za rogiem Crockford, na ulicy St. James. Tu spędzał większość nocy - godzinę lub dwie grał w karty w Crockford. a potem szukał zapomnienia z butelką whisky lub z kobietą. Czasami z obiema.

- To było lustro - szepnął. - Kto powiesił pieprzone lustro na suficie? To... obsceniczne.

Zamrugał gwałtownie powiekami, próbując odgonić sprzed oczu groteskowe odbicie babci McEcheran, spoglądającej na

niego z sufitu. Za dużo wypił, tłumaczył sobie. Za ciężko pracował. Śmierć babki wpłynęła na niego o wiele mocniej, niż przypuszczał. Nikt przecież nigdy nie kochał go tak jak ona i teraz czuł się opuszczony. Odeszła cztery czy pięć miesięcy temu, i nie było dnia, aby o niej nie myślał.

Słyszac siebie, skrzywił się z niesmakiem. Na litość boską, ile whisky wypił? Jeszcze chwila, a zacznie szlochać jak dziecko. Bardzo kochał babcię, ale, jak mniemał, nie na tyle, aby to tłumaczyło, dlaczego nagle stracił kontakt z rzeczywistością.

Zły na siebie, sięgnął po surdut i zaczął się ubierać.

Celeste - nie było to jej prawdziwe imię - przycupnęła na brzegu krzesła obitego aksamitem i obserwowała go uważnie. Gdyby to był ktokolwiek inny, już dawno by uciekła, ale to był hojny Burnett. Przy nim w godzinę zarabiała tyle, ile przez tydzień z innymi klientami. I nie był bardzo wymagający. Więcej czasu poświęcał picciu whisky niż cielesnym igraszkom. Właściwie, wydawało się jej zawsze, że przyjemność była ostatnią rzeczą, której chciał doświadczyć. Nie dbał o to, którą dziewczynę dostanie, ale one zawsze troszczyły się, aby każda miała swój czas. A czemu nie? To były łatwe pieniądze, zarobione uczciwie.

Teraz tak o nim myślała - łatwy zarobek. Ale gdy zobaczyła go po raz pierwszy... Jej stwardniałe serce prawie się rozpuściło. Był wysoki, szeroki w barach, przypominał surowo ciosanych rycerzy na średniowiecznych obrazach. Ktoś jej powiedział, że jest baronem, i od razu uwierzyła. Jak się później okazało, był jednym z tych szlachciców, którzy dorobili się ogromnego majątku na kolejach. I to zanim przekroczył trzydziestkę. Ale pieniądze chyba nie dawały mu szczęścia. Przy całym swoim dobrobycie, i z piękną twarzą, pozostał oschłym, ponurym Szkotem.

Hojnym, ponurym Szkotem, przypomniawszy sobie, a jeśli chciała dziś coś zarobić, musiała brać się do roboty.

- Czyżbyś już wychodził? - Wstała powoli z krzesła, pozwalając koszulce ześlizgnąć się z ramion na podłogę. - Przecież dopiero przyszedłeś.

Popatrzył na nią z roztargnieniem.

- Co?

Zaczynała tracić cierpliwość. Miała w końcu swoją godność. Nie była jakąś tam zwykłą prostytutką. Była luksusową boginią, której uroda i talent cieszyły się dużym poważaniem wśród zamożnych klientów Złotego Runa. Dziewczyna nie mogła tak po prostu przyjść tu z ulicy i dostać pracę. Uroda była oczywistością. Ona musiała nauczyć się jeszcze, jak stąpać delikatnie, jakby unosząc się w powietrzu, jak mówić bez akcentu, ubierać się i rozbierać tak, aby klienci wiedzieli, że płacą za wysoką jakość usługi. Burnett natomiast większą wagę przykładął do jakości whisky.

Wstrząsnęła lekko ramionami i odsłoniła biust.

- Popatrz na mnie. Burnett.

Spojrzał.

Jeszcze nie spotkała mężczyzny, który nie doznałby rozkoszy, po prostu patrząc na jej zgrabną sylwetkę. Zakołysała delikatnie biodrami, skupiając na sobie całą jego uwagę. A gdy już myślała, że go schwytała, on się wycofał.

Przycisnął dłoń do czoła.

- Nic z tego nie będzie. - Uśmiechnął się przeprasząco.

- To nie twoja wina. to ja.

Wydawało się jej, że rozumiała.

- Burnett - zachichotała - nie wiesz, że najlepszy sposób, aby zapomnieć o kobiecie, to zdobyć kolejną? Ja pomogę ci zapomnieć.

Wzruszył ramionami, wkładając płaszcz.

- Powiedz to mojej babce.

Głowiła się nad jego słowami, gdy wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Wyłuskał dwa, a resztę rzucił na srebrną tacę, stojącą na toalecie, po czym wyszedł bez słowa.

Znajdował się na placu St. James zaledwie pięć minut spacerem od swojego domu i po wyjściu z burdelu udał się tam

natychmiast. W ostatnim czasie nękały go koszarne sny. ale po raz pierwszy miał wizje na jawie. Próbował to sobie tłumaczyć, jak zwykle, pić, pracować, nie spać, ale w głębi ducha obawiał się najgorszego. Albo powoli tracił rozum, albo babka McEcheran głęboko zatopiła w nim pazury i łatwo nie odpuści.

Wiedział, co powiedziałyby na to wszystko Aleks: „Żyjemy w erze postępu, w której poczyniono niewiarygodne odkrycia w każdej dziedzinie, także w medycynie. Powinieneś skonsultować się z jednym z tych nowych lekarzy, którzy nazywają siebie psychiatrami i badają ludzkie umysły”.

Ale on nie potrzebował psychiatry, który by mu powiedział, co jest z nim nie tak. Cieszył się doskonałym zdrowiem, dopóki babka McEcheran nie wyszeptwała mu do ucha jego przepowiedni.

„Ona jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli jej nie odnajdziesz, z pewnością umrze”. Nie rozumiał, dopóki nie zaczęły się koszmary. Ona, czyli Faith McBride. Obiecała, że będzie na niego czekać, lecz jej obietnice okazały się bez pokrycia. Przez ostatnich osiem lat uparcie tłumził wszelkie wspomnienia o niej, ale potem pojawiły się sny. Teraz nie mógł przestać o niej myśleć.

Lokaj otworzył drzwi, zanim zdołał sięgnąć kołatki. Hallam zawsze potrafił przewidzieć potrzeby swojego pana. Miał około sześćdziesięciu lat, był niski, pulchny, o rumianej twarzy i siwych włosach. Jediną wadą, której potrafił doszukać się w nim James, było to, że kamerdyner strasznie dużo mówił.

- W bibliotece rozpalono ogień w kominku, sir, a...
- James przerwał mu machnięciem ręki.
- Nie dzisiaj. Hallam. Pójdę chyba prosto do łóżka.
- Przeszedł przez hall i udał się na górę po schodach.
- Czy mam tradycyjnie podać kieliszek przed snem, sir?
- James przystanął na stopniu i nerwowo potarł zmarszczoną brew.
- Co? Nie. Nie dzisiaj.
- Po raz pierwszy w życiu służący zaniemówił.

- Tylko kawa. Hallam. Dużo kawy - rzucił James przez ramię.

W sypialni osunął się na fotel. Jego wzrok przyciągnęło lustro, stojące przy oknie. Zaciskając zęby, podniósł się i powoli podszedł do niego. Nie miał pojęcia, jak bardzo był spięty, dopóki nie zobaczył swojego odbicia, które go przeraziło.

Uśmiechnął się zmieszany i potrząsnął głową. *Za dużo pijesz, Burnett. Jak tak dalej pójdzie, wykończysz się szybciej, niż myślisz.* Odwrócił się od lustra, po czym znów w nie spojrział. *A tak na marginesie, babciu, na wypadek gdybyś słuchała. Jeśli chcesz, abym odnalazł pannę McBride, musisz mi powiedzieć dokładnie, gdzie mam szukać. Ona nie chce być odnaleziona. A już na pewno nie przeze mnie. Dala mi to jasno do zrozumienia. Proszę więc, żadnych więcej koszmarów, żadnych omamów. Nieomal umarłem ze strachu dzisiaj, gdy... a zresztą, nie będziemy się w to zagłębiać. Mam prawo do odrobiny prywatności i... Potrząsnął głową. Co też mi przychodzi do głowy? To były po prostu halucynacje wywołane nadmiarem whisky. Od teraz piję tylko mleko i lemoniadę.*

Po wypiciu dzbanka kawy, do której, tylko dla smaku, dołączył odrobinę whisky, James poczuł się rozgrzeszony, a że był trzeźwy na tyle, aby próbować zasnąć, położył się do łóżka i zamknął oczy. Wiercił się. przewracał z boku na bok. aby w końcu skupić myśli na rozkosznej Celeste. Mężczyzna musiałby stać jedną nogą w grobie, aby nie podniecił go jej widok. Jaką więc on miał wymówkę? Alkohol? Duch wprawdzie odczuwa, ale ciało słabe. Ale było też coś więcej. Był złaźniony czegoś prawdziwego, szczerego, za co nie musiałby płacić. W sumie nie było zbyt wielkiej różnicy pomiędzy mieszkankami Złotego Runa a debiutantkami, które za wszelką cenę chciały złapać męża przed końcem kolejnego sezonu. Wszystkie chciały pozbawić go odrobiny gotówki. Złote Runo uwalniało go jednak od konieczności płacenia do końca życia.

Myśli Jamesa rozpląły się. a on sam zapadł w niespokojny sen.

Faith McBride. Bujna grzywa miedzianych loków. Delikatna

biała szyja i ramiona. Oczy czyste i przepastne jak szkockie jezioro.

I serce czarne jak grzech.

Jedna część jego umysłu wiedziała, co będzie dalej, i próbowała wyrwać go z tego snu, ale na nic się to nie zdało. Obraz Faith zbladł, a on znowu stał przed bramą z kutego żelaza, która strzegła wejścia na teren zrujnowanej posiadłości. Jak to bywa w snach, przeszedł przez bramę bez otwierania jej i znalazł się w marmurowym foyer, zakończonym wspartą na filarach klatką schodową, która wdzięczną krzywizną wspinała się na kolejne piętra. Faith gdzieś tutaj była i nie była sama. Ktoś czaił się na nią w cieniu, z nienawiścią w sercu i zamiarem morderstwa.

Strach ścisnął gardło Jamesa: zaczął biec. Nie był w domu, lecz w labiryncie. Wykrzykiwał imię Faith, ale odpowiadało mu tylko echo jego spanikowanego głosu. Wiedział, że postępuje nierozważnie, że powinien zwolnić i skupić się na myśleniu. Przecież miał dar widzenia przyszłości, ale nigdy go nie używał. Nigdy, aż do teraz, nie chciał.

Potworny krzyk wdarł się w jego umysł i wiedział, że jest już za późno.

Nie, przecież nie jest za późno. Przyszłość nadal może być zmieniona. Czy to nie o tym przekonywała go babka? Mógł zmienić przyszłość.

Łapczywie chwytając ustami powietrze, mokry od potu, zdołał wyrwać się z koszmaru. Zgarbiony, oddychał głęboko.

Nie był pijany i nie miał zwidów. Był trzeźwy jak przysłowiowa świnia. Wiedział, co musi zrobić, aby odzyskać spokój ducha. Musi odnaleźć Faith McBride. aby utwierdzić się w przekonaniu, że nic jej nie zagraża.

Z upływem nocy sen bladł, a James zaczynał czuć się jak głupiec. Zaczął się zastanawiać, czy powinien przedsięwziąć jakiegokolwiek kroki, aby odnaleźć Faith. Ich stosunki nie były zbyt serdeczne. W końcu wzruszył ramionami. Przecież nie planował wspinaczki na Matterhorn. Chciał tylko choć raz porządnie przespać noc, nawet jeśli oznaczało to odnowienie znajomości z panną McBride.

Następnego ranka, gdy James jadł śniadanie, wizytę złożyli mu jego kuzyni. Podnosząc się na ich widok, powiedział:

- Co za niespodzianka. Planowałem do was zadzwonić. Rozgoście się. Mam nadzieję, że przyłazycie się...

Przerwał, a jego wzrok spoczął na Gavinie. Lewe oko kuzyna zdobił ogromny siniec.

- Bójka? Myślałem, że z tego wyrosłeś.

Gavin roześmiał się.

- Poświęciłem się dla sprawy. Makdufie, przywitaj się. proszę, z kuzynem.

Spojrzenie Jamesa powędrowało na podłogę. Wielki, kudłaty owczarek z radosnymi oczami podawał mu łapę.

- Gavin znalazł tego psa w wąskiej uliczce, niedaleko Covent Garden. Kilku młodzieńców doszło do wniosku, że świetnym pomysłem będzie zatłuc go kijami. Gavin ośmielił się L nimi nie zgodzić. - wyjaśnił Aleks.

- Tak jak zresztą Makduf - dorzucił Gavin, siedząc przy kredensie i delektując się obfitym śniadaniem.

- Coś ty w ogóle robił za Covent Garden? Okolice nie cieszy się najlepszą sławą.

- Odwiedzałem damę w jej mieszkaniu. - Gavin błysnął zębami w uśmiechu. - Więcej tego jednak nie zrobię. Nie polubiła Makdufa, który odpłacił jej równie gorącym uczuciem.

James rozparł się wygodnie, czekając, aż obaj napełnią talerze. Aleks i Gavin byli dla niego bardziej braćmi niż tylko kuzynami. Spędzili razem praktycznie całe dzieciństwo, ponieważ ich matki były siostrami. Walczyli, śmiali się razem, aż zżyli się bardzo. Po latach nadal się przyjaźnili, choć nie było to już tak proste i instynktowne jak kiedyś. Zresztą, trudno się temu dziwić, myślał Burnett, skoro poszli tak różnymi ścieżkami. Gavin nadal szukał swojej drogi, on, James, był człowiekiem biznesu, a Aleks... cóż... Aleks był zagadką. Jak na urzędnika, spędzającego cały dzień za biurkiem, miał zbyt atletyczną budowę. A termin „praca dla rządu” mógł określać wiele róż-

nych rzeczy. I te stwardnienia na jego dłoniach. To dawało do myślenia.

Gavin podsunął Makdufowi talerz pełen kiełbasek i cynaderek.

- Zważ na swoje maniery. Makdufie - powiedział. - Pamiętaj, że jesteś džentelmenem.

Pies odchylił łeb nieco na bok. a następnie delikatnie skubnął odrobinę kiełbaski, ale gdy tylko Gavin odwrócił głowę, połknął ją w całości i z pełnym pyskiem sięgnął po następną.

- To ci dopiero džentelmen - parsknął Aleks.

- Makduf... - powiedział James z rozbawieniem. - Czy to nic on zabił Makbeta?

Gavin popatrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Szekspir, Gavin. Czyżbyś nie czytał sztuki?

- Oczywiście, że czytałem. - Popatrzył na psa. a potem znów na Jamesa. - Wiem, co myślisz. Że to przepowiednia babci, ale przecież to śmieszne. Wymyśliłem imię na poczekaniu, równie dobrze mógłbym nazwać go na przykład... - szukał słowa - Pies.

Aleks westchnął.

- Zaczęło się. prawda? Przepowiednie babci: Musimy wypić piwo. które nie myśmy warzyli.

- Ty też? - zapytał Aleks.

James pokiwał głową.

- Mam koszmarne sny.

- A ja wizje, przeczucia. Nie poszedłem tą drogą przez przypadek. Widziałem oczyma wyobraźni biednego Makdufa, zapędzonego w zaułek przez tych prostaków. Poszedłem tam. uzbrojony w łaskę i przekonany, że muszę go uratować.

- Hmm... Ja przez ostatnich kilka miesięcy próbowałem zdemaskować zdrajcę, który przekazywał wrogom informacje. Złapałem go w końcu na gorącym uczynku, ale nie dzięki śledztwu. Wyczułem, co planuje, i zastawiłem pułapkę - powiedział Aleks.

- Kto by pomyślał, że praca w Departamencie Wojny może być tak ekscytująca? - zauważył James.

Aleks odwrócił głowę i posłał mu kose spojrzenie.

- Nigdy nie twierdziłem, że pracuję w Departamencie Wojny. Robię różne rzeczy... dla rządu.

James uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Cóż, to już słyszeliśmy. Nie martw się. z nami twój mały sekret jest bezpieczny.

Zanim Aleks zdołał odpowiedzieć, kontynuował:

- Co z tymi nowymi lekarzami, o których wspominałeś? Psychiatrami? Nie myślałeś o konsultacji?

Aleks posmarował masłem kawałek tosta.

- Zastanawiałem się nad tym, ale terapia, którą potraktowała mnie babcia, była silniejsza. Zresztą, jak wyjaśnię bandzie niedowiarków fenomen Valerii McEcheran? Nie zrozumieliby.

- Co w takim razie zrobimy? - wtrącił się Gavin.

- Będziemy znosić to z uśmiechem - odpowiedział mu brat ze stoickim spokojem. - Co innego możemy zrobić?

Wychodząc, Aleks zwrócił się jeszcze do Jamesa:

- To pewnie nic nie znaczy, ale gdybym był tobą, zacząłbym czytać gazety. Od deski do deski. To może pomóc na twoje koszmary.

James, nie tracąc czasu, postanowił pójść za radą kuzyna. Gdy tylko goście opuścili dom, posłał lokaja po poranną prasę.



Faith czuła lekki dreszcz podniecenia, idąc energicznie ulicą Woburn Walk do biblioteki i księgarni, usytuowanych na rogu Woburn Place. Miała odebrać odpowiedzi, które nadeszły po zamieszczeniu przez nią ogłoszenia we wszystkich londyńskich gazetach, które miało rozwiązać zagadkę, spędzając jej sen z powiek od dobrych kilku tygodni.

Przystawała od czasu do czasu, aby podziwiać towary wystawione w sklepowych witrynach - zabytkowy naszyjnik, meble, rzadkie książki, doskonale wykonane buciki i skórzane bibeloty. Rzadko tu bywała. Dochody nauczycielki nie pozwalały jej na takie luksusy. Poza tym, miała powód, aby nie wychodzić z domu. W ostatnim tygodniu, za każdym razem, gdy opuszczała szkołę, miała dziwne uczucie, jakby ktoś ją obserwował. Chociaż, może były to tylko wyrzuty sumienia? Nauczycielom nie wypadało wymykać się podczas lunchu do miasta w celach czysto prywatnych. Fakt, że używała księgarni Pritcharda jako skrzynki kontaktowej, zamiast, jak wszyscy inni nauczyciele, używać jako adresu korespondencyjnego adresu szkoły, także mógł rodzić pytania.

Odbicia w witrynach sklepów nie wzbudzały podejrzeń Faith. Wokół spacerowało mnóstwo ludzi, jako że sklepy na Woburn Walk były znane ze swych doskonałych towarów, choć może nie były tak prestiżowe, jak te w Mayfair, do którego zresztą Faith nie zapuszczała się w swych wozach zbyt często. Bloomsbury znajdowało się wystarczająco daleko od Mayfair, aby uniemożliwić jakiegokolwiek przypadkowe spotkanie z były-

mi znajomymi. A nawet gdyby kogoś spotkała, nie zostałaby rozpoznana w bezbarwnym mundurku, powszechnie noszonym przez nauczycielki i guwernantki. Aktualna moda narzucała drogie materiały, turniury, falbany i obfitość dodatków. Nauczycielki nosiły natomiast gładkie, proste, praktyczne suknie i skromne czepki, które miały podkreślać ich status.

Zresztą, był lipiec. W upalne lato damy z towarzystwa, w którym kiedyś się obracała, przenosiły się do swych wiejskich posiadłości lub wizytowały będące obecnie w modzie letnie kurorty.

Małeńki dzwonek nad drzwiami zadzwonił, kiedy Faith weszła do sklepu. Pan Pritchard stał przy ladzie, pograżony w rozmowie z klientem, ale nic omieszkął pozdrowić jej gestem i przesłać powitalny uśmiech. Faith podeszła do półek z książkami i zaczęła je przeglądać, czekając na swoją kolej. Ta część transakcji zawsze powodowała u niej nerwowość, choć przecież nie robiła nic nagannego. Strzegła tylko swojej prywatności. Nie chciała, aby obcy dowiedzieli się, gdzie mieszka, ani tego, by koledzy ze szkoły znali jej plany. Zbyt wiele listów przychodzących na nazwisko nauczyciela, który dotychczas listów prawie w ogóle nie otrzymywał, mogło sprowokować niewygodne pytania, na które Faith nie chciała odpowiadać.

Kiedy dzwonek u drzwi odezwał się ponownie. Faith otworzyła przypadkowo wybraną książkę i zaczęła ją kartkować. W sklepie panowała cisza, spojrzała więc w stronę lady, aby przekonać się, czy pan Pritchard jest już wolny. Widok zasłaniał jej mężczyzna, na którym spoczęło w końcu jej spojrzenie.

Stał przodem do światła, zmrużyła więc oczy, obserwując go. Ciemne włosy, szerokie ramiona, szczupła sylwetka. Nie mogła zobaczyć twarzy. To mógł być ktokolwiek, ale aura energii i pewności siebie, która biła od tej postaci, wywołała u niej drżenie.

Mężczyzna postąpił krok w jej stronę, potem jeszcze jeden i w końcu mogła zobaczyć twarz. Był znacznie szczuplejszy, niż go zapamiętała, jego czarne brwi zbiegły się u nasady nosa, znamionując koncentrację, rysy twarzy stwardniały, tylko spoj-

rzenie brązowych oczu było takie samo - inteligentne, przenikliwe i drapieżne.

- Faith - powiedział. - Wiedziałem, że to ty.

James Burnett.

Nie mogła złapać tchu. Poczwała miękkość w kolanach, a książka, którą przeglądała, wyslizgnęła się jej z dłoni i upadła na podłogę.

Umknęła, gdy wyciągnął rękę.

- Faith, czy dobrze się czujesz? - zapytał.

Wiele razy ćwiczyła w myślach, co powie, jeśli będzie miała to nieszczęście jeszcze kiedykolwiek go spotkać. Żadnych wzajemnych oskarżeń. Żadnych łez i wyrzutów. Miała po prostu odwrócić się i odejść. Nie wiedziała jednak, że jej samokontrola jest tak krucha, do czasu, gdy stanął przed nią we własnej osobie. Cała gorycz i ból upokorzenia, które, jak mniemała, wyparła z pamięci. Były równie gorzkie i świeże, jakby wszystko to wydarzyło się wczoraj.

- Nie waż się mnie tknąć!

Jego ręka opadła.

- Wyglądałaś, jakbyś miała zemdleć. Chciałem tylko pomóc - odezwał się łagodnym głosem.

Cholera! Cholera! Cholera! Kuliła się jak zaszczute zwierzę. Nie tak zamierzała wyglądać. Szacunek dla samej siebie wymagał, aby zaczęła zachowywać się z godnością.

Wojowniczo wysunęła podbródek.

- Zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że to ktoś obcy. - Zdusiła śmiech. - Co ja mówię? Przecież ty jesteś obcy. Myślałam, że cię znam, ale to było dawno temu. Myliłam się. Proszę, przesuń się i pozwól mi przejść.

Zignorował jej pełną godności przemowę.

- Jesteś blada jak prześcieradło. Lepiej usiądź, zanim upadniesz.

Utrzymywała równowagę, wspierając się dłonią o półkę z książkami. W jej głowie zaczęły rodzić się podejrzenia. Zbieg okoliczności, jakim była jego obecność w Bloomsbury w tym samym momencie, w którym i ona je odwiedzała, był albo

najczarniejszym pechem, albo też nie był wcale zwykłym przypadkiem. Czy to on śledził ją przez ostatnie tygodnie?

- Co robisz w Bloomsbury? - zapytała szorstko.

- Mógłbym zadać ci to samo pytanie. Słuchaj, czy naprawdę nie możemy prowadzić w miarę cywilizowanej konwersacji?

- Spóźniłeś się jakieś osiem lat. Nie mamy sobie w ogóle nic do powiedzenia - jej głos ociekał sarkazmem.

Z niepokojącą determinacją podszedł do niej jeszcze o krok i pochylił głowę w jej kierunku. Żołądek podszedł jej do gardła, ale nadal wysuwała dumnie podbródek. Miała rację, nazywając go nieznajomym. Zawsze był zbyt pewny siebie i przekonany, że może zdobyć wszystko, czegokolwiek zapragnie, ale surowość maskował w nim dziwny urok. Ten mężczyzna był czarujący jak kawał marmuru.

- Mów za siebie - odpowiedział James ostrym tonem. - Jest mnóstwo rzeczy, które ja chciałbym ci powiedzieć.

Nie mogła znieść powrotu do tej starej historii. Myśl o obnażeniu uczuć spowodowała, że poczuła się chora.

Jego oczy zwęziły się.

- Przyjmij moją rękę. Faith.

Przycisnęła palce do skroni.

- Prędszej przyjmę rękę od...

Zapisała, gdy pochylił się i wziął ją w ramiona. W pierwszym odruchu chciała ogłuszyć go torebką, ale pasek zaplątał się jej wokół nadgarstka tak, że nie mogła jej uwolnić. Pragnienie uderzenia go opuściło ją, gdy jej myśli odpłynęły. Poczowała, że ramiona i nogi ma jak z waty.

- Panic Pritchard - ryknął James. - Panna McBride nie czuje się najlepiej. Musi usiąść.

Pan Pritchard podbiegł pospiesznie do wyjścia na korytarz. Jego pucołowate oblicze zmarszczył niepokój.

- Tędy proszę - powiedział, wskazując drzwi na końcu korytarza. - To mój gabinet.

Przycisnął się obok nich i otworzył drzwi.

- Czy mam posłać po lekarza?

- Poproszę tylko szklanek wody - wydukała żałośnie Faith.
- Nie potrzebuję lekarza.

Gdy pan Pritchard pobiegł spełnić jej prośbę, James ułożył ją na skórzanej sofie. Następnie rozluźnił jej czepek i zaczął rozpinać płaszcz.

To przywołało ją do rzeczywistości. Szarpnęła się, odsuwając jego ręce i usiadła.

- Nie panikuj - powiedziała z ironią. - Nic mi nie jest, po prostu jeszcze nic dzisiaj nie jadłam.

Zmarszczyła brwi, gdy zobaczyła na jego twarzy ironiczny uśmiech.

- Co? - zapytała.

- To powszechna praktyka - rozluźnić odzież damy, która omdlała. Wierz mi, Faith, nie nastaję na twoją cnotę. Po prostu chciałem pomóc.

Jego słowa przywołały wspomnienie czasów, kiedy rozpinał nie tylko jej płaszcz, ale i suknię, gorset i... Gorący rumieniec wypłynął jej na policzki. Spojrzała na niego.

Kpina z jego oczu zniknęła. Powoli wypuścił powietrze.

- Między nami wciąż iskry, prawda, Faith? Możemy tego nie chcieć, ale tak wciąż jest. - Pochylił się nad nią, szepcząc prosto w jej usta: - Ty także to czujesz, Faith.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej gardło zacisnęło się. Serce zaczęło szybciej bić. Wydała cichy okrzyk protestu, a potem zamarła, gdy jego usta dotknęły jej ust.

Nie naciskał. Czekał na jej pozwolenie. To wszystko było tak znajome, jak za pierwszym razem, gdy ją pocałował. Nie wiedziała wtedy, czego się spodziewać i oszołomił ją nagły przypływ uczuć, który uwrażliwił skórę i przyspieszył oddech. Bez sztucznej powściągliwości dał się porwać namiętności i oddał pocałunek.

Tym razem jednak tak się nie stanie. James Burnett rozerwał jej serce i dumę na maleńkie kawałeczki. Musiałaby zwariować, aby pozwolić mu na to raz jeszcze.

Ta myśl przyszła w samą porę. Napięła ramiona i odepchnęła go z całej siły. Nie padło ani jedno słowo. Tylko ich łapczywe oddechy przerywały ciszę.

Pan Pritchard powrócił w tym samym momencie, niosąc szklanek wody. Odrywając wzrok od badawczych oczu Jamesa, Faith sięgnęła po napój i wypła go chciwie.

Zaniepokojony pan Pritchard kręcił się po gabinecie.

- Czy mogę zrobić dla pani coś jeszcze? - zapytał.

Zdobyła się na wąły uśmiech.

- Nie, dziękuję. Zaraz dojdę do siebie. Pana kłenci będą się zastanawiać, gdzie pan zniknął.

Pritchard spoglądał na jedno, to na drugie, wyczuwając napiętą atmosferę i nie chcąc zostawiać Faith sam na sam z Jamesem.

- Jeśli jest pani pewna - powiedział powoli, uważnie wpatrując się w Faith.

Nie chciała zostać sama z Jamesem, ale jeszcze mniej chciała zostać wmieszana w publiczną scenę, pokiwała więc głową, uśmiechnęła się i zapewniła, że czuje się o wiele lepiej. Po tym zapewnieniu Pritchard opuścił pokój.

- Proszę o wybaczenie. Może uznamy, że zbyt obrazowo chciałem przypomnieć sobie stare, dobre czasy? To wszystko. Więcej się to nie powtórzy, masz moje słowo. - Głos Jamesa ociekał ironią.

Chciała powiedzieć coś kaśliwego, ale nie umiała.

- Stare, dobre czasy? - wyszeptała. - Tak, to wszystko.

Aby dać sobie czas do namysłu, zaczęła powoli pić wodę. Chciała po prostu, aby sobie poszedł, ale Jamesa Burnetta cechowała zawziętość bulteriera. Nikt nie mógł zmusić go do zrobienia czegoś, na co nie miał ochoty. To właśnie niszczyło ją lata temu. Kazał jej czekać, a sam wrócił do Szkocji i prawie od razu zaręczył się z ukochaną z dzieciństwa.

Poczuła łzy napływające do oczu. Cała ta sytuacja ją przerosła. Odstawiła szklanek. Nie patrząc na niego, poprosiła:

- Czy mógłbyś przynieść mi coś do jedzenia? Jak już mówiłam, od rana nie miałam nic w ustach, a wiem, że pan Pritchard trzyma za ladą koszyk ciastek.

Zamknawszy oczy, ułożyła się wygodniej na poduszkach sofy i westchnęła. James zaklął pod nosem. Gdy tylko w koryta-

rze ucichły jego kroki. Faith nagle wróciły siły. Wiedziała, gdzie znajduje się tylne wejście. W mgnieniu oka zebrała swoje rzeczy i po chwili zniknęła w tylnej uliczce. Biegła przez kolejną, a kiedy upewniła się, że nikt za nią nie idzie, stanęła w bramie, aby zaczerpnąć tchu.

Śledził ją w drodze do Pritcharda. Wkrótce znajdzie jej szkołę. A kiedy to się stanie, będzie przynajmniej przygotowana na spotkanie.

Po co tu przyjechał? Dręczyło ją to pytanie. Nie mógł zrobić nic, aby naprawić swoje pozbawione skrupułów zachowanie z przeszłości. Myślała, że wszystko to zostawiła za sobą. Wydawało się jej niepojęte, aby chciał odgrzewać stare dzieje.

Może jednak robi z tego zbyt dużą sprawę i to naprawdę był zbieg okoliczności. Może był równie zaskoczony jak ona, tyle że lepiej skrywał swe prawdziwe uczucia.

Zrezygnowała z roztrząsania tej kwestii.

Przynajmniej, jeśli znów się kiedyś spotkają, będzie umiała lepiej nad sobą panować. Żadnych wzajemnych oskarżeń. Żadnych łez i wyrzutów. I żadnych wspomnień, które mogłyby naruszyć jej spokój. James Burnett był dla niej martwy.

Zatrzymała się nagle. Niech go cholera! Szlag! Przez niego zapomniała odebrać listy. Obejrzała się przez ramię i stłumiła dreszcz. Nie mogła wrócić, nie po tym, jak uciekła. Czym wytłumaczyłaby swoje zachowanie? Skończyła z nim. Był dla niej nikim, a jej przesadzona reakcja była niczym więcej niż... niż... Było dokładnie tak, jak powiedział. Stare, dobre czasy. Nic więcej.

Zadowolona, rażno pomaszerowała w kierunku szkoły.

* * *

James był świadom jej nagłej ucieczki już po kilku krokach w korytarzu. Nie musiał nawet wracać do gabinetu, aby się upewnić. Jego umysł był tak skoncentrowany na Faith, że dosłownie wyczuł pustkę, którą po sobie zostawiła.

Nie było mu przykro, że uciekła. Myślał, że podoła ponow-

nemu spotkaniu, ale okłamywał się. Faith McBride we własnej osobie była o wiele bardziej zabójcza niż nikłe wspomnienie o niej. Pomimo upływu czasu, wciąż była równie piękna, jak ją zapamiętał, wciąż miała w sobie ten wewnętrzny blask, który zmiękczał jej rysy. Gdyby tylko zechciała przeistoczyć się w grube czupiradło, jego umysł mógłby wciąż funkcjonować, a on sam nie byłby teraz napięty jak struna.

Zacisnął dłonie w pięści. Musiał się kontrolować, jeśli miał dotrzymać obietnicy danej babci. Następnym razem, gdy spotka wiarołąmną pannę McBride, z pewnością będzie trzymał ręce przy sobie.

Z tym cnotliwym postanowieniem, dołączył do stojącego przy ladzie pana Pritcharda i cierpliwie czekał, aż ten obsłuży kolejnego klienta.

Nie była to jego pierwsza wizyta w tej księgarni. Poszedł za radą Aleksa i zaczął uważnie czytać poranną prasę. Wskazówka dotycząca miejsca pobytu Faith była umieszczona w dziale ogłoszeń.

„Poszukuję informacji na temat Madeleine Maynard z Oxfordu. Odpowiedzi proszę przesyłać na adres: Panna F. McBride. Księgarnia Pritcharda, ulica Woburn Walk. Bloomsbury”.

Nie wiedział, czego ma się spodziewać przy pierwszej wizycie. Czy to ona była właścicielką księgarni? Czy może mieszkała nad nią? Wkrótce dowiedział się, że księgarnia była również skrzynką pocztową dla osób, które pracowały w okolicy, bądź też nie chciały otrzymywać poczty na domowy adres. To skłoniło go do rozmyślań nad tym, co ukrywała Faith.

Pan Pritchard był sprytnym mężczyzną, którego James nie zdołał przekonać do wyjawienia choćby skrawka informacji na temat Faith. Stąd to spotkanie. Teraz, skoro Pritchard wiedział już, że James i Faith się znają, mógł okazać się bardziej skłonny do rozmowy. Przynajmniej na to liczył James. Nie chciał tracić kolejnych dni na patrolowanie Woburn Walk i liczyć na przypadek. Poza tym wątpił, aby w najbliższym czasie Faith odwiedziła księgarnię. Prawdopodobnie wysłe przyjaciela, by odebrał jej listy, co nie poszerzy jego wiedzy na jej temat.

Pritchard przeliczał resztę, którą zostawił klient, odczekał chwilę, aż ten podejdzie do drzwi i będzie dostatecznie daleko, aby nie słyszeć rozmowy, po czym zwrócił się do Jamesa:

- Jak się czuje panna McBride?

- O wiele lepiej - odparł James. - Namówiłem ją, aby wyszła na zewnątrz zaczerpnąć powietrza i zdecydowała się natychmiast wracać do domu.

Pritchard zmarszczył brwi i zapytał:

- A pan nie towarzyszy jej, aby się przekonać, że dotrze bezpiecznie?

- Nie pozwoliła mi.

Starszy pan rozluźnił się.

- Szkolne reguły - powiedział, kiwając głową. - Miałyby kłopoty, gdyby wróciła do szkoły w towarzystwie dżentelmena.

- Więc jest nauczycielką?

Spojrzenie Pritcharda znów stało się podejrzliwe.

- Myślałem, że państwo są przyjaciółmi?

James zauważył błąd i szybko się zreflektował.

- Byliśmy, dawno temu, gdy była... - przerwał, szukając słowa - debiutantką. Byłem zaskoczony, widząc ją tu dzisiaj. Zaskoczony i skonsternowany. Wydaje się być...

Zawiesił głos, oczekując odzewu.

Pritchard westchnął i dokończył zdanie za niego.

- W ciężkiej sytuacji? Takie było i moje wrażenie. Debiutantką, powiadasz pan? Nie dziwię się. Od razu wydała mi się prawdziwą damą. Zawsze słyszę od niej dobre słowo, nie zapomina zapytać o wnuki. Wychowanie, to zawsze widać, wie pan. - Znów westchnął.

Cisza się przeciągała. W końcu James zagaił:

- Chciałbym jej jakoś pomóc, oczywiście, nie osobiście, ale jestem pewien, że moja ciotka, która jest uosobieniem taktu, będzie bardziej niż szczęśliwa, mogąc zawrzeć znajomość z panną McBride.

Pritchard w zamyśleniu drapał podbródek i uważnie lustrował Jamesa, zauważając krój surduta, znamionujący doskona-

łego krawca, nieskazitelną biel halsztuka, jakość skórzanych rękawiczek. W końcu pokiwał głową.

- Szkoła dla dziewcząt Winnifred jest za rogiem, niedaleko Tavistock Square. Na pewno pan nie przegapi. To ogromny budynek z obszernym zapleczem.

Przerwał, kiedy do lady podeszli dwaj nowi klienci. James podziękował za pomoc i wyszedł. Na ulicy przywołał dwukółkę i kazał się wieźć do klubu na St. James, gdzie chciał przemyśleć to, o czym dowiedział się od Pritcharda.

Oczywiście, okłamał księgarza. Faith nie była debiutantką, kiedy pierwszy raz ją zobaczył, choć w jego oczach żadna debiutantką nie mogła się z nią równać. Była damą do towarzystwa lady Beale. uderzająco piękną, spokojną, doskonale wychowaną. Chociaż jej suknie były skromne, a sama Faith nigdy nie szukała poklasku, była dziewczyną, której nienawidziły wszystkie debiutantki w tamtym sezonie. Podstawą tej nienawiści była zazdrość, ponieważ o Faith marzyli wszyscy kawalerowie.

W wieku lat dziewiętnastu była wysoka i wiotka, jej nieskazitelną twarz otaczała burza lśniących, miedzianozłotych włosów, upiętych w prosty węzeł, a jednym lodowatym spojrzeniem potrafiła ostudzić zapały każdego młodego człowieka, który naruszył wobec niej zasady dobrego wychowania.

Obserwował te przedstawienia z boku okiem cynika. Ci młodzi mężczyźni rozmyślali o niej, ale wątpił, aby myśleli także o małżeństwie. Ślub był poważną transakcją, nawet w tych oświeconych czasach, która obejmowała posag, umowę oraz rodzinne powiązania. Jako sierota, bez pensa przy duszy. Faith odpadała z konkurencji w przedbiegach i doskonale o tym wiedziała.

Nie pasowała do towarzystwa, głównie dlatego, że musiała zarabiać na życie. Z tego, co wiedział, jej ojciec był profesorem w Oksfordzie, ale po jego śmierci Faith musiała ratować się, przyjmując pierwszą płatną posadę, jaka się jej trafiła - czyli stanowisko damy do towarzystwa lady Beale.

Faith przypominała mu jego samego, gdy został wysłany do

Anglii, wbrew swej woli, aby pobierać tam nauki. On też nie umiał się dopasować. Z perspektywy czasu musiał przyznać zresztą, że była to jego wina. Angażował się w jedną bójkę po drugiej, chcąc udowodnić tym wyniosłym Anglikom, że był równie dobry jak oni. A takie zachowanie nie przysparzało mu przyjaciół. Szkolne lata były najbardziej samotnym okresem jego życia.

Faith nie była w stanie oddać ciosu, a lady Beale wydawała się nieświadoma ciągłych afrontów, jakie musiała znosić jej podopieczna, więc to on zaopiekował się młodą dziewczyną, choć nie wiedział sam dlaczego. Nie był na pewno duszą towarzystwa. W zasadzie uczęszczał na przyjęcia tylko dlatego, że był zapraszany przez wpływowych ludzi, niezbędnych mu do finansowania jego przedsięwzięć. Mimo bardzo młodego wieku, zgromadził już wtedy pokaźną fortunę. Koleje były jego pasją, a moda na ich rozwijanie pochłaniała masę środków, zarówno w Szkocji, jak i w Anglii.

Na jednym z takich właśnie przyjęć poznał Faith.

On miał lat dwadzieścia cztery, ona dziewiętnaście. Powinien był dopilnować, aby ich przyjaźń pozostała platoniczna. Na balu bożonarodzeniowym, kiedy niedbale pocałował ją pod jemiółką, zorientował się, że popełnił błąd.

Ten podarowany od niechcenia pocałunek powalił go na kolana. Potem nie mógł już oderwać od niej rąk. Wiedział doskonale, że jedynym wyjściem jest małżeństwo. Zaczęli więc planować wspólne życie, ale zanim mogli ogłosić publicznie zaręczyny, jego firmie w Szkocji zagroziło bankructwo, musiał więc wrócić do Edynburga, aby ratować sytuację.

Zabrało to o wiele więcej czasu, niż przewidywał. Widmo bankructwa nie było jego największym zmartwieniem. Okazało się, że jego zastępca wyprowadzał z firmy środki, aby finansować własne potrzeby i w końcu porzucił pracę, stawiając Jamesa w obliczu niezadowolonych udziałowców, którzy zaczęli grozić procesami. Nie było łatwo zgromadzić pieniądze, aby ich spłacić. I tylko o to się wówczas martwił, nie przeszło mu nawet przez myśl, że powinien martwić się także o Faith.

Przekonał w końcu kilku sprytnych, bogatych bankierów do sfinansowania swoich planów. Po latach sam nie potrafił pojąć, jak udało mu się wyciągnąć firmę z kłopotów. Był ambitny, to fakt, ale przy innych był ledwie żółtodziobem. Mimo to sponsorzy zaryzykowali i sporo zarobili na transakcji.

Pamiętał szeroko otwarte, ufne, szare oczy Faith, kiedy obiecywała, że będzie na niego czekać.

Zorientował się, że coś jest nie tak, kiedy przestała pisać. Wrócił więc do Londynu. Nikt nie wiedział, gdzie zniknęła. Nawet lady Beale. Wszystko, co mogła mu powiedzieć, to to, że Faith złożyła wymówienie i udała się w nieznanym kierunku z młodym dżentelmenem o nazwisku Dobbin, który miał eskortować ją do przyjaciół w Dorset, czy też może w Derbyshire.

Okazało się potem, że Faith i pan Dobbin rozplłynęli się w powietrzu.

Powóz podskoczył na wyboju. Wstrząs odwrócił myśli Jamesa od Faith. Jego usta wygięły się w pozbawiony wyrazu uśmiech. Teraz był zupełnie innym człowiekiem. Wmawiał sobie cały czas, że nie ma sensu wracać do przeszłości. Powinien raczej skupić się na tym, co będzie. Faith groziło niebezpieczeństwo.

Skupił się na ogłoszeniu, które przeczytał w gazecie. Potrzebował więcej informacji na temat Madeleine Maynard. Skąd je wziąć?

Jeśli miał chronić Faith, musiał się do niej zbliżyć. Być blisko niej, jak cień. W tym sęk. Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest ostatnią osobą, do której zwróciłaby się w potrzebie. Nie mógł pozwolić, aby to, co było, stanęło mu na drodze. Była to kwestia życia lub śmierci. Tak, czy inaczej, zbliżył się do Faith, a kiedy ocali ją od niebezpieczeństwa, odejdzie i już nigdy nie obejrzy się za siebie.



Dopiero po kolacji Faith miała okazję podzielić się przeżyтыми tego dnia wydarzeniami z najbliższą przyjaciółką, Lillian Summers. O tej porze szkoła była praktycznie opustoszała. W internacie zamieszkiwało tylko kilka dziewcząt, córek dyplomatów, przebywających na zagranicznych placówkach i takich, których rodzice mieszkali z dala od Londynu, ale chcieli, aby ich pociechy mogły w przyszłości legitymować się dyplomem ukończenia Winnifred. Ta cecha łączyła zresztą rodziców wszystkich uczennic - pragnęli oni dla córek postępowej edukacji, która dopiero wchodziła w modę, a która dawała absolwentkom możliwość zdawania na studia, rozpoczęcia pracy bądź realizowania się w dowolnej innej wybranej przez nie dziedzinie.

Po wejściu do pokoju Faith podeszła prostu do kuchenki i nastawiła czajnik wody. Lily wyjęła z szafki dwa kubki i wyspała do nich po dwie łyżeczki kakao. Była smukłą młodą kobietą o ogniste rudy włosach, które próbowała ujarzmić za pomocą surowej, czarnej wstążki. Jej oczy, co zaskakujące, były ciemne jak proszek, którym napełniała filiżanki.

- Burnett! - wykrzykiwała głosem wibrującym wrogością.
- U Pritcharda? Burnett brutal? Ta kanalia? Ten łajdak?

Oburzenie Lily nie dziwiło Faith. Była przecież jej wierną przyjaciółką. Poznały się w czasach, kiedy Faith była towarzyszką lady Beale, a Lily asystowała jej siostrze, pani Rowatt. Ich chlebodawczynie nie były zbyt wymagające, ale dziewczęta zgodnie uznały życie na peryferiach towarzystwa, przez które

były traktowane niewiele lepiej niż służące, za nużące i przygnębiające. Szybko więc zostały swoimi powiernicami, dzieląc / humorem troski i utrapienia codzienności pańien do towarzystwa.

Doskonale się uzupełniały, pomimo odmienności charakterów. Faith wysoko ceniła dyplomację, której używała w stosunkach z elitą. Wiedziała, że od tego zależy jej egzystencja. Lily natomiast była zapalczywa i bezpośrednia. Skłonność do nieprzebierania w słowach kosztowała ją utratę posady u pani Rowatt. Według Lily była to zresztą najlepsza rzecz, jaka ją kiedykolwiek spotkała. Wkrótce potem przyjęła posadę nauczycielki w żeńskiej szkole w Cheltenham, gdzie, jak twierdziła, odnalazła swoje powołanie. Lily była urodzoną nauczycielką.

Faith zamierzała odejść wraz z nią, ale wtedy poznała Jamesa. Rok później, zdruzgotana i pozbawiona iluzji, z radością porzuciła pracę. Przyjaciółka nie pozwoliła jej zbyt długo użalać się nad sobą, gdyż uważała, że praca doskonale wyleczy złamane serce, i Faith, chcąc nie chcąc, poddała się tej kuracji. Z czasem nauczyła się radzić sobie z bólem, a w końcu obraz Jamesa Burnetta zaczął zamazywać się. schowany w najciemniejszym zakątku jej pamięci.

Tak było aż do dzisiejszego spotkania. Na litość boską, co ją opętało? Choć serce jej pękało, chciała, aby wiedział, jak bardzo nim gardzi. A przecież, po tylu latach, nie powinna niczego czuć. Należało po prostu odwrócić się i odejść.

- Faith, czy ty mnie słuchasz?

Wyrwana z zamyślenia. Faith spojrzała na przyjaciółkę.

- Tak. Burnett - powiedziała, przysuwając krzesło do wygasłego kominka.

- Co powiedział?

Faith skrzywiła się.

- Nie dałam mu szansy powiedzenia czegokolwiek. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Och. Lily. Nie poznałabyś mnie. Powtarzałam sobie w duchu, że muszę zachowywać się godnie, ale gdy tylko otwierałam usta, robiłam mu wyrzuty jak ostatnia jędza.

- Ha! - przerwała jej Lily. - Po tym, jak cię potraktował, dziwię się, że nie rzuciłaś w niego siekiera.

Lily miała znacznie więcej do powiedzenia na temat charakteru Jamesa bądź też jego braku, ale Faith nie słuchała. Nie mogła uwierzyć, że to przypadkowe spotkanie, jeśli oczywiście takie było, mogło aż tak bardzo nią wstrząsnąć. Poczuli się znów jak ta młoda dziewczyna, która przypadkowo odkryła, że James jest zaręczony z lady Fiona Shand. Przez wiele dni nie mogła się uwolnić od szoku i żalu. Ból był tak dotkliwy, że nie spała i nie jadła całymi tygodniami. Myślała, że coś wyjątkowego zrodziło się między nimi, a okazało się, że robiła z siebie idiotkę.

James spędził w Szkocji trzy miesiące, walcząc z kryzysem w jednej z kompanii kolejowych, w którą zainwestował znaczne środki, przesyłając jej w tym czasie tylko niewiele mówiące, lapidarne informacje. Pierwszą, prawdziwą, którą o nim otrzymała, była ta z porannego wydania gazety. Stamtąd dowiedziała się, że w każdym balu, w każdej rozrywce, którą mógł zaferować Edynburg, towarzyszyła Jamesowi lady Fiona Shand i że towarzystwo oczekiwało rychłych wieści o ich zaręczynach. Lady Fiona była córką lorda Shand, jednego z czołowych przedstawicieli szkockiej finansjery.

Lady Beale nie była tą informacją zaskoczona. Słyszała plotki, jakoby James stracił ogromną część swego majątku na kolei i jedyną jego szansą na spłatę długów była bogata małżonka. Oczywiście, nigdy nie przyszło jej do głowy, że coś mogło łączyć jej damę do towarzystwa i mężczyznę o takiej pozycji.

Faith nie uwierzyła w ani jedno słowo. Wiedziała, że James ją kocha, ale kiedy nagle przestał pisać, zdecydowała się przejść do działania. Złożyła wymówienie i udała się do Edynburga, aby osobiście rozmówić się z Jamesem. Ostatecznie nie spotkała się z nim, ale widziała i słyszała wystarczająco dużo, aby przekonać się, że plotka była prawdziwa. James miał poślubić lady Fionę.

Teraz był wdowcem. Fiona zmarła nagle na tyfus, najbardziej śmiertelnością i przerażającą chorobę tego wieku. Faith nie wysłała listu z kondolencjami. Wydawało jej się to wtedy niewłaściwe.

perorowanie w końcu zmęczyło Lily, a kiedy w ciszy piły czekoladę, zapytała tylko:

– Co powiedziałaś Robertowi o panu Kanalii?

Faith odwróciła powoli głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Nic. Dlaczego miałabym mu cokolwiek mówić?

Lily cmoknęła.

- Myślałam, że zamierza ci się oświadczyć.

- Mam nadzieję, że jesteś w błędzie. - Faith skuliła się na krześle ze znużonym westchnieniem. - Właściwie, jestem pewna, że nie masz racji. Robert i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Sceptyczne spojrzenie Lily sprowokowało Faith.

- On nie myśli o mnie w ten sposób i ja również z pewnością tak o nim nie myślę. Jego ojciec zasiada w zarządzie szkoły. To oczywiste więc, że Robert interesuje się tym, jak uczymy nasze kursantki. Łączy nas również zainteresowanie Grecją i Rzymem. Ale to wszystko.

Ponieważ Lily nadal patrzyła na nią ze sceptyczną miną, Faith poczuła się zobowiązana do dodania:

- Nigdy go nie zachęcałam.

- Ależ nie musiałaś tego robić. Wystarczyło, że byłaś sobą. Słuchasz jego bełkotu i jeszcze zadajesz inteligentne pytania. Mnie to wpada jednym uchem, a wylatuje drugim. Robert Danvers może sobie być najlepszą partią w Bloomsbury. ale jest zwykłym nudziarzem, a w towarzystwie ojca staje się nie do zniesienia. Podobno, gdy starego nie ma w pobliżu, staje się całkiem inny. Jak można zaufać mężczyźnie, który jest wzorem cnót pod okiem ojca. a spuszczonej ze smyczy, przeistacza się w utracjusza? Plotka głosi, że pole jego zainteresowań zawęża się do kobiet, koni i hazardu.

- To bzdura! - Roześmiała się Faith. - Nie wierz we wszystko, co usłyszysz. A jeśli naprawdę interesują go tylko piękne kobiety, jest mało prawdopodobne, aby oświadczył się akurat mnie.

- Mówię tylko, abyś uważała.

Słowa Lily dały Faith do myślenia. Od niedawna Robert bywał w Winnifred regularnie. Przedtem odwiedzał szkołę

podczas specjalnych okazji, i tylko po to, aby zadowolić ojca. Kiedy jednak usłyszał, że ojciec Faith wykładał filologię klasyczną w Oksfordzie, zainteresował się nią, a raczej książkami z jej biblioteki, które pożyczała mu, aby mógł poszerzać swoją wiedzę na temat historii i kultury.

Przynajmniej taką nadzieję żywiła Faith. Robert był jasnowłosym adonisem, do którego wzdychały wszystkie uczennice ostatniego roku i kilka nauczycielek. Ale nie ona. Jej bardzo ograniczone doświadczenie z mężczyznami nauczyło ją, że najlepszego przyjaciela dziewczyna może znaleźć tylko pomiędzy okładkami książek. A jeśli to, co tam zobaczy, nie zyska jej aprobaty, może przynajmniej rzucić nią o ścianę.

Miłość do książek Faith odziedziczyła po ojcu. Jej najszczęśliwsze wspomnienia z dzieciństwa wiązały się wycieczkami po Anglii, które organizowali razem w poszukiwaniu starożytnych rzymskich ruin. Tata obiecał jej, że pewnego dnia pojedą do Grecji i Włoch, aby mogła zobaczyć miejsca, o których dotychczas tylko czytała.

Ich plany jednak się nie ziściły. Ojciec był przede wszystkim ojcem, a dopiero na drugim miejscu naukowcem. Nie pojechałby donikąd bez niej, a nigdy nie dysponował środkami, które mogłyby zagwarantować wygodną podróż obojgu.

Lily dopiła resztkę kakao i zapytała:

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie myślicie o sobie w ten sposób?

Wyrwana z zamyślenia Faith nie zrozumiała pytania.

- Słyszałaś?

Policzki Faith zabarwił rumieniec. Myślała o Jamesie. Była zaledwie młodą, niedoświadczoną dziewczyną, gdy jedno spojrzenie, jedno jego słowo wystarczało, aby rozplywała się w środku. Dziś, kiedy najmniej się tego spodziewała, znów jej się to zdarzyło.

Musi chyba przebadać głowę.

Z dłońmi opartymi na biodrach, Lily stanęła przed przyjaciółką. Jej ciemne oczy lśniły groźnie.

- Czy jest coś, czego mi nie mówisz. Faith McBride? Dlaczego nie odpowiedziałaś na moje pytanie?

Taki jest kłopot z powiernicami. Oczekują, że będą znać każdy, nawet najmniejszy sekret. Cóż, tę akurat tajemnicę Faith zamierzała zachować dla siebie. Wzruszyła ramionami.

- Nie czytałaś „Jane Eyre”?

Lily zmarszczyła nos.

- „Jane Eyre”? Uchowaj Boże! Jeśli tak miałyby wyglądać miłość, zamierzam jej wytrwale unikać. Czy to właśnie łączyło cię z Jamesem? Zupełnie straciłaś dla niego głowę?

- Na pewno nie - padła natychmiastowa odpowiedź. - Byłam zaślepiona. Po prostu, gdy mówiłam o Robercie, miałam na myśli to, że jego obecność czy też nieobecność nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Lily wymamrotała pod nosem coś, czego Faith nie zdołała usłyszeć.

- Co mówiłaś?

- Powiedziałam - Lily wymawiała każde słowo powoli i wyraźnie - że zaczynam współczuć biednemu Robertowi. Jeśli ty go nie chcesz, powinna go usidlić jakaś inna młoda kobieta. Jest przystojnym mężczyzną, a kiedyś odziedziczy znaczny majątek.

- Mówiłaś przecież, że jest nudny.

Lily zaczęła sprzątać ze stołu.

- Dlatego, że nie rozmawiamy o tym, co mnie najbardziej interesuje.

- To znaczy?

Lily uniosła brew.

- O mnie, oczywiście.

Obie uznały to za wyborny dowcip i wybuchnęły gromkim śmiechem.

- Nie wspomniałaś, czy u Pritcharda były dla ciebie jakieś listy? - spytała po chwili Lily.

- Nie wiem. Zapomniałam zapytać.

- Zapomniałaś zapytać?

- Byłam zbita z tropu. Chciałam jak najszybciej stamtąd wyjść.

Zapadła cisza. Lily, wzruszając ramionami, odparła:

- Jeśli nawet jakieś przyszyły, na pewno będą tam też jutro i nic sędę, aby Burnett nadal tam się kręcił, wiedząc, że może znów cię spotkać.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć. Faith pokiwała głową. Wciąż pamiętała słowa Jamesa, że nawet jeśli ona nie chce z nim rozmawiać, on ma jej mnóstwo do powiedzenia.

Lily posłała przyjaciółce porozumiewawcze spojrzenie.

- Albo - powiedziała powoli - możemy pójść do Pritcharda teraz, zanim zacznie się zebranie, pod pozorem zaczerpnięcia świeżego powietrza.

- Zapomniałam o zebraniu.

- Nie możemy go opuścić. Musimy przedyskutować organizację Dnia Otwartego.

Faith przytaknęła bez entuzjazmu. Dzień Otwarty był okazją do przekonania przyszłych uczennic i ich rodziców do tego, że Winnifred to doskonały wybór. W ten dzień mogli oni wizytować szkołę i dowolnie wybrane zajęcia. Większość ojców i matek była przyjaźnie nastawiona, ale znalazło się też zawsze kilkoro takich, którzy wszędzie doszukiwali się potknięć. Następny piątek natomiast miał być dniem promocji, okazją do oklaskiwania i publicznego nagradzania najlepszych, najbardziej uzdolnionych uczennic. Potem miały rozpocząć się wakacje, których Faith nie mogła się już doczekać.

- Więc? - naciskała Lily.

- Księgarnia może być już zamknięta.

- Pan Pritchard mieszka nad nią, prawda? Jestem pewna, że otworzy ją specjalnie dla ciebie. Z nieznanym mi przyczyn jesteś przecież jego oczkiem w głowie.

Faith uśmiechnęła się.

- To dlatego, że rozmawiamy o tym, co go najbardziej interesuje.

- O nim?

- Nie. O jego wnukach.

Śmiejąc się, zaczęły przygotowywać się do przechadzki.

Pani Elliot, dyrektorka szkoły, prowadziła placówkę z wrodzoną sobie stanowczością dobrotliwego tyrana. Żaden nauczyciel nie ośmieliłby się bujać w obłokach, gdy zabierała głos. Mogła przecież w dowolnej chwili wskazać któregoś z nich palcem, prosząc o opinię i biada temu, który nie wiedziałby, co odpowiedzieć.

Wiedząc o tym. Faith utkwiała uważne spojrzenie w pani Elliot, pozwalając jednak myślom błądzić wokół listu, który czekał na nią u Pritcharda. Rozpoznała żeński charakter pisma na kopercie i jej serce wykonało radosnego fikołka. Otrzymała uprzednio już kilka odpowiedzi na swoje ogłoszenie, ale były to w większości próśby o wsparcie finansowe od pozabaw ionych skrupułów⁷ oszustów, którzy nie potrafili sklecić sensownie dwóch zdań. Tylko jeden list wydał się jej szczerzy, list podpisany przez „C”. Autor listu był bardzo ostrożny i zapowiadał w nim, że nie spotka się z Faith, dopóki ta nie wyjaśni, co łączy ją z Madeleine i dlaczego próbuje ją odnaleźć. Faith odpisała i z rosnącą niecierpliwością czekała na odpowiedź. Dzisiejszy list dowiódł, że warto było czekać. Lady Cowdray oświadczyła, że będzie zaszczycona, mogąc spotkać się z Faith w dogodnym dla niej terminie.

Jednym problemem był fakt, że lady Cowdray nie mieszkała w Londynie, a w oddalonej od niego o milę niewielkiej miejscowości Chalbourne. Aby się tam dostać, należało odbyć dwugodzinną podróż pociągiem, a Faith nie wiedziała, kiedy znajdzie na to czas. Dysponowała wolnymi sobotami, ale w tę wypadał akurat Dzień Otwarty i każdy nauczyciel musiał być obecny. Oznaczało to, że musi opanować ciekawość i cierpliwie czekać na kolejną sobotę. Tyle że cierpliwość nigdy nie była mocną stroną Faith.

„Bądź cierpliwa” - powiedział. „Czekaj na mnie. Pobierzemy się, jak tylko wrócę”.

Czekała więc cierpliwie całe trzy miesiące, aż pojechała do Szkocji i odkryła prawdę.

Stłumiła wspomnienia, zła na siebie za to, że pozwoliła Burnettowi znów wkraść się w jej umysł. Czy każda zbłąkana

myśl musiała prowadzić do niego? Zsyłając go w niepamięć, skoncentrowała się na podsumowujących uwagach pani Elliot.

Pani dyrektor niezmiennie próbowała swoimi przemówieniami zaszczerpić w nauczycielkach entuzjazm do wypełniania wielkiego zadania, jakiego się podjęły. I tym razem nie było inaczej. „To powołanie, nie praca” - mówiła. „Wasz wpływ na umysły i serca tych młodych dziewcząt będzie trwał jeszcze wiele lat po tym, jak opuszczą mury szkoły. Wasze wysiłki uczynią świat lepszym”.

Na tym zebraniu się zakończyło, a nauczycielki, z oczami przepełnionymi misją, zaczęły opuszczać pokój. Faith nie umiała tak do końca podzielać ich zapału. Lubiła nauczanie, ale nie myślała o nim w kategoriach powołania. Praca ojca wywarła na nią silny wpływ i jej ambicją było kopanie pośród greckich i rzymskich ruin.

Nie, to nie była ambicja. To było marzenie. Samotne kobiety, zmuszone do zarabiania na własne utrzymanie, nie wahały się zazwyczaj po świecie. Byłoby inaczej, gdyby była bogata. Nowe pokolenie kobiet lekceważyło konwenanse i wyjeżdżało na wykopaliska na równi z mężczyznami. Ona mogła wyjechać co najwyżej do Bath, gdzie prowadzono prace pod pijalnią wód. Gdyby tylko jej ojciec doczekał, aby to zobaczyć!

Nagle przyszło jej na myśl, że gdyby wyszła za Roberta, byłby szczęśliwy, mogąc towarzyszyć jej w wykopaliskach w Bath. Może nawet dałby się przekonać do wycieczki do Włoch.

Cóż za wyrachowanie! - zbeształa się w myślach. Wtedy nie byłaby wiele lepsza od Jamesa.

Rozglądnęła się, szukając Lily, i zobaczyła przyjaciółkę pożądaną w rozmowie z panią Elliot. Faith udała się więc do pokoju sama.

List od lady Cowdray leżał ukryty w sekretnej przegródce w pudełku na nici, tak jak zresztą pozostałe odpowiedzi na jej ogłoszenie. Nie była podejrzliwa, ale ostrożna.

Dziewczęta często wpadały do pokoi nauczycieli bez odpowiedzi o różnych porach dnia. Wszystko, co leżało na wierzchu, stanowiło pożywkę dla młodzieńczej ciekawości.

Faith usiadła przy biurku, wygładziła papier i przeczytała po raz dwudziesty kilka zdań skreślonych na pojedynczej kartce papieru listowego, zdań, opisujących przede wszystkim drogę ze stacji do domu lady Cowdray.

Cierpliwości, upomniwała się. Tymczasem musiała przecież przygotować lekcję na Dzień Otwarty - nic zbyt skomplikowanego, coś, co przykuje uwagę przyszłych uczennic i ich rodziców.

Ojciec zapewnił Faith gruntowną edukację z zakresu filologii klasycznej, a wybór książek z jego biblioteki teraz zalegał jej półki. Podeszła do nich i przesunęła palcami po skórzanych grzbietach opasłych tomów. Pominięła greckich i rzymskich filozofów, wiedząc, że będzie to zbyt trudne dla jej uczennic. Ajschylos prawie poparzył jej palce. Eurypides kusił, ale odwróciła głowę i znalazła to, czego szukała - komentarz ojca do dzieł Herodota. Dziewczętom na pewno spodoba się Herodot, który dodatkowo odpowiadał ich umiejętnościom.

Książka była podniszczona i wyraźnie było widać jej wiek, ale Faith ceniła ją najwyżej spośród zgromadzonych dzieł. Z czcią przesunęła dłonią po nazwisku autora, wygrawerowanym na okładce. Malcolm McBride.

Jako nauczycielka musiała znać każdą nieregularność gramatyki i składni, usiadła więc wygodnie w fotelu przy kominku i zaczęła czytać książkę ojca. Ogarnęły ją wspomnienia, a z oczu popłynęły łzy. Prawie słyszała jego głos, wykpi wający dobrotliwie jej wymyślne tłumaczenie. „Trzymaj się tekstu”, mówił, „i nie rozwodź się nad nim zanadto”. Zaczynała wtedy zawzięcie tłumaczyć słowo po słowie, czym prowokowała go do kolejnych wybuchów śmiechu.

Jej matka zginęła w wypadku podczas przejażdżki łodzią, kiedy Faith miała zaledwie sześć lat, nic pamiętała jej więc zbyt dobrze, ale ojciec ze wszystkich sił starał się wypełniać powstałą pustkę. Mama, opowiadał, zawsze jeździła z nim na wykopaliska, ale tylko do czasu narodzin córeczki. Potem zostawała w domu, aby opiekować się ukochaną Faith.

Czy to wszystko było kłamstwem? Dlaczego ojciec miałby ją okłamywać?

Kartkowała książkę niedbale, kiedy wróciło do niej kolejne wspomnienie.

- Pamiętam, że mama... - powiedział kiedyś, a potem jego twarz posmutniała i zapatrzył się w przestrzeń.

- Co, mama? Powiedz mi. Chcę wiedzieć o niej wszystko.

Jego oblicze rozpozgodziło się i uśmiechnął się do niej.

- Była zafascynowana Herodotem i nauczyła się greckiego tylko po to, aby móc czytać jego opowiadania w języku, w którym je pisał. Czytała ci je, gdy płakałaś lub marudziłaś. Dźwięk słów uspakajał cię i przestawałaś płakać, słuchając głosu mamy. Miała piękny głos.

Czy to także było kłamstwo?

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, odłożyła książkę i podeszła do okna. Niewiele jednak było widać. Gęsta mgła nadciągająca znad wybrzeża pogrążyła okolicę w przeźroczystrych oparach. Szkoła była opuszczona i żaden hałas nie docierał do uszu Faith. Równie dobrze mogłaby być sama na świecie.

Na dodatek zaczął padać deszcz.

Już miała zamknąć okno, gdy jej wzrok przykuł ruch w zaroślach otaczających szkołę. O tej porze wszystkie uczennice powinny być w pokojach, a mało prawdopodobne było, aby któraś z nauczycielek ukrywała się w krzakach, czekając na kogoś z zewnątrz.

Usta Faith rozciągnęły się w uśmiechu. Każda szkoła miała swojego renegata, a Winnifred nie była wyjątkiem. Tutaj tę zaszczytną funkcję pełniła Dora Winslet. Wszystko przychodziło jej bez trudu - nauka języków, matematyka, nauki przyrodnicze, chłopcy. Zwłaszcza chłopcy. Dora była utrapieniem i dawno zostałyby relegowane, gdyby nie fakt, że posiadała jeden z najwspanialszych umysłów, z jakim w czasie swej długiej kariery zetknęła się pani Elliot. Dyrektorka wiązała z Dorą wielkie nadzieje.

Przeklinając pod nosem. Faith wyszła z pokoju. Po cichu opuściła szkołę, a po kilku krokach przystanęła, w natężeniu wsłuchując się w ciszę. Ale na zewnątrz panował spokój.

- Kto tam jest? - Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.
- Doro, czy to ty?

Cisza wytrąciła ją z równowagi. Potem dotarł do niej odgłos wciąganego powietrza. Trzasnęła gałązka, potem druga. Ktokolwiek to był, szedł powoli w jej kierunku.

Może to jej prześladowca? Z trudem przełknęła ślinę. Przyszło jej na myśl kolejne nazwisko. James Burnett! To natychmiast uspokoiło jej nerwy. Okręciła się na pięcie i dystyngowanym krokiem wróciła do szkoły, zatrzaskując drzwi z satysfakcjonującym ją hukiem, zamknęła je na zamek i weszła po schodach na górę.

W pokoju podeszła prosto do okna. Jeżeli to była Dora, została uwięziona na zewnątrz. Jedyne drzwi do szkoły prowadziły teraz przez główne wejście, a pilnujący go portier z pewnością zbeształby dziewczynę za łamanie szkolnego regulaminu. A jeśli to James Burnett przyszedł ją prześladować, portier wyrzuci go. zdrowo go przy tym zwymyśławszy.

Gniew opuścił Faith. Kiedy odwróciła się od okna, jej wzrok padł na biurko. List od lady Cowdray leżał dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Przesunięto natomiast książkę ojca. Ona także leżała na biurku, a wyraźnie pamiętała, że położyła ją na małym stoliku obok krzesła.

Ktoś wszedł do jej pokoju, gdy była na zewnątrz, szukając Dory i podniósł książkę, którą czytała. Nie znalazłszy tam nic interesującego, on, lub ona, podszedł do biurka, trzymając w ręku tomik, który został następnie porzucony na rzecz listu.

Podeszła do biurka i podniosła list. Zostawiła go złożony. Ktoś go rozprostował. Ktoś wiedział więc już o lady Cowdray i Madeline Maynard. Prawdopodobnie zrozumiał też, że wybierze się z wizytą do Chalbourn.

Usiadła na brzegu łóżka, zupełnie zdezorientowana. Zastanowiwszy się, doszła jednak do wniosku, że to któraś z uczennic. Ta myśl ją uspokoiła. Na pewno przyszła ją o coś zapytać, a że drzwi były otwarte, pofolgowała ciekawości i weszła do środka.

Bo ktoś inny mógł to być?

Rozdział

V

Późnym popołudniem wynajęty powóz zajechał przed bramę szkoły dla dziewcząt Winnifred. James wysiadł, a następnie pomógł opuścić pojazd swojej ciotce, Marian Leyland. Była ona urocza, zaokrągloną sześćdziesięcioletnią kobietą, o oczach skrzących się bezustannie iskierkami humoru. Nie była ubrana podług najnowszej mody, ale jakoś sukni i dodatków świadczyła o jej zamożności.

- Więc to jest Winnifred - powiedziała. - Szkoda, że za moich czasów nie było takich szkół.

James uśmiechnął się ironicznie. Dowiedział się w zeszłym tygodniu o Winnifred tyle, ile zdołał i na tej podstawie wątpił, aby ciotka mogła nauczyć się w niej czegoś, czego nie poznała w trakcie swojego pełnego wrażeń, niekonwencjonalnego życia. Była buntownikiem, a kiedy ponosił ją temperament, stawiała się prawdziwą rewolucjonistką. James uwielbiał ciotkę, co jednak nie przeszkadzało mu z całego serca współczuć jej, niejącyącemu już, mężowi pułkownikowi.

Zastanawiało go, jakim trafem Faith znalazła się właśnie tutaj. Szkoły tego typu uczyły dziewczęta przekształcać świat na nową modłę -jego dotychczas wygodny, męski świat. A nie tak zapamiętał Faith. Ona była delikatniejsza, wielkoduszna, podatna na zranienia... Cóż, chyba jednak wcale jej nie znał.

Pamiętając o manierach, zaoferował ciotce ramię. Przyjęła je bez zastanowienia, lustrując okazałe, parkowe otoczenie i uroczy, trzykondygnacyjny budynek w georgiańskim stylu, usytuowany na końcu podjazdu.

- Jak to możliwe, że pensja dla dziewcząt znalazła schronienie w tak uroczej lokalizacji? - zapytała. - Czy to zapis pozostawiony przez byłą uczennicę Winnifred?

- Tak - potwierdził James. - Przez damę równie ekscentryczną jak ty, ciociu.

Roześmiała się, przyjmując jego słowa za komplement.

- A skąd właściwie tyle wiesz o tej szkole?

- Cóż, to niewiarygodne, czego można dowiedzieć się podczas popołudnia w klubie.

I od kuzynów. Bez wykorzystywania magicznych wizji. Należało tylko nieco popytać, podszeptać słówko ciotce i miał doskonały pretekst do uczestniczenia w Dniu Otwartym szkoły Winnifred. Ciotka Marian opublikowała kilka biografii niezwykłych kobiet swojego pokolenia i bywała często zapraszana na liczne odczyty, organizowane przez różnego rodzaju stowarzyszenia. Tym razem zaproszenie przyszło z Winnifred i zostało z ochotą zaakceptowane.

- I jaki piękny park - dodała zachwycona ciotka.

James także rozglądał się po parku, ale nie po to, aby go podziwiać. Czuł, jak jeżą mu się włosy na karku, co było przejawem ogarniających go mocy, i zwięził oczy, chłonąc rozgrywającą się tu niedawno scenę. Za dużo było tu zarośli, płaczących wierzb i innych zakamarków, w których mogli skrywać się intruzi. Żałował, że nie zaprosił Gavina i jego nowego przyjaciela. Makduf z pewnością wyniuchałby niepożądanych gości.

Wokół kręciło się mnóstwo osób. Większość z nich zmierzrzała do głównego wejścia budynku, niektórzy w małych grupach podziwiali malownicze otoczenie. Dzień był przepiękny - świeciło słońce, wiał lekko odświeżający, przesycony zapachem morza wiatr. Damy odziane były w etole i pelisy. Dżentelmeni nosili się podobnie jak James - ciemny surdut, płowóżółte spodnie, odpowiednia kamizelka oraz bardzo popularny cylinder.

Pani Leyland delikatnie popchnęła Jamesa.

- Pani Elliot chciałyby zamienić ze mną kilka słów, zanim

przemówię do dziewcząt. Szczerze mówiąc, James, zaczynam żałować, że dałam ci się na to namówić. Prawie nie miałam czasu uporządkować myśli. Nie zwykłam występować przed tak młodą publicznością i obawiam się, że nie zrozumieją mnie, lub w ogóle nie będę mogła nic wymyślić.

- Opowiedz im o Florence Nightingale i o tym, jak pomogłaś jej założyć szkołę pielęgniarstwa. Albo o pani Beaton i o tym, jak przysporzyła mężowi fortuny, pisząc traktat o gospodarstwie domowym. Wierz mi, ciociu Marian, nie zabraknie ci pomysłów. Myślę, że problemem będzie ich nadmiar, który sprawi, że nie będzie można ci przerwać.

Jej lekceważące prychnięcie przeszło w chichot.

- Cóż, pewnie masz rację, - zauważyła, zerkając na bratanika. - Ale gdy skończymy, będziesz musiał wyjawić mi prawdziwy powód naszej wizyty w Winnifred. Nie, nie. Nie próbuj zbywać mnie unikaniem odpowiedzi i półprawdami. Myślę, że, bądź co bądź, zasłużyłam na twoje zaufanie.

Prawdziwy powód, pomyślał James, zabrzmiał absurdalnie. Co ma powiedzieć? Że nauczycielce, pracującej w tej szkole, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i że on jest jedyną osobą, mogącą ją ocalić? Że nie wiedział, kto, lub co jej zagraża, a wizyta tutaj daje cię nadziei na odnalezienie wskazówki? Ciotka i ojciec byli z Bumettów. a dla nich McEcheranowie mieli po prostu skłonność do zbytniego ulegania fantazji. Nie. Prawda nie była najlepszym rozwiązaniem.

Świadom podejrzliwych spojrzeń, które kierowała nań ciotka, odparł ze swobodą:

- Aleks rozpracowuje pewną sprawę i prosił, abym miał oko na jedną z nauczycielek. Przykro mi, ciociu, ale nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

Spojrzała na niego, gotowa do sprzeczki, ale westchnęła tylko i potrząsnęła głową.

- Ty i Aleks. Zawsze obwiniacie siebie nawzajem, gdy sytuacja staje się podejrzana. A co miałeś na myśli, mówiąc, że rozpracowuje sprawę? Czy to prawda, co mówią? Czy Aleks pracuje dla Scotland Yardu?

James wzruszył ramionami.

- Albo dla jednostki specjalnej Departamentu Wojny. Naprawdę trudno powiedzieć, ciociu.

Otworzyła usta. chcąc coś odpowiedzieć, ale zanim zdołała to uczynić, ze szczytu schodów ruszyła ku nim siwowłosa kobieta o przenikliwych, niebieskich oczach.

- Pani Leyland! Czy to pani? - zawołała. - Witam serdecznie. Nazywam się Elliot i chciałam podziękować za to, że zgodziła się pani wygłosić dziś odczyt dla naszych podopiecznych.

Dyrektorka porwała panią Leyland. aby móc osobiście wprowadzić ją do szkoły. James udał się za nimi.

Postąpił perfidnie, odpłacając Aleksowi w ten sposób za jego nieocenione porady, beształ się w duchu, ale Aleks na jego miejscu zrobiłby to samo. To właśnie kuzyn zasugerował, że Winnifred przyjmie ciotkę Mariah z otwartymi ramionami, jako że jej nazwisko było powszechnie znane wśród radykalnie myślących kobiet. Sam James zbyt nachalnie wyróżniałby się z otoczenia.

Musiał pamiętać, aby trzymać buzię na kłódkę.

* * *

James miał rację, podkreślając talent ciotki do wystąpień publicznych. Mylił się jednak, twierdząc, że nie będzie można jej przerwać - to publiczność nie chciała dać jej odpocząć. Była ostatnią prelegentką, a jej wykład traktował o wyjątkowych kobietach dziewiętnastego stulecia, które słuchaczki powinny brać za przykład. Audytorium nagradzało burzliwymi oklaskami kolejne fragmenty i zachęcało do kontynuowania za każdym razem, gdy przerywała.

Ten Dzień Otwarty nie przypominał żadnego z tych, w których uczestniczył James, będąc uczniem. Raz, zupełnie przez przypadek, wziął udział w spotkaniu metodystów. Tę samą religijną gorliwość wyczuwał teraz w holu szkoły. Słowa były inne, ale przesłanie to samo: „Idźcie naprzód i nawracajcie”.

Całą uwagę James skupiał na Faith. Nie siedział wśród publiczności, ale z boku, skąd mógł ją obserwować, sam nie będąc zauważonym.

Po zaciśniętych ustach mógł się zorientować, że była świadoma jego obecności. Od czasu do czasu odwracała głowę, aby zamienić słowo z sąsiadką, ale jej oczy nigdy nie zboczyły na tyle, aby napotkać jego wzrok. Rozpoznał jej przyjaciółkę, ale nie mógł przypomnieć sobie jej imienia. Pamiętał, że była bliską znajomą Faith już podczas sezonu, w którym się poznali. Siedziała zwrócona do niego plecami i po usztywnionej linii ramion, bez uciekania się do swych nadprzyrodzonych mocy, mógł poznać, że była równie wrogo jak Faith do niego nastawiona.

Ale o wiele bardziej irytowała Jamesa postać siedząca po drugiej stronie Faith - płowowłosy dżentelmen, może rok lub dwa od niego młodszy, z ustami, które zbyt często rozciągały się w uśmiechu. A wszystkie te uśmiechy były kierowane do Faith.

Ruszył w ich stronę, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Była to jedna z uczennic starszej klasy, uroczą siedemnastolatka z niebieskimi, pałającymi ciekawością oczami i uśmiechem Mony Lizy, który wyciskał dołeczki na jej policzkach. Nosiła klasyczny szkolny mundurek - prostą, szarą suknię, której jedyną ozdobą był biały, koronkowy kołnierzyk, nie wyglądała jednak jak typowa studentka Winnifred. Brakowało jej wyrazu nawrócenia.

- Miło mi pana poznać - powiedziała. - Nazywam się Dora Winslet, a pan jest zapewne bratankiem pani Leyland.

James spojrzął na jej wyciągniętą rękę i uśmiechnął się lekko. Nie spodziewał się co prawda dygu, ale ten wyjątkowo męski sposób powitania wydał mu się wysoce zabawny. Uścisnęli sobie dłonie.

- Witam panią - powiedział. - Nazywam się James Burnett, lord Drumore. Tak, pani Leyland jest moją ciotką. - Gestem pokazał krzesła ustawione frontem do podium. - Czy nie powinna pani, razem z koleżankami, słuchać przemówień?

- Och, dyrektorka mnie zwolniła. Widzi pan, zadaję jej zdaniem zbyt dużo dziwnych pytań. Mam więc przechadzać się

i dbać o gości, aby do czegoś się przydać. Jeżeli jest coś, o co chciałby pan zapytać, proszę się nie wahać.

Była czarującą młodą osobą, jednak odrobinę nad wiek rozwiniętą. Nie był więc zdziwiony, że dyrektorka ją odsunęła. Szukał w myślach pytania na tyle inteligentnego, aby nie wydać się jej protekcjonalnym, albo zbyt pompatycznym, gdy panna Winslet odezwała się pierwsza.

- Czy zna pan pannę McBride?

- Dlaczego pani pyta? - odpowiedział zdziwiony.

Dołeczki w jej policzkach pogłębiły się.

- Często pan na nią spogląda. A może zna pan pana Danversa?

- Pan Danvers i ja nie zostaliśmy sobie przedstawieni - odpowiedział po chwili. - Kim on jest?

- To syn i spadkobierca przewodniczącego zarządu Winnifred. Może pan o nich słyszał. Danvers i Danvers na Fleet Street. Bankierzy.

Pokiwał głową. Nazwisko było znajome i uderzyło go, że również sam Danvers junior nie był mu obcy. Czyżby spotkał go w klubie lub widział w banku?

- Czy on także zasiada w zarządzie? Dlatego jest tutaj?

- Och, nie. Myślmy, że podoba mu się panna McBride.

- Faith? - zapytał James podniesionym głosem.

- Ach, więc zna pan pannę McBride!

Wzruszył ramionami.

- Znałem ją kiedyś, bardzo dawno temu. Wątpię, aby mnie pamiętała.

Miał nadzieję, że panna Winslet zrozumie aluzję i porzuci niewygodny temat.

Odwróciła się, aby spojrzeć w kierunku Faith.

- Tak pan myśli? - Gdy ponownie na niego popatrzyła, na jej ustach igrał zagadkowy uśmiech. - Proszę obiecać, że przyjdzie pan na naszą lekcję po lunchu. Tłumaczymy Herodota, demonstrując nasze zdolności językowe, jeśli można tak powiedzieć, ale zazwyczaj niewielu rodziców jest tym zainteresowanych, rzadko więc mamy gości. To nie fair w stosunku do panny

McBride. Zadała sobie wiele trudu, aby nas przygotować. Powinien pan przyjść, jeśli nie dla niej. to dla nas.

Jamesowi zakręciło się w głowie. Faith wykładała filologię klasyczną? Wiedział oczywiście, że jej ojciec był wykładowcą uniwersyteckim, ale nie miał pojęcia, że ona interesowała się jego pracą. Pamiętał swoje studenckie czasy, kiedy nudził się na łacinie i grece. Tak sobie zawsze powtarzał. Prawda była taka, że był zbyt leniwy, aby się do tego choć odrobinę przykładać.

Spojrzał na pannę Winslet.

- Ile dziewcząt uczęszcza na zajęcia panny McBride?

- Tylko sześć studentek z najstarszego rocznika, choć zaczynało nas dwa razy więcej. Niektórym ludziom zupełnie brak wytrwałości.

- Dziwię się, że zostało was aż sześć.

Zduśiła śmiech.

- Nie powiedziałyby pan tak, gdybym była chłopcem. Nic nie poradzimy na to. że jesteśmy piekielnie inteligentne. Dlatego chętnie uczymy się łaciny i greki. Poza tym, potrzebujemy ich. aby dostać się na uniwersytet.

- Uniwersytet? Masz na myśli Cambridge lub Oxford?

- Tak. Nie, żeby...

Jej wywód przerwał burzliwy aplauz. Przemówienia dobiegły końca.

- Proszę powiedzieć, że przyjdzie pan na nasze zajęcia - poprosiła. - Są bardzo nieformalne, a to da panu szansę odnowić znajomość z panną McBride.

Była nie tylko piekielnie inteligentna, ale i strasznie uparta. Wydawało się, że nic nie może jej zniechęcić. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Rzucił jej wąty uśmiech i dał za wygraną.

- Będę na pewno.

- Dziękuję, panie Burnett.

Westchnął ciężko, gdy się oddaliła. W zasadzie i tak zamierzał wziąć udział w lekcji Faith, zanim panna Winslet przyparła go do muru. Chciał zostać tylko kilka minut, wystarczająco długo, aby upewnić się, że Faith nie wejdzie mu w drogę, gdy

włamię się do jej pokoju, aby szukać odpowiedzi na jej ogłoszenie. Możliwe, że je zniszczyła, ale warto było spróbować. Musiał się dowiedzieć, jakich kłopotów się nabawiła.

Jako że część oficjalna się zakończyła, goście rozeszli się po hallu, rozmawiając w małych grupach i czekając na swoją kolej, aby móc zamienić słowo z ciotką Mariah. Pokojówki, uginając się pod ciężarem tac, biegały po korytarzu, nakrywając długie stoły, czym wzmagaly apetyty gości.

Przełykał właśnie trzecią kanapkę, kiedy dyrektorka uciszyła zgromadzonych i zaanonsowała pastora, który miał wygłosić błogosławieństwo. James spojrział na Faith, która wpatrywała się w niego. Marszczyła brwi. Czując się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, odłożył czwartą kanapkę na półmisek i z pokorą pochylił głowę. Kiedy duchowny skończył, James wyprostował się i zauważył, że Faith odłączyła się od swojej grupy i zmierzała w jego stronę. Spojrzął nad jej głową na Danversa i zobaczył, że panna Winslet prowadzi z nim bardzo jednostronną dyskusję, powstrzymując go tym samym od towarzyszenia Faith. Danvers wyglądał na wyraźnie zniecierpliwionego, co jednak w żadnym stopniu nie zniechęcało panny Winslet.

Do czego zmierzała ta dzierlatka?

- Chciałabym zamienić z panem słówko na osobności, panie Burnett. - Głos Faith był napięty.

- Domyślałem się tego. - Gniewne błyski w jej oczach sprawiały mu mnóstwo radości, ale był na tyle ostrożny, aby tego nie okazywać. - Czy przespacerujemy się po hallu?

- Nie, powiedziała na osobności. Tu jest zbyt wiele osób. Przejdźmy się do parku.

James poszukał oczami ciotki. Była otoczona masą ludzi i zdawała się bawić jak nigdy w życiu.

- Proszę prowadzić, panno McBride - powiedział.

* * *

Nie wiedział, co sprawia mu większą przyjemność - panorama parku z majestatycznymi dębami i szpalerami buków i ced-

rów, które wydawały się ciągnąć aż do domów w oddali, czy też widok młodej kobiety, kroczącej przed nim i jej szczupłej sylwetki, obleczonej w suknię nieokreślonego koloru.

I ognisty błysk jej oczu, kiedy nagle zatrzymała się i odwróciła do niego.

Był zafascynowany tym, jak falowały jej piersi, kiedy zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie życzę sobie, aby pan mnie prześladował. Najpierw u Pritcharda, teraz w szkole. Proszę powiedzieć, co ma pan do powiedzenia, i skończmy z tym.

Zirytował go jej ton. Nie przybył tutaj z wyboru, o czym ona, oczywiście, nie miała pojęcia. Tak uprzejmie, jak tylko mógł, powiedział:

- Prześladowanie to chyba jednak zbyt mocne słowo. Powiedzmy raczej, że poszedłem tropem, który zostawiłaś. Czy będziemy się przechadzać w trakcie rozmowy?

Zignorowała oferowane jej ramię, ale podążyła w ślad za nim.

- Nie byłeś więc u Pritcharda przez przypadek?

- Nie. Zobaczyłem twoje ogłoszenie w gazecie i postanowiłem to sprawdzić. Stary Pritchard powiedział mi, że zazwyczaj odbierasz listy po południu, a reszty możesz się domyślić.

- Sądzę jednak, że jest coś więcej. Śledziłeś mnie. Nie myśl, że o tym nie wiem. Nie rozumiem tylko, co chcesz tym osiągnąć.

Zatrzymał się nagle.

- Ktoś cię śledzi? - spytał przez zaciśnięte usta.

Zrównała się z nim.

- Twierdzisz więc, że nie było cię zeszłej nocy w parku i nie podchodziłeś do mnie, kiedy wyszłam na zewnątrz, aby zaczerpnąć świeżego powietrza? Nie było cię w moim pokoju i to nie ty grzebałeś w moich listach?

- Nie - powiedział gniewnie. - Nie zrobiłem nic z tego, co mi zarzucasz.

Jeszcze nie, dodał w myślach.

Do teraz wierzył, że jego dar uprzedzi go o niebezpieczeń-

stwie, czyhającym na Faith. Jakimże był zadufanym w sobie głupcem!

- Groził ci? Rozpoznałabyś go? - spytał, intensywnie wpatrując się w jej oczy.

Patrzyła na niego uważnie.

- Nie. W zasadzie niczego nie jestem pewna - powiedziała po chwili. - Może to wyobraźnia płata mi figle, może to któraś z uczennic wyszła na zewnątrz także odrobinę odetchnąć. Tym samym złamała szkolny regulamin i nie chciała zostać przyłapana.

- A inne przypadki?

- Czasami mam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Jakby od tego wzroku jeżyły mi się włosy na karku.

James pokiwał głową.

- Znam to uczucie, powinnaś mu zaufać.

- Ale kiedy się odwracam, nikogo nie ma i nikt na mnie nie patrzy. Stałam się zbyt nerwowa, odkąd umieściłam to ogłoszenie w londyńskiej prasie.

Nagle ucichła i zmarszczyła brwi. Jakby zła na siebie, że powiedziała mu tak dużo.

Przez chwilę spacerowali w milczeniu.

- Może - odezwał się w końcu James - ktoś faktycznie cię śledzi. Może to naprawdę jest związane z ogłoszeniem, które zamieściłaś.

Miał nadzieję, że Aleks pomoże mu odkryć tożsamość kobiety z ogłoszenia, ale kuzyn wyjechał w nieznanym kierunku. a James nawet nie wiedział, gdzie ma zacząć szukać. Poza tym, musi być dyskretny. Nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się, czym zajmuje się Faith, bo bał się, że przypadkiem wetknie kij w mrowisko. Z drugiej jednak strony, ona twierdzi, że ktoś ją prześladuje. Może czas na dyskrecję właśnie minął.

- Kim jest Madeleine Maynard? - zapytał szorstko.

Faith zacisnęła usta.

- To sprawa prywatna, która nie powinna cię w ogóle interesować. Co cię więc tu sprowadza? Co takiego chcesz mi powiedzieć?

Szybkie spojrzenie na jej minę utwierdziło go w przekonaniu, że temat Madeleine Maynard był zamknięty, przynajmniej na razie.

- Myślałem, że... to znaczy... miałem nadzieję... - zwlekał z odpowiedzią.

Z ciekawością obserwowała jego wahanie. Nie mógł powiedzieć jej prawdy, ale wytłumaczenie, które przygotował zawczasu, wydało mu się zbyt mizerne, kiedy przyszło do wygłoszenia go.

- Miałem nadzieję - powiedział w końcu - że możemy się pogodzić i zapomnieć o przeszłości. Życie jest zbyt krótkie, aby żywić urazy, a my byliśmy wtedy tacy młodzi. - Uśmiechnął się lekko. -I niecierpliwi. Zawsze się zastanawiałem, co się z tobą stało. Nie zostawiłaś mi żadnego listu. - Zaczynało go ogarniać dobrze znane poczucie zdrady, zakończył więc szybko: - Kiedy zobaczyłem twoje ogłoszenie, uznałem, że muszę cię odnaleźć, choćby tylko po to, aby się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku.

- Zadałeś sobie tyle trudu tylko po to, aby mi to powiedzieć? Pochowałam przeszłość dawno temu. Wierz mi, nie żywię urazy. Wystarczyło po prostu napisać na adres pana Pritcharda.

- Zduśiła śmiech. - Zapomniałam. Pisanie nie jest przecież twoją mocną stroną. Na palcach jednej ręki mogę policzyć listy, które wysłałaś mi z podróży do Szkocji. - Potrząsnęła głową.

- Nie, nie zagłębiajmy się w przeszłość, bo zostaniemy tu do sądnego dnia. a ja nie mam teraz na to czasu. Muszę jeszcze przejrzeć notatki przed lekcją i pobyć trochę z rodzicami moich uczennic. Jeśli chciałaś rozgrzeszenia, daję ci je.

- Nie szukałem rozgrzeszenia!

- W zasadzie, mogę ci wyznać, że twoje zaręczyny z inną kobietą były najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła. Uświadomiło mi to, że jestem silniejsza, niż myślałam.

Z całego serca pragnął wyjaśnić jej kilka spraw, ale to mogłoby zagrozić jego celowi. Nie chciał się kłócić. Chciał ją ochronić, tyle że to nowe wcielenie dziewczęcia, które kiedyś kochał, zaczynało go irytować.

Nagle jej spojrzenie złagodniało.

- Przepraszam, że rozmawiałam z tobą tak ostro. Czytałam gdzieś, że owdowiałeś wkrótce po ślubie. To, co stało się między nami, musi ci się wydawać błahostką w porównaniu z tą tragedią. Naprawdę bardzo mi przykro.

To była Faith, którą pamiętałaś. Łagodna, z zasnutymi mgłą oczyma... I, o czym nie wolno mu nigdy zapomnieć, zdradliwa. Nadal coś iskrzyło pomiędzy nimi, ale on był teraz bardziej dojrzały i mądrzejszy. Nie zamierzał się poddać.

- Po śmieci żony pojechałeś do Ameryki Południowej, prawda? - kontynuowała w tym samym łagodnym stylu. - I tam budowałeś koleje? Słyszałam, że doskonale ci się wiedzie.

Jeździł wszędzie, gdzie mógł zarobić pieniądze na spłatę wierzycieli, i to na długo przed śmiercią Fiony. Z radością uciekał od żony, ale nie musiał tego tłumaczyć Faith, nie zadał sobie więc trudu, aby ją poprawić.

Jego głos stał się napięty.

- Wydajesz się doskonale poinformowana na mój temat. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie wiem o tobie nic. Tyle tylko, że związałaś z tym Donkeyem', nie dając mi szans na wyjaśnienie czegokolwiek.

Jej głos był lodowato zimny, tak jak jej oczy.

- Nazywał się Dobbin, nie Donkey. Co do tego, co wiem na twój temat - po prostu czytuję gazety. Jesteś sławny, James. Magnat kolejowy, który dorobił się fortuny, budując linie kolejowe w Ameryce Południowej.

W jej ustach brzmiało to tak, jakby okradał wdowy i sieroty.

Popatrzył na nią wyniośle.

- Dobbin? Byłem pewien, że jest jednym z Donkeyów z Derby, ale przecież nigdy nie miałem głowy do nazwisk.

- Właśnie. Nie jesteś też najlepszy w pozostawianiu przeszłości w spokoju. Tego przecież chciałeś - zapomnieć o przeszłości. Możesz uważać to za załatwione.

Powiedziawszy to, okręciła się na pięcie i ruszyła w stronę szkoły.

Wiedział, że powinien być zły, że ma do tego prawo, ale czuł tylko dziwny dreszcz radosnego podniecenia. Cieleśne uciechy Złotego Runa nie mogły się równać z ciosami, które rozdawała pewna święcie przekonana o swych racjach dama.

Uciechy? Złote Runo? Tej nocy, kiedy ukazała mu się babka, porzucił kobiety, hazard, i ku swemu ogromnemu smutkowi, whisky, aby w pełni skoncentrować się na sprawie Faith. Tak ożywiony i szczęśliwy nie czuł się od wieków.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy rozpoznał mężczyznę, zmierzającego w kierunku Faith. Pan Danvers. mężczyzna, który za dużo się uśmiechał. Powitał Faith jak długo niewidzianego przyjaciela, śmiejąc się i przerywając jej w pół słowa. Intymnie. Potem Danvers zerknął ponad ramieniem Faith na Jamesa, posyłając mu ławne do rozszyfrowania spojrzenie. „Trzymaj się z daleka”, głosiła niewypowiedziana wiadomość, „ona jest moja”.

James nigdy nie unikał wyzwania, dlatego też spacerowym krokiem ruszył w ich stronę. Nagle zorientował się, że nad wyraz rozwinięta panna Winslet obserwuje rozgrywką się w parku scenę, kryjąc się w cieniu płaczącej wierzby. Pamiętał radę Aleksa, aby nie przyciągać uwagi i nie powiedział ani słowa.

Przybył tu w określonym celu. Czas zacząć realizować plan.

* * *

- Kim jest dżentelmen, z którym rozmawiałaś przed chwilą?
- zapytał Danvers.

W tym momencie Faith uświadomiła sobie, że tak naprawdę nigdy nie lubiła Roberta Danversa. Miał o sobie zbyt wysokie mniemanie. Był znacznie łatwiejszy do zniesienia jako utracjusz. Kiedy przeistaczał się we wzór cnót, z trudem powstrzymywała się przed okazywaniem mu obrzydzenia.

- To znajomyj mojej byłej pracodawczyni, lady Beale. Nie widzieliśmy się od lat, a kilka dni temu spotkaliśmy się przypadkiem w księgarni Pritcharda - odparła.

- Jak się nazywa?

Gdy w odpowiedzi spojrzała na niego ostro, uśmiechnął się zachęcająco.

- Wygląda znajomo, ale nie mogę przypomnieć sobie nazwiska.

- To James Burnett.

- James Burnett? - powtórzył. - Ten kolejowy magnat?

- Zajmuje się budową linii kolejowych, jeśli to masz na myśli.

Przystojną twarz Roberta oszpecił grymas.

- Ale co, na Boga. może sprowadzić mężczyznę jego pokroju do Winnifred?

- Jego ciotka, jak mniemam.

Powiedziawszy to, Faith przyspieszyła kroku, aby uniknąć dalszych pytań na temat, który przynosił jej tylko zażenowanie i ból.



James snuł swoje plany z precyzją wojskowego. Celem było włamanie się do pokoju Faith i znalezienie odpowiedzi, które otrzymała po publikacji ogłoszenia. Gdyby mu zaufała, nie musiałby się do tego posuwać. W sytuacji, kiedy nie chciała go znać, nie miał wyboru.

Było to zadziwiająco łatwe, jak studiowanie rozkładu jazdy pociągów. Najpierw przemówienia, potem lunch, a w końcu krótka przerwa, po której nauczyciele i uczennice udali się na zajęcia, które przybyli obserwować rodzice i zaproszeni goście. Była to idealna pora na to, aby niepostrzeżenie się wymknąć.

Plan oparł na informatorze, który otrzymał ze szkoły kilka dni wcześniej. Opisywał on zasady, na których opierała się szkoła, określał pożądany profil uczennicy Winnifred. a w⁷ końcu wymieniał listę absolwentek, które zdobyły sławę i uznanie w wybranych przez siebie profesjach. Była to naprawdę obszerna lista. Po jej lekturze Jamesowi zdało się, że epoka uległych, niepracujących kobiet, których jedyną troską było, jak uszczęśliwić mężczyzn, a w szczególności mężów, odchodzi w przeszłość, albo też że odeślą ją tam właśnie absolwentki Winnifred.

To było jak nowa religia, na którą on nie był jeszcze gotowy. Myślał o Faith.

Ostatnim punktem informatora była lista nauczycielek wraz z numerami pokoiów. Właśnie tego potrzebował. Spis stworzono na potrzeby studentek, które chciałyby omówić prywatne problemy po zakończeniu lekcji, potrzebowały dodatkowych konsultacji z niektórymi przedmiotów lub po prostu planowały złożyć nauczycielce wizytę z braku ciekawszych zajęć.

Wyglądało na to, że nauczycielki z Winnifred rzadko miały czas dla siebie i James zastanawiał się, czym zadaniem było słuzenie radą i pomocą im.

Zatrzymał się przed drzwiami sali, w której odbywała się lekcja Faith, aby się upewnić, że jest tam, gdzie powinna być. i śmiało wspiął się po schodach na piętro, na którym umieszczono pokoje nauczycielek. W ręce trzymał książkę - gdyby ktoś go zatrzymał, miał wytłumaczyć, że zanosi ją do pokoju pani Elliot na jej prośbę. Wątpił, by ktokolwiek ośmielił się niepokoić dyrektorkę, aby zweryfikować jego prawdomówność.

Drzwi do pokoju Faith były zamknięte, ale przygotował się na taką ewentualność. Włożył do zamka kawałek drutu, przekręcił kilka razy i zasuwka puściła. Spojrzał w obie strony, aby upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu i wszedł do środka.

Pokój był maleńki, znacznie mniejszy, niż sobie wyobrażał, choć powinien był się tego spodziewać, wiedząc, że kiedyś były to kwatery służących. Pomieszczenie z oknem wychodzącym na południe, było komfortowo umeblowane - wyściełane fotele przy kominku, mały mahoniowy stolik i dwa krzesła, umywalnia przy oknie, toaletka pod lampą gazową, a naprzeciw niej biblioteczka wypełniona książkami. Brak elegancji wynagradzały prostota i urok. Mieszkanca tego pokoju nie podążała bezkrytycznie za modą, nakazującą upychać wszędzie wątpliwej urody bibeloty i dusić światło dzienne ciężkimi zasłonami.

W pokoju były także mniejsze drzwi, które, jak się domyślał, prowadziły do przebieralni. Je otworzył najpierw. Niewiele można było tam zobaczyć. Nauczycielki nie potrzebowały bogatej i eleganckiej garderoby. Nawet jako dama do towarzystwa Faith miała więcej sukien, znacznie lepszej jakości.

Przeszukiwał pokój metodycznie, a im dłużej w nim myszkował, tym bardziej czuł się jak podglądacz. Ubogi stan posiadania Faith powiedział mu o niej o wiele więcej, niż sama chciała-by zdradzić. Musiał przypominać sobie, że robi to dla niej, że jego motywy są szlachetne. Ale wcale nie czuł się szlachetnie - był zły i niespokojny. Gdzie te przekłete listy? Czyżby je zniszczyła?

Na stoliku przy łóżku leżała oprawiona w skórę książka. Podniósł ją i odczytał tłoczony złotem tytuł.

Komentarz do dzieł Herodota
Malcolm McBride

Uśmiechnął się. Faith powiedziała mu kiedyś, że książka jej ojca należy do jej najdroższych skarbów. Pewnego dnia miała ją oddać do ponownej oprawy i przekazać dzieciom.

Gdzie są teraz twoje dzieci. Faith? Uśmiech stopniowo zniknął z jego twarzy.

Tego właśnie pragnęła - domu i rodziny. Była sierotą i te wartości były dla niej ważne. A wszystkim, czego on pragnął, była Faith.

Snop światła przedarł się nagle przez gazowe zasłony, na chwilę go osłepiając. To wystarczyło, aby oczyścić jego umysł ze zbędnych myśli i mógł się skupić. Przeoczył jakiś drobny szczegół, nic groźnego, ale raczej ciekawego. Co to było? Odwrócił głowę i zauważył pudełko na nici, stojące obok jednego z krzeseł. Już je przejrzał i nie znalazł tam nic przydatnego. Podszedł doń raz jeszcze, podniósł i położył na stole.

Był to piękny przedmiot, wykonany z drewna różanego i inkrustowany kością słoniową, zbyt piękny, aby mógł być własnością szkoły. Doszedł do wniosku, że musi to być prywatna własność Faith, którą przywiozła, gdy zamieszkała w Winnifred.

Ostrożnie wyjął całą zawartość, sztuka po sztuce - wszystkie akcesoria właściwe dla tej kobiecej sztuki. Jego mózg mówił mu, że pudełko jest puste, ale jego palce, obdarzone osobiwą własną wolą, nie chciały się poddać. Gładziły czarny aksamit, którym wyścielone było dno pudełka i nagle dojrzał malutką klapkę, praktycznie nie do zauważenia gołym okiem.

Dno pudełka odskoczyło lekko, a James uśmiechnął się szeroko. Sekretna przegródka wypchana była listami. Przebiegł je szybko wzrokiem. Było ich zaledwie osiem, ale tylko jeden nie zawierał prośby o pieniądze. Jego nadawcą była lady Cowdray, która instruowała Faith, jak dostać się do jej domu ze stacji

Chalbourne w następną sobotę. Podczas wizyty Faith miała dowiedzieć się wszystkiego, co lady Cowdray mogła powiedzieć o Madeline Maynard. List kończył się słowami: „mam coś, co należy do Madeline, a co może cię zainteresować”.

Miał to, czego szukał, ale nie był usatysfakcjonowany. Coś przeoczył. Jego brwi zbiegły się w kreskę u nasady nosa, kiedy próbował zlokalizować źródło swojego niepokoju.

Z zamyślenia wyrwały go dziewczęce chichoty, które rozległy się po drugiej stronie drzwi. Czas kończyć. Odłożył wszystko na miejsce i opuścił pokój.

* * *

W sali piętro niżej Faith próbowała uspokoić nerwy. Ledwie sześcioro rodziców zdecydowało się wizytować jej dzisiejsze zajęcia, ale dziewczęta zachowywały się, jakby obecna była Jej Wysokość we własnej osobie. Ich recytacje Herodota w oryginale były bezbłędne, a angielski przekład płynny i dokładny. Do pewnego stopnia była dumna nie tylko z nich, ale i z siebie. Z drugiej strony, były to najmądrzejsze uczennice tej szkoły, bardziej inteligentne niż ona sama. Łatwo było uczyć mądre dziewczęta, nie powinna była więc przypisywać sobie szczególnych zasług.

Jej oczy uciekały co jakiś czas w okolice drzwi. Nie było śladu Jamesa, choć Dora zapewniła koleżanki o jego wizycie. Miała nadzieję, że tę obietnicę James złamie. Nie mogłaby wyprosić go z klasy tylko dlatego, że powodował u niej zakłopotanie. Dyrektorka oczekiwałaby, że będzie on potraktowany z całą rewerencją przysługującą zamożnemu dżentelmenowi, który mógłby skłaniać się ku przekazaniu datku na konto szkoły.

Jej myśli uwolniły od zmartwień spontaniczne oklaski, którymi goście wyrazili swój zachwyt. Okrzyki „Dobra robota!” i „Powinniście być z siebie dumne!” na równi z „Brawo!” wbijały dziewczęta w dumę. Napięcie opuściło twarz Faith i uśmiechnęła się. Trudna część dobiegła końca. Ostatnie kilka minut miało być poświęcone na pytania gości, którzy w większości wydawali się pozytywnie nastawieni i przekonani do idei

promowanych przez Winnifred, może z wyjątkiem jednej starszej damy, pani Elphinstone. Była ona kobietą starej daty i wykorzystywała każdą okazję, aby utwierdzić wszystkich w tym przekonaniu, ale każdego roku pojawiała się w szkole, aby okazać wsparcie swojej wnuczce. Na szczęście jej syn, adwokat, był obecny, a on doskonale wiedział, jak radzić sobie z matką.

Pierwsze pytanie było ogólnej natury. Co chcą robić dziewczęta po ukończeniu szkoły? Uczennice odpowiadały po kolei i było widać, że wysoko stawiają sobie poprzeczkę. Jedna chciała być lekarzem i już została przyjęta do Royal Free Hospital, jednego z nielicznych szpitali, który dopuszczał kobiety do stołów operacyjnych. Inna chciała studiować historię w Sommerville College w Oksfordzie. Dora oczekiwała na wyniki naboru do Cambridge, gdzie, jak to ujęła, „miała się bawić liczbami”.

- Dora miała na myśli - tłumaczyła Faith, widząc puste spojrzenia, które skierowano na jej niepokorną uczennicę - studiowanie matematyki i fizyki. - Pokiwała głową w odpowiedzi na okrzyki zdumienia. - Spodziewamy się, że Cambridge powita ją z otwartymi ramionami.

Ta uwaga sprowokowała drwiący pomruk pani Elphinstone.

- Mamo, nie zaczynaj - powiedział adwokat - żyjemy w zupełnie innych czasach. Dziewczęta chcą czegoś więcej. Pozwól im próbować. Wykonuje pani wspaniałą pracę - zwrócił się do Faith. - Proszę nie ustawać w wysiłkach.

Wstał i pomógł podnieść się matce, ale pani Elphinstone zamierzała powiedzieć swoje i ani myślała się wycofać.

- Co im przyjdzie z tej całej edukacji? Nikt nie chce słuchać mądrych kobiet, tylko zwykłych towarzyskich konwersacji. Kobiety nie potrzebują wiedzieć nic więcej. Jeśli chcecie wiedzieć, co myślę, cała ta edukacja to dla kobiet strata czasu.

Kontynuowała w tym samym duchu, ale jej syn, obdarzony równie stanowczym charakterem jak matka, choć może posiadający więcej taktu, powoli kierował ją w stronę drzwi, aby opuściła salę, zanim kompletnie zawstydzi wnuczkę, na twarz której już wypłynął rumieniec zażenowania.

Faith łamała sobie głowę, aby wymyślić i powiedzieć coś, co przerwie ciszę, która stawała się niezręczna, gdy od drzwi dobiegł ją głos noszący ślady szkockiego akcentu.

- Ta pani ma trochę racji - powiedział James Burnett.

Stał wygodnie, opierając się łokciem o framugę. Z piersi uczennic wyrwało się zbiorowe westchnienie. Nigdy nie prze stało zadziwiać Faith, że nawet mądre dziewczęta traciły głowę dla przystojnej twarzy i szerokich ramion. Szkocki akcent! To wszystko na pokaz. Akcent Jamesa Burnetta był równie angielski jak jej własny. Ale jego urok zadziałał. Nawet obecne na sali matki oddychały odrobinę szybciej.

- Panie Burnett, czemu zawdzięczamy tę wizytę?

Wszedł do pokoju i zajął puste miejsce w przednim rzędzie.

- Ciekawości - odpowiedział z kpiącym uśmiechem, wyciągając ramiona wzdłuż oparcie sąsiadujących krzeseł. - Spotkałem na schodach pana Danversa seniora, który zasugerował mi rozważenie udzielenia wsparcia szkole. Nie kupuję kota w worku, więc jestem.

Dziewczęta zachichotały. Goście stłumili śmiech. Faith pozwoliła sobie na wąty grymas. Nie była pod wrażeniem, nie była onieśmielona ani podbita. On chciał oceniać jej studentki? Proszę bardzo. Doskonale je przygotowała.

- Czy życzy pan sobie - zapytała - usłyszeć tłumaczenie wątków z Herodota? Dziewczęta mają teksty przed sobą.

- Ależ nie. - Potarł podbródek palcem wskazującym. - Jestem pewien, że są świetnie przeszkolone przy takiej nauczycielce jak pani, panno McBride. Wolałbym raczej porozmawiać o ich nadziejach i aspiracjach. Widzi pani, zbliżając się, usłyszałem dyskusyjną opinię pani Elphinstone i to dało mi do myślenia. Jaką przyszłość szykują dla siebie te młode kobiety? Wiem, że są przygotowane do podjęcia dowolnie wybranego zawodu, ale co z małżeństwem? Dziećmi? Domem? I ośmielę się zapytać - z mężem?

Pewność siebie Faith zaczęła się chwiać. Nie martwiła się o dziewczęta, ale o gości. Niektóre opinie, głoszone przez studentki, czego była pewna, mogły im zjeżyć włosy na głowie.

Zlustrowała szybko wzrokiem niczego niepodejrzewające podpory lokalnej społeczności - biskupa Hemmel z małżonką, panią Powell, panią Brown i jej męża, członka parlamentu, lady Frances Hollister, wielką zwolenniczkę powszechnego prawa wyborczego. Ile mogli wiedzieć na temat tego, co roiło się w głowach ich córek.

Otworzyła usta, aby uprzejmie zwrócić Jamesowi uwagę na niewłaściwość jego pytania, ale on odezwał się pierwszy.

- Może pozwolimy zabrać głos samym dziewczętom? Panno Winslet, jestem pewien, że poświeciła pani tym tematom kilka myśli. Co pani powie?

Dora wpatrywała się w otwartą książkę, jakby całkiem zamyślona. Kiedy podniosła wzrok, jej policzki pałały.

- Jak to możliwe - powiedziała - że nikt nie zapyta młodego dżentelmena, jakie jest miejsce małżeństwa w jego przyszłości, co najmniej dopóki nie ukończy trzydziestu lat, a jego rodzice nie zaczną z niecierpliwością wyglądać *momentu*, kiedy będą mogli huścić na kolanie wnuka?

Faith westchnęła z ulgą. Po klasie przeszedł szmer aprobaty.

Dora kontynuowała, przyjmując bez troski ton.

- Mogłybyśmy zadać panu to samo pytanie, panie Burnett. Co z małżeństwem? Dziećmi? I ośmielę się zapytać - z żoną?

James zamrugnął powiekami, po czym pokiwał głową.

- To bardzo dobre pytanie. Byłem żonaty, może pani nie wie, ale jestem wdowcem.

Dora postarała się wyglądać na skruszoną.

- Nie. bardzo mi przykro. Nie wiedziałam.

- Może na tym powinniśmy zakończyć? Za pięć minut zadzwoni dzwonek - wtrąciła się taktownie Faith.

Dora zignorowała jednak wskazówkę.

- Czy to oznacza, że nigdy pan się już nie ożeni? Czyżby mylił pan małżeństwo z miłością?

- Dora.' - zaprotestowała Faith. - To bardzo osobiste pytanie.

Spojrzała na Jamesa, zaskoczona intensywnością jego spojrzenia. Jego oczy mówiły wszystko, a ona nie wiedziała, co o tym myśleć.

Dora nie dawała się uciszyć.

- Miłość to nie to samo, co małżeństwo. Miłość łatwo się daje i odbiera. To o niej piszą poeci. Małżeństwo to pieniądze, umowy. Dzięki niemu tak dobrze powodzi się notariuszom.

- Panno McBride? - Lucy Elphinstone podniosła rękę.

- Tak, Lucy - zachęciła ją Faith, chcąc uwolnić się od Dory.

- Miłość może przyjść po ślubie, prawda? Jeśli dwoje ludzi się lubi?

Faith czuła się w potrzasku, jakby do jej klasy wpuszczono jakieś dzikie zwierzę. Uśmiechając się tak uprzejmie, jak tylko potrafiła, powiedziała:

- Jako że nie posiadam żadnego doświadczenia w kwestii miłości i małżeństwa, zachowam swoje zdanie dla siebie.

Kiedy dziewczęta zaszemrały, aby wyrazić swoje niezadowolenie z wymijającej odpowiedzi, uciszyła je gestem.

- Fakt, że jest się uczennicą Winnifred, nie oznacza, że trzeba znać odpowiedź na każde pytanie. Nie ma nic złego w powiedzeniu: „nie wiem”. Nie, koniec dyskusji. Chciałabym, abyście opuściły salę, gdy zabrmi dzwonek, nie będziemy więc rozpoczynać rozmowy, której nie będziemy miały czasu zakończyć.

Zignorowała Jamesa i zwróciła się po komentarze do zgromadzonych gości. Biskup rozpromienił się.

- Salomon nie powiedziałyby tego lepiej - zachwycał się, podchodząc do niej. - Zbyt wiele osób wyraża opinie na tematy, o których nie ma pojęcia.

Jej żona posłała Faith współczujące spojrzenie.

- Czy one zawsze są takie? Biedna panna McBride. Gdybym to ja sprawowała nad nimi pieczę, miałabym wielką ochotę spuścić im lanie i odesłać do łóżek.

Zadzwonił dzwonek. Przeprawa była skończona. Gdy sala opustoszała, Faith przeszła po niej, aby zebrać książki, które wystawiono na potrzeby gości.

- Doro - zawołała. - Czy mogłabyś zostać i mi pomóc?

James złożył na jej ręce stos książek. Ścisłym głosem, tak aby Dora nie usłyszała, zapytała poirytowana:

- Doskonale wiesz, jak wsadzić kij w mrowisko. Po co była ta cała dyskusja o małżeństwie i miłości?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Sprawdziałem twoje dziewczęta. Wydają się bardziej konwencjonalne, niż ci się wydaje.

- I ty to oczywiście pochwalasz?

- Oczywiście - zachichotał. - To daje mi nadzieję, że rasa ludzka nie wyginie.

Odkasznęła.

- Byłem zdziwiony, kiedy powiedziałaś, że nigdy nie byłaś zakochana. Nie kochałaś mnie. Faith, kiedy zgodziłaś się za mnie wyjść?

- Czy to była miłość? To było tak dawno temu. że nie pamiętam.

Bojąc się, że wybuchnie, podeszła do biblioteczeki ze stosem książek w ramionach i nagle stanęła. Nie mogła otworzyć drzwi, nie upuszczając przy tym książek.

- Doro? - powiedziała błagalnym tonem.

Kiedy dziewczyna otworzyła drzwi, weszła do biblioteczeki, która była niewielką wnęką, oświetlaną jedynie małym oknem na przeciwległej ścianie. Pomieszczenie kryło nie tylko szkolne teksty, ale również to, co udało się jej uratować z biblioteki ojca. Stała w nim także mała drabina, której używała, aby dosięgnąć najwyższych półek.

Gdy na nią weszła, ta zaczęła się chwiać. Była tak zaabsorbowana ignorowaniem Jamesa, że zapomniała podkasać spódnice, która zaplątała się pomiędzy obcasy. Zakręciła się, poruszyła w jedną i drugą stronę, aby uwolnić niepokorny rąbek. W rezultacie, książki wypadły jej z rąk.

- Cholera jasna! - powiedział James, stojący na najniższym stopniu. - To bolało.

Zapominając o swym ryzykownym położeniu, Faith obróciła się gwałtownie, aby na niego spojrzeć. Ten ostatni ruch ją zgubił. Straciła równowagę. Z okrzykiem przerażenia spadła prosto w ramiona Jamesa, który pod jej ciężarem zwałił się na podłogę.

W tym momencie drzwi się zatrzasnęły.



Podczas upadku James nieumyślnie uderzył Faith łokciem w podbródek. Plamy zatańczyły jej przed oczami i zemdląca.

- Cholera jasna! - zaklął, uderzywszy z całej siły głową w półkę, gdy próbował uwolnić się spod jej ciężaru. - Szlag! - powtórzył, ale tym razem bardziej nienawistnie. Przed jego oczami również tańczyły plamy. Jęczenie Faith w jednej chwili przywróciło go do zmysłów.

- Powiedz coś do mnie, Faith - powiedział. - Czy wszystko w porządku?

Faith zajęczała, dochodząc powoli do siebie. Łzy bólu trysnęły jej z oczu. Jej wypowiedź przerywał rwący się oddech, gdy próbowała zaczerpnąć powietrza.

- Kilka sińców i zadrapań, to wszystko. Nie powinienesz być zamykać drzwi. Otwierają się tylko od zewnątrz. I co teraz zrobimy?

Wciąż próbując się spod niej wydostać, przerwał w jednej chwili, gdy usłyszał jej słowa.

- Nie zamknąłem drzwi. Ale mogę się domyślić, kto to zrobił.

Pamiętał o Dorze Winslet i jej zuchwałych pytaniach. Co chciała osiągnąć ta impertynencka gaska, zbliżając jego i Faith do siebie? Skąd o nich wiedziała? Czyżby było to takie oczywiste?

Podobne myśli kłębiły się w głowie Faith, która była jednak bardziej świadoma niebezpieczeństw, wynikających z ich aktualnej sytuacji.

- Nie mogą nas tu przyłapać. - Rozpłakała się. - Co powie dyrektorka? I dziewczęta? Musimy stąd wyjść, zanim zostanieemy znalezieni.

Przemyślenia Jamesa pobiegły w zupełnie przeciwnym kierunku. Chciał przecież zbliżyć się do Faith, a nie mógł znaleźć się bliżej niej niż teraz.

Podniosła głowę.

- Czy ty się uśmiechasz?

Natychmiast przestał. Miała rację. On się uśmiechał, a przecież w ich sytuacji nie było nic zabawnego. To właśnie wzajemna bliskość wpędziła ich przecież w kłopoty.

Próbował się zmusić do niemyślenia o ciepłym, kobiecym ciele, owiniętym wokół niego. Próbował oderwać ramiona, którymi ją otaczał tuż pod biustem, biustem, który kiedyś całował i pieścił tak intymnie. Intymność. To piekielne słowo, od którego nie mógł się uwolnić.

- Nie bądź głupia - powiedział. - Nie uśmiechałem się. Poza tym, w tym pudełku nie ma wystarczającej ilości światła, aby dostrzec własną rękę.

Prychnęła i zaczęła się od niego odsuwać, ale nagle przestała.

- Co znowu?

- Myślę, że zwichnęłam kostkę.

Jednak było także coś więcej. Kręciło się jej w głowie nie z powodu upadku, ale przez dawno zapomniane uczucia, które teraz, wbrew jej woli, powracały. Pachniał mydłem i świeżo wykrochmalonym płótnem. Był szczupły i silny, ale miał najdelikatniejsze ręce, jakie kiedykolwiek widziała. A te ręce...

Obejmowały ją w talii, ale końcówki jego kciuków delikatnie łaskotały jej piersi. Rozbudzona, wstrzymała oddech. Spódnicę miała podciągniętą aż do ud, a kolanami obejmowała Jamesa. On częściowo opierał się o drzwi, jego ramiona dawały jej oparcie.

Spróbowała się od niego odepchnąć, ale ucisk na kostkę spotęgował ból. Ona była w agonii, a on znów się uśmiechał!

- Myślisz, że to zabawne? Mogę stracić pracę. Nie mogą mnie tak znaleźć, z tobą.

Próbował ściągnąć usta, ale one nie słuchały rozkazów, płynących z jego mózgu. Próbował pamiętać o swoim postanowieniu, aby trzymać ręce przy sobie, ale one także nie chciały z nim współpracować.

„Do diabła z tym”, pomyślał, poddając się. Znajdowali się w maleńkim kredensie, bez jakiegokolwiek możliwości ruchu. W jakie kłopoty mogli się tu wpakować?

- Uśmiecham się, bo przypomniałem sobie dzień tej strasznej burzy, przed którą schroniliśmy się w letnim domku.

- Nie pamiętam.

- Ależ oczywiście, że pamiętasz. Podczas przyjęcia w wiejskiej posiadłości pani Rowatt. Wybraliśmy się na poranną przejażdżkę, pod bezchmurnym niebem.

Niemal poczuł ciepło promieni słońca na twarzy i przyjemność obcowania z Faith. Tak łatwo było ją namówić, była tak zainteresowana wszystkim, co ciekawiło jego. Kiedykolwiek wspominał słowo „kolej” w⁷ obecności innej młodej damy, ta potakiwała i uśmiechała się. ale wiedział, że w głębi ducha jest znudzona. Z Faith było inaczej. Zadawała inteligentne pytania. Rozumiała, że nie inwestuje każdego pensa, którego posiada tylko z nadziei na przyszłe zyski. Kochał koleje, tak jak jego ojciec kochał Drumore. Kochał ich zapach, ich czyste linie, ich prędkość. I chciał stać się częścią tego świata.

Z perspektywy czasu widział, że zbyt wiele uznał za pewnik, kiedy zostawił Faith w Londynie, a sam udał się na północ, aby ratować swoją firmę. Nie dała mu szansy się wytłumaczyć. W tym letnim domku planowali spędzić razem resztę życia. Jak to się stało, że wszystko poszło tak źle?

- Chciałbym, abyśmy mogli cofnąć czas do tej chwili w letnim domku - wypowiedział na głos myśl, która go opanowała.

- Rozpętała się straszna burza, nie pamiętasz? Zsiedliśmy z koni. Prowadziliśmy je, gdy niedaleko nas uderzył piorun. Konie poniosły, a my na szczęście znaleźliśmy schronienie w opuszczonym letnim domku. Nie wiedzieliśmy, że posiadłość znajdowała się tuż za gąszczem krzaków i drzew, które go otaczały.

To wspomnienie było wręcz wypalone w umyśle Faith. Dota-

rli do domku, zanim deszcz przeszedł w prawdziwą ulewę, zamieniając dzień w noc. Po omacku szukała drogi pomiędzy przeszkodami, potknęła się o własne nogi i wyładowała na sofie, która odrażająco pachniała psami. James próbował pomóc jej wstać, ale kolejny piorun uderzył w ziemię, a ona uchwyciła się go z całych sił. Upadł na nią. I zaczęło się.

- Nie chcę myśleć o tamtym dniu.

Jego ton był wojowniczy. Jego żartobliwy.

- Nie chcesz? Był magiczny, przyznaj, Faith. Byliśmy tacy młodzi i porywcy. Byliśmy zakochani, nie, nie zaprzeczaj. Jak mogliśmy się opanować?

Przełknęła kulę, który utkwiała jej w gardle. Oczywiście, pamiętała każdy szczegół: jak zaśmiał się łagodnie, zanim ją pocałował, jak do niego przywarła, jak jedna pieszczoła wiodła do następnej. Z zapierającą dech w piersiach jasnością pamiętała moment, w którym tłący się w niej ogień, który on rozpałił, nagle wybuchnął oslepiającym, gorącym płomieniem. Na samo wspomnienie drżała z niecierpliwością.

- Drżałaś wtedy tak, jak drzysz teraz - powiedział.

Jego głos był niski i chrapliwy, pobrzmiwał w nim łagodny, szkocki akcent, któremu nigdy nie mogła się oprzeć. Pełne erotyzmu wspomnienia, niedwuznaczna pozycja, w której się znaleźli, z jej rozwartymi kolanami po jego bokach, jego kuszący głos - wszystko spiskowało przeciwko niej, uświadamiając jej z przerażającą konsekwencją zdradzieckie reakcje własnego ciała. Nabrzmiałe z podniecenia piersi, mrowiące sutki, wilgoć, która pojawiła się w samym sercu jej kobiecości sprawiły, że jej twarz pokryła się rumieńcem zażenowania. A może było to pożądanie?

- Co ci jest, Faith? Zmarzłaś? Przysuń się, pozwól, że cię ogrzeję.

Odchylił połą surduta i owinał ją wokół niej, wiążąc ich oboje w ciepłym kokonie.

Miała przedziwne wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę, że śni. Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego. Jego oczy zdawały

się czarne w przytłumionym świetle, ciemne i skupione, wpatrzony w nią. Teraz się nie uśmiechał.

Chciała, aby ją kochał, tak jak tamtego poranka, dawno temu. w letnim domku. Była wtedy zupełnie bezwstydna. „Kochaj mnie, James” - błagała. Nie chciał o tym słyszeć. „Powinniśmy poczekać odrobinę dłużej” - powiedział jej. Kiedy wróci ze Szkocji, pobiorą się. Musi tylko być cierpliwa.

Chciała wymazać z pamięci lata samotności i tęsknoty, ból /łamanego serca. Gdyby tylko nigdy go nie spotkała. Gdyby tylko go nie pokochała. Gdyby tylko...

Wyczuwając w niej drobną zmianę. James uniósł głowę i zawładnął jej ustami w piekącym pocałunku. Chwyił jej pośladki i przyciągnął do wybrzuszenia, rysującego się pod tkaniną spodni. Trzymając ją mocno, naparł na serce jej kobiecości.

Faith zdławiła bezradne westchnienie. To nie może się dziać naprawdę. To nie powinno się dziać. Musi wziąć się w garść i sprawić, by przestał. Ale jej ciało pragnęło czegoś innego. Marzyło, aby dać mu, czegokolwiek zażąda, to, czego oboje tak pragnęli.

Jego oddech był gwałtowny, ciężki. Przez zaciśnięte zęby wyszeptał:

- Przeklinałem siebie miliony razy za to, że w tym przeklętym letnim domku byłem taki szlachetny.

Szlachetny? Nie tak to zapamiętała. Całował ją i pieścił z taką pasją, że nie wiedziała, jak można dzielić z kimś większą intymność. Ale chciała się dowiedzieć. Nic się nie zmieniło. Wciąż mógł sprawić, że była cała obolała z pożądania.

Przestała myśleć, gdy jego dłonie przedarły się przez zasłonę falbaniastej bielizny, a kiedy jego palce delikatnie wślizgnęły się pomiędzy jej uda, wydała cichy okrzyk i odrzuciła głowę do tyłu. Nigdy jeszcze nie dotarli tak daleko.

- Jesteś mokra dla mnie - powiedział.

Była wilgotna i gotowa na niego, a on był bardziej niż gotowy na nią. Uśmiech czystej, męskiej satysfakcji wypłynął na jego twarz. Ale zaraz potem zaczął gasnąć.

W tym momencie James zaczął kwestionować swoje zdrowie psychiczne. W maleńkiej pakamerze nie było miejsca, aby się położyć, ani tym bardziej, aby wstać. Kochanie się z nią tutaj było możliwe, ale tylko w takiej pozycji, w jakiej byli teraz.

A co z jego postanowieniem? Obiecał sobie, że nie omamia go podstępne sztuczki zdradzieckiej panny McBride. Pot wystąpił mu na czoło. Doprowadzała go do szaleństwa, wydając łagodne, delikatne dźwięki pobudzonej kobiecości. Dobrze więc. Da jej coś, aby go zapamiętała, coś, co ją będzie doprowadzać do szaleństwa, kiedy przypomni sobie, jak blisko byli uprawiania miłości w bibliotecze jej sali lekcyjnej.

Powolne, rytmiczne ruchy jego palców doprowadzały ją do obłądu. Nie mogła myśleć, nie chciała myśleć i rozważać wszystkich za i przeciw tego, co właśnie robiła. Jej cały świat skupił się na niewiarygodnych, przyjemnie dręczących wrażeniach, skoncentrowanych pomiędzy jej udami.

Otworzyła szeroko oczy, gdy zaczął w niej narastać spazm rozkoszy, chwyciła kurczowo jego dłonie i dała się ponieść kolejnym falom oczyszczającego doznania. Gdyby mogła złapać oddech, krzyknęłaby, dziwiąc się temu cudowi. Kiedy dreszcze minęły, przyłgnęła twarzą do jego klatki piersiowej i ukryła twarz w zagięciu jego ramienia.

Powracała do świata powoli - czuła zapach ich miłości, gorąco zamkniętego pomieszczenia, twardość umięśnionego ciała, które tuliło ją tak ostrożnie. Podniosła głowę, aby lepiej mu się przyjrzeć - i zobaczyła na jego twarzy uśmiech pełen samozadowolenia. To było nie do zniesienia.

To nie był mężczyzna, którego zapamiętała. Ten zbyt dużo wiedział, był zbyt uzdolniony i zbyt pograżony w cielesności niż rycerski kochanek, którego kiedyś znała. Po ośmiu latach jej doświadczenie było równe zeru. Postawiłaby ostatni grosz na to, że on nie może powiedzieć tego samego o sobie. Co w takim razie robiła, rozciągnięta w poprzek niego jak rozpustnica w domu publicznym?

Nie mogła wykrzyzczyć całej swojej frustracji, poszukała więc ucieczki w logice.

- Musimy stąd wyjść - powiedziała - zanim...

Wyraźne dźwięki rozmów dobiegły ich nagle z korytarza.

- Zrób coś - prawie płakała - to Robert.

Czy od bólu, który sprawiały mu jej palce wbijające się w jego ramię, czy też od trwogi, która zabrzmiała w jej głosie, James gwałtownie się podniósł. W efekcie, odrzucona siłą jego manewru Faith ponownie uderzyła głową w krawędź półki i zakwiliła z bólu i strachu.

- Wydostańcie nas stąd! - ryknął z całej siły James, stojąc już pewnie na nogach.

Usłyszeli kroki, powoli zbliżające się do kredensu. Kiedy drzwi otwały się na oścież, James zatarasował wejście, zasłaniając Faith. Zaszokowani, wpatrywali się w niego przyjaciółka Faith i Robert Danvers.

- Co zabrało wam tyle czasu? - zażądał odpowiedzi James, udając irytację. Miał nadzieję, że Faith była na tyle przytomna, aby doprowadzić do porządku swoją garderobę. - Nie słyszeliście, jak krzyczę?

Robert patrzył na Jamesa z ewidentną podejrzliwością. Lily dreptała nerwowo w tę i z powrotem, próbując obok Jamesa zajrzeć do biblioteczki.

- Czy słyszałam głos Faith? Czy to ona jest tam z tobą?

- Co się tu dzieje? - zapytał Robert.

James zwrócił się do niego.

- Powiem ci, co się tu dzieje. - Przerwał, aby pomóc Faith wstać. Wyglądała na zdezorientowaną i bliską łez. - Jedna z tych odrażających dziewczyn zatrzasnęła drzwi, kiedy pomagałem panie McBride odłożyć książki.

Zdyszana i lekko rozczochrana Faith wyłoniła się z wnęki z ręką przyciśniętą do tyłu czaszki.

- Uderzyłam się w głowę - powiedziała żałośnie - a pan Burnett próbował mi pomóc.

Gdy oderwała rękę, na palcach zauważyła krew. Jęknęła, ale ostrożnie, tak aby nie przedobrzyć. Chciała tylko przekonać przyjaciół, że pomiędzy nią a Jamesem nic nie zaszło.

Jej sztuczka zadziałała. Sztynność w sylwetce Roberta ustąpiła i obrzucił ją współczującym spojrzeniem.

- Nie martw się - powiedział - dowiem się, kto to zrobił.

- Proszę, nie rób sobie kłopotu - odpowiedziała Faith. - Ktokolwiek to był, jestem pewna, że uważał to tylko za dowcip.

Spojrzenie Lily wyrażało więcej domysłów niż współczucia. Rzuciła okiem na Jamesa, a następnie dokładnie przyjrzała się przyjaciółce.

- Cóż - powiedziała - żadnych szkód. Zaprowadzimy cię do twojego pokoju, a ja obejrzę to rozcięcie.

Wspierana z obu stron przez Roberta i Lily, Faith dokuśtykała do drzwi. James skrzyżował ramiona na piersiach i odprowadzał ich wzrokiem z rosnącą irytacją. Równie dobrze mógłby być niewidzialny.

Już przy drzwiach Faith odwróciła się do niego.

- Dziękuję panu za pomoc, panie Burnett. Przepraszam, że sprawiłam panu tyle kłopotu.

Obdarzył ją uśmiechem, który był niczym więcej niż obnażeniem zębów.

- Proszę o tym zapomnieć, panno McBride. Byłem zaszczycony, mogąc oddać się do pani dyspozycji.

Pozostali nie zauważyli w tych słowach nic niepokojącego, ale policzki Faith zabarwił błądy rumieniec. Kilka sekund później James został sam.

* * *

Niczego niepodejrzewająca Faith zmierzała nieuchronnie w stronę zasadzki. James wiedział, że śni, ale świadomość ta nie zmniejszyła odczucia paniki, które ścisnęło jego gardło. Znajdował się wewnątrz umysłu zabójcy, który posunie się do wszystkiego, aby zdobyć książkę.

Jaką książkę? Te słowa pulsowały w głowie Jamesa. Uścisk, w którym trzymał umysł zabójcy, rozluźnił się, pozwalając mu uciec.

Panika w niczym nie pomagała. Musiał myśleć! Skoncentrować się! Skupić! Gdzie jest Faith?

Szara mgła, jak gazowa zasłona, trzepocząca na wietrze, owinęła się wokół niego, oślepiając go.

Dalej, babciu McEcheran, pomóż mi.

Przed jego oczami nagle pojawiły się obrazy. Dom, most, wodospad. Faith tam była, walcząc o życie.

Gdzie był mężczyzna, który chciał ją zabić?

Skup się. Skoncentruj.

Tak łatwo, jak wydra wślizguje się do wody. on wniknął w umysł zabójcy.

Morderca nie nienawidził Faith. Nie był rozwścieczony. Jej śmierć była podyktowana względami praktycznymi. Ale najpierw musi oddać mu książkę.

Mgła zrzędała, a następnie się podniosła, a wtedy James zobaczył wszystko. Wiedział, gdzie jest i co musi zrobić. Znajdował się na terenie posiadłości lady Cowdray, musiał zagwarantować bezpieczeństwo Faith i jej książkę.

Sen się zmienił. Promienie słońca oślepiały. Uniósł dłoń. aby odślonić oczy. W oddali zobaczył piramidy i sfinksy, i pustynię, ciągnącą się aż po horyzont. Odgłos śmiechu skłonił go do odwrócenia głowy. Znajdował się na podwórku czegoś, co, jak podejrzewał, było hotelem, ale niejednym z tych, w których on zwykł się zatrzymywać. Przypominał mauretańskie budowle południowej Hiszpanii.

Ludzie dookoła byli Brytyjczykami. Ktoś zbierał ich do grupowego zdjęcia. Potem zobaczył ją. Faith, z przechyloną głową, w cieniu palmy, skrobiącą coś w notesie. Odłożyła zeszyt, wstała i dołączyła do pozostałych.

Słońce prażyło niemiłosiernie. Czuł jego nacisk w tyle oczu. Oślepiało go. Nie mógł dostrzec Faith. Gdzie ona jest?

Poderwał się i otworzył oczy. Znajdował się w swojej własnej sypialni. Lampa gazowa na ścianie wciąż się paliła, mimo że była przykręcona. W płucach czuł setki przebiegniętych kilometrów.

Wyplątawszy się z gąszczy prześcieradeł, wstał i podszedł do komody, na którą odstawił szklanek whisky, którą przyniósł mu kamerdyner. Była nietknięta, lecz niedługo. Dwa zdrowe łyki odgoniły uczucie paniki. Przyłożył szklanek do ust raz jeszcze. Po czym zmienił zdanie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

było przytępienie jego mocy dedukcji. Musiał przeżyć swój sen, aby nabrał on sensu.

Nie potrzebował babci McEcheran, aby zrozumieć, że to nie był zwykły sen. Drobne włoski, pokrywające jego ciało, były zjeżone. Epizod z Faith był łatwy do rozszyfrowania, nie tak, jak ten drugi. Piramidy, sfinksy i pustynia mogły oznaczać tylko Egipt.

Ale co Egipt miał z tym wszystkim wspólnego? I skąd dobiegały te strzały?

Odstawił szklankę i zaczął spacerować. Egipt mógł zaczekać. Najważniejsze było, aby zapewnić Faith bezpieczeństwo. Pojedzie do lady Cowdray pociągiem, ale jeśli go zauważy, może zmienić plany i uciec. Albo zacznie zadawać pytania, próbując się dowiedzieć, skąd on wiedział, że będzie w pociągu. Nie był zachwycony perspektywą wyjawienia jej, że włamał się do jej pokoju i znalazł odpowiedź lady Cowdray na jej ogłoszenie.

Wrócił do łóżka, ale nie był w nastroju do zaśnięcia. Opierając kark na złączonych dłoniach, wpatrzył się w sufit i zmusił do myślenia o czymś innym. Dziewczęta z Winnifred nie miały najmniejszych problemów z określeniem, czego oczekują od życia. Pragnęły wszystkiego - miłości, małżeństwa, dzieci i satysfakcjonującej pracy, w której mogłyby wykorzystywać swe ogromne talenty. Zastanawiał się, czego od życia pragnie Faith.

Jego myśli pobiegły do pierwszej żony. Straciwszy Faith, dał się wmanewrować w małżeństwo, ponieważ przestał dbać o to, z kim się ożeni, a ten związek wprawił rodziny ich obojga w ekstazę. Kto mógł przypuszczać, że słodka i posłuszna lady Fiona okaże się wredną harpią? Napady złości! Sceny! Ciągłe sprzeczki o błahostki! Myślała, że po ślubie James rzuci interesy, pociągi i koleje, aby stale jej towarzyszyć. A jej celem stało się zdobycie pozycji pierwszej damy Edynburga.

Jego celem natomiast było budowanie kolei w Ameryce Południowej. Dało mu to jednocześnie doskonały pretekst, aby odsunąć się od świeżo poślubionej małżonki. Pomogło także pomnożyć rodzinne fortuny. Ale nie przysporzyło szczęścia. Był na rozdrożu. Wciąż kochał pociągi, ale jego firma, na czele

której postawił sprawdzonych fachowców, wydawała się funkcjonować sama. Niewiele zostawało dla niego do zrobienia.

Co go czekało za kolejnym zakrętem?

Skrzywił się. Żałował, że jego dar zagładania w przyszłość nie stosował się do niego samego. Gdyby tak było, nigdy nie pocałowałby pod jemiołą damy do towarzystwa lady Beale, nigdy nie schroniłby się przed burzą w letnim domku pani Rowatt, nigdy nie ożeniłby się z Fiona, i nigdy, przenigdy nie wszedłby do pakamery, aby pomóc Faith ustawić książki. Teraz nie mógł wyrzucić jej z myśli.

Zgrzytając zębami, próbował skupić się znów na swych snach. Ktoś chciał zabić Faith, ale dopiero po tym, jak zdobędzie książkę. Faith robiła notatki w tej książce. Faith była na fotografii. Kto zrobił zdjęcie? Kto jeszcze tam był? Dlaczego zobaczył w wizji piramidy i pustynię?

Kawałki układanki wirowały w jego umyśle, ale mimo starań, nie mógł złożyć ich w całość. Nagle olśniła go myśl. Lady Cowdray napisała, że ma coś, co należało do Madeline, a co może zainteresować Faith. Może była to książka, której szuka zabójca?

Bez końca roztrząsał ten pomysł, aż zmorzył go sen.

Rozdział

VIII

Faith wsiadła do pociągu na stacji King's Cross w przynębiający, mglisty poranek. W jej przedziale siedziało jeszcze trzech pasażerów - jak mniemała, biznesmenów. Na pewno jechali do Manchesteru lub innego, dużego ośrodka handlowego. Wyglądali na znudzonych, jakby odbywali tę podróż wiele razy. Ona sama rzadko podróżowała koleją i wręcz nie mogła doczekać się przejażdżki. Tym razem jednak coś jeszcze pobudzało jej ciekawość. Miała w końcu dowiedzieć się prawdy o Madeline Maynard.

Podróż okazała się nieco rozczarowująca. Miała nadzieję na podziwianie z okien pociągu otaczającego ją krajobrazu, ale okolica była pogrążona w nieprzeniknionej mgle.

Lily zaoferowała jej swoje towarzystwo, ale Faith nawet nie chciała o tym słyszeć. Brat Lily i jego rodzina mieszkali w Brighton i oczekiwali, że obie spędzą pierwsze dwa tygodnie swych wakacji z nimi. Jak to było w zwyczaju.

- Nie potrzebuję przyzwoitki - protestowała Faith. - Cały czas będę otoczona tłumem ludzi. Jedź do Brighton, a ja dołączę do was, jak tylko będzie to możliwe.

- Myślisz, że lady Cowdray poprosi, abys u niej nocowała?

- To możliwe, ale nie mogłabym przyjąć tej oferty. Jesteśmy sobie obce. Nie chcę się narzucać. Poza tym, czułabym się niezręcznie, po tym, jak zapewniłam w liście, że zajmę jej tylko godzinę.

Lily pokiwała głową.

- Pewnie tylko bym zawadzała.

W jej słowach nie było urazy. Lady Cowdray zgodziła się spotkać z Faith. Nieproszony gość nie byłby mile widziany. Obie to rozumiały.

- Lily, jestem już dużą dziewczynką. Nie martw się o mnie. Wrócę na czas, aby złapać ostatni pociąg do Brighton.

- Dobrze, w takim razie zaopiekuję się chociaż twoim bagażem. Nie chcesz chyba tego dźwigać, biegając pomiędzy pociągami.

Tak się rozstały.

Jako że z okien nic nie było widać, Faith skupiła uwagę na towarzyszących jej w przedziale osobach. Biznesmeni wyglądali bardzo poważnie, przeglądając poranną prasę. Czwartym pasażerem był starsza pani, która drzemała z podbródkiem opartym na obfitym biuście. Nikt nie próbował rozpocząć rozmowy ani nie patrzył na Faith. Podróżowali drugą klasą, a to właśnie było charakterystyczne dla jej pasażerów. Wszyscy byli zatrzaśnięci w swoich przedziałach jak bydło, wiezione na rynek. Nie byłoby ucieczki, gdyby rozgorzała sprzeczka, wszyscy więc zawczasu zatrzymywali swe uwagi dla siebie.

James, rzecz jasna, mógł podróżować dowolną klasą i nie zawsze wybierał pierwszą. Był równie zainteresowany wystrojem wnętrza w wagonach, jak budową torów, po których jeździły. Nie dziwiło jej, że ludzie mu ufali, a sponsorzy inwestowali w jego firmy. Jego entuzjazm dla kolei był zaraźliwy.

Może pani Elliot powinna była zaprosić na Dzień Otwarty jego w roli prelegenta.

Wtedy widziała go po raz ostatni, ten dzień na zawsze wyrył się w jej pamięci nie jako Dzień Otwarty, ale jako ten, w którym zostali zamknięci w biblioteczce. Ostrożnie przyłożyła dłoń do twarzy. Jej skóra płonęła gorączką. Dobry Boże, ten człowiek był śmiertelnie niebezpieczny, niezależnie od tego, co oferował.

Wyrzucając z umysłu wszystkie marzenia o Jamesie, zmusiła się do skupienia na zbliżającej się rozmowie z lady Cowdray. Czuła się niekomfortowo, ponieważ nie wiedziała praktycznie nic o swej rozmówczyni, a musiała się przygotować na zdanie dokładnej relacji z życia swojego i ojca, gdy ten jeszcze żył,

oraz swej późniejszej kariery damy do towarzystwa i nauczycielki w Winnifred.

Gdyby jednak to nie przekonało lady Cowdray do rozmowy, miała jeszcze fotografię Madeline, matki, która, jak kazano jej przez całe życie wierzyć, zmarła, gdy Faith miała sześć lat. Znalazła tę fotografię przypadkiem, pomiędzy papierami taty. Na odwrocie widniała inskrypcja, naniesiona jego charakterem pisma: Madeline Maynard.

Najbardziej niepokoił Faith fakt, że kobieta na zdjęciu miała około czterdziestu lat, podczas gdy jej wmawiano, że jej matka zmarła, mając lat dwadzieścia sześć. Faith bez końca rozmyślała, co to może oznaczać. Dzisiaj, nareszcie, miała nadzieję poznać prawdę.

* * *

Chalbourne był pierwszym przystankiem na trasie pociągu i wielu pasażerów wysiadło na chwilę, aby rozprostować nogi lub skorzystać z wygód stacji. Gdy dziesięć minut później zawiadowca odgwiżdżał koniec postoju, ludzie pospieszyli zająć z powrotem swoje miejsca. Komin buchnął kłębem pary i dymu i pociąg odjechał, zostawiając Faith samą na platformie.

Na miejscu miał ją odebrać woźnica lady Cowdray. Czując się nieco zbyt narażona na zainteresowanie obcych, Faith usiadła na ławce przy ścianie poczekalni i zaczęła się rozglądać. Jej wzrok przykuła postać, okryta mgłą, odpoczywająca pod drzewem na dalekim końcu platformy. Czyżby to był woźnica lady Cowdray? Wstała i podeszła kilka kroków, po czym zatrzymała się zdziwiona. Mgła pochłonęła postać.

Podskoczyła z wrażenia, gdy ktoś odezwał się za jej plecami.

- Panna McBride?

Odwróciła się szybko i zobaczyła niskiego, krępego mężczyznę, ściskającego w rękę kapelusz, który uprzednio osłaniał błyszczącą łysinę.

- Pan jest zapewne woźnicą lady Cowdray?

Przytaknął.

- Nazywam się Farr.

Najmniejszy uśmiech nie zagościł na jego twarzy.

- Możemy iść? - zapytał, po czym odwrócił się i odszedł.

Faith zebrała spódnice i pospieszyła za nim.

* * *

Musieli przejechać główną drogę, aby dostać się do posiadłości. Kiedy spacerówka pokonywała trasę, Faith zadała kilka uprzejmych pytań dotyczących lady Cowdray, ale nader zwięzłe odpowiedzi pana Farr'a nie zachęcały do podejmowania wysiłku utrzymania konwersacji. W pewnym momencie zatrzymali się, aby przepuścić zmierzający z naprzeciwka wóz, ale poza tym była to podróż pozbawiona atrakcji i trwająca nie dłużej niż dwadzieścia minut.

Na pierwszy rzut oka dom wydał się jej wyjętym z kart gotyckich powieści, które tak lubiła, zamkiem wyłaniającym się z mgły, ale w miarę, jak się do niego zbliżali, dom malał. Nie było blanek, ani wieżyczek; tylko pełne dostojeństwa, jońskie kolumny otaczały kamienne schody, prowadzące do frontowych drzwi.

Kamerdyner, z twarzą równie kamienną, jak pan Farr, wprowadził Faith do hallu i poprosił, aby zaczekała. Podziwiała gigantyczne pilastry, ciągnące się wzdłuż ścian, nisze, wypełnione rzeźbami, ale jej uwagę przykuła ogromna rzeźba pochylonej kobiety, której jedynym okryciem był wyrzeźbiony szal, zakrywający dolną połowę jej ciała. Jakakolwiek była intencja artysty, rzeźba nie przystała skromnej damie. Faith podeszła nieco bliżej. Przystała, czy nie, kobieta była naprawdę Piękna i niewątpliwie było to dzieło sztuki.

Nie musiała długo czekać. Kamerdyner wrócił, aby zaprowadzić ją do lady Cowdray, ale tym razem wydawał się inną osobą. Sztywność ustąpiła i choć się nie uśmiechał, jego zachowanie nie odstraszało. Zachęcona tym Faith podażyła za nim do jednych z trojga drzwi, za którymi rozciągał się rozległy pokój

-częściowo salon, a częściowo biblioteka. Uderzył ją panujący tu bałagan, ale był to bałagan pociągający, przypominający jej gabinet ojca.

Jej spojrzenie powędrowało do kobiety, która nalewała do dwóch kieliszków coś, co wydawało się wytrawną sherry. Jej suknia była prosta, uszyta z bladzielonego jedwabiu, który pasował do srebrnych włosów. Trudno było określić jej wiek, ale Faith uznała, że blisko jej do sześćdziesiątki, choć wyglądała jeszcze bardzo młodzięczo.

- Milady - zaprotestował kamerdyner, podchodząc do niej szybko - proszę pozwolić.

Lady Cowdray machnęła na niego ręką.

- Idź stąd i znajdź sobie coś pożytecznego do roboty - powiedziała. - Powiedz kucharzowi, aby przysłał herbatę i kanapki. Panna McBride i ja mamy mnóstwo spraw do omówienia.

Gdy lady Cowdray podeszła bliżej. Faith prawie otworzyła usta ze zdziwienia. Nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Mimo zaawansowanego wieku i kilku zmarszczek nie można było nie rozpoznać w niej modelki, która pozowała do rzeźby stojącej w hallu.

Lady Cowdray wydawała się rozbawiona.

- Widziałas rzeźbę - powiedziała. - Ależ oczywiście, że tak. Sir Arnold, mój zmarły mąż, zamówił ją zaraz po naszym ślubie, kiedy byliśmy w sobie bardzo zakochani. Mam nadzieję, że nie czujesz się zaszokowana.

- Ależ skąd. - Faith zdołała przybrać rozsądnie naturalną pozę. Podejrzewała, że ulubioną rozrywką lady Cowdray było szokowanie ludzi.

W obu rękach pani domu trzymała kieliszki sherry. Uśmiechnęła się do Faith i podała jej jeden z nich.

- Wszędzie bym cię rozpoznała - zadeklarowała. - Jesteś jak skóra zdjęta z twojej matki. Siadaj, siadaj. Szkoda, że Madeline nie może cię teraz zobaczyć.

Zmieszana, Faith zajęła miejsce, które wskazała jej lady Cowdray.

- Poznałam twoją matkę na wykładzie Towarzystwa Antykwarecznego w Somerset House. Przemawiała Aurora Blandford, jedna z pierwszych kobiet, które udały się do Egiptu bez opiekuna-mężczyzny. Nie pojechała tam oczywiście sama. Towarzyszyło jej kilka kobiet, niepozabawionych ciągót do przygód. Jeśli potrzebowały kogoś do pracy fizycznej, wynajmowały tragarzy i służących na miejscu.

Pokojówka przyniosła tacę z herbatą, a lady Cowdray zaproponowała Faith talerz maleńkich kanapek. Jadła je, nie czując smaku. Jej umysł z trudnością przyswajał to, co słyszała. Jej matka, która podobno umarła, gdy Faith była jeszcze dzieckiem, wiodła drugie życie, o którym jej córka nic nie wiedziała.

Lady Cowdray uśmiechnęła się do niej, co sprawiło, że rysy jej twarzy stały się bardziej wyraziste.

- Madeline i ja od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Możesz sobie wyobrazić, jak podzielałam na nas wykład Aurory.

Faith pokiwała głową. Myślała o Dniu Otwartym w Winifred.

- W każdym razie, jedna rzecz pociągnęła za sobą kolejną. W następnym roku odbyłyśmy podróż do Egiptu, podążając śladami Aurory. Jechaliśmy w dół Nilu, zatrzymując się po drodze dla podziwiania widoków. To było wspaniałe.

Coś w wyrazie twarzy Faith kazało lady Cowdray rozwinąć watek.

- To nie było tak niebezpieczne, jak ci się może wydawać. Po Nilu płynęłyśmy łodzią. Wszystko, co chciałyśmy zobaczyć, znajdowało się niedaleko - Kair, grobowce, piramidy. A wokół było mnóstwo Anglików, dzielących naszą pasję. Zawarłyśmy wiele przyjaźni. Och, zanim zapomnę.

Otworzyła leżącą na stoliku książkę i wyciągnęła fotografię, którą podała Faith.

- Kiedy otwierałam list, który mi przesałaś i zobaczyłam twarz Madeline, wpatrującą się we mnie, wiedziałam, że nie

jesteś jakimś tam szarlatanem, który będzie próbował wyłudzić ode mnie pieniądze.

Uśmiechnęła się i spojrzała na zdjęcie. Zaległa pomiędzy nimi cisza, która zdawała się wypełniona czcią.

- Zdjęcie zrobiono na krótko przed śmiercią twojej matki - powiedziała łagodnie lady Cowdray. - To było lato siedemdziesiątego piątego roku. Ostatni raz widziałam je, kiedy wysłałam je pełnomocnikowi Madeline z zawiadomieniem o jej śmierci. Taką miałyśmy umowę. Gdyby coś jej się stało, miałam powiadomić o tym jej notariusza, pana Andersona. Zakładam, że to on przekazał zdjęcie twojemu ojcu. Myślał pewnie, że powinien mieć po niej jakąś pamiątkę.

Faith zamrugała powiekami, aby odgonić czające się w kącikach oczu łzy. Miała siedemnaście lat, kiedy umarła jej matka. Była dostatecznie dorosła, aby poznać prawdę. Dlaczego ojciec nic jej nie powiedział? Myślała także o czymś innym. Thomas Anderson był pełnomocnikiem nie tylko jej matki, ale i ojca, a także jego najlepszym przyjacielem. Teraz obaj nie żyli.

Wzrok Faith był skupiony na starszej kobiecie.

- Dlaczego moja matka nigdy do mnie nie napisała? Dlaczego nie pisała do ojca? Jestem pewna, że gdyby tak było, on zachowałby jej listy.

Lady Cowdray westchnęła lekko.

- Naprawdę nie wiem. Może myślała, że całkowite zerwanie jest najlepszym rozwiązaniem. Ja byłam wdową i nie miałam dzieci, o które musiałabym się troszczyć. Nic nie powstrzymało mnie więc przed prowadzeniem życia, jakiego zawsze pragnęłam. Nie wiem, co myślała Madeline. Nigdy nie rozmawiałyśmy o przeszłości. Wiedziała, czego pragnie, i była bardzo skupiona na osiągnięciu tego. Podziwiam to w ludziach, zarówno w mężczyznach, jak i w kobietach.

Zapadła cisza. Lady Cowdray mieszała herbatę. W końcu podniosła wzrok i powiedziała:

- Wiedziałam, że Madeline zostawiła męża, aby pójść własną drogą, ale to wszystko. Przykro mi, jeśli przysparzam ci bólu, ale Madeline nigdy nie wspomniała o niczym więcej. Szczerze

mówiąc, cieszyłam się za nią. Nie uznaję trzymania ptaków w klatkach. Ale nie wiedziałam, że ma córkę.

Faith słyszała te słowa w Winnifred więcej razy, niż zdołała by zapamiętać. Czasami pewnie sama wypowiadała podobne uwagi. Ale to o jej matce rozmawiały i oburzała ją sugestia, jakoby miała ona traktować ich dom w Oksfordzie jak klatkę. Oburzało ją to, ale nie mogła się z tym spierać.

- Proszę mi powiedzieć, jak umarła moja matka.

Lady Cowdray pokiwała głową. Najwyraźniej spodziewała się tego pytania.

- To była nasza trzecia podróż do Egiptu. Listopad siedemdziesiątego piątego roku. Zatrzymałyśmy się w Grand Hotelu w Kairze. Tym razem byliśmy w mieszanym towarzystwie. Chcę przez to powiedzieć, że Madeline i ja dołączyliśmy do ekspedycji sir Edwarda Talbota, zanim wyruszyliśmy do Egiptu, tak więc on dowodził wyprawą. Ostatniej nocy Madeline była dziwnie niespokojna. Powiedziała mi, że czuje się rozpalona i chciałyby się położyć i przespać to, co powodowało jej złe samopoczucie. Reszta grupy urządziła w jadalni przyjęcie, myślę, że tak byś to nazwała. W każdym razie, twojej matki długo nie było. Kiedy w końcu zeszła do nas, powiedziała, że czuje się dużo lepiej.

Lady Cowdray wyraźnie ociągała się z kontynuowaniem opowieści. W końcu westchnęła i powiedziała łagodnie:

- Znalaziono ją martwą, w jej własnym łóżku, następnego ranka. Nie było śladów przemocy. Na miejscu był angielski lekarz, który powiedział, że Madeline przedawkowała laudanum, że najprawdopodobniej była zdezorientowana, gdy przebudziła się w nocy i pomyliła dawkę, którą dodała do wody. Możesz sobie wyobrazić, w jakim szoku byliśmy.

Zamrugała gwałtownie powiekami i przełknęła ślinę.

- Jest pochowana tam, w Kairze. Jej grób znajduje się w koptjskim kościele. Jest płyta. Nie wiedziałam, co na niej umieścić, poza nazwiskiem i datami narodzin i śmierci.

Faith próbowała pojąć to wszystko, ale coś ją uderzyło w opowiadaniu gospodyni.

- Dlaczego zaznaczyła pani, że nie było śladów przemocy?
Wydawało się to pani dziwne?

- Nie! Tylko po prostu...

- Tak?

Lady Cowdray zauważyła do połowy opróżniony kieliszek sherry obok imbryka z herbatą i sięgnęła po niego.

- Po prostu zaczęłam przypominać sobie różne dziwne rzeczy już po powrocie do domu.

Opróżniła kieliszek, zanim zaczęła mówić dalej.

- Ostatniego dnia Madeline powiedziała mi, że poznała wcześniej jednego z członków ekspedycji, ale miała swoje powody, aby tego nie ujawniać, kiedy byli sobie przedstawiani. Nie myślałam o tym wtedy, ale kiedy wróciłam do domu i pokojówka rozpakowała moje kufry podróżne, na dnie jednego z nich znalazła pamiętnik Madeline, owinięty w jeden z jej szali. Wtedy zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać.

- Jak jej pamiętnik znalazł się w pani kufrze?

- Nie powinien był się tam znaleźć. Madeline była bardzo ostrożna, wszędzie nosiła go ze sobą, ponieważ zawierał notatki z miejsc, które odwiedzała. Potem te notatki przekształcała w artykuły i sprzedawała je do licznych periodyków i gazet. Z tego się utrzymywała i doskonale sobie radziła.

Faith z trudem przyswajała sobie tę wiedzę. Jej matka była odkrywczą i odbyła liczne podróże do Egiptu. Była pisarką i potrafiła się z tego w pełni samodzielnie utrzymać. W końcu powiedziała:

- Była uznaną egiptologką i pisywała do gazet? Czy mój ojciec nie rozpoznał jej artykułów? Dlaczego ja nie wiedziałam?

Głos lady Cowdray złagodniał.

- Była znakomitością w naszym małym kółku kobiet odkrywców. Tylko mężczyźni zyskują sławę. I pisywała pod pseudonimem: Madeline Wolf. Wątpię, aby chciała być rozpoznana przez któregoś z dawnych znajomych.

Faith starała się nie czuć urazy za to, że gospodyni z taką łatwością akceptowała wydarzenia, które tak drastycznie wpłynęły na jej życie.

- Mój ojciec zmarł wkrótce po niej. Wiedziała pani?
- Nie. przykro mi. Ale wątpię, aby powodem jego śmierci było złamane serce.

Irytacja, która ogarnęła Faith, szybko wyparowała. Nie chciano jej obrazić. Po prostu lady Cowdray nie przyszło do głowy, aby wyrażać się bardziej taktownie. Nie miało to nic wspólnego, zdaniem Faith, z pozycją społeczną, za to wiele z tym, jak przeżyła swoje życie. Takt na wiele się jej zapewne nie przydawał w środowisku, które od zawsze było postrzegane jako domena mężczyzn.

Nieco się pogubiły i Faith postanowiła skierować rozmowę na interesujące ją tematy. Zebrawszy myśli, zapytała:

- Czy pokojówka mogła pomylić kufry, pakując pamiętnik, kiedy opuszczała pani Kair?

- To niemożliwe. Madeline i ja nie dzieliłyśmy pokoju. A pamiętnik był na samym dnie kufra, owinięty jej szalem. Nie. Jestem przekonana, że ktoś go tam włożył z rozmysłem.

Faith zastanawiała się przez krótką chwilę.

- Kto mógł zrobić coś takiego?
- Nie mam pojęcia. Może Madeline? Wszystko jest możliwe.

Faith rozważała słowa lady Cowdray. Choć Madeline kogoś rozpoznała, miała swoje powody, aby milczeć na ten temat, kiedy ich sobie przedstawiono.

- Czy w pamiętniku mojej matki jest jakaś wskazówka na temat tożsamości osoby, którą rozpoznała?

- Nigdy nie przeczytałam pamiętnika. Jest zaszyfrowany kodem Malcolma - tak zawsze określała go Madeline.

- Kod Malcolma!

Lady Cowdray uniosła brwi.

- Znasz go?

Faith przytaknęła.

- Wymyślił go mój ojciec. Kody były jego hobby. Uczennica gimnazjum, władająca odrobiną greki, mogłaby go złamać. Przygryzła wargę. I kto tu był nietaktowny?

Lady Cowdray nie uznała tych słów za zniewagę.

- To samo powtarzała Madeline. Ale ja nie znam greki.
- Wstała. - Przyniosę ci go.

Faith była zmieszana.

- Nigdy nie myślała pani, aby dać go komuś do rozszyfrowania? To znaczy, większość wykształconych mężczyzn zna grecki.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ obawiałam się, że dziennik Madeline może być jak przysłowiowy kij, wetknięty w mrowisko. Wiedziała o ludziach rzeczy, których nie powinna była wiedzieć, robiła rzeczy, o których nie chciała, aby dowiedzieli się inni. - Lady Cowdray wzruszyła lekko ramionami. - Obawiałam się tego, co mogę znaleźć w tym pamiętniku. Nie umiem lepiej tego wytłumaczyć. Ale wiem, że pamiętnik będzie bezpieczny u jej córki.

Faith patrzyła bezmyślnie, jak lady Cowdray opuszcza pokój.



Lady Cowdray nie miała zamiaru pozwolić Faith odejść. Tyle było opowieści o Madeline, którymi chciała się z nią podzielić. Oczywiście, Faith pragnęła wysłuchać ich wszystkich, ale o wiele bardziej chciała znaleźć spokojne miejsce, w którym mogłaby rozpocząć studiowanie pamiętnika matki. Miała mieszane uczucia. Jedna jej część nie mogła się powstrzymać przed podziwianiem tych nieustraszonych kobiet, które podróżowały w dół Nilu i przeżywały przygody, od których większości statecznych niewiast włosy stawały dęba na głowie. Druga część czuła się natomiast bardzo zawiedziona. Nie mogła zrozumieć tego, że Madeline porzuciła rodzinę bez oglądania się za siebie, jak się wydawało. W jej głowie kotłowały się pytania, na które tylko ojciec mógł udzielić odpowiedzi. Co takiego zrobił, że matka zwróciła się przeciwko niemu i czemu okłamywał Faith przez te wszystkie lata?

Te pytania były zbyt osobiste, aby zadać je postronnej osobie, a lady Cowdray nic poruszyła tego tematu, za co Faith była jej wdzięczna. Była dorosłą kobietą. Nie chciała, nie powinna była roztkliwiać się nad czymś, co wydarzyło się lata temu. Przecież nie były sobie z matką bliskie. Miała tylko niejasne wspomnienie o niej. Wszystkie opowieści o ich wspólnym życiu pochodziły od ojca.

Mając na względzie upływający czas i fakt, że pociąg do Londynu wkrótce odjedzie, wstała, aby się pożegnać. Lady Cowdray również się podniosła.

- Nie przekonam cię, abyś została na noc? Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam.

Faith pokręciła głową.

- Moja przyjaciółka mnie oczekuje, zamartwiłaby się na śmierć, gdybym się nie pojawiła.

Jej oczy powędrowały do zegara, stojącego na gzymsie kominka.

- Nie chciałabym spóźnić się na pociąg.

Lady Cowdray pokiwała głową.

- Każę lokajowi przygotować powóz. Farr odwiezie cię na stację.

Zaraz po odprawieniu lokaja gospodyni podeszła do niskiej komódki z dębowego drewna. Kilka chwil później wróciła z fotografią, którą podała Faith.

- Została zrobiona podczas naszej ostatniej wyprawy do Kairu. Jestem pewna, że z łatwością rozpoznasz matkę. Wygląda dokładnie tak jak ty.

Faith rozplakała się. Pamiętała słowa ojca - „jesteś lustrianym odbiciem mamy. Faith” - i smutny wyraz jego oczu, kiedy to mówił.

Czy naprawdę wyglądała jak ona? Nie potrafiła tego stwierdzić. Kobieta z uroczystym wyrazem twarzy, w którą teraz się wpatrywała, była jedną spośród wielu uwiecznionych na zdjęciu.

Faith spojrzała na starszą panią.

- Lady Cowdray, powiedziała pani wcześniej, zanim wyszła pani po pamiętnik, że mama zbyt dużo wiedziała o życiu innych ludzi. Mam przeczucie, że myśli pani, że mogła tym wywołać czyjś gniew i narazić się na niebezpieczeństwo.

Lady Cowdray przestała się uśmiechać i westchnęła ciężko.

- Nie ujęłabym tego dokładnie w ten sposób. Ale nie powiadaj o tym, że masz pamiętnik Madeline, dopóki go nie odkodujesz i nie poznasz wszystkich jej sekretów. Jeśli są nieszkodliwe - tym lepiej dla nas wszystkich. Po prostu bądź ostrożna, moja droga.

Po czym zaczęła wskazywać na fotografii poszczególne oso-

by i wymieniać ich nazwiska, co wymusiło na Faith zmianę tematu.

Lady Cowdray potrząsnęła głową.

- Powierzam ci zbyt dużo informacji, prawda? Nigdy nie zapamiętasz tych wszystkich nazwisk. Może przyjdiesz na kolejne spotkania naszego Towarzystwa Egiptologicznego? Poznasz ludzi, których znała Madeline, choć kilkoro z nich, z żalem to mówię, już nas opuściło.

- Opuściło? - wtrąciła Faith.

- Zmarli lub przeprowadzili się - wyjaśniła lady Cowdray. uważnie wpatrując się w fotografię. - Mam tu gdzieś zaproszenie...

Podeszła do komody i wróciła z ozdobnym kartonikiem.

- Proszę. Następne spotkanie naszej małej grupy odbędzie się w przyszłą sobotę w domu pana Hughesa. Wszystko jest na zaproszeniu. Ja także tam będę i z chęcią przedstawię ci ludzi, którzy podzielali pasję Madeline. Przyjdź z przyjaciółką, jeśli chcesz. Im nas więcej, tym weselej.

Faith rzuciła okiem na zaproszenie, a potem włożyła je wraz z dwiema fotografiami do torebki. Pamiętnik matki, owinięty w brązowy papier, ścisnęła ostrożnie pod ręką.

- Wykład wygłosi profesor Marsh - kontynuowała lady Cowdray.

Nazwisko to nic nie mówiło Faith, ale przyjemność sprawiło jej samo zaproszenie, które pobudziło też jej ciekawość. Mogła rozejrzeć się w świecie, który dla jej matki ewidentnie znaczył więcej niż własny mąż i dziecko.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Z chęcią skorzystam.

W następną sobotę będzie już w Brighton, ale zawsze może Przecież złapać poranny pociąg do Londynu i przenocować w Winnifred.

Lokaj odprowadził ją do drzwi. Na dole kamiennych schodów czekała spacerówka z podniesionym daszkiem, który miał chronić ją przed insektami. Kiedy już wspięła się do mrocznego wnętrza, zauważyła woźnicę, który z pewnością nie był Panem Farrem. Ten mężczyzna był mniej nieporęczny, miał

dłuższe ramiona i nogi, ale był równie nierozmowny. Jak wszyscy pozostali służący lady Cowdray. Czapkę miał głęboko nasuniętą na oczy, kołnierz postawiony i prawie w ogóle na nią nie patrzył. To jej odpowiadało, bo również nie była w nastroju do pogawędek.

Coś ją niepokoiło w osobie lady Cowdray. Faith oczywiście nie wątpiła w jej prawdomówność, kiedy przedstawiała okoliczności śmierci jej matki. Była to bardziej kwestia przemilczenia, niedopowiedzenia całej historii. Kiedy teraz o tym myślała, doszła do wniosku, że pomimo swych uprzejmych i pewnych siebie manier, lady Cowdray się bała. Może strach to za mocne słowo. Była zaniepokojona. Ale czym?

Poruszali się bardzo powoli, zbyt wolno, aby odpowiadało to obecnemu stanowi ducha Faith. Nie chciała spóźnić się na pociąg.

- Muszę zdążyć na stację - napomknęła uprzejmie woźnicy.

W odpowiedzi usłyszała tylko niezrozumiałe mruknięcie.

Nie rozpoznawała otoczenia, ale kiedy wyjechali z posiadłości przez ogromną, żelazną bramę, zdała sobie sprawę, że mgła znacznie zgęstniała od chwili jej przyjazdu. Jako mieszkanka Londynu była przyzwyczajona do oparów gęstych jak krem z groszku, ale w mieście mgła pokrywała brukowane, doskonale oświetlone ulice, po których łatwo było się poruszać. Na wsi było zupełnie inaczej. Nie było ulicznych latarni, które mogłyby oświetlić im drogę, ani żadnych oznaczeń. Jeśli kierowca nie będzie ostrożny, skończą w rowie.

- Spóźnię się chyba na pociąg? - Wiedziała, że zbyt długo zabawiła u lady Cowdray. ale bez reszty pochłonęły ją jej opowieści o matce.

Nagły manewr woźnicy wbił ją w kąt powozu. Podniósł bat, ale tylko po to, aby z niego strzelić i zmusić konie do szybszego galopu. Spacerówka zerwała się. kołyszac się z boku na bok i podskakując na żwirze. Faith musiała zacisnąć zęby. aby powstrzymać się od szczękania nimi. Kiedy zaczęła podskakiwać na siedzeniu, miała dosyć.

- Nieważne, że spóźnię się na pociąg - krzyknęła. - Nie będę pana o to obwiniać. Proszę zwolnić...

Krzyknęła, kiedy powóz najechał na wybój i przechylił się na jedną stronę. Jej pakunek wyslizgnał się jej z rąk, ale zdołała podnieść go z podłogi. Spanikowana, czy nie, nie zamierzała stracić pamiętnika matki.

Bum!

Jej oczy rozgorzały.

- To zabrzmiało jak strzał z pistoletu!

Bum! Bum!

- Ktoś do nas strzela. - Jej głos był piskliwy. - Pewnie myślą, że jesteśmy kłusownikami.

- Schyl się i mocno trzymaj! - Rozpoznała ten głos. - Przejedźmy przez most.

Zaniemówiła. James Burnett? Co on tu robił?

Następny wystrzał skłonił ją do położenia się na podłodze i zwinięcia w kłębek. W głowie miała natłok myśli. Ktoś popełniał potworny błąd. Nie byli kłusownikami, włamywaczami czy złodziejami. Byli przestrzegającymi prawa obywatelami. Powinni więc zatrzymać powóz i poddać się.

Gdzie pan Farr? Co zrobił mu ten szaleniec?

Była przygotowana na uderzenie, kiedy dwukółka wjechała na most, ale to odgłos kuli, która przeleciała tuż koło jej ucha sprawił, że zaczęła krzyczeć. Otworzyła oczy. James w jednej ręce trzymał lejce, a w drugiej dymiący pistolet. Gryząca woń prochu wywoływała mdłości. To jego broń właśnie wypaliła.

Powóz zwolnił i w końcu się zatrzymał.

- Cholera jasna! Nasz koń okulał. - James wyskoczył z bryczki. - Cóż, nie leż tu jak tarcza strzelnicza. Weź mnie za rękę i skacz. I nie zapomnij paczki!

Przyciskając kurczowo do piersi książkę i torebkę, podniosła się, chwyciła jego dłoń i skoczyła. Kiedy jej stopy dotknęły żwiru, zęby zazgrzytały, powodując łzy. Zanim mogła znaleźć właściwe słowa, aby go zwymyślać, zwlókł ją z drogi w gęstą mgłę. Potknęła się raz, czy dwa, ale instynkt podpowiadał jej, że prowadzi ich w znajome mu miejsce.

- Przed nami jest wodospad, za którym ukryta jest mała pieczara. Jeśli się zwiniesz, zdołasz się do niej wczołgać. Czeka tam na mnie - wyszeptał jej do ucha.

- A ty dokąd idziesz? - zapytała zaniepokojona.

- Wyrównać rachunki - powiedział i już go nie było.

Słyszała przed sobą szum wody. Kiedy w końcu ujrzała cel, jej serce zamarło. „Mała” nie było odpowiednim słowem. Pigmej miałyby trudności ze schronieniem się za tym strumykiem wody. Nie ośmieliłaby się nawet nazwać tego „wodospadem”.

Wzdrygnęła się. Była nauczycielką w żeńskiej szkole, na miłość boską, nie szpiegiem czy morderczynią. Nikt nie miał żadnego powodu, aby ją skrzywdzić. To wszystko było kolosalnym nieporozumieniem, a James Burnett winien jej był obszernie wyjaśnienia. Zachowywał się tak, jakby ludzie, którzy do nich strzelali, byli rzezimieszkami. A mogli przecież być łowczymi, tropiącymi kłusowników.

Czy łowczy najpierw strzelali, a potem zadawali pytania? Nie żeby kiedykolwiek znała jakiegoś. Nagle od strony mostu dobiegły ją odgłosy strzałów. Nie chciała zostać omyłkowo wzięta za kłusownika. Wepchnąwszy torebkę i paczkę pod poję płaszcza, przekroczyła wodospad i przykucnęła.

Minuty płynęły, a z oddali nie dobiegały już strzały, które śmiertelnie ją przestraszyły. Wydawało się jej, że została sama na świecie. W miarę jak strach opadał, nachodziły ją wątpliwości. Co robił tutaj James? Co się stało z panem Farrem? Skąd James wiedział o wodospadzie?

Nagły rozprysk wody zmoczył jej policzki, co spowodowało, że Faith drgnęła przerażona. To tylko odrobina zimnej wody, powiedziała sobie i jej serce stopniowo się uspokoiło. Czuła narastające zniecierpliwienie. Właśnie usłyszała historię życia swojej matki. Nie było nic, co mogłoby ją przerazić. A teraz ona, jej córka, kuli się w tej lisiej norze jak zbiegły skazaniec? Nie zrobiła przecież nic złego.

Na tę myśl wyprostowała się, przywarła plecami do kamiennej ściany i wychyliła zza wodospadu. Oddychając głęboko, przeszła przez wodną kurtynę i natychmiast się potknęła. Miała

przemoczone buty. brzeg płaszcza ociekał wodą i chciało jej się płakać. Pozwoliła sobie na małe pociągnięcie nosem i zamarła, usłyszawszy, że ktoś się zbliża.

- Mam jedno z nich - krzyknął kulturalny głos. We mgle pojawił się kształt, cień, niewyraźny i przerażający.

Ten sam głos kontynuował:

- Nie ma śladu tego drugiego. - Po czym zwrócił się do Faith. - Podejź tu i nie próbuj żadnych sztuczek.

Faith starała się przemawiać wyraźnie i rozsądnie, w jej głosie słyhać było tylko delikatne drżenie:

- To wszystko to jakieś kolosalne nieporozumienie. Mój przyjaciel myśli chyba, że są panowie opryszkami, a wy zdajecie się przekonani, że my jesteśmy kłusownikami. A to nieprawda. Lady Cowdray niewątpliwie zaręczy...

Słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła wymierzony w siebie rewolwer. Serce zaczęło gwałtownie bić. prawie nie słyszała szumu wodospadu przez krew, która huczała w jej uszach.

Ktoś inny wyłonił się z mgły, jego głos wyraźnie nosił śladu tutejszego akcentu. Nie mógł złapać tchu z wysiłku.

- Trzech naszych zniknęło. Rób, co masz robić, i zwiewajmy, zanim pojawi się ten jej przyjaciel.

Rób, co masz robić. Nie podobał się jej wydźwięk tych słów. Gdzie podziewał się James? Dlaczego porzucił ją na łaskę tych opryszków?

- Cierpliwości - odparł kulturalny głos. - Najpierw musi oddać nam książkę.

Oddać książkę? A co będzie potem? Kiedy w końcu zrozumiała, ogarnął ją paniczny strach. Zamierzał ją zabić! Miała tylko jedną szansę i zamierzała ją wykorzystać.

- James! - wrzasnęła z całych sił, jakby wydając wojenny okrzyk i skoczyła na mężczyznę z bronią, mężczyznę, którego uważała za przywódcę.

Nie spodziewał się ataku. Pozbawiony równowagi, z okrzykiem zdziwienia zachwiał się na brzegu bystrego strumienia, po czym wpadł do niego, rozpryskując wodę. Jego kompan był

zbyt powolny dla Faith. Z prędkością zrodzoną z desperacji przemknęła obok niego i popędziła w mgłę.

Nigdy nie biegła szybciej. Jej serce nigdy nie pompowało krwi w takim tempie. Chociaż biegła na oślep, tylko jedna myśl kołatała w jej głowie. Musi uciekać.

Nagle z mgły wyłoniła się przed nią wysoka postać. Faith pochyliła głowę i zaatakowała. Zrobił unik, chwycił ją od tyłu i dłonią nakrył jej usta, tłumiąc krzyk.

- Niczego nie umiesz zrobić właściwie? - warknął jej do ucha. - Miałś się schować. Byłaś tam bezpieczna. Coś ty sobie myślała, ujawniając się i wrzeszcząc moje imię?

Na dźwięk głosu Jamesa ciało Faith rozluźniło się. Kiedy oderwał rękę do jej twarzy, wyszeptała:

- Musimy wrócić do domu lady Cowdray, tam będziemy bezpieczni.

- To pierwsze miejsce, w którym będą szukać. Masz książkę?

- Tutaj. - Rozpięła płaszcz i wyciągnęła torebkę i paczkę.

- Dlaczego jest taka wyjątkowa? Dlaczego chcieli dla niej zabić?

Faith potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie wiem. To tylko pamiętnik mojej matki. Może kiedy w końcu zdołam go przeczytać, coś mi powie.

- W takim razie wynośmy się stąd.

- Dokąd idziemy?

- Wracamy na stację, musimy złapać pociąg.

Chciała zaprotestować, że nie zdoła dotrzeć aż tam, ale dobiegający ją z lasu szept znów popchnął serce do galopu. Przełykając strach, chwyciła się kurczowo płaszcza Jamesa i pobiegła jego śladem.

* * *

Kiedy dotarli na stację, pasażerowie właśnie zaczynali wsiadać do pociągu.

- Jeśli pobiegniemy...

Faith przerwała. Z trudem mogła złapać oddech. Pokonali dystans dzielący ich od stacji w dziesięć minut, jej ciało właśnie karało ją za wystawianie go na taką próbę. Nogi miała ciężkie jak z ołowiu, płuca płonęły, a gdyby James jej nie podtrzymał, w ogóle nie mogłaby się ruszyć.

- Pospieszmy się - zdołała wyszeptać.

Przeszukiwał wzrokiem peron, na wypadek gdyby któryś ze zbirów dotarł tutaj przed nimi. Zadowolony z tego, że jego sen go nie zwiódł, skupił uwagę na Faith.

- Co powiedziałaś?

- Spóźnimy się na pociąg.

- Och, on nie odjedzie beze mnie.

Teraz naprawdę się zdenerwowała.

- Nie bądź głupi. Pociągi nie czekają na nikogo.

- Cóż, na mnie owszem. O, jest zawiadowca stacji. Muszę zamienić z nim słówko. To zajmie tylko chwilę. Ukryj twarz i nie wychylaj się za bardzo.

Ruszał się tak szybko, że nie miała okazji zaproponować. Otaczając ją ramionami, pospieszył do pociągu, wręczył konduktorowi dwa bilety, wepchnął ją do wagonu i odszedł, aby porozmawiać z zawiadowcą.

Ze swojego miejsca mogła obserwować twarz kolejarza. Potrząsnął głową w odpowiedzi na coś, co powiedział James. Potem jego oczy rozszerzyły się i przytaknął. Faith przebiegła wzrokiem platformę. Nie było śladu nikogo, kto mógłby wyglądać na oprycha. Ale z drugiej strony, co ona mogła o tym wiedzieć.

Jej uwagę przykuł wystrój wagonu, do którego wepchnął ją James. Oczywiście, była to pierwsza klasa. Wagon składał się z dwóch osobnych przedziałów, oba były puste, i z toalety, znajdującej się na końcu krótkiego korytarza. Była to, rzecz jasna, toaleta do wyłącznego użytku pasażerów podróżujących Pierwszą klasą.

Konduktor odgwizdał odjazd w momencie, w którym James zajął miejsce obok niej.

- Przejdźmy do ostatniego przedziału w wagonie - powiedział. - Zawsze uważałem je za najwygodniejsze.

- Nie interesuje mnie wygoda! - Zniecierpliwienie w jej głosie sprowokowało go do uniesienia brwi. - Interesuje mnie to, że ktoś chciał mnie zabić! I to, co opowiedziałeś zawiadowcy stacji. Ale przede wszystkim, interesuje mnie to, co robisz w Chalbourne i skąd wiedziałeś, że tu będę.

Metal zazgrzytał o metal, a spod kół wydobył się kłęb pary, pogrążając pierwsze wagony w duszących oparach.

- Czy możemy zająć miejsca, zanim szarpnięcie zwali nas z nóg? - zapytał James.

Jeżeli miałyby wymienić cechę, której najbardziej w nim nie lubiła, byłyby to niewątpliwie jego apodyktyczna natura. Z drugiej strony jednak, gdyby się nie zjawił, mogłaby już teraz leżeć martwa w jakimś rowie.

Wzruszając ramionami, podążyła za nim do przedziału, zagłębiła się w poduszkach doskonale wymoszczonej ławki i czekała, aż do niej dołączy.

- Cóż, Jamesie Burnett, czekam na wyjaśnienie.

Kiedy wybuchnął śmiechem, wzdrygnęła się.

- Czy powiedziałam coś śmiesznego?

Potrząsną głową, ale nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Spójrz na siebie - powiedział. - Spójrz na mnie. Wyglądamy jak para strachów na wróble.

Musiąca przyznać mu rację. Oboje byli oblepieni błotem, ich włosy były pełne zeschniętych liści. Ona straciła czepek, ale przynajmniej jej cenny pakunek pozostał nienaruszony. Położyła na nim ręce w nieświadomym, obronnym geście.

- Gdy tylko pociąg ruszy, będziesz mogła skorzystać z toalety, aby doprowadzić się do porządku.

Była bardzo ciekawa. Zawsze chciała zobaczyć wszystkie udogodnienia, którymi mogli rozkoszować się pasażerowie pierwszej klasy.

- Potem - powiedziała. - Najpierw chcę się dowiedzieć, skąd się wzięłaś w posiadłości lady Cowdray i jak się dowiedziałeś, że te opryszki będą na mnie czatować.

Przezeszał włosy palcami i posłał jej błagalne spojrzenie. W końcu wzruszył ramionami.

- Mam dwa wyjaśnienia. Po pierwsze...

- Tak?

James złączył palce i wpatrywał się w nie w milczeniu. Pamiętał swój sen, to, jak wszystko ułożyło się w jego głowie jak mapa: dom, most, wodospad, cała sytuacja. Wdarł się do umysłu przywódcy bandy i wiedział, gdzie umieścić on swoich ludzi. To było jak partia szachów. Nie było możliwości ominięcia tego. Nie mógł powstrzymać Faith przed odwiedzeniem lady Cowdray, nie chciał tego robić. Koniecznie musiała odebrać książkę. Wszystko, co mógł zrobić, to grać do zwycięstwa.

Zaczerpnął oddech.

- Po pierwsze, musisz wiedzieć, że odziedziczyłem po Mc Echeranach pewien dar - mogę zobaczyć przyszłość.

Przerwała mu niedowierzającym prychnięciem.

- Proszę cię. Czy wyglądam na prostaczkę? To nie żarty. Znaleźliśmy się w poważnych tarapatach.

Obserwował ją uważnie przez chwilę, po czym powtórzył:

- Zgodnie z tym, co powiedziała moja szkocka babka Mc Echeran, jestem O'Grampianem-jasnowidzem.

- Cóż, zgodnie z tym, co powiedziała mi moja irlandzka babka McBride, korzenie naszej rodziny sięgają Merlina, a to przebija każdego czarnoksiężnika, którego imię zdołasz wymienić. Czy możemy kontynuować? Powiedziałaś, że masz dwa wyjaśnienia. Oby to drugie było bardziej prawdopodobne.

Uniósł ramiona w geście rezygnacji.

- Dobrze więc, zróbmy to po twojemu. Jest tak, jak już mówiłem. Zobaczyłem w gazecie twoje ogłoszenie i postanowiłem podążyć tym tropem. Kiedy powiedziałaś mi, że podejrzewasz, że ktoś cię śledzi, to także postanowiłem zbadać.

Oddychała ciężko, ponieważ domyśliła się, co musiało się stać.

- Włamałeś się do mojego pokoju i znalazłeś korespondencję!

- Nie chciałaś niczego powiedzieć. Co innego mogłem zrobić?

- Wiedziałaś, że dzisiaj miałam się spotkać z lady Cowdray?
- I nie żałuję tego. - W jego głosie słysząc było urazę. - Te zbiry czekały tam na ciebie.

- Jakim cudem w ogóle się o tym dowiedziałaś? I nie wciskaj mi tych dyrdymałów o przewidywaniu przyszłości.

- Nie miałem zamiaru. Podśledzałem ich po drodze. Mieli czekać w zasadzce pod mostem. - Tak mu się przynajmniej przyśniło, więc nie była to kompletna nieprawda. - Chcą pamiętnik. Jesteś bezpieczna tak długo, dopóki nie dostaną go w swoje ręce.

Zmarszczyła brwi.

- Dokąd pobiegłeś, gdy chowałam się za wodospadem? Jeden ze zbirów powiedział, że stracili trzech towarzyszy. Oni nie...?

Wstrzymała oddech.

- Ależ oczywiście, że żyją! - Potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Pobiłem ich trochę, to wszystko. Nic im nie będzie.

- Czy śledziłeś mnie w drodze do lady Cowdray? - drażyła dalej.

- Jechałem tym samym pociągiem.

- Ale...

Tym razem on jej przerwał.

- Skończ wreszcie z tymi bezsensownymi pytaniami! Żyjemy! A sprawy mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Nie bądź taką sensatką. Wszystko się ułożyło, prawda?

Miał rację. Odurzająca mieszanka emocji - spóźniona ulga, radość, zachwyt - uderzyła jej do głowy, przyprowadzając ją o zawroty.

- Masz rację, wszystko się ułożyło.

- To właśnie chciałem usłyszeć.

I wtedy ją pocałował.

Nie był to łagodny pocałunek. Był dziki, zachłanny, cudowny, dokładnie taki, jakiego w tym momencie potrzebowała. Żyła, odczuwała to desperacko, tak jak James. Potrzeba potwierdzenia tego faktu zalała każdą komórkę jej ciała. Owinęła się wokół niego, delektując się siłą ramion, które ją otaczały. Pragnęła rozplątać się w tym cudownym uczuciu.

Kiedy językiem dotknął jej języka, znajomy dreszcz odezwał się głęboko w jej ciele. Nie mogli się sobą nasycić. Przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach, a twarda wypukłość jego spodni sprowokowała u niej bolesny skurcz niezaspokojonego pragnienia. Całował ją i całował, jego usta miażdżyły jej z pasją, która przyprawiała o zawrót głowy. Jego ręce ześliznęły się na jej pośladki, przyciągnął ją do siebie brutalnie i umieścił w swoich pachwinach. Kiedy pochylił się nad nią, zajęczała, ogarnięta coraz gwałtowniejszą potrzebą.

Całowała jego policzki, uszy, szyję i wydała cichutkie westchnienie satysfakcji, gdy wyczuła gwałtownie przyspieszone tętno. Jej ruchy były gorączkowe i pospieszne, ale ona chciała tego pośpiechu. Była już zmęczona ograniczeniami, które nakładano na nią jako na córkę swojego ojca, damę do towarzystwa, nauczycielkę. Chciała być taka jak matka. Chciała wycisnąć z życia tyle, ile można, nie oglądając się na konsekwencje. Pojawi się przyjemność. I ból. Ale przynajmniej zapełni czymś tę pustkę, w której znajduje się jej serce, i poczuje, że naprawdę żyje.

Jej zapał rozpalił go jak ogień, przyłożony do suchej podpałki. Rozpiął jej płaszcz i rozerwał górę sukni, odsłaniając ją aż do pasa. Szybko poradził sobie z gorsetem i w końcu mógł sycić się jej piersiami, dopóki ból i przyjemność nie zlały się w słodką męczarnię.

Kiedy podniósł głowę, aby na nią spojrzeć, oboje łapczywie łapali oddech.

- Nigdy wcześniej cię takiej nie widziałem. Co...?

Nie mogła pozwolić, aby zepsuł tę chwilę słowami. Sięgnęła do rozporka jego spodni i zaczęła odpinać guziki.

- Nie szukam miłości. Nie pragnę męża. Chcę doświadczyć wszystkiego, co życie może mi zaoferować, zanim będzie za późno.

Zapadła głęboka cisza, a potem James chwycił ją i bezceremonialnie popchnął na swoje miejsce. Zamrugnęła gwałtownie powiekami, dochodząc do siebie.

- James? - wyszeptała zdyszana. - Dlaczego?

Wykrzywił się, a ona instynktownie się odsunęła.

- Nowe doświadczenie? Tym dla ciebie jestem? - Jego ton ranił ją mocno. - Nie potrafisz się pohamować. To właśnie wpędziło nas w kłopoty tyle lat temu. Pożądanie. Czyste, zwierzęce pożądanie. Widać, żadne z nas nie potrafi uczyć się na błędach. - Wyprostował się i skrzyżował ramiona na piersiach. Po chwili odezwał się bezbarwnym głosem. - Może jednak wrócimy do tematu naszej rozmowy? Ja odpowiedziałem na twoje pytania. Teraz twoja kolej, aby odpowiedzieć na moje.

Faith wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, poprawiając na sobie ubranie. Chciała rozwalić mu głowę. Chciała go udusić, opluć i rozetrzeć na proch.

Pożądanie. Musi mieć rację, ponieważ ona nigdy, przenigdy nie mogłaby pokochać kogoś równie niewrażliwego jak James Burnett.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w okno. Mgła zaczęła się podnosić, przebijały się przez nią promienie słońca i w końcu mogła podziwiać angielskie krajobrazy w całej ich krasie.

- Faith?

Nawet na niego nie popatrzyła.

- Co chcesz wiedzieć?

Jego głos stał się łagodny i miękki.

- Zaczynj od początku - powiedział. - Co skłoniło cię do umieszczenia ogłoszenia w gazecie?



Wpatrywała się w okno, aby nie mógł zobaczyć, że jest wściekła. Była kobietą wzgardzoną nie raz. lecz dwa razy. I to przez Jamesa Burnetta! Ze wszystkich ludzi na świecie, właśnie przez niego. Jak mogła tak przy nim topnieć? Gdyby spojrzała na niego teraz, jej gorący wzrok spaliłby go na popiół.

Niewzruszenie wpatrywała się w okno. zbierając myśli.

- Zaczęło się - powiedziała - w banku Ransome mniej więcej miesiąc temu. Na długo przed tym, zanim porzuciłam posadę u lady Beale. zdeponowałam tam w skrytce kufer, mając nadzieję odebrać go, gdy już się gdzieś zadamowię. Miałam jednak mnóstwo rzeczy na głowie i ostatecznie nigdy się o niego nie upomniałam.

Odwróciła głowę od okna i popatrzyła na niego.

- Nie zapomniałam o nim, ale wydawało mi się, że nie ma w nim nic cennego. Kufer należał do mojego ojca, w środku były jego rzeczy - głównie dokumenty prawne, biznesowe, pamiątki z czasów studiów, stare zdjęcia. Jedynym powodem, dla którego w końcu zdecydowałam się przejrzeć jego zawartość, był zbliżający się Dzień Otwarty. Wiedziałam, że w kufrze jest komentarz ojca do Herodota i pomyślałam, że z jego pomocą lepiej przygotuję moje dziewczęta do lekcji tłumaczenia.

James znał zwyczaj oddawania kufrow na przechowanie do skarbcza Ransome. W większości jego klientami byli ludzie, którzy dużo podróżowali - żołnierze, wyruszający na misję, lub dłużnicy, uciekający przed wierzycielami. Wiadomo było bowiem, że Ransome nigdy niczego nie wyrzuca. Człowiek mógł

tam wrócić po wielu latach, wiedząc, że jego depozyt będzie czekał nienaruszony.

Faith znów zapatrzyła się w okno.

- Kiedyś, przez przypadek rozsypałam pakiecik fotografii, a kiedy zaczęłam je podnosić, zobaczyłam na odwrotnej stronie jednej z nich inskrypcję. Nigdy wcześniej nie widziałam tego zdjęcia. Musiało być sklezione z jakimś innym. Tak czy inaczej, zawsze je przegapiałam. Napis głosił: Madeline Maynard. I tyle.

Kiedy przerwała, James zapytał łagodnie:

- A tak brzmiało panięńskie nazwisko twojej matki?

- Bardzo sprytnie. Z twoimi parapsychicznymi zdolnościami możesz chyba zgadnąć, dlaczego byłam w szoku.

Dokuczala mu i pomyślał, że chyba faktycznie na to zasłużył. Problemem był fakt, że Faith nie wiedziała, kiedy go powstrzymać, choć tym razem niewątpliwie otrzeźwiła go jej zimna, wyrachowana odpowiedź. On pragnął jej. A ona pragnęła żyć. Czy tylko tym był dla niej? Nowym doświadczeniem?

Czekała na jego odpowiedź.

- Dlaczego byłaś zdziwiona. Faith?

- Ponieważ kobieta na fotografii wyglądała na czterdzieści lat. Moja matka umarła w wieku lat dwudziestu sześciu. Przy najmniej tak mi zawsze mówiono. Zginęła podczas przejażdżki łodzią na jeziorze Windermere. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Wiem to od ojca.

- Byłaś pewna, że kobieta na fotografii jest twoją matką?

- Tak. bezsprzecznie. Były tam też inne jej zdjęcia, ale na tamtych była znacznie młodsza, poza tym były ziarniste i wyblakłe. To nowsze to był portret - nie miałam wątpliwości, że to Madeline.

- Co się stało z kufrem twego ojca?

- Uporządkowałam go. Zawierał głównie książki, których nie mogłam zabrać, oraz stare papiery.

- Zamieściłaś więc w gazecie ogłoszenie, mając nadzieję, że twoja matka na nie odpowie?

- Byłam po prostu ciekawa. - Jej głos zaczął drżeć. - Chciałam się dowiedzieć, gdzie jest i co robi. Myślałam, że może straciła pamięć albo... Nie wiem, na co liczyłam. - Potrząsnęła

głową. - Nie. To nieprawda. Nie pytaj skąd. ale wiedziałam, że nie żyje.

- Gdzie jest teraz ta fotografia? - zapytał łagodnie.

Podniosła torebkę.

- Tutaj. Musiałam ją wysłać lady Cowdray, aby udowodnić jakoś swoje pokrewieństwo z Madeline Maynard. Zwróciła mi dzisiaj, kiedy pojechałam ją odwiedzić.

Po wszystkim, co dziś przeszła, nie był pewien, czy to najlepszy moment na przesłuchania. Z drugiej strony jednak, lepsza chwila mogła nigdy nie nadejść. Pomiędzy nimi było zbyt dużo wspólnej historii do przezwyciężenia.

Starając się utrzymać neutralny ton głosu, zapytał:

- Opowiedz mi. co wydarzyło się u lady Cowdray, Faith. Pomóż mi zrozumieć, dlaczego znalazłaś się nagle w centrum burzy, która się wokół ciebie rozszalała.

- Sama chciałabym to wiedzieć! Jak już mówiłam, zaczęło się. gdy zamieściłam to ogłoszenie.

Powoli, z wahaniem opowiedziała mu wszystko, czego dowiedziała się od lady Cowdray, ale było w tym opowiadaniu dużo luk. W końcu powiedziała:

- Myślę, że to nie ja jestem w centrum burzy, a moja matka.

Delikatnie poklepała książkę, owiniętą w brązowy papier. która leżała na siedzeniu obok.

- Kiedy przeczytam pamiętnik, będę wiedziała dlaczego.

- Moglibyśmy zacząć już teraz. Mogę zapalić lampę...

- To nie takie proste. Jest pisany kodem i będę potrzebować czasu, aby go odczytać.

- Opowiedz mi więc o swojej matce. Jaka była?

- Szkoła Winnifred byłaby dumna, mogąc nazwać ją swoją absolwentką. Była odkrywczą i poszukiwaczką przygód, tak jak lady Cowdray. Odwiedzały miejsca, dostępne tylko nieustraszonym wędrownikom, takim jak one same. - Oparła głowę na ławce, wpatrując się w niego. - Jak widzisz, mąż i dziecko byłiby dla mojej matki tylko zawadą. Dlatego nas porzuciła. o ile wiem, nigdy nie oglądając się za siebie. Została pochowana w Egipcie. Jest tam koptyjski kościół. Wątpię, abym kiedykolwiek miała możliwość odwiedzić jej grób.

Kiedy pograżyła się w swoich myślach, westchnął lekko, ale nie popędzał jej. Cierpliwości, nakazał sobie.

W końcu powiedziała:

- Wiesz, całe życie mieszkałam w Anglii, z wyjątkiem jednej, krótkiej podróży do... Walii. Moja matka była egiptologiem. Pisała do gazet artykuły na temat miejsc, które odwiedziła. Z tego się utrzymywała. Miała pseudonim literacki: Madeline Wolf. To jasne, że nie chciała zostać odnaleziona.

Wyciągnął nogi i czekał cierpliwie, aż podejmie wątek.

- Nie mam pojęcia, dlaczego mój ojciec nie powiedział mi prawdy.

- Może - odezwał się James, próbując delikatnie poddać jej tę myśl - bał się, że straci również ciebie, że gdy dorośniesz, spróbujesz ją odnaleźć i do niej dołączyć.

- Wątpię, aby mnie chciała. Nie posiadam tego rodzaju umiejętności skupienia się wyłącznie na jednym celu, która cechowała ją i inne odważne damy, które mogliśmy spotkać podczas Dnia Otwartego w Winnifred.

Było coś wyzywającego w spojrzeniu, jakim go obdarzyła, i dlatego nie zdecydował się podjąć tematu. Przytaknął niezobowiązująco, po czym zapytał:

- Czy lady Cowdray nie dała ci żadnej wskazówki, która wyjaśniłaby, dlaczego zastawiono na ciebie pułapkę i chciano odebrać ci pamiętnik matki?

- Nie jestem pewna. - Jej brwi zbiegły się, gdy próbowała skupić myśli. - Chyba uważa, że moja matka zmarła w dość tajemniczych okolicznościach.

- Co? - Był zdumiony. -I dopiero teraz mi o tym mówisz? Zacisnęła wargi i wyprostowała się.

- To tylko niejasne przeczucie lady Cowdray.

- Cóż. gorąco wierzę w przeczucia. Co dokładnie ci powiedziała?

Faith wstrzymała oddech. Wypuszczając go powoli, opisała, co działo się w noc śmierci jej matki i jak lady Cowdray znalazła pamiętnik w swoim kufrze po powrocie do Anglii.

- I nie wie. kto go tam umieścić? - zapytał James.

- Najwyraźniej nie.
- Co stało się z bagażem twojej matki?
- Och, nie pomyślałam, aby o to zapytać - odpowiedziała z konsternacją.

Zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu zapytał:

- Lady Cowdray nie chciała oddać pamiątki twojej matki do rozkodowania?

- Tak powiedziała.

- Hmm... - Zagłębił się w siedzeniu, skrzyżował nogi w kostkach i złączył palce. - Wydaje mi się, że lady Cowdray wie więcej, niż mówi.

- Też mi się tak wydaje, ale nie mogłam po prostu jej tego powiedzieć.

Siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Pierwsza odezwała się Faith.

- Co powiedziałaś zawiadowcy stacji?

- Zawiadowcy?

- Zanim wsiedliśmy do pociągu.

- Ach. - Wprostował się. - Powiedziałem, że słyszałem odgłosy strzałów, dochodzące z posiadłości lady Cowdray i że wyłoniłaś się nagle z mgły, krzyząc: „mordercy”. Doradziłem mu, aby zatelefonował do jaśnie pani, aby ją ostrzec przed grasującymi w okolicy jej domu zbirami. Niestety, okazało się, że ani lady Cowdray, ani żaden inny mieszkaniec Chalbourne nie posiada telefonu, ale zawiadowca zapewnił mnie, że natychmiast wezwie policję.

Zdziwiona, potrząsnęła głową.

- Słucham?

- Chalbourne to małe miasto. Nie dziwię się, że nie ma tu telefonów. Wszędzie możesz się dostać spacerem w pięć minut. Każdy znajduje się na odległość głosu.

- Nie, jeśli mieszkasz w Londynie i chcesz porozmawiać z policją w Chalbourne.

Uderzyło ją także coś innego.

- A pan Farr? Co się stanie, jeśli opowie władzom, że ukradłeś powóz?

Przemawiał do niej, jakby była nierozgamiętym dzieckiem:

- Pan Farr nic o mnie nie opowie. Jestem na tyle inteligentny, że nie ujawniam twarzy, popełniając przestępstwo. Nie. Myślę, że będą podejrzewać tych samych ludzi, którzy do nas strzelali.

Wpatrywała się w niego kilka chwil niewidzącymi oczami. W końcu niezauważalnie skinęła głową.

- Czy mam poważne kłopoty, James?

Wzruszył ramionami.

- Co do tego akurat nie ma najmniejszych wątpliwości. Masz książkę, której pragną bandyci. Ktokolwiek tym kieruje, musi się zastanawiać, czy już ją przeczytałaś i czy wiesz coś, czego nikt nie powinien wiedzieć.

- Jeśli jest gotów zabić, aby ją zdobyć, znaczy to, że...

- Że ukrywa coś naprawdę poważnego, coś, co może go kompletnie zdyskredytować albo nawet zaprowadzić na szubienicę.

Milczała przez moment, po czym wyszeptała:

- Ale skąd wie o pamiętniku? Ja nie zdawałam sobie sprawy z jego istnienia, dopóki lady Cowdray mi go nie podarowała.

- Może komuś o nim opowiadała? - Jego oczy zwięziły się, gdy rozważał różne opcje. Po chwili spojrzał na nią. - Myślę, że ten ktoś przeczytał list lady Cowdray adresowany do ciebie i dodał dwa do dwóch. Napisała przecież, że ma coś, co należało do Madeline, a co może cię zainteresować.

Wpatrywała się w niego przerażona.

- Wiesz, jak się teraz czuję? Mogłam zostać zamordowana w moim własnym łóżku. Kto mógłby zrobić coś takiego? - Zaciśnęła wargi. - Co ja mówię. Ty zrobiłeś dokładnie to samo, prawda?

Pochylił się i poklepał jej dłoń.

- Tak, ale ja jestem po twojej stronie. Nie jesteś sama. Tkwimy w tym razem. - Położył palec na jej ustach, aby powstrzymać rzekę pytań. - Zawiadowca stacji zna moje nazwisko, założę się więc, że wkrótce nasz wspólny wróg będzie wiedział, że jestem w to zamieszany.

Wstał i zapalił lampę.

- Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu. Zobaczmy, co tu znajdziemy, aby zaostriżyć apetyt.

Obserwowała, jak z półki nad ich głowami ściąga owinięty kraciastą ściereczką koszyk. Zajrzał do środka.

- Zimny kurczak, ser, ciasto z owocami - wymieniał. - Ach, i butelka wybornego clareta, aby wszystko spłukać. - Uśmiechnął się do niej. - Dlaczego nie skorzystasz z łazienki, aby się odświeżyć, kiedy ja będę nakrywał?

Próbowała nie być pod wrażeniem.

- Jesteś z siebie dumny, prawda? - powiedziała, pociągając nosem.

- Och, to nie specjalnie dla mnie. Wszystkich pasażerów pierwszej klasy ugaszczamy w ten sposób.

Gdyby nie była tak głodna i nie pragnęła desperacko skorzystać z łazienki, na pewno powiedziałałaby mu coś jeszcze. Z godnością wyszła z przedziału. Gdy wróciła, ogarnęło ją zdumienie nad panującym wokół luksusem.

- O czym myślisz? - zapytał łagodnie, podając jej kieliszek wina.

- Zastanawiałam się - odpowiedziała - czy mogłabym nauczyć się strzelać z pistoletu.

Ze zdziwieniem zauważył, że te słowa sprawiły mu niewiarygodną przyjemność.

* * *

Jeszcze raz przedyskutowali całą historię, od momentu, w którym Faith znalazła w kufrze ojca, zdeponowanym w banku Ransome, fotografię matki, do wydarzeń tego wieczoru, gdy banda opryszków zasadziła się na nią, gdy opuszczała dom lady Cowdray. Drobiazgi, które przegapiła, przypominały jej się teraz i w głębi ducha przeklinała się za to, że nie zadała swojej gospodyni więcej pytań.

- Zaprosiła mnie na spotkanie Towarzystwa Egipcologicznego. Mam tu gdzieś zaproszenie. - Wyciągnęła z torebki nie tylko ozdobny kartonik, ale również fotografię matki i zdjęcie.

które podarowała jej lady Cowdray. - To zdjęcie, które prześłałam lady Cowdray. A to zaproszenie, o którym mówiłam.

Pobieżnie rzucił okiem na zaproszenie, a potem skupił się na fotografii. Patrzył na twarz kobiety niezwykle podobnej do Faith, ale rysom której brakowało jej delikatnych, kobiecych linii. Możliwe, że to opowieści Faith o jej nieustraszonym charakterze wpłynęły na jego postrzeżenie. Podziwiał z całego serca kobiety takie jak Madeline Maynard, ale wołał to robić z daleka.

- To nie najlepsze zdjęcie - powiedziała i odwrócił je, aby przeczytać inskrypcję.

- Cóż, było zrobione wiele lat temu. Od tego czasu w dziedzinie fotografii poczyniono wielkie postępy. - Podała mu drugie zdjęcie. - To pochodzi z ostatniej podróży mojej matki do Kairu. Kilka dni później już nie żyła.

Wpatrywał się w twarze na zdjęciu i zauważył Madeline w pierwszym rzędzie.

- Gdzie są teraz ci ludzie?

- Niektórzy z nich są członkami Towarzystwa Egipcologicznego. Lady Cowdray obiecała, że przedstawi mnie im podczas kolejnego spotkania. Kilkoro, według jej słów, już nas opuściło.

- Nie żyją.

Przytaknęła.

- Albo się przeprowadzili.

- Czy mógłbym pożyczyć tę fotografię?

Jej odpowiedź zagłuszył stukot kół pociągu, który wjechał na most. Kanapki i przekąski na jej talerzu wykonały dziki taniec, który nagle ustał, gdy wagon minął most. Hałas wydawany przez lokomotywę wywołał szeroki uśmiech na twarzy Jamesa.

- Widzę, że maszynista dobrze się bawi - zauważyła.

Wsunął zdjęcie do kieszeni płaszcza.

- Założę się, że połowa mężczyzn w pociągu marzy, aby być tam z nim.

Uśmiechnęła się słabo i na krótko.

- Nie mogę uwierzyć, że nagle znalazłam się w środku skomplikowanego spisku.

- Nie spisku - poprawił ją. - Przynajmniej nie według mnie. Stawiam na jednego łotra, który myślał, że ujdzie mu na sucho zbrodnia lub podobnie poważne przestępstwo i który wpadł w panikę, gdy dowiedział się, że ktoś szuka Madeline Maynard.

- Przełknął łyk wina i popatrzył na nią znad brzegu kieliszka.
- Rozumiesz, co to oznacza?

- Oznacza to, że pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie kupno pistoletu, którym nauczę się posługiwać. Nie. Pierwszą rzeczą będzie wyjazd z Londynu. Przecież Lily na mnie czeka.

- A gdzie jest Lily?

- W Brighton, ze swoim bratem i jego rodziną. Co roku do nich jeździmy.

Potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się pomysł twojego wyjazdu do Brighton ani tym bardziej pozostania w Winnifred. Te opryski będą cię szukać w pierwszej kolejności w tych właśnie miejscach. Za kilka dni, jeśli nikt nie wyważy ich drzwi i nie zaciągnie do więzienia, poczują się bezpieczni. Chcę cię wtedy mieć na oku.

Pamiętała mężczyznę o kulturalnym głosie, który mierzył do niej z broni, i przełknęła z trudem.

- Faith?

Spojrzała na niego. Wstał, aby odłożyć koszyk na półkę nad ławką. Widziała mięśnie, rysujące się pod skórą rąk i szerokich ramion. Jego dłonie były kwadratowe i silne, na tyle silne, aby rozbić kilka głów. Był zbudowany jak zapaśnik. Choć z trudem przychodziło jej to przyznać po tym, jak ją odepchnął, była bardziej niż chętna, aby pozwolić mu się sobą zaopiekować.

Usiadł obok.

- Spójrz na jasne strony tej sytuacji - powiedział. - Przy odrobinie szczęścia już za kilka godzin będziemy wiedzieć, kto chciał cię skrzywdzić. Musisz tylko rozszyfrować pamiętnik matki.

- Powiedziała ci - to nie będzie wcale takie proste.

Wzruszył ramionami.

- Dobrze. Niezależnie od tego, ile czasu to zajmie, chcę cię mieć cały czas na oku.

Zlustrowała go spojrzeniem i doszła do wniosku, że w jego słowach nie ma żadnych podtekstów. Oczywiście, nawet nie myślała o tym, aby ją uwieść w jakimś obskurnym hotelu. Wyraził swoją opinię jasno i dobitnie.

- Jeśli nie mogę zatrzymać się w szkole ani dołączyć do Lily w Brighton, dokąd mam się udać?

- Moja ciotka będzie bardziej niż szczęśliwa, mogąc udzielić ci gościny. Pamiętasz moją ciotkę? Poznałaś ją na Dniu Otwartym. Ma dom na Berkeley Square.

- A co powstrzyma tych zbirów przed ściganiem mnie w domu twojej ciotki? Wątpię, aby dwie kobiety dały sobie z nimi radę, kiedy przyjdą po pamiętnik.

Wykrzywił usta.

- Nie byłbym tego taki pewien. Myślę, że ty i moja ciotka dałybyście sobie radę z każdym. Ale przecież nie będziecie same. Miałem zamiar również się tam przeprowadzić. Mam nadzieję, że nie na długo.

- Czy to nie będzie wyglądało podejrzanie? Twoje przenosiny do ciotki?

- Rozpowiem, że postanowiłem urządzić dom. Jeśli się nad tym zastanowić, nie będzie to dla nikogo dziwne. Nie był remontowany od lat, a większość pokoi stoi pusta. Nie. Żadnych więcej pytań. Potrzebuję czasu, aby się zastanowić nad tym, jak to wszystko przeprowadzić.

Jej oddech przyspieszył. Znów to robił, przejmował kontrolę, jakby był prezesem firmy, a ona jednym z jego pracowników.

- Czyli nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie?

Wyciągnął ramię na oparciu ławki i posłał jej senne spojrzenie.

- Ależ oczywiście, że masz. Zamieniam się w słuch. Jak to wszystko, twoim zdaniem, przeprowadzimy?

Przygryzła dolną wargę i zapatrzyła się w okno.

- Potrzebuję czasu, aby to przemyśleć.

- W porządku. - Popatrzył na zegarek. - Mamy jeszcze co najmniej godzinę, zanim dotrzemy do Londynu. Ja utnę sobie drzemkę.



Było ciemno, gdy dotarli do domu na Berkeley, a kiedy wysiedli z powozu. Faith zaczęła się wahać. Czuła się jak intruz i była przekonana, że pani Ley land poczuje się wmanewrowana w całą tę sytuację. James łagodnym tonem polecił jej, aby pozwoliła mówić tylko jemu, co dodatkowo spotęgowało u niej poczucie dyskomfortu. Trzymała głowę prosto i poruszała nogami tylko dlatego, że do piersi przyciskała pamiętnik matki. Choć wyszła z wprawy, wiedziała, jak odczytać kod ojca. To stało się jej obsesją - rozszyfrować pamiętnik, w nadziei na znalezienie odpowiedzi na pytanie, dlaczego ktoś nie szczędzi starań, aby ponownie odesłać go w zapomnienie.

Jej rozmyślania zostały gwałtownie przerwane, gdy w drzwiach domu pojawił się ktoś, kto wyglądał jak kowal w liberii. Jego niebieski uniform szczelnie przylegał do mięśni wielkich i twardych jak gązdy. Nie mógł być wiele starszy od Jamesa.

- Witaj, Butcher - powiedział James - bądź uprzejmy poinformować ciotkę, że przyjechałem.

Butcher rozpromienił się.

- Proszę wchodzić. Proszę. To wielka przyjemność widzieć pana znów, sir. Myślałem, że pan wie. Pańska ciotka pojechała Z wizytą do przyjaciół w Henley, w zeszły wtorek, bodajże, a w piątek przybyła pańska rodzina.

- Moja rodzina? - powiedział James, a Faith wyczuła w jego głosie napięcie.

Kamerdyner przytaknął.

- Są w jadalni. Czy mam...?

- James? Czy to ty?

Drzwi do jadalni otwały się na oścież i pojawił się w nich mężczyzna w sile wieku. Chodził, podpierając się laską, a choć jego ciemne włosy zaczynały siwieć, Faith nie miała wątpliwości, że patrzy na starszą wersję Jamesa.

- Ojciec! - powiedział James. - Myślałem, że jesteś unieruchomiony w Szkocji.

Uścisnęli sobie ręce, ale zdaniem Faith ich powitaniu zabrakło ciepła.

W drzwiach jadalni pojawiły się kolejne osoby, młodo wyglądająca kobieta, około czterdziestki, w której powitalnym uśmiechu Faith wyczuła ślad niepokoju, ciemnowłosa dziewczynka, w wieku lat dwunastu, lub trzynastu i w końcu młody mężczyzna, który nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Był bardzo przystojny i zdawał się o tym doskonale wiedzieć.

James chwycił ją za rękę i poprowadził do przodu.

- Faith - powiedział - poznaj moją rodzinę.

Rodzinie, z takim samym, wymuszonym uśmiechem, zaprezentował Faith.

- To jest Faith McBride.

Zanim dokończono prezentacji, przystojny młodzieniec wyprostował się i postąpił krok naprzód.

- Faith McBride? - Zachichotał. - Uciekająca panna Mc Bride? Dziewczyna, która porzuciła cię przy ołtarzu, braciszku? Cóż, myślę, że to będzie bardzo interesujące spotkanie rodzinne. A ja już się bałam, że będzie nudno.

- Roderick! - wtrącił surowo ojciec. - Wystarczy!

Faith zwróciła się do każdej osoby z uśmiechem i lekkim skinieniem głowy. Kobieta z zaniepokojonymi oczami była Margaret Burnett, najwyraźniej macocha Jamesa. Młodzieniec, Roderick, był jego przyrodnim bratem, a dwunastoletnia dziewczynka, Harriet, musiała być jego przyrodnią siostrą.

James miał rodzinę! Ta myśl kołatała się w jej głowie, jak odbita rykoszetem kula. Wiedziała, że ma ojca, który mieszka w rozpadającym się zamku niedaleko Aberdeen. Wiedziała, że matka Jamesa zmarła, gdy ten miał zaledwie dwanaście lat.

James wspominał kilkakrotnie o bliskich, ale, o ile pamiętała, zawsze odnosił się do kuzynów. Tymczasem miał rodzinę! Była z nim kiedyś zaręczona. Odbyła wycieczkę do Szkocji i poznała kobietę, którą ostatecznie poślubił. Ale nikt nie powiedział jej o macosze i młodszym rodzeństwie.

Głos Jamesa przebił się przez jej myśli.

- Z tobą nigdy nie jest nudno, Roddie. Co to jest tym razem? Karciane długi? Problemy z kobietami? Znow zamykają cię w St. Andrews?

- Wszystko naraz - odparł Roderick beztrąsko. - Przecież nie każdy może być taki jak ty, James, wiecznie zapracowany, harujący bez chwili wytchnienia.

Margaret Burnett roześmiała się nerwowo. Ignorując kłótnię, chwyciła wolną rękę Faith, tę, która nie ścisnęła kurczowo pamiętnika Madeline.

- Jesteś głodna? Jedliście już obiad? Czy mam poprosić Butchera, aby coś przygotował?

Faith od razu ją polubiła. Nie była zbyt wytworna i elegancka, jak większość kobiet z jej sfery. W zasadzie, wydawała się nieco zaniedbana i Faith zastanawiała się, czy to dlatego, że nie interesowała się modą, czy też może dlatego, że jej mąż trzymał rodzinną sakiewkę mocno w garści.

James przerwał rozmowę, nie dopuszczając Faith do głosu.

- Stała się rzecz nikczemna - powiedział, a następnie powtórzył swoim bliskim to, co powiedział zawiadowcy stacji w Chaulbourne - że Faith została zaatakowana przez bandę zbirów, gdy opuszczała posiadłość lady Cowdray i jak on, przez czysty przypadek załatwiający interesy w tej okolicy, natknął się na nią i pomógł jej uciec. Nie wspomniał natomiast o pamiętniku.

Gdy doznał do końca opowieści, pan Burnett poklepał go po ramieniu.

- Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda, synu?

Roderick pozwolił sobie na głośne, pełne drwiny parsknięcie, które wszyscy zignorowali. James kontynuował:

- Jak zapewne się domyślacie. Faith, panna McBride, nie chciała wracać do domu, dopóki policja nie wyjaśni przyczyn

wymierzonego w nią ataku. Dałem im ten adres, mając nadzieję, że ciotka Marian udzieli nam schronienia. W moim domu panuje kompletny chaos. Poza tym, nie wypada, aby Faith zamieszkała pod jednym dachem z kawalerem. Gdybym wiedział, że zajęliście rezydencję ciotki, umieściłbym ją w hotelu.

- W hotelu? Nie miałabym sumienia odsyłać panny Mc Bride do hotelu. W domu jest dużo miejsca. Polecę pokojówce przygotować pokoje dla was obojga - powiedziała Margaret.

- To nie będzie konieczne - zaproponował James. - Hotel w zupełności wystarczy.

Faith zauważyła smutek na twarzy Margaret i postanowiła załagodzić sytuację. Posyłając Jamesowi karzące spojrzenie, powiedziała:

- James i ja nie chcielibyśmy sprawić państwu kłopotu.

- Och, to żaden problem. Bardzo chcemy, abyście zostali, prawda, Colinie?

Ojciec Jamesa pokiwał głową.

- To nie podlega dyskusji.

Odszedł, aby wydać dyspozycje lokajowi.

James spojrział na Faith i, bardziej znacząco, na paczkę, którą ścisnęła pod ręką, dając jej do zrozumienia, że chce jak najszybciej zająć się odczytaniem pamiętnika jej matki, a nie integrować się z rodziną.

Niema odpowiedź, którą otrzymał, głosiła, że zasiądą do pamiętnika, gdy ona będzie gotowa i ani chwili wcześniej.

Uśmiechając się ciepło do Margaret. Faith powiedziała:

- Miałam w planach podróż do Brighton, ale James nie chciał nawet o tym słyszeć. Tymczasem moja walizka ze wszystkimi moimi ubraniami wyruszyła tam przede mną. Co do obiadu, umieram z głodu. Będę zobowiązana za kanapki i czajniczek z herbatą. Dziękuję za wszystko.

Radość zagościła ponownie w oczach Margaret.

- Słyszałeś, Butcher? Będziemy w saloniku.

- Zrozumiałem, madame. Kanapki i herbata mają być podane w saloniku, a na piętrze pokojówka ma przygotować dwa pokoje, jeden dla panny McBride i jeden dla panicza Jamesa.

Margaret popatrzyła raz jeszcze na Jamesa i Faith, jakby spodziewając się, że jednak wymówią się i wyjdą. Ale gdy to nie nastąpiło, wypuściła wstrzymywane dotychczas powietrze z płuc i poprowadziła ich na górę.

Faith miała tylko mgliste wyobrażenie na temat domu. Teraz mogła więc do woli rozglądać się, folgując swej ciekawości. Mimo że był to dom w stylu georgiańskim, typowym dla miejskich posiadłości w Mayfair, z ich idealnymi proporcjami i opartymi na wspornikach klatkami schodowymi, nie był umeblowany zgodnie z panującą modą. Wśród obrazów na ścianach przeważały sentymentalnie odmalowane sceny bitew sprzed setek lat.

Ojciec Jamesa wyjaśniał jej ich tematykę, gdy wspinali się razem po schodach.

- Bitwa pod Stirling - wskazał, jakby Faith potrafiła docenić jej znaczenie. Jego głos zmienił się, złagodniał, gdy minęli następny. - Culloden, to nigdy nie powinno było się zdarzyć.

Faith dobiegł głos Jamesa.

- Zmarły mąż mojej ciotki i mój ojciec są, byli, pasjonatami szkockiej historii. Przekonasz się, gdy zobaczysz jadalnię.

Salonik bardziej odpowiadał gustowi Faith. Obrazy na ścianach przedstawiały ogrody, na gzymsie kominka królowały fotografie w srebrnych ramkach, portrety, jak podejrzewała, najbliższych krewnym pani Leyland. Pokój był bardzo komfortowy.

Gdy się rozsiedli. Faith przyglądała się kolejnym członkom rodziny Jamesa. Harriet nakłoniła Rodericka do gry w karty. Przemiana, która dokonała się w tym młodym człowieku, była zadziwiająca. Bezpretensjonalnie uśmiechał się i śmiał. Było oczywiste, że siostra go uwielbia, równie oczywiste jak to, że przed Jamesem czuje respekt. Faith zastanawiali pozostali. Roderick był buntownikiem, bezustannie rzucającym bratu wyzwanie. Pan Burnett i jego żona wydawali się ... zdystansowani.

Pan Burnett wyjaśniał właśnie, co ściągnęło ich wszystkich do miasta.

- Kuzynka Margaret bierze ślub w Henley w przyszłą sobotę.

Faith popatrzyła na Jamesa. W sobotę zbierało się Towarzystwo Egiptologiczne, aby wysłuchać wykładu profesora Marsha.

- Spotkamy się z ciotką Marian na miejscu, a potem wspólnie wrócimy na Berkeley - kontynuował ojciec Jamesa. Tymczasem rozkoszujemy się małymi wakacjami w mieście. Jestem pewien, James, że o wszystkim powiadomiłem cię w liście - o dacie, miejscu i tym podobnych szczegółach.

- Zapewne tak było - James wzruszył ramionami. - Ale co miałem odpisać? Przecież nie znam kuzynki Margaret. To chyba oczywiste, że nie będę uczestniczył w ceremonii.

Faith była głęboko zaskoczona tym pokazem obojętności, ale tylko Margaret wyglądała na zażenowaną. Faith dokładała wszelkich starań, aby podtrzymać konwersację, ale gdy wyczerpano już temat ślubu kuzynki, domu i jego wyposażenia oraz pogody, zapadła długa, niezręczna cisza. Herbata i kanapki zostały powitane z wielką ulgą przez wszystkich.

- Pieczeń wołowa - entuzjazmowała się Faith, próbując ocieplić atmosferę. - To jest właśnie to, co nazywam kanapką.

Ten drobny komplement wywołał promienny uśmiech na twarzy Margaret. Poczęstowała Faith jeszcze jedną kanapką, którą ta zjadła z apetytem. Nie pamiętała, jak obfity był posiłek w pociągu, ale jej żołądek podpowiadał, że wciąż jest głodna.

Rozmowa znów nie kleiła się, gdy ojciec Jamesa zadał pytanie, zupełnie niezwiązane z niczym, co dotychczas powiedziano, które sprawiło, że Faith nieomal zadławiła się jedzeniem.

- Cóż - powiedział - kiedy i gdzie odbędzie się ten ślub?

- Nie pamiętam, abym wspominał cokolwiek o ślubie - odparł James. Ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że uważa sprawę za zamkniętą.

Harriet była jednak zbyt młoda i niewinna, aby zrozumieć subtelnosci rozmów dorosłych. Nadstawiła uszu.

- Czy mogę być druhną, James? - zapytała i spojrzała w stronę drzwi, jakby rozpatrując ucieczkę.

- Czy mogłabym, nie, czy mogę - poprawiła ją matka. Jej spojrzenie raz po raz wędrowało w kierunku Jamesa.

James spojrział na siostrę i jego twarz złagodniała.

- Na moim ślubie na pewno będziesz druzną - powiedziała.

Faith nie podobał się wydźwięk tych słów, postanowiła więc słumiec tę dyskusję w zarodku. Posyłając Jamesowi figlarne spojrzenie, powiedziała:

- James, nie mówiłeś mi, że zamierzasz się żenić. Kim jest ta szczęściara?

Kiedy wszyscy się roześmiali, wszyscy poza Jamesem, pojęta nagle, że uznali pytanie za dowcip i że myślą, że oni oboje naprawdę są zaręczeni.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. Harriet klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się radośnie.

- Nareszcie zostanę druzną! I przy trzę nosa Charlotte - obwieściła. - Ona była druzną już dwa razy.

- Kochanie - starała się ją pohamować matka - wybór towarzyszek to przywilej panny młodej. I nie pozwolę ci teraz nękać panny McBride. Kiedy James i Faith będą gotowi, powiadomią nas, kiedy chcą się pobrać.

Spojrzenie, które Faith posłała Jamesowi, krzyczało: Skończ z tym.

W odpowiedzi otrzymała jedynie bezradne wzruszenie ramion.

Faith z ulgą powitała kolejne wejście kamerdynera, okazało się jednak, że ulga ta jest krótkotrwała. Butcher wszedł do salonu z tacą, na której stała butelka szampana i cztery kryształowe kieliszki. Gdy zaczął rozlewać trunk, w stał pan Burnett.

- Cóż - powiedział - widzę, że nieco się pospieszyłem. Ale nie martwcie się. mamy tego dużo. - Podniósł kieliszek, dając do zrozumienia, że mówi o szampanie. - Tymczasem, jeśli nie możemy pogratulować młodej parze, wypijmy za Drumore.

Wszyscy wstali, wnieśli puchary i wypowiedzieli chórem:

- Za Drumore.

Kiedy znów usiedli, pan Burnett powiedział:

- James, mam nadzieję, że gdy się w końcu ożenisz, przejmiesz rezydencję w Drumore jako mój spadkobierca i następca?

Zapadła pełna napięcia cisza. Ojciec i syn wpatrywali się w siebie. Wydawało się, że nikt nie oddycha.

James wydawał się rozbawiony i odpowiedział beztrąsko:

- Ojczy, już o tym rozmawialiśmy. Drumore to nie cenny nabytek, jak zdajesz się uważać. To wielki ciężar i odpowiedzialność. Nie stać mnie na jego utrzymanie.

Na twarz pana Bumetta wystąpiły rumieńce, kiedy odezwał się surowo, podniesionym tonem:

- Zamek jest w naszej rodzinie od pokoleń. Historia Drumore to historia Szkocji. Musimy ją podtrzymywać.

Zwrócił się do Faith:

- Co pani na to, panno McBride? Powinniśmy ofiarować Drumore narodowi, jak radzi James, czy też zachować go dla kolejnych pokoleń Burnettów?

Spojrzała na Jamesa. Wyglądała na bardzo rozbawionego jej kłopotliwym położeniem, co od razu sprowokowało ją do promiennego uśmiechu.

- Dla chcącego nic trudnego, jak mawiał mój tato - zwróciła się do pana Burnetta.

Ten przytaknął z radością.

- Drumore będzie z ciebie dumne.

Nieznośne klucie w dołku zaczęły przekształcać się u Faith w bolesny ucisk. Nie tak miało być. Nigdy nie skorzystałyby z gościnności Burnettów, gdyby przewidziała, że odniosą mylne wrażenie co do charakteru znajomości jej i Jamesa.

A co się z nim stało? Powinien to przerwać. Siedział tam, z nieodgadnioną twarzą, jakby nieczuły na wszystko, co działo się wokół niego. Był aż tak arogancki, czy też naprawdę w ogóle nie liczył się z uczuciami innych? Zimny, odległy, niezaangażowany. Pragnęła nim mocno potrząsnąć.

* * *

Sypialnia, którą przydzielono Faith, znajdowała się na tyłach domu, aby, jak podkreśliła Margaret, nie zakłócały jej odpoczynku dorożki, krążące po placu. Był to uroczy pokój, w kolo-

rach ciemnej zieleni i beżu. przesiąknięty delikatnym zapachem pszczelego wosku.

Uwolniona od towarzystwa Jamesa, Margaret stała się inną osobą - mniej spiętą, bardziej naturalną. Wydawała się doskonale wiedzieć, czego potrzebuje jej gość, i bez zbędnego zamieszania szybko znalazła dla Faith nocną koszulę i obiecała, że jej suknia będzie czekać na nią rano oczyszczona i gotowa do włożenia. Poprosiła też Faith, aby swobodnie korzystała z jej garderoby, jeśli odczuje taką potrzebę.

Życząc Faith dobrej nocy, Margaret podeszła do drzwi, zawałała się przez moment i powiedziała nieśmiało:

- Jestem taka szczęśliwa, że ty i James przewyciężyliście przeszkody, które zalegały pomiędzy wami. Jesteś dokładnie taką dziewczyną, jakiej on potrzebuje. Słodkich snów, kochanie.

Faith ogarnęło nieprzeparane wrażenie, że ktoś wbił kolejny gwóźdź do jej trumny.

W przyływie ożywienia zaczęła krzątać się po pokoju, dokonując wieczornej toalety. Gdy przebrała się w pożyczoną koszulę nocną - flanelową, z długimi rękawami i wysokim kołnierzem, do której dobrano wełniany szlafrok, zadzwoniła po pokojówkę, aby ta zabrała jej rzeczy, a następnie rozcięła sznurki, którymi obwiązana była paczka, wyjęła z niej pamiętnik Madeleine i usiadła wygodnie na fotelu, obok wygasłego kominka.

Już podczas próby rozkodowania pierwszych stron pamiętnika uczucie poniewierki opuściło ją. Wszystkie myśli skupiła na tekście, marząc o tym, aby przyszedł James, z którym mogłaby przedyskutować to, czego się dowiedziała.

Nie czekała długo. W pewnym momencie jej uszu dobiegło ciche pukanie do drzwi i jej imię, wyszeptane męskim głosem.

- Drzwi są otwarte - powiedziała.

James wszedł, wciąż w swoim wyjściowym ubraniu i przysunął do jej fotela krzesło z oparciem, aby mogli wspólnie czytać Pamiętnik.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Dzwoniłem do Przyjaciela w Brighton, który zgodził się odwiedzić Lily i odebrać od niej twój bagaż. Przyśle go następnym pociągiem.

- Pomyśli, że zatrzymałam się u lady Cowdray.
- Czy to ważne? Możesz do niej napisać i wyjaśnić, że twoje plany się zmieniły. Ale nie wdawaj się w szczegóły. A wracając do rzeczy, czego się dowiedziałas?

Nie była pewna, czy korzystanie z gościny jego rodziców to dobry pomysł, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie energii do kłótni. Chciała przecież rozmawiać o pamiętniku.

- Cóż, na razie wiem na pewno, że będzie to trudniejsze, niż myślałam. Po prostu wyszłam z wprawy. Jest też coś jeszcze. Spójrz tutaj.

James zmarszczył brwi, koncentrując się.

- Liczby? - zapytał.
- Nie wiem, co o tym sądzić.

Wpatrywał się w rzędy cyfr i wodził po nich palcem wskazującym.

- To musi być jakiś inny kod. Liczby muszą zastępować słowa.
- Zastanawiam się, czemu użyła innego kodu. - Faith także przez moment studiowała zapis. - Złamanie go zajmie mi całą wieczność.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby to właśnie te dwie strony najbardziej interesowały nasz czarny charakter. - Przerwała na chwilę. - Tak, to tłumaczyłoby, dlaczego Madeline zmieniła kod. Zapisła tu coś na tyle istotnego, że on zrobi wszystko, aby to ukryć. - Zmarszczył brwi, zastanawiając się. - Ale dla kogo to napisała? Kto wiedziałyby, jak złamać kod?

- Dam sobie radę, jeśli będę mieć wystarczająco dużo czasu.
- Co wiesz o kodach?

Wyprostowała się.

- Więcej niż większość ludzi. Ojciec i ja wykorzystywaliśmy je do zabawy. Powiedział mi, że kiedyś Departament Wojny zaoferował mu pracę w charakterze kryptologa.

James zamrugał powiekami.

- Mój kuzyn Aleks pracuje w Departamencie Wojny. Może on będzie potrafił złamać kod. lub znajdzie kogoś, kto zrobi to dla nas. Dam mu pamiętnik i...

Zamknęła pamiętnik z trzaskiem i przycisnęła go do piersi.

- O, na pewno nie! Nie zamierzam spuszczać go z oczu. Jeśli twój kuzyn zechce nam pomóc - świetnie, ale przyjdzie do mnie i wtedy to zrobi.

Wpatrywał się w nią w zamyśleniu, gdy mówiła dalej:

- Spróbuj mnie zrozumieć, to wszystko co mam po matce, i nie dam sobie tego odebrać. Chcę się dowiedzieć, jaka była, co myślała i co czuła. Nie życzę sobie, aby ktokolwiek inny grzebał w jej intymnych przeżyciach. To byłoby jak podsłuchiwanie. Ona była moja matką - dokończyła słabo - chcę wiedzieć.

- Jesteś przygotowana na skutki? Rodzina może się okazać totalnym nieporozumieniem.

Przechyliła głowę z zaciekawieniem.

- Mówisz o swojej rodzinie, James?

- Mojej rodzinie? - Uniósł ironicznie brwi. - Dałem ci szansę od nich uciec. To ty chciałaś zostać.

- Nasze odejście zraniłoby uczucia Margaret. Ale to było, zanim zorientowałam się, że odnieśli co do nas najzupełniej mylne wrażenie, a ty nie robisz, ani nie mówisz nic, aby wprowadzić ich z błędu.

Znow wruszył ramionami w ten niedbały sposób, którego naprawdę zaczynała nienawidzić.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym im powiedzieć. Oboje próbowaliśmy. Widziałaś, jacy są. Jeśli wbiją sobie coś do głowy, trudno ich przekonać.

- Mimo to spróbuj. Porozmawiaj z nimi. Zrób cokolwiek - mówiła coraz głośniej.

- Ale co to da? My wiemy, że nie jesteśmy zaręczeni. Pozwólmy im myśleć, co chcą.

Była przerażona.

- Co się z tobą dzieje? Jesteś jak blok granitu, odkąd przyjechaliśmy. Nie masz żadnych uczuć? Nie dbasz w ogóle o ich uczucia?

Przemówił do niej tonem, którego używał w stosunku do brata.

- Nie osądźaj. Faith. Nie masz pojęcia, co czuję do mojej rodziny, ani co oni czują do mnie.

- Cóż, nie jestem głupia, więc się domyślam - rozzłościła się. - Masz dom w mieście, prawda? Dlaczego więc przyjechali tutaj, jeśli mogli zatrzymać się u ciebie?

- Przyjeżdżali do ciotki Marian na długo przed tym, zanim kupiłem dom na St. James, który zresztą nie jest jeszcze wykończony. Nie byłoby im tam wygodnie.

Potrząsnęła głową

- Co? - zapytał.

- Nigdy o nich nie wspomniałeś, James. Nie mówię o tych ostatnich kilku dniach, ale o czasach, kiedy byliśmy zaręczeni. Mieliśmy się pobrać, a ty nie powiedziałaś mi nawet, że masz brata i siostrę.

- Z pewnością dlatego, że Roderick i Harriet byli dla mnie praktycznie obcymi ludźmi. Byłem w szkole, gdy Roderick przyszedł na świat, potem, gdy ja ukończyłem uniwersytet, on wyjechał.

Nagle wstał, odstawił krzesło i podszedł do niej.

- Nie przywiązuj się do nich zanadto. Faith - powiedział. - Pamiętaj, to tylko tymczasowy układ.

- Tymczasowy układ? - Aluzja, że mogłaby chcieć, aby to trwało, że miała nadzieję go w tych okolicznościach usidlić, zaostrzyła jej gniew. - Chyba nie myślisz, że tu zostanę? Byłoby to zbyt żenujące. Nie. Jutro jadę do Brighton, tak jak od początku zamierzałam uczynić.

Wydawał się znudzony.

- Dobrze. Zostaw pamiętnik, a ja znajdę kogoś, kto go rozszyfruje.

- Nigdy w życiu! - Wciąż ściskając kurczowo pamiętnik, zerwała się z fotela, aby nad nią nie górował. - Pamiętnik należy do mnie i nie ma takiej siły, która mogłaby nas rozdzielić.

Zmniejszył przestrzeń pomiędzy nimi, aż stanęli twarzą w twarz.

- Teraz ty mnie posłuchaj. Faith McBride. Nie ryzykowałem życia i połamania kończyn, abyś sobie odeszła z nagrodą. Mam takie samo prawo jak ty, dowiedzieć się, kto do mnie strzelał. Chcę znaleźć tych zbirów, a pamiętnik jest moją jedyną szansą

na dokonanie tego. Więc jak będzie. Faith? Zostajesz z pamiętnikiem, czy jedziesz do Brighton bez niego?

Kusiło ją, aby wyjść, ale wzmianka o zbirach ostudziła jej gniew. Wyobraziła sobie mężczyznę o kulturalnym głosie, ściągającego ją przez ulice Brighton. Gdyby stanęła z nim twarzą w twarz, nie rozpoznałaby go. Widziała tylko okrytą mgłą sylwetkę.

Przełknęła dumę.

- Zostanę, ale tylko do czasu, aż rozszyfruję pamiętnik.
- Dobrze - powiedział, jak gdyby to, czy zostanie, czy nie, nie miało dla niego znaczenia.

Przy drzwiach odwrócił się po raz ostatni.

- Pocałowałbym cię na dobranoc, ale przecież pani nie potrafi się opanować, panno McBride.

- Słucham?

Drzwi zamknęły się, zanim miała szansę na ciętą ripostę.

Przekreśliła klucz i oparła się o futrynę. Była tak zmęczona, że z trudem udawało się jej trzymać oczy otwarte. Może dlatego taką trudność sprawiał jej szyfr matki? Gdy przypomniała sobie wszystkie okropne wydarzenia tego dnia, ze zdziwieniem przyjęła fakt, że ma jeszcze siłę stać.

Przykryła lampkę gazową i położyła się do łóżka, chowając cenny pamiętnik pod poduszką. Rano znajdzie dla niego lepszą kryjówkę.

Myślała, miała nadzieję, że zaśnie od razu, ale w jej umyśle wciąż wirowały tysiące wrażeń - Madeline. James, lady Cowdray, Egipt.

Jej matka osiągnęła pewną sławę w swoim otoczeniu, ale gdy pisała o swych podróżach, posługiwała się przybranym nazwiskiem. Czy dlatego, aby mąż i córka nie zdołali jej nigdy odnaleźć?

Jak taka niezwykła kobieta mogła porzucić swe jedyne dziecko? Czy to jakaś cecha Faith czyniła ją niegodną miłości? Najpierw porzuciła ją matka, potem mężczyzna, którego kocha--- Czy wina leżała po ich, czy też po jej stronie?

Pogrążyła się w uzalaniu nad sobą, co dodatkowo pogłębiło

jej irytację. Kiedy w końcu rozszyfruje zapiski matki, być może odkryje, czemu Madeline ją zostawiła. Może istniały powody, których nie potrafiła teraz zrozumieć. Nie istniał natomiast żaden dziennik, który mógłby pomóc jej rozgryźć postępowanie Jamesa. Żaden zresztą nie był potrzebny. Na jego drodze pojawiła się po prostu bardziej wdzięczna alternatywa.

Ale przecież odnalazł ją w księgarni Pritcharda. Była to zagadka, której nie mogła zgłębić. Dlaczego jej pomagał? Powiedział, że ze względu na stare czasy. Czuł się winny za to, jak obcesowo ją potraktował w przeszłości? Myślał, że jest jej coś dłużny? Te myśli nie poprawiały jej samopoczucia. Chciała go za nie wyszarpać za włosy.

Być może od tego się zaczęło, ale dziś wieczorem powiedział jej, że dał się wciągnąć i chce się przekonać, jak to wszystko się zakończy. W to akurat wierzyła. Kiedy się w coś angażował, nie myślał o niczym innym. Przekonała się o tym, gdy wyjechał nagle do Szkocji ratować swoje pociągi.

Pociągnęła nosem. Ten człowiek nie okazywał żadnych uczuć, z wyjątkiem chwil, kiedy ją całował. W takich momentach nie potrafiła niczego mu odmówić. Czy wiedział o tym? Nie mogła się doczekać chwili, w której znów ją pocałuje. Wtedy pokaże mu, że jest... pokaże mu... że...

Jej powieki stały się ciężkie i zapadła w sen.

* * *

James otworzył oczy, walcząc o oddech. Śnił o Faith. Całe jego ciało drżało. We śnie próbowała mu udowodnić, że jest kobietą o wiele bardziej świadomą swej kobiecości, niż on jest w stanie znieść.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się sennie. Pobożne życzenia, stary rozpustniku, powiedział sobie. Przewrócił się na drugi bok, westchnął z rezygnacją i ponownie zapadł w sen.



Rozdział
XII

Następnym dniem była niedziela, w czasie której życie w mieście zamierało. Cała rodzina wzięła udział w porannej mszy, po której każdy na własną rękę szukał sposobów zabicia wolnego czasu. James pojechał na stację, aby odebrać przesłany z Brighton bagaż, a Faith udała się do swego pokoju, aby napisać list do Lily. Tyle rzeczy musiała pominąć, że dopiero któraś z kolei wersja listu zadowoliła ją na tyle, aby uznała, że może ją wysłać. Nie umiała nawet określić Lily, kiedy przyjedzie do Brighton, ponieważ nie wiedziała, jak długo będzie pracować nad pamiętnikiem matki.

Po napisaniu listu Faith powróciła do tego, co naprawdę ją interesowało - czyli do pamiętnika. Był to zwykły, oprawiony w skórę zeszyt, którego nie wyróżniało nic, poza charakterystycznym zapachem... nie była pewna czego. Przytknęła pamiętnik do nosa i natychmiast kichnęła. To nie sadza. Kurz? Piasek? Sięgnęła po chusteczkę i w odległości kilku metrów od otwartego dziennika delikatnie wydmuchała nos. Na chusteczce znalazła kilka ziarenek drobnego rudawozłotego piasku.

Myśl, że tych kilka ziarenek przybyło do niej na kartach pamiętnika jej matki, wstrząsnęła Faith do głębi. Było tak, jakby po wszystkich tych latach obojętności jej matka próbowała nawiązać kontakt. Zwinęła chusteczkę z namaszczeniem i umieściła ją na blacie sekretarzyka.

Oddychając głęboko, otworzyła zeszyt i zaczęła z uwagą studiować pierwszą stronę. Przed jej oczami pojawiły się wkrótce rodajniki określone i nieokreślone, pospolite czasowniki i nazwy własne. Szybko poczyniła znaczne postępy.

To miał być zapis prywatnych przemyśleń, napisała Madeline na pierwszej stronie. W innych notesach zapisywała notatki z podróży, ten tomik był przeznaczony tylko dla jej oczu. Na górze strony umieściła datę: listopad, 1873.

Faith przewróciła kartkę i dalej przedzierała się przez zapiski. Pierwszy rozdział był krótkim podsumowaniem życia Madeline, po tym, jak zdecydowała się dołączyć do swojej pierwszej ekspedycji, złożonej z podobnych do niej, myślących nowocześnie kobiet, której celem były niezbadane dotychczas szczyty belgijskich Dolomitów. Napotkała mnóstwo trudności, ale jej pragnienie przygód było zbyt silne, aby to ją zraziło. Faith czytała dalej.

Gdyby miała jakiegokolwiek wątpliwości w stosunku do tego, o czym napomknęła jej lady Cowdray, szybko by się one rozwiały. Madeline często opisywała byłych kochanków, nie z rozgoryczeniem, ale raczej z uczuciem, które graniczyło z wdzięcznością. Cieszyli się swoim romanssem, a gdy nadchodził czas rozstania, czynili to bez żalu. Otrzymała także kilka propozycji małżeństwa od mężczyzn z towarzystwa, ale obracała je w żart, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę fakt, że wciąż była żoną ojca Faith. Nie była romantyczką. Nie była też wyrachowana. Chciała po prostu przeżyć życie na swoich własnych warunkach.

Faith przyjrzała się badawczo inicjałom kochanków Madeline, ale jako że nic jej nie mówiły, szybko przestała próbować dopasowywać do nich nazwiska. Z tego, co wiedziała, one również mogły być zakodowane.

Odkryła, że w Londynie i Paryżu jej matka uwielbiała elegancko się ubierać i wychodzić na przyjęcia, do opery i teatru, ale jej jedyną prawdziwą miłością był Egipt. Kochała jego klimat, krajobraz, mieszkańców, a przede wszystkim jego historię, drażnienie w ziemi i zeskrobywanie piasku, aby dostać się do fragmentów starożytnych naczyń lub fresków zrujnowanych świątyń. Tam Madeline była w swoim żywiole.

W umyśle Faith zaczynał kształtować się obraz. Zobaczyła kobietę, która poniosła w życiu wiele porażek, ale która umiała je przezwyciężyć z ogromną pasją, którą przesiąknięta była

każda strona jej opowieści. Próbowwała sobie wyobrazić, jak by to było - mieć Madeline za przyjaciółkę. Kto umiałby dotrzymać jej kroku?

Nagle podniosła się, odsunęła krzesło i stanęła naprzeciwko lustra. Powinna wyglądać jak matka, ale jej matka promieniowała pewnością siebie i dobrym samopoczuciem. Zwierciadlane odbicie ukazywało cichą, doskonale wychowaną młodą kobietę, którą trudno byłoby zauważyć w tłumie.

Jak, na litość boską, jej ojciec zdołał usidlić kobietę taką jak Madeline? Tata był podobny do niej - cichy i niedoceniany. Jedyną cechą, która łączyła go z żoną, było uwielbienie dla historii starożytnej. Czas pokazał, że to nie wystarczyło, aby mogli być razem.

Ptak w klatce. Czy tak czuła się Madeline? Dlatego opuściła dom?

Faith długo wpatrywała się w swoje odbicie, próbując postawić się na miejscu matki. Myśli o Egipcie wypełniły jej umysł, poczuła ciepło promieni słonecznych na twarzy, upał przenikający do wnętrza przez skórę. Zamknęła oczy. Stała przy relingu jachtu, który miał powieźć ich w dół Nilu. Piramidy, Sfinks, Dolina Królów - świadomość, że wkrótce zobaczy wszystkie te rzeczy po raz pierwszy, zmusiła jej serce do szybszego bicia. Czekają na nią skarby, grobowce, których nikt jeszcze nie odkrył. Czy to ona znajdzie zagubione miejsce spoczynku faraonów?

Otworzyła oczy. Młoda kobieta odbijająca się w lustrze naprzeciwko przeszła niezwykłą przemianę. Jej oczy błyszczały. Kąciki ust uniosły się, a policzki zabarwił rumieniec.

Dopiero po chwili Faith uświadomiła sobie, że ktoś puka do drzwi.

- Faith, to ja, James. Jesteś tam?

Przeszła przez pokój, aby go wpuścić. Miał ze sobą jej kufer.

- Wejdz, proszę - powiedziała, otwierając drzwi. - Więc Lily odesłała mój bagaż.

- Jak widać.

Wszedł do środka i zamknął nogą drzwi. Postawił kufer na podłodze, po czym popatrzył na nią, przekrzywiając głowę.

- Wyglądasz jakoś inaczej - powiedział.
- Naprawdę? - Uśmiechnęła się. - To pewnie przez to egipskie słońce.

Postanowiła uczynić wysiłek i odnosić się do niego uprzejmie, mimo, że pokłócili się poprzedniej nocy i miała nadzieję, że on podaży za jej przykładem. Jeśli mieli spędzić więcej czasu w swoim towarzystwie, nie mogli przecież obnosić się z niezadowolonymi minami.

- Rozumiem, że złamałaś kod. - Podeszedł do sekretarzyka i zaczął przestawiać leżące na nim drobiazgi. - Gdzie masz notatki?

Podeszła szybko i strzepnęła jego ręce.

- Niczego nie dotykaj! - Sięgnęła po chusteczkę i pokazała mu. - Popatrz, James. Te ziarnka piasku znalazłam pomiędzy kartkami pamiętnika Madeline. Jestem pewna, że pochodzą z Egiptu.

Spojrzał na chusteczkę.

- Święta relikwia?

Otworzyła górną szufladę i delikatnie umieściła w niej chusteczkę.

- Nie robiłam notatek. - Jej głos był spięty. - Pamiętnik mnie pochłonał.

- Zamieniam się w słuch. Czego się dowiedziałas?

Bardzo chciała pokazać mu drzwi za złośliwy przytyk o świętej relikwii, ale zbyt dużo miała do powiedzenia, aby długo się gniewać. Komentowała kolejne ustępy pamiętnika, nie zdając sobie sprawy, że w jej głosie słychać ogromny podziw dla nieustraszonej Madeline Maynard. Nagle przerwała, gdy zauważyła, że James wpatruje się w nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co się stało? - zapytała.
- Myślałem, że nie chcesz, aby ktokolwiek przeczytał pamiętnik twojej matki. Nazwałeś to podsłuchiwaniami. A teraz stoisz tutaj i relacjonujesz mi najbardziej intymne detale jej życia.
- Miałam na myśli, że nie chcę, aby obcy czytali pamiętnik mojej matki. Ty to co innego. Tkwiemy w tym razem, prawda?

Kiedy zaczął pochylać głowę w jej stronę i wydawało się, że za chwilę ją pocałuje, powiedziała szybko:

- Rozpoznajesz jakieś inicjały? Umiesz dobrać do nich nazwiska?

- Nie, ale myślałem o fotografii, którą mi dałaś - o tej grupowej. Założę się, że jeśli poznamy nazwiska uwiecznionych na niej osób, będziemy mogli skojarzyć niektóre z inicjałami.

- Lady Cowdray zna je wszystkie. Wymieniała je, ale nie mogłam ich spamiętać. Może poznamy ich na wykładzie w sobotę.

Zerknęła na zegarek i zdumiała się.

- To już tak późno? Prawie czas na lunch. Musiałam czytać pamiętnik przez dobre dwie godziny.

Przytrzymała jej ramię, gdy próbowała wstać.

- Poczekaj. Najpierw chcę ci coś dać. - Przez chwilę grzebał w kieszeni, z której wyjął rewolwer. - Jest na tyle mały, aby zmieścić się w torebce. Chciałbym, abys zawsze miała go przy sobie. Jest lżejszy niż mój i ma mniejszy kaliber, ale jest tak samo zabójczy. Masz sześć strzałów, ale musisz pamiętać, aby przed każdym załadować.

Pokazał jej, jak to zrobić.

Gdy wpatrywała się w niego przez chwilę bez słowa, posłał jej dodający otuchy uśmiech.

- Być może nigdy nie będziesz musiała go użyć, ale na wszelki wypadek warto jest mieć coś w zanadrzu.

Myślała o matce, o tym, jak nieustraszona była. Bez wahania jej palce zacisnęły się na kolbie rewolweru.

- Dziękuję - powiedziała. - Będę na niego uważać, jakby był stufruntowym banknotem.

Zapadła krótka cisza. Potrząsając głową, James odparł:

- To do ciebie niepodobne. Myślałem, że nienawidzisz broni.

- Tak było, zanim ktoś zaczął do mnie strzelać. Następnym razem będę przygotowana. - Odprowadziła go do drzwi. - Powiedz pozostałym, że za moment zejść na lunch. Muszę się odświeżyć.

Zatrzymał się na progu i uśmiechnął. Pochylił ku niej głowę i wyszeptał:

- Nie spanikuj. Faith. Zamierzam cię pocałować.

Została ostrzeżona. Mogła zrobić unik. Chciała zrobić unik. Ale coś innego objęło nad nią władzę. Działała pod wpływem matki. Madeline nie bała się sięgać po to, czego pragnęła. A Faith pragnęła Jamesa. Nie był bezpieczny, nie był stały. Dziś tu, jutro gdzie indziej. Cały James. Ale czy to miało znaczenie? Tym razem nie miała złudzeń, nie mógł więc złamać jej serca.

Spodziewała się gorączki, ognia, namiętności. Obdarzył ją pocałunkiem, który poraził zmysły i ukoił wszystkie rany jej posiniaczonego serca. Wydawał się wiedzieć, czego potrzebuje, lepiej niż ona sama.

- Myślę, Faith McBride - powiedział łagodnie - że jesteś kobietą dwa razy lepszą niż twoja matka.

Odszedł, zostawiając ją zapatrzoną w jego oddalającą się sylwetkę.

Potrząsając głową, podeszła do sekretarzyka, podniosła pamiętnik matki i umieściła go ostrożnie w poszewce na poduszki, którą zamierzała powiesić w garderobie, w jednej z pożyczonych sukni. Pomyślała, że być może jest zbyt ostrożna. Nie podejrzewała, aby ktokolwiek z domowników wziął pamiętnik, ale Mayfair było ulubionym miejscem pracy londyńskich włamywaczy. Choć każdy szanujący się włamywacz jednym okiem otaksowałby jej skromny dobytek i odszedłby z pustymi rękami, ale nie chciała ryzykować.

Rzuciła szybkie spojrzenie w lustro, poprawiła włosy i wyszła z pokoju. Na podeście stanęła twarzą w twarz z Roderikiem. Próbowali się minąć, ale cały czas wpadali na siebie. Śmiejąc się, zatrzymał ją, otaczając rękami jej talię.

- Nie zamierzasz chyba wyjść za tego starego nudziarza?
- powiedział.

Obserwowała go, mrużąc powieki. Młody mężczyzna, pełen gracji i uroku, które to cechy zanikają w obecności starszego brata.

- Jest starym nudziarzem? - zapytała, uśmiechając się przebiegle w odpowiedzi na chytry uśmieszek, którym obdarzył ją Roderick.

- Daj spokój. Faith. Mogę mówić ci po imieniu, skoro i tak wkrótce mamy być rodziną? - Było to pytanie retoryczne, kontynuował więc beztrasko: - Stać cię na więcej niż księgowy, a tym właśnie jest nasz Jamie. Jeszcze tego nie zauważyłaś? Debety i kredyty, to wszystko, na czym się zna. - Zniżył głos do poufnego szeptu: - Może powinnaś rozejrzeć się za kimś młodszym?

Prawie się obraziła, ale coś w tym chłopcu poruszyło jej ciekawość. Nie widziała w nim złośliwości, tylko skłonność do psot.

- Faith? - Z dołu schodów dobiegł ją głos Jamesa. - Czekaemy tylko na ciebie.

Wtedy zrozumiała. Roderick najbardziej lubił prowokować brata, a w głosie Jamesa słychać było niezadowolenie. Roderick wykorzystał ją, aby osiągnąć swój cel.

Poklepała go po ramieniu.

- Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, jaki urok mają starsi mężczyźni. Tymczasem być może spróbuj zaprzyjaźnić się z bratem? Mógłbyś się wiele od niego nauczyć.

Roderick nachmurzył się, otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i pędem zbiegł ze schodów.

Kiedy Faith dotarła na dół, czekał na nią następny patrzący wilkiem mężczyzna. James.

- Czego chciał od ciebie Roderick? - zapytał obcesowo.

Wzruszyła niedbale ramionami.

- A czegoż zazwyczaj chcą młodzi mężczyźni? Umiarkowanego flirtu.

Ominęła go i weszła do jadalni.

* * *

Przez kolejnych kilka dni w Faith narastał niepokój. Zaczynała się czuć jak więzień, z Jamesem u boku, niezmor-

dowanym strażnikiem. Rozumiała, dlaczego nie chce by często wychodziła z domu. Policja ani na krok nie zbliżyła się do odkrycia, kto zasadził się na nich w Chalbourne. James próbował ją więc chronić. Miał nadzieję, że jego kuzyn, Aleks, który zdawał się znać wielu ludzi, pomoże im rozszyfrować dwie ostatnie strony pamiętnika, ale wypełniał on teraz jakieś niesprecyzowane zadanie i nikt na Whitehall nie umiał powiedzieć, kiedy wróci. Byli w impasie.

Jej frustracja sięgnęła zenitu pewnego ranka podczas śniadania, gdy Margaret zaprosiła ją na małą przechadzkę. Margaret była umówiona ze słynną projektantką sukien, panią Digby, w celu odebrania stroju, który miała włożyć na ślub swojej kuzynki. Chciała także wybrać w sklepie kilka dodatkowych drobiazgów. Sklep pani Digby znajdował się w arkadzie Burlingtona, jednej z najbardziej prestiżowych lokalizacji w całym Mayfair.

Na samo wspomnienie zakupów pan Burnett otworzył poranną gazetę i ukrył się za nią.

- Mam nadzieję, że zechcesz mi towarzyszyć. Faith - powiedziała Margaret. - Nie jestem dokładnie obeznana z najnowszą modą. Roderick również zaoferował swoje usługi,

Roderick stał przy kredensie, a słysząc swoje imię, wykonał elegancki ukłon.

- Jestem tu, aby panie zadowolić - powiedział wesoło.

- Oczywiście, zrozumiem, jeśli nie czujesz się na siłach - dodała Margaret.

Była to aluzja do wymówki, której używali razem z Jamesem, aby wyjaśnić, dlaczego Faith tak rzadko opuszcza dom - powodem miała być trauma, która na skutek ataku w Chalbourne zupełnie podkopała jej pewność siebie. Było w tym ziarno prawdy, ale Faith już dawno przezwyciężyła strach.

- Z przyjemnością pójdę z tobą, Margaret - odparła.

Czekała, aż James podejmie próbę stordowania tego pomysłu, i na końcu języka miała odpowiedź, którą chciała go pokonać, ale on, po chwili milczenia, zgodził się.

- Czemu nie? W arkadach znajduje się sklep mojego kraw-

ca. Złożę mu wizytę, gdy wy, panie, będziecie przymierzać suknie.

Roderick posłał Faith jeden ze swoich chłopięco uroczych uśmiechów.

- Nikt nie mógłby podejrzewać mojego braciszka o bycie koneserem mody damskiej, ale ja, na swój sposób, jestem uważany za posiadającego pewną wiedzę na ten temat. Jeśli myślisz o zamówieniu sukni ślubnej, Faith, nie znajdziesz lepszego doradcy niż moja skromna osoba.

Przekłęty chłopak! - pomyślała Faith. Była pewna, że Roderick, jako jedyny członek rodziny Jamesa, uwierzył jej. gdy powiedziała, że nie są zaręczeni, ale uwielbiał podtrzymywać tę fikcję, aby dokuczyć bratu. Gdyby była Jamesem, obróciłaby to w żart.

Spojrzała na Jamesa przez stół. Jak zwykle, obnosił się 7. jednym ze słynnych grymasów Buraettów. Męska gałąź tej rodziny podniosła wykrzywianie się do rangi sztuki. Zdenerwowana tym, że James daje wszystkim do zrozumienia, że myśl o małżeństwie wpędza go w zły nastrój. Faith roześmiała się lekko.

- Dziękuję, Roderick. Zapamiętam to i jeśli kiedykolwiek zdecyduję się wyjść za mąż, rozważę twoją ofertę.

Posłała Jamesowi kolejne mordercze spojrzenie. Zrozumiał aluzję i spróbował się uśmiechnąć. Jak rekin, pomyślała.

* * *

Arkady Burlingtona rozciągały się na szerokość przecznicy. od Piccadilly do domu Burlingtona. Margaret wzdychała przy każdej wystawie. Roderick wałęsał się przed witrynami szewców, wodząc wzrokiem od jednej pary nienagannie wykonanych butów do następnej. Harriet była wyjątkowo milcząca i dopiero przed sklepem ze słodyczami wydała ciche westchnienie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Margaret, dotykając ramienia Faith, aby przyciągnąć jej uwagę.

Oczy Faith napawały się widokiem kapelusika z piórami.

wystawionego u modystki. Słyszac Margaret, mloda kobieta westchnęła i niechętnie pozwoliła poprowadzić się dalej.

- Gdzie James? - zapytała Rodericka.

- Przymierza koszule.

Poczuła zawód, co wydało się jej bardzo głupie. Czego się spodziewała? Czułego pożegnania za każdym razem, gdy od niej odchodził? Uważaj, moja panno, ostrzegła się w myślach, zbyt mocno przywiązałaś się do Jamesa i jego rodziny.

Przywołała uśmiech na twarz.

- Cóż, na co czekamy? Nie zapominajmy, że co prawda jesteśmy damami, ale każda z nas zdana jest tylko na siebie.

Śmiejąc się, wkroczyły do salonu madame Digby.

* * *

James nie znosił zakupów, a uczucie niechęci wzmagało się, jeśli w przedsięwzięcie zaangażowane były kobiety. Spędził u krawca zaledwie piętnaście minut, a kiedy wrócił do swoich towarzyszek, odkrył, że jeszcze nawet nie zaczęły zakupów. Przegoniły go i kazały pojawić się nie wcześniej niż za pół godziny.

Snuł się więc od jednego nudnego sklepu do drugiego. W odróżnieniu od płci pięknej nigdy nie chodził po sprawunki bez konkretnego celu. Bez przerwy popatrywał na zegarek, z dziwnym wrażeniem, że jest popsuty, choć wskazówki mozolnie poruszały się do przodu. W końcu wyznaczony czas upłynął.

Gdy zbliżał się do wejścia do salonu pani Digby, Margaret i Harriet właśnie z niego wychodziły, zmierzając w kierunku Rodericka i Faith, pogrążonych w rozmowie z jasnowłosym, młodym mężczyzną, który wydał się Jamesowi dziwnie znajomy. Przystojnym, młodym mężczyzną, zauważył James, obdarzonym czarującym uśmiechem i świadomym swojego uroku.

Wszyscy wydawali się doskonale bawić. Nikt go nie zauważył. Jasnowłosa mężczyzna zmierzwił właśnie włosy Harriet.

- Jakie urocze dziecko - powiedział. - Czy jesteś spokrewniona z Faith?

Harriet uniosła brew. co wywołało uśmiech na twarzy Jamesa. Nie cierpiała, gdy nazywano ją dzieckiem, ale o wiele bardziej nie lubiła, gdy mierzwiono jej włosy, jakby była szczeniakiem.

- Faith - powiedziała Harriet pełnym rezerwy głosem - zamierza poślubić mego brata, Jamesa.

Te słowa zmroziły jasnowłosego adonisa, który znieruchomiał, jakby przemienił się w blok granitu. Na policzki Faith wystąpił rumieniec.

- Harriet, wiesz, że nie powinnaś o tym rozpowiadać - powiedziała Margaret.

- Czy to tajemnica? - zapytała Harriet.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Faith. Ta oniemiała i w końcu wykrztusiła:

- Niezupełnie. Po prostu... Cóż... mój wuj w Irlandii... musimy go najpierw powiadomić. Nie mogłabym poślubić nikogo bez jego wiedzy i zgody.

Adonis pierwszy zauważył Jamesa, a spojrzenie pełne intensywnej niechęci poruszyło pamięć Burnetta. To był Robert Danvers, mężczyzna, którego poznał podczas Dnia Otwartego. a który wydawał się wtedy rościć sobie wobec Faith pewne prawa.

James podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Pan Danvers. jak miernam? Spotkaliśmy się w Winnifred. James Burnett.

Danvers przyjął rękę i uściśnął ją. Zdołał odzyskać spokój.

- Proszę pozwolić mi pogratulować wam obojgu.

- Byłyby to gratulacje przedwczesne - odparł James.

- Wciąż czekamy na błogosławieństwo od wuja Faith.

Roderick wybrał ten moment, aby nieco podnieść temperaturę dyskusji.

- Faith i mój brat byli już raz zaręczeni, dawno, dawno temu. Ale widać, nie wszystkim jest dane żyć potem długo i szczęśliwie. - Uśmiechnął się do Jamesa. - Tym razem dopilnujemy, aby James dotarł do ołtarza.

- Roderick! - zgromiła go matka z niepewnym uśmiechem.

- Wy, młodzi ludzie, w ogóle nie wiecie, kiedy zamilknąć.

Proszę, weź moje sprawunki. W końcu się na coś przydasz.

- Czy możemy cię podwieźć. Robercie? - zapytała Faith. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć poza radością przebywania w towarzystwie starego przyjaciela.

- A dokąd jedziecie?

- Na Berkeley - odparła Faith. - Zatrzymaliśmy się w domu pani Leyland. Pamiętasz, to ciotka Jamesa? Przemawiała podczas Dnia Otwartego.

- Oczywiście, że pamiętam, ale niestety zmierzam w przeciwnym kierunku.

- W takim razie odprowadź mnie do powozu i opowiedz, jak miewają się twoi rodzice.

Danvers uklonił się pozostałym i ruszył przodem, towarzysząc Faith do wylotu Piccadilly.

Roderick przybliżył się do Jamesa.

- Jest w tym facecie coś, co mi się bardzo nie podoba - powiedział.

- Przynajmniej raz w życiu, Roddy - mruknął James - się zgadzamy.

Szedł zamyślony. Włoski na karku znów miał zjeżone. Ugładził je, obserwując, jak Danvers uśmiecha się do Faith.

* * *

- Cóż - powiedział James - prawie osłabłem z wrażenia, gdy oznajmiłaś Danversowi, że praktycznie jesteśmy zaręczeni. Mnie nigdy nie mówiłaś o wujku z Irlandii.

Znajdowali się w małym, żółtym saloniku na Berkeley, czekając na gong oznajmiający obiad. James stał przy kominku, opierając jedno ramię na gzymsie. Faith niespokojnie chodziła po pokoju. Jej głos był napięty.

- Nie ma żadnego wujka w Irlandii. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam nieprzygotowana. - Staneła na chwilę i spojrzała na niego. - A ty nawet nie próbowałeś pomóc.

Wzruszył szerokimi ramionami, co jeszcze wzmogło jej zdenerwowanie.

- Próbowałem wyrażać się mało konkretnie, aby nie zaprzeczyć twojej wersji. Co więcej mogłem zrobić?

Nie umiała na to odpowiedzieć, mówił więc dalej.

- O czym rozmawiałaś z Danversem. gdy odprowadzał cię do powozu?

Westchnęła.

- Próbowałam jakoś wynagrodzić mu szok, o który przyparowały go moje słowa. Powiedziałam mu więc, że chciałam odwiedzić jego matkę w ciągu najbliższych dni i że byłabym szczęśliwa, mogąc ją gościć, gdyby zgodziła się przyjść z rewizytą. - Usiadła w fotelu i spojrzała na niego. - Chyba nie ma już dłużej potrzeby, abym się ukrywała? Minęły cztery dni od zasadzki. Te zbiry musiały się już zorientować, że nic nie wiem.

Przytaknęła.

- Chcą pamiętnika. I nie mogą wiedzieć, że jest zakodowany. Myślą więc, że przeczytałaś go i nie znalazłaś w nim nic, co mogłoby kogoś obciążyć.

- Dzięki Bogu.

- To jednak nie znaczy, że możesz przestać się pilnować. Miej rewolwer zawsze przy sobie i uważaj na Danversa.

- Na Roberta? - zapytała z niedowierzaniem.

Nie chciał być bezceremonialny.

- Tak. na Danversa. Jest w nim coś dziwnego, coś, co mi się nie podoba. Ma zbyt władczy stosunek do ciebie.

- Nie podkochuje się we mnie, jeśli to masz na myśli.

- Jesteś pewna?

Prychnęła drwiąco.

- Jestem kobietą. Kobiety wiedzą takie rzeczy.

- Hm, próbował zabić mnie wzrokiem, gdy w końcu wychynęliśmy z kredensiku w twojej sali podczas Dnia Otwartego. Co mogło, twoim zdaniem, wywołać u niego taką reakcję?

Gorący rumieniec stopniowo wypływał na jej policzki. Z widocznym wysiłkiem szukała słów, aby cokolwiek odpowiedzieć.

- Byłoby znacznie lepiej dla nas obojga - oznajmiła zduszonym głosem - gdybyś zapomniał o tym, co się tam wydarzyło.

Nachylił się ku niej i zmusił, aby na niego popatrzyła.

- Równie dobrze mogłabyś nakazać mi zapomnieć, jak się nazywam. Ty potrafisz zapomnieć? - Gdy nie odpowiedziała, dodał chrapliwym głosem: - Nie oszukujmy się. Faith. Umieść nas razem w zamkniętym pokoju, a powietrze zacznie iskrzyć.

- Nie umiałabym zawierzyć elektryczności, James - odparła szorstko. - Z tego, co wiem, to nowomodny wynalazek, który dotychczas stworzył więcej kłopotów, niż sam jest wart. Wolę to, co wypróbowane i niezawodne. - Popatrzyła znacząco na lampę gazową, wiszącą na ścianie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Cóż, ja stawiam jednak na elektryczność. I to dosłownie.

- Inwestujesz w nią?

- Oczywiście. To przyszłość.

- James?

- Tak?

- Wracając do pamiętnika mojej matki...

Ku obopólnemu żalowi, chwila bliskości minęła.

- Mów dalej.

- Jako że dotychczas niewiele nam pomógł, będziemy musieli polegać na tym, czego dowiemy się od znajomych mamy. Spotkajmy się z nimi w sobotę, na wykładzie Towarzystwa Egipciologicznego.

- O tym samym myślałem.

- W takim razie jesteście umówieni. Przeprowadzimy tam małe śledztwo i zobaczymy, czego się dowiemy.

Złączył palce i pomyślał o swoim śnie. Pustynia. Piramidy. Grupowe zdjęcie.

- Właśnie. - powiedział. - Na pewno warto spróbować.



Kilka kolejnych dni upłynęło spokojnie. Nikt nie złożył im wizyty, panie również nie wychodziły. Marazm ten był rezultatem niesławnej, cuchnącej mgły, która przykryła Londyn jak mulisty całun. Tylko panowie niezniechęceni korzystali z uroków życia, ale z chusteczkami skropionymi wodą kolońską, przyłożonymi do nosa, w próżnym wysiłku ochrony płuc i osłabienia wstrętnego odoru oparów.

Ku uldze wszystkich, mgła podniosła się w ostatniej chwili przed ślubem kuzynki Margaret i zebraniem Towarzystwa Egipcologicznego. Jako że dotarcie na przyjęcie weselne wymagało przebycia dłuższej drogi, Burnettowie mieli wziąć powóz, a Faith i James wynająć dorożkę. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak długo potrwa uroczystość zaślubin, ale wszyscy mieli nadzieję wrócić na Berkeley przed nocą, aby podzielić się wrażeniami przy kieliszku sherry. W końcu miała dołączyć także ciotka Mariah.

Goście weselni wychodzili pierwsi, a Margaret wyglądała olśniewająco w swojej kreacji od madame Digby. Różowy atłas odmładzał ją o całe lata. Faith ukradkiem obserwowała drobne grzeczności, które wyświadczał James macosze - odprowadził ją do powozu i oświadczył, że niewątpliwie zostanie królową balu - i musiała się uśmiechnąć. Nikt nie twierdził, że Burnettowie są zżyłą rodziną, ale niewątpliwie czynili postępy, choć może w żółtim tempie. Nawet Roderick starał się pilnować języka.

Dom pana Hughesa, gdzie o dwudziestej mieli spotkać się

członkowie Towarzystwa Egipcologicznego, był położony w dzielnicy South Bank, naprzeciwko mostu Westminster i był jedną z wielu okazałych, starych posiadłości, których rozległe ogrody ciągnęły się aż do rzeki. Faith mijała te domy setki razy, nigdy tak naprawdę na nie nie patrząc. Nadrabiała to zaniebdanie teraz i była pod ogromnym wrażeniem.

- Wspaniały, prawda? - powiedziała do Jamesa, gdy ten pomagał jej wysiąść z powozu.

Jego odpowiedź była oschła.

- Ale niezbyt wygodny. Te domy są wręcz niemożliwe do ogrzania zimą. Pokoje rozmiarami konkurują z galeriami w British Museum, a instalacja wodno-kanalizacyjna praktycznie nie istnieje.

- Taka instalacja jak w twoich pociągach? - zapytała pół żartem, pół serio.

- Jaka instalacja?

- No właśnie. Żadna, dopóki nie stać cię na pierwszą klasę.

Był zdumiony.

- Przecież nikt nie mieszka w pociągu. Łazienki nie są potrzebne na krótkich etapach podróży pomiędzy stacjami.

- Mężczyźni! - powiedziała Faith i potrząsnęła głową.

- Utrzymanie takiego domu musi kosztować fortunę - dodała po chwili.

- I kosztuje. Skończyła się już epoka użyteczności takich miejsc. Wkrótce z pewnością zostaną rozebrane, aby ustąpić budynkom, które nadążają za naszymi czasami. - Przechylił ku niej głowę. - Takim z solidną kanalizacją.

Powoli wspinali się kamiennymi schodami ku frontowym drzwiom wraz z tłumem ludzi, którzy wymachiwali zaproszeniami przed nosami dwóch lokajów odzianych w czarno-srebrne liberie. James wyjął zaproszenie z dłoni Faith i uniósł je, gdy wchodzili do domu.

Potem wsunął zaproszenie do kieszeni.

- Nie wydaje się to zbyt demokratyczne - powiedział. - Myślałem, że Towarzystwo Egipcologiczne jest dostępne dla wszystkich, bez wyjątku.

- I tak jest. Ale to nie jest oficjalne spotkanie Towarzystwa.
- Próbowała przypomnieć sobie słowa lady Cowdray. - Dzisiaj spotykają się „przyjaciele” Towarzystwa Egipologicznego, jak sami siebie określają. Większość z nich odbyła podróż do Egiptu i lubią czasem się spotkać, aby powspominać stare dzieje.

- Świetnie, może dowiemy się od nich czegoś przydatnego.

- Na przykład?

- Na początek, co stało się z bagażem twojej matki.

Mimo że był dopiero wczesny wieczór, świeciły się gazowe lampy, które miały rozproszyć mrok. niesiony przez ciemne, burzowe chmury, zawieszony nisko na niebie. Nikt nie obawiał się jednak deszczu, ponieważ ulewa rozpędziłaby w końcu mgłę.

Hall, który właśnie mijali, mógłby być wzięty za egipski oddział British Museum. Oczy Faith wędrowały od jednego skarbu do drugiego - otaczały ją rzeźby lwów naturalnej wielkości, obrazy, przedstawiające egipskie sceny polowań, alabastrowe popiersia przystojnych egipskich mężczyzn i kobiet, którzy przechadzali się po świecie całą wieczność temu - i czuła się, jakby chodziła po uświęconej ziemi. Odezwała się do Jamesa szeptem:

- Pan Hughes musiał poświęcić wiele lat życia na zbieranie takiej kolekcji.

James potrząsnął głową.

- To pierwszy mąż pani Hughes był kolekcjonerem - odpowiedział. - Zmarł wiele lat temu, ale Hughes zachował wszystko w nienaruszonym stanie po tym, jak poślubił wdowę.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Skąd tyle o nich wiesz?

- Znam Hughesa z widzenia. Należymy do. hm... tego samego klubu.

Miał na myśli Crockford, miejsce bardzo popularne wśród hazardzistów, ale nie zamierzał dzielić się tą informacją.

Faith przytaknęła nieuważnie. Prawic zrównali się w kolejce z witającymi wszystkich osobiście gospodarzami. Za nimi.

w przestronnym pokoju recepcyjnym, zauważyła kelnerów w liberiach, roznoszących szampana i malutkie przekąski w tłumie odświętnie ubranych gości. Faith nie onieśmielała elegancją innych dam. Wiedziała, że doskonale wygląda w jedwabnej sukni koloru orzechów włoskich i dopasowanym kolorystycznie żakiecie, także doskonale skrojonym, z jaśniejszą wstążką.

Margaret nie była jedyną osobą, która dokonała zakupów u madame Digby. Faith sięgnęła po swój fundusz na czarną godzinę i roztrwoniła go na kilka strojów dla siebie, czego nie żałowała ani przez jedną minutę. Oczywiście, jeśli czarna godzina nadejdzie, spojrzysz na całą sprawę inaczej.

Nowa suknia cudownie podziękowała na jej pewność siebie, na tyle, że nawet nie zarumieniła się, kiedy gospodarz i gospodyni wylewnie wyrazili radość z powodu tego, że mogą przyjmować w swoim domu córkę Madeline Maynard.

- Elsie, to znaczy lady Cowdray, uprzedziła nas, że pani przyjdzie, - rozplątywała się w uśmiechach pani Hughes. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo chcieliśmy cię poznać. - Zamilkła na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu. - Jesteś tak podobna do matki, że aż chce mi się płakać.

Te słowa wzruszyły Faith.

- Dziękuję - powiedziała.

Pani Hughes miała królewską figurę i mogłaby być uważana za ładną kobietę, która jeszcze niedawno musiała być w kwiecie wieku, gdyby nie fakt, że włożyła falbaniastą suknię, pasującą do osoby raczej o połowę młodszej. Owca, udająca jagniątko, jak mawiała niania, pomyślała Faith, której zrobiło się żal gospodyni.

Powitanie, którego spotkało Jamesa, było uprzejmie obojętne, dopóki nie zorientowano się, że jest kolejowym mag-natem.

Gdy przechodzili do pokoju recepcyjnego, Faith zauważyła:

- Nie wydaje mi się, abyście ty i pan Hughes się znali.

- Cóż, naprawdę? Tak jak mówiłem, znamy się tylko z widzenia.

- Bardzo gładko, James, ale nie dość gładko - odparła.

_ Myślałeś, że mnie zaszokujesz? Czytałam o tego typu klubach w pamiętniku matki. Nie jestem tą ograniczoną kozą, którą byłam kiedyś.

James znał pamiętnik Madeline prawie równie dobrze, jak sama Faith, ponieważ w ciągu ostatnich kilku dni spędzili wiele godzin, próbując go rozszyfrować. Nie wydawał mu się on lekturą odpowiednią dla damy, ale zbyt drogo cenił swoją skórę, aby choć o tym napomknąć. Poza tym, czuł się jak hipokryta. Madeline nie robiła nic karygodnego czy niezgodnego z prawem. Po prostu korzystała z takiej samej wolności, jaką od zawsze cieszyli się mężczyźni. Kochankowie pojawiali się i znikali z dokuczliwą wręcz regularnością, ale ich tożsamość pozostawała dla nich zagadką. Żadne z nazwisk, które znali, nie odpowiadało inicjałom w pamiętniku Madeline. Nie sądził, aby Faith uznała te romanse za coś więcej niż flirt. Nie uważał jej za ograniczoną, ale raczej za niewinną, co było w tych czasach rzadko spotykane.

Madeline nie była ani niewinna, ani prostoduszna. Charakterystyki otaczających ją ludzi pisała ostrym piórem. Nie oślepiały jej ich bogactwa czy błyskotliwość. Jej komentarze były pełne zawołanej ironii, w której kryła się pewność, że, z kilkoma wyjątkami, opisywane osoby nie będą rozpoznane.

Czy jej śmierć była przypadkowa? Doszedł do wniosku, że mogła szantażować kogoś, kto zdecydował się ją w końcu uciszyć, ale była to tylko teoria, którą nie chciał dzielić się z Faith. W jej oczach matka była postacią heroiczną, która zapewne nigdy nie zniżyłaby się do szantażu. Jediną rzeczą, której mogli być pewni, to fakt, że ktoś był gotowy zabić, aby wejść w posiadanie pamiętnika Madeline.

Faith wygięła szyję, aby lepiej widzieć sufit.

- Spójrz, James - powiedziała przytłumionym głosem - galerie są dwukondygnacyjne. To musi być sala balowa, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Sala balowa, sala recepcyjna, sala wykładowa. Wciąż zbyt kosztowna, aby ją utrzymywać, a nawet nie w połowie tak droga jak utrzymanie Drumore.

Uniosła brew.

- Nie musisz mnie przekonywać. Nie jestem twoim ojcem. On także obserwował galerię.

- Co się stało. James? Co tam zobaczyłeś?

Poczuł nagle przejmujący dreszcz. Spojrzył na Faith.

- To pewnie przez ten upał - powiedział. - Zakręciło mi się w głowie.

Jej twarz się rozjaśniła.

- Faktycznie, dosyć tu gorąco. Stańmy może przy jednym z otwartych okien.

* * *

Popijali szampana i skubali zakąski, gdy Faith nagle wymamrotała:

- Nareszcie twarz, którą rozpoznaję. Trzymaj się, James, nadchodzi lady Cowdray.

Zbliżająca się do nich kobieta na pierwszy rzut oka wydała się Jamesowi podobna do wielkiego, czarnego, ale ładnego kruka z brylantowymi oczami, których kolor pasował do umaszczenia. Drugie wrażenie było bardziej przychylnie damie. Błękitno-czarna suknia stanowiła radykalne tło dla srebrzystych włosów, które delikatnie opadały na jej ramiona.

Z tego, co zauważył, była jedyną kobietą na sali, która nie nosiła czepka. Była oczywiście nonkonformistką, jak one wszystkie zresztą i jedną z niewielu kobiet, które Faith podziwiała na równi z matką.

- A więc przyszedłeś! - krzyknęła, obejmując Faith serdecznie. - Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo się martwiłam po tych strasznych wydarzeniach, które rozegrały się tuż przed moim domem. Wiedziałam oczywiście, że zamierzasz spędzić jakiś czas w Brighton, ale zgodziłaś się przyjść na dzisiejszy wykład. Gdybyś się nie pojawiła, poszłabym na policję i zgłosiła twoje zaginięcie. Ale nie wiem, co by z tego przyszło! Wydaje się, że w ogóle nie przejmują się tym. co się stało.

Faith zdołała przerwać tę powódź słów, aby przedstawić Jamesa, ale jej wysiłek został skwitowany obojętnym „jak się pan miewa”. Lady Cowdray nie zwróciła na niego uwagi. James był zachwycony. W towarzystwie, w którym zwykł się obracać, o jego opinii i rady zabiegano. Tu był praktycznie niewidzialny. Zdecydował więc sam w końcu zaakcentować swoją obecność.

Kiedy lady Cowdray przerwała na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu, wtrącił:

- Czy policja ujęła mężczyzn, którzy próbowali porwać pannę McBride? - Wiedział, że nie. ale miał nadzieję, że mają przynajmniej jakiś ślad.

- Nie. - Lady Cowdray popatrzyła na niego, mrużąc powieki. - Powiedział pan, że jak się nazywa?

- James Burnett.

- Ach, więc pan istnieje. Policja przekonywała mnie, że udaremnił pan ten napad, ale myślałam... Zresztą, nieważnie, co myślałam. Chodź, Faith. Jest tu kilka osób, które bardzo chcą cię poznać.

Faith, stanowczo popychana w stronę grupy ludzi stojących obok drzwi balkonowych, zdołała tylko posłać Jamesowi zdumione spojrzenie. W odpowiedzi uniósł kieliszek w niemym toaście. Gdyby próbował ją zatrzymać, mogłoby to dziwnie wyglądać. Poza tym instykt mówił mu, że Faith jest tutaj bezpieczna. Nie oznaczało to jednak, że nie czuł ukłuć niepokoju w miarę, gdy się od niego oddalała.

Przechadzał się po sali, obserwując ludzi, przysłuchując się rozmowom i wciąż nie spuszczać oczu z Faith. Wydawała się tu o wiele bardziej na miejscu niż on. ale nie dlatego, że pasowała do tej zbieraniny pseudointelektualistów. ale dlatego, że była naprawdę zainteresowana ich poznaniem. Miała talent do sprawiania, że ludzie czuli się przy niej dobrze. Nie była to umiejętność, której nabyła z wiekiem. Przychodziło jej to naturalnie. Dla Faith każdy był na swój sposób fascynujący.

Była jednak zbyt ufna, co mogło doprowadzić do masy kłopotów. Ale co w takim razie sprawiło, że nagle przestała ufać

jemu i zniknęła bez słowa. I co z niego za jasnowidz, że nie może znaleźć rozwiązania swych własnych problemów.

Niekompetentny, zniechęcony. Taki, który nie zadał sobie nawet minimum trudu, aby czegoś się nauczyć. Wierzył w swoje sny, ale inne, dziwne wrażenia, które od czasu do czasu się w nim pojawiały, były tak słabe, że prawie ich nie zauważał.

Kiedy spojrzął na galerie otaczające salę balową, znów poczuł niepokój. I co miał z tym zrobić? Gdyby istniała jakaś szkoła dla jasnowidzów, pierwszy by się do niej zapisał.

Z drugiej strony, dobrze wykorzystał swój dar, gdy Faith została otoczona przez bandę opryszków. Faith, zawsze, wszędzie tylko ona. Przy niej jego dar był najbardziej potężny.

Nagle za jego plecami odezwał się męski głos:

- Widzę, że zostałeś porzucony. Ale nie bierz tego do siebie. Pani Maynard była dla wielu czymś w rodzaju ikony. Nikt nie wiedział, że miała córkę. Nieuniknione było, że czciciele Made-line skorzystają z okazji, aby uczynić z jej potomka kolejny obiekt kultu.

Był to gospodarz przyjęcia, pan Hughes. Jego ton był uprzejmy i kulturalny. Słysząc było w nim nutki pobłażliwej tolerancji dla grupy kobiet, która ciasno otoczyła Faith w drugim końcu pokoju. Nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt pięć lat. Jego jasnobrażowe włosy dopiero zaczynały siwieć na skroniach. Wyglądał na człowieka dystygowanego, jowialnego, tylko w jego oczach czaił się cień cynizmu.

- Pan nie jest członkiem tego kościoła? - zapytał James.

- Ach, nie. Słabo znałem panią Maynard. To znaczy, chcę powiedzieć, że dosyć późno zacząłem interesować się Egiptem. Pierwszy mąż mojej żony był egiptologiem. Sir Franklin też był kimś w rodzaju ikony. Jak pan może z łatwością zauważyć - wskazał ręką hall i przedpokój, w których wystawiono egipskie artefakty - jego wpływ nie maleje z upływem czasu.

- Czyli pana żona jest egiptolożką?

- Och, najbardziej gorliwą. Jestem jednym z tych, których nawróciła. Sophie nigdy nie poślubiłaby mężczyzny, który nie podzielałby jej pasji.

Uwagę Jamesa rozpraszała dama w przeciwległym rogu pokoju, która nie wyglądała na osobę entuzjastycznie ustosunkowaną do obecności Faith na przyjęciu. Wydawała się powściągliwie, wręcz wrogo nastawiona, a przed ucieczką powstrzymywało ją jedynie silne ramię lady Cowdray, które trzymało ją w miejscu.

- Kim jest dama z pomarańczowymi włosami? - zapytał. Rozpoznawał jej twarz. Widniała na fotografii, którą dała mu Faith.

- Koszmarne, prawda? Mam na myśli te pomarańczowe włosy. - Hughes podniósł lorgnon i spojrzał przez soczewki. - Panna Coltrane, tak jak myślałem. Tak. To Jayne Coltrane. Kiedyś były z Madeline najlepszymi przyjaciółkami, tak słyszałem, ale o coś się poróżniły. Nie mam pojęcia o co, chyba nikt tego nie wie. Powody zatrzymały dla siebie. - Jego głos zniżył się i stał się bardziej poufny. - Panie Burnett, dziękuję, że nie zdradził pan dzisiaj, że jestem członkiem Crockford. Opinia pani Hughes na temat dżentelmenów, którzy zajmują się hazardem, jest bardzo radykalna. Tak jak chyba zresztą opinia większości kobiet. O, widzę, że profesor Marsh podchodzi do mównicy. To sygnał dla mnie i innych Filistynów, aby zrejterować do biblioteki na coś bardziej treściwego niż szampan. Słyszałem ten wykład setki razy, mogę więc sobie darować. Zechce pan się do nas przyłączyć?

James uśmiechnął się przelotnie.

- Może innym razem. Nakazano mi zachowywać się przyzwoicie.

Hughes roześmiał się.

- Wyglądają niewinnie, to fakt. Ale proszę mi wierzyć, gdy skończy się wykład, zaczną tu latać noże. Moja rada - proszę nie otwierać ust i nie wyrażać żadnych opinii, jeśli naprawdę nie jest pan przekonany, że wie, o czym mówi. - Zaczął zbierać się do odejścia. - Moja oferta jest aktualna.

James uśmiechnął się i potrząsnął głową.

Gdy Hughes zmierzał powoli w stronę wyjścia, James spojrzał przez pokój i zobaczył, że tłum wokół Faith zaczął rzednać.

Ona sama wydawała się promieniować radością życia. Może to jesienne kolory jej sukni przydały jej blasku. Nie wyobrażała sobie, aby ktokolwiek z Winnifred mógł rozpoznać konserwatywną pannę McBride w tej uroczej, pełnej życia kobiecie, która znajdowała się teraz w centrum uwagi.

Wypełzający na jego twarz uśmiech zamarł, gdy zobaczył, że Faith stanęła twarzą w twarz z rudowłosym dżentelmenem, który zagroził jej drogę. Wydawał się mieć jej mnóstwo do powiedzenia. Spojrzenie Jamesa przeniosło się na Faith. Ona z kolei wyglądała na podenerwowaną spotkaniem. Dołączył do nich kolejny dżentelmen, potem następny.

Z uśmiechem przyklejonym do twarzy James podszedł do zgromadzonych. Jedno jego spojrzenie skłoniło wielbieli Faith do rozpląnięcia się w powietrzu. Uwolniona od natrętów, podeszła do niego szybko.

- Kim był mężczyzna, z którym rozmawiałaś? - zapytał, modulując głos. - Ten rudy?

Jej ton był równie uprzejmy.

- Wydaje mi się, że był to bratanek pani Hughes lub jej kuzyn w drugiej linii. Zajmiemy miejsca? Wykład zaraz się zacznie.

Odpowiedź nie usatysfakcjonowała Jamesa, ale nie miał szansy na dalsze pytania, ponieważ Faith zaczęła opowiadać o osobach, które poznała.

- Udało mi się dopasować kilka twarzy do inicjałów z pamiętnika mamy. Kobieta z jasnorudymi włosami to Jayne Coltrane. a jej towarzysz to Laurence Coltrane, jej brat. Według lady Cowdray, moja matka i Jayne posprzeczały się przez jakiegoś mężczyznę, ale na długo przed ich ostatnią ekspedycją do Egiptu.

- Ciekawe, kim był ten mężczyzna.

- Albo nikt nie wie, albo też wszyscy są ostrożni.

- Ostrożni? - James uniósł brew. - Ta mafia nie polubiłaby cię, gdybyś nazwała ich ostrożnymi. Lubią myśleć, że są ekscentryczni. Nie są ostrożni, są egoistami, a zrozumiałem to, przysłuchując się cały wieczór ich rozmowom.

Irytacja zniknęła z twarzy Faith.

- Jest w tym coś, co powiedziałaś, ale nie dlatego nie chcą dopuścić ludzi z zewnątrz do swojego kręgu. Tym właśnie jesteśmy dla nich, James, ludźmi z zewnątrz.

Znaleźli miejsca na skraju tylnego rzędu i usiedli.

- Cóż - odezwał się w końcu James - dowiedziałas się może przynajmniej, co stało się z kufrem twojej matki?

- Nikt nie myśli, że to ważne. Lady Cowdray twierdzi, że bagaże giną cały czas. Zostawia się je w dokach, padają łupem złodziei. Po tylu latach nikt nie pamięta, kto co gdzie zgubił.

- Założę się, że ktoś pamięta, ale nie mówi. Może ktoś z nich - odparł James ponuro.

Faith spojrzała na niego sceptycznie.

- Skąd ten pomysł?

- Zapomniałaś już, co stało się w Chalbourne? Nie zapominaj o ostrożności, Faith. Ani na moment.

- Cii! - Dama w kapeluszu z przyszpilonym doń rudzikiem spojrzała na nich przez ramię. - Czy nie wiedzą państwo, że profesor Marsh nie zacznie, dopóki nie zapadnie cisza?

Rozmowy w końcu umilkły, profesor odchrząknął i zaczął mówić. James był przygotowany na nudę, ale wykładowca go zaskoczył. Meritum wystąpienia, nasyconego mnóstwem anegdot, było przekonanie, że gdzieś niedaleko Luksoru, w Dolinie Królów znajdują się grobowce faraonów, które dosłownie czekają na odkrycie. Kolejna ekspedycja w tamto miejsce była planowana na listopad, jeśli lokalne warunki będą sprzyjające, co znaczyło, jak podejrzewał James, jeśli siły brytyjskie zdołają oczyścić ten teren z dokuczliwych plemion tubylczych.

Przez audytorium przebiegł szmer, który profesor uciszył jednym gestem. Jedyłą rzeczą, kontynuował, która może stanąć na przeszkodzie wyprawie jest brak środków, który uniemożliwia udział w niej części uboższych odkrywców.

W tym momencie entuzjazm Jamesa dla projektu nieco osłabł. Zmarszczył brwi i odwrócił się do Faith.

- Dzisiejsze spotkanie ma na celu zbiórkę pieniędzy?

Podniosła ramiona i pozwoliła im opaść.

- Nie mam pojęcia. Lady Cowdray nic nie wspomniała o jakiegokolwiek zbiorce, gdy mnie zapraszała. Jestem pewna, że nikt nie oczekuje od ciebie datku. Nie jesteś przecież członkiem Towarzystwa.

James rozejrzał się po widowni. Wszyscy wykręcali szyje w jego kierunku. Nie było wątpliwości, że rozeszła się wieść, że mężczyzna, który towarzyszy dziś córce Madeline Maynard, ma kieszenie pełne złota. Cholera! Muszą być przekonani, że jest tutaj, aby wesprzeć sprawę.

Oklaskami nagrodzono gospodarza, który zastąpił przy mównicy profesora Marsha.

- Tak zaplanował wejście, aby być świadkiem - warknął James.

- Co? - Faith wydawała się lekko zaniepokojona. - Kto?

- Hughes! - wycedził James. - Ten człowiek to hipokryta. Nie jest egiptologiem. Jest biznesmenem. Jak mogę odmówić złożenia datku, skoro przyszedłem tu dziś z córką legendarnej Madeline Maynard?

- Po prostu powiedz „nie”.

- Nie mogę zawieść przeciwnika.

Zrezygnowany, James skrzyżował ramiona na piersi i zaczął z wymuszonym szacunkiem spoglądać na gospodarza.

Hughes, radosny i zrelaksowany, przedstawiał po kolei patronów sprawy, liderów wielu przedsięwzięć, którzy teraz mieli szansę, aby spłacić swój dług wobec społeczności i wesprzeć szlachetną ideę. Każda wymieniona osoba wstawała i zostawała nagrodzona burzą oklasków.

Hughes mówił dalej.

- Jak wiecie, zachęcamy każdego, aby wsparł ekspedycję. Mój kamerdyner będzie przyjmował datki, niezależnie od ich wysokości. John?

Kamerdyner nie był odziany w liberię, a w strój dżentelmena, jak wszyscy pozostali goście. Miał około pięćdziesięciu lat, trzymał się prosto, jak były żołnierz.

- Diabelski plan! - wymamrotał James. - Kto się ośmieli

odmówić czegokolwiek temu generałowi z kamienną twarzą? Hughes wydrze te pieniądze z podbitej publiczności.

- Cóż, ze mnie nie wydrze niczego.

- Jestem przekonany - kontynuował Hughes - że możemy liczyć na hojne wsparcie naszego najnowszego, honorowego członka, zaręczonego z panną Faith McBride, którą znacie jako córkę Madeline Maynard. Proszę państwa, mam na myśli oczywiście magnata kolejowego, pana Jamesa Burnetta.

- Co? - wyrzuciła z siebie Faith, gapiąc się na Jamesa.

- Nie patrz na mnie! Ja nikomu nie mówiłem, że jesteśmy zaręczeni.

- To kto im powiedział?

- Czy Harriet nie poinformowała o tym Danversa? Takie wiadomości szybko się rozchodzą.

- Harriet powiedziała Robertowi?

- W arkadach Burlingtona. Co mu później mówiłaś?

Przycisnęła rękę do ust.

- Nic.

Ich rozmowę przerwały burzliwe oklaski.

James wiedział, że został przechytrzony, i oddał salut gospodarzowi, który rozpromienił się na ten widok.

- Nie wiedziałam, że jesteś honorowym członkiem - wymamrotała Faith.

- Ja również nie miałem pojęcia.

- Ależ on ma tupet! Przecież ty w ogóle nie interesujesz się starożytnym Egiptem! Co zamierzasz zrobić? - spytała oburzona zaistniałą sytuacją.

Hughes zszedł z mównicy i ruszył w ich stronę.

James wstał.

- Otrzymałem zaproszenie, aby dołączyć do reszty idiotów w bibliotece. - Uwielbiał ognisty błysk w jej oczach. - Nie bierz tego aż tak do siebie, skarbie. To tylko pieniądze.

Patrzyła, jak podchodzi do Hughesa lekkim krokiem, z non-szalanckim uśmiechem na twarzy.



Wkrótce potem otwarto drzwi do oranżerii. Goście oniemieli na widok, który ukazał się ich oczom. Na zewnątrz było już ciemno, ale oranżeria, jeśli tak rozległa przestrzeń mogła być określona tym mianem, była oświetlona chińskimi lampionami, porozwieszanymi na gałęziach drzew. Naokoło porozstawiano stoliki i krzesła dla gości, którzy chcieli jeść, a uzupełnienie stanowili lokaje w liberiach, roznoszący szampana i lemoniadę na srebrnych tacach.

Faith nie była głodna. Stała z boku i przeszukiwała morze twarzy w nadziei na odnalezienie rudowłosego młodzieńca.

On znalazł ją pierwszy.

- Panno McBride - powiedział z łagodnym, szkockim akcentem - przerwano nam, zanim mieliśmy okazję zamienić więcej niż kilka słów. - Potrząsnął głową. - Może pani sobie wyobrazić, jak bardzo byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że jest pani zaręczona z panem Burnnettem. Myślałem, że już dawno jesteście małżeństwem i cieszyście się gromadką dzieci.

Faith starała się aby jej głos brzmiał beztrzesko.

- Sprawy nie zawsze układają się po naszej myśli, panie Dobbin.

Wciąż nie mogła przezwyciężyć szoku, o który przypawiło ją to spotkanie po latach. Alastair Dobbin był człowiekiem, który towarzyszył jej w drodze do Szkocji, gdzie miała nadzieję zaskoczyć Jamesa, a gdzie sama została zaskoczona przez dziewczynę, którą w końcu jej narzeczony poślubił, lady Fionę Shand. Dobbin nie wiedział nic o jej kłopotach. Pożegnali się na stacji

w Edynburgu, a kiedy on odjeżdżał pociągiem w kierunku rodzinnego Aberdeen, ona rozpakowywała bagaże w hotelu niedaleko stacji Waverley.

Prywatna rozmowa, którą chciała odbyć Faith z panem Dobbinem, wydawała się nie być im pisana. Z jednej strony przedzierała się ku nim lady Cowdray, z drugiej natomiast pani Hughes. Faith pochyliła głowę i wymamrotała:

- Muszę zaczerpnąć powietrza. - Wymknęła się chyłkiem przez drzwi balkonowe na taras. Dobbin poszedł w jej ślady.

Nie byli na tarasie sami. Część dżentelmenów udała się tam, aby zapalić cygaro.

- Może się przejdziemy? - zaproponowała Faith i wyszła na ścieżkę, wijącą się w dół. w stronę rzeki. Wkrótce zwolniła kroku i zatrzymała się w niewielkiej odległości od tarasu, ale na tyle daleko, aby nie słyszeli jej pałacy.

W ogrodzie paliło się prawie tyle lampionów, ile w oranżerii, kiedy więc Faith spojrzała w końcu na twarz pana Dobbina, mogła zauważyć, że maluje się na niej troska.

- Czy dobrze się pani czuje, panno McBride?

Westchnęła i uśmiechnęła się smutno.

- Czuję się jak lis, ścigany przez setki ogarów, a wszystko to dlatego, że okazałam się córką Madeline Maynard.

Miał uroczy uśmiech. W zasadzie, Alastair Dobbin był jednym z jej ulubieńców, gdy była damą do towarzystwa lady Beale. Miał uroczy uśmiech, oczy i maniery. Ale nie tylko dlatego go lubiła. Tak jak ona. był mołem książkowym i, tak jak ona. interesował się starożytnymi cywilizacjami, ale nie miał pieniędzy, aby rozwijać swe zainteresowania.

- Ostatni raz. kiedy pana widziałam - powiedziała - był pan w drodze do domu. do Aberdeen. Pan i pana przyjaciele, o ile dobrze pamiętam, mieliście udać się do Orkney i tam poszukiwać... co to było?

- Ziemiańek - odpowiedział. - Ma pani doskonałą pamięć. Roześmiała się.

- Mój ojciec nigdy by tak nie powiedział. Co więc oderwało

pana od ziemianek w Orkney i przywiodło do tego wyrafinowanego towarzystwa?

- Nie wie pani? Pani Hughes jest przez małżeństwo moja ciotką. Jej pierwszy mąż był moim wujem. Słyszała pani zapewne profesora Marsha. Wuj Franklin był obdarzony równie wielkim darem wymowy. To przez niego zainteresowałem się egypctologią. Teraz prowadzę wykopaliska dla Towarzystwa.

Była pod wrażeniem.

- Czy znał pan moją matkę?

- Nie, ale wiele o niej słyszałem. Popularyzowała Egipt swoim pisarstwem jak nikt inny, dzięki niej zaczęły płynąć do nas pieniądze na ekspedycje.

Faith poczuła, jak jej serce przepełnia się dumą. Nie wszystkie komentarze, które do niej dziś dotarły, były tak miłe. Panna Coltrane przyjęła ją chłodno i napomknęła, że ma nadzieję, iż podobieństwo pomiędzy matką a córką jest tylko powierzchowne.

Wyparła to niepokojące wspomnienie i pogрузzyła się w kontemplowaniu widoków. Dawno już minęli wypielegnowane ogrody kwiatowe i teraz przedzierali się przez gąszcz drzew i krzewów, ale nawet tu wywieszono latarnie, które wskazywały drogę. Widać było, że pan Hughes nie musi się martwić o pieniądze.

- Słyszałam - powiedziała Faith - że te piękne domy są wykupywane i burzone, aby zrobić miejsce dla bardziej współczesnego budownictwa.

Uśmiechnął się, słysząc jej pełne żalu westchnienie.

- Tak. Nawet moja ciotka sugerowała, że wołałaby coś bardziej nowoczesnego i wygodnego.

- Myśli pan, że ona także sprzeda posiadłość?

Było to zupełnie zwyczajne pytanie, dlatego zdziwił ją przelotny błysk cynizmu w oczach pana Dobbina. Wzruszył ramionami.

- Tylko pan Hughes może udzielić odpowiedzi na to pytanie. Jeśli on zadecyduje o sprzedaży, wtedy sprzedadzą.

Wydawało się jej, że zrozumiała.

- Myślę, że jako dziecko musiał pan uwielbiać ten dom-

Kolekcja egipskich artefaktów wuja niewątpliwie musiała wywierać na panu ogromne wrażenie.

- Tak, sir Franklin był niezwykle ciekawym człowiekiem.

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Faith, panno McBride, jestem zaszczycony tym, że wybrała mnie pani na towarzysza przechadzki, ale zgaduję, że chciała mi pani powiedzieć coś szczególnego, z dala od uszu ciekawskich sympatyków. Czy mam rację?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, podziwiając jego szczerość na równi z delikatnością. Ale od czego miała zacząć? I jak wyrazić życzenie, nie obracając edynburskiego epizodu w melodramat?

- Panie Dobbin - odparła - Alastair, nigdy nie powiedziałam Jamesowi, że byłam w Edynburgu czy w ogóle w Szkocji. Podróż okazała się... - Roześmiała się sztucznie, szukając słów.

- Totalną katastrofą.

- Rozumiem - powiedział, choć wyraz jego twarzy mówił zupełnie coś innego.

Wzruszyła bezradnie ramionami.

- W ostatniej chwili zmieniłam zdanie i następnym pociągiem wróciłam do Londynu. - To była prawda albo wersja bardzo bliska prawdy, zdołała więc spojrzeć mu prosto w oczy.

- Byłam zbyt młoda na małżeństwo, głupiutka dziesiętnastoletka, zbyt młoda, aby wiedzieć, czego pragnę.

Zmrużył oczy.

- A teraz jest pani starsza i mądrzejsza?

- Coś w tym rodzaju.

Czekał cierpliwie, aż zacznie znowu mówić.

- Uciekłam. Nie tylko od Jamesa, ale od mojego życia, od przyjaciół w Londynie. Chcę powiedzieć, że...

- Tak?

Starła się mówić swobodnie.

- Nie chciałabym, aby James dowiedział się, że kiedykolwiek byłam w Edynburgu z powodów, których nie mogę panu wyjawić. Jest pan jedyną osobą, która może zdradzić mój mały sekret. Czy mogę liczyć na to, że zatrzyma go pan dla siebie?

Jego uśmiech zbladł, a głos stał się dziwnie poważny.

- Nie powiem mu ani słowa...

- Dziękuję!

- Ale nie mogę obiecać, że o tym nie usłyszysz. Wspomniałem o naszej podróży ciotce, nie widząc w tym nic złego, a ona, o ile wiem, powiedziała o tym lady Cowdray.

Obserwował ją z ciekawością.

Poczuła, jakby ktoś wymierzył jej cios w żołądek, ale zdołała przywołać na twarz uśmiech.

- Ma pan rację. Przecież nie ma w tym nic złego. Zapomnijmy, proszę, że w ogóle o tym wspomniałam.

Kontynuowali przechadzkę. Żeby zatrzeć wrażenie niezręczności, Faith zapytała Dobbina o jego pracę w Egipcie. Początkowo była zbyt pochłonięta własnymi problemami, aby słuchać, ale stopniowo jego słowa docierały do niej i w końcu wzbudziły w niej żywe zainteresowanie.

- Myślę - zauważyła w pewnej chwili - że uwielbia pan trudności życia na wykopaliskach, panie Dobbin, choć twierdzi pan co innego. Z trudem może pan stłumić entuzjazm w głosie, gdy o tym opowiada.

- Myślałem, że jestem Alastairem. A teraz znów nazywasz mnie panem Dobbinem?

- Alastairze - poprawiła się z uśmiechem. - Twoje słowa są tak żywe, że prawie czuję na twarzy ciepło egipskiego słońca. Chciałabym móc zobaczyć to wszystko na własne oczy. Ale skoro to niemożliwe - posłała mu kolejny uśmiech - musisz to wszystko spisać i opublikować w gazetach, aby ci, którzy zostają w domu, mieli co czytać.

- Obawiam się, że wszystko to zostało opisane już milion razy. Czasopisma nie są już zainteresowane opowieściami podróżników. Ale gdybym odkrył zaginiony grobowiec, pełen nietkniętych skarbów, znalazłbym się na pierwszych stronach gazet na całym świecie!

Spojrzał na nią z ukosa.

- Ale dlaczego sądzisz, że nie będziesz mogła nigdy odwiedzić Egiptu?

- Brak kapitału - powiedziała sucho. - My, nauczyciele, musimy się troszczyć o każdego pensa. - Zbyt późno zauważyła swój błąd. Żona Jamesa Burnetta nie musiałaby przecież martwić się o pieniądze.

Wydawał się nie dostrzegać gafy.

- Jestem pewien, że Towarzystwo znalazłoby fundusze, aby wysłać córkę Madeline Maynard do kraju, który jej matka tak kochała. Cały czas dofinansowują czyjeś wyprawy, nie dyskryminując przy tym kobiet.

Na wszelki wypadek, gdyby później miał sobie przypomnieć jej wpadkę, uczyniła wysiłek, aby ją naprawić.

- Być może zdołam przekonać Jamesa, aby mnie tam zabrał. Dobbin posmutniał.

- Miałem nadzieję, że całkiem już o nim zapomnieliśmy.

Kiedy zamrugała zdumiona, uśmiechnął się figlarnie. Dobry Boże! Ten przystojny, młody człowiek z nią flirtował! Ku jej ogromnej uldze, gdy w popłochu szukała w głowie dowcipnej riposty, błogosławione kaprysy angielskiego klimatu uratowały ją od ośmieszenia się wizerunkiem zdziwaczałej starej panny. Z nieba zaczęły lecieć wielkie krople.

- Szybko, hangar na łodzie! - krzyknął Dobbin.

Hangar na łodzie? Jak daleko zaszli? Faith spojrzała w stronę domu. Lampiony gasły, jeden po drugim, zalewane wodą, ale mogła jeszcze dostrzec jego światła. Wydawały się migać w oddali, gdy deszcz zaczął przechodzić w prawdziwą nawałnicę.

Dobbin chwycił ją stanowczo za ramię i powiedział:

- Hangar na łodzie jest naszą jedyną szansą na ucieczkę przed burzą. Chodź, Faith.

Oślepiąca strugami deszczu, pozwoliła mu się prowadzić.

* * *

James opuścił gabinet Hughesa z mieszanymi uczuciami, Fakt, że pochlebstwami został nakłoniony do pokażnej darowizny na rzecz zbliżającej się ekspedycji, nie robił na nim naj-

mniejszego wrażenia. Martwiło go natomiast to, czego dowiedział się o rudym mężczyźnie, który podszedł do Faith przed wykładem. Był to nie kto inny, a dżentelmen, z którym odjechała Faith, po tym, jak rzuciła posadę u lady Beale. Dobbin, osioł, pomyślał złośliwie.

Dlaczego nie wymieniła jego nazwiska, gdy zapytał ją o to, z kim rozmawiała? Dlaczego trzymała to w tajemnicy?

Błąkał się z pokoju do pokoju, szukając wzrokiem jej zalotnego czepka z białymi piórami. Kiedy nie udało mu się jej odnaleźć, zaczął lustrować tłum w poszukiwaniu rudowłosego. Nie było śladu Dobbina. Zaczął się naprawdę niepokoić, gdy podszedł do niego mężczyzna, którego ktoś przedstawił mu jako brata Jane Coltrane.

- Jesteś James Burnett, prawda? - zapytał. - Nazywam się Larry Coltrane. Jak się miewasz? Słyszałem od gospodarza o hojnym datku, którym wsparłeś nasz fundusz.

Larry Coltrane był znacznie młodszy od siostry, co najmniej o dekadę, mógł mieć więc około czterdziestu pięciu lat. Na jego korzyść przemawiał jeden fakt - nie miał rudych włosów. W innych okolicznościach Coltrane nie byłby typem człowieka, który przyciągnąłby uwagę Jamesa. Był zbyt przystojny, zbyt wielkomięski i zbyt pewny siebie.

- Jak się pan miewa, panie Coltrane? Wydaje mi się, że był pan członkiem ostatniej ekspedycji, w której brała udział pani Maynard?

- Byłem oficjalnym fotografem - odparł Coltrane. - Nie wszyscy jesteśmy zamożni, wie pan. Niektórzy z nas muszą zarabiać na chleb. Ja zarabiam aparatem.

- Nie jest pan więc prawdziwym egiptologiem?

- Obawiam się, że nie.

- A pana siostra?

- Jayne? - Coltrane wydawał się zdziwiony. - Ona, Madeline i Elsie Cowdray były główną siłą napędową tej grupy. Tak to się właśnie zaczęło, przez trzy zdeterminowane kobiety, które nie chciały być traktowane jak uroczyste dekoracje. Proszę mi wierzyć, panie Burnett, nie bały się pobrudzić rąk w czasie

wykopalisk albo przyłożyć się do pracy, gdy sprawy przybierały zły obrót.

- Ale między Madeline a pana siostrą doszło do jakiejś sprzeczki?

Coltrane przytaknął.

- Obie pisały do gazet. Myślę, że można to nazwać zawodową rywalizacją.

- Był pan tam, gdy Madeline zmarła?

- Wszyscy byliśmy zdruzgotani.

Po raz pierwszy od początku rozmowy James poczuł, że maska Larry'ego Coltrane'a opadła. Mówił prawdę. Śmierć Madeline była dla niego okrutnym ciosem.

- Był pan w niej zakochany - powiedział po prostu.

- Kochałem ją - odpowiedział Coltrane. Zapadła cisza.

- A nie dawała się kochać zbyt łatwo. Wątpię, aby Madeline kiedykolwiek kogokolwiek kochała. Nie zdziwiło mnie to w ogóle, gdy dowiedziałem się, że opuściła męża i córkę dla przygody w Egipcie. To była cała ona. Mam nadzieję, że jej córka wybaczy mojej siostrze oziębłość. Wygląda dokładnie jak matka, co chyba sprowokowało Jane do powiedzenia rzeczy, których nie powinna była mówić.

Upił wina, zanim podjął wątek.

- Dziwna sprawa, prawda? Panna McBride odkrywająca po latach, że jest córką Madeline. Lady Cowdray powiedziała nam, że panna McBride była przekonana, że jej matka zginęła w wypadku na łodzi?

James potwierdził niezobowiązująco. Padło więcej podobnych pytań i dla Jamesa stało się jasne, dlaczego Coltrane go odszukał. Nie po to, aby przekazać informacje, ale aby ich poszukać. Chciał się dowiedzieć, ile Faith wie o prywatnym życiu matki. Nikt nie wspomniał o pamiętniku Madeline.

Kiedy pytania się skończyły, Coltrane odszedł, kiwając głową i uśmiechając się na pożegnanie. James obserwował go, zastanawiając się, czy jest coś, co Coltrane ukrywa.

Następne kilka minut spędził na poszukiwaniu Faith. Kiedy nie znalazł jej, ani Dobbina, zaczął się niepokoić. Już miał

opuścić salę przez drzwi na taras, kiedy wkroczył przez nie gospodarz, otoczony grupą dżentelmenów.

- Nie zdążyłem nawet zapalić cygara - powiedział Hughes - gdy lunęło jak z cebra. Spójrzcie państwo. Jestem całkiem przemoczony.

- Czy widział pan pannę McBride?

Hughes przystanął.

- Pannę McBride? Nie. Jak już mówiłem, wyszedłem zaledwie na kilka minut. Przepraszam na moment, pójdę się przebrać.

James pchnął drzwi balkonowe i wyglądnał na zewnątrz. Przez chwilę jego oczy przyzwyczajały się do ciemności. Nie była gęsta. Gdzie jesteś. Faith? Gdzie jesteś?

Nie mógł się skoncentrować. Zbyt wielu ludzi robiło zbyt wiele hałasu. Nie powinien był tracić czasu na rozmowy z Larrym Coltranem.

Skup się. Skoncentruj.

Już raz to zadziałało, gdy wszedł w umysł zabójcy. Dlaczego nie działa w przypadku Faith?

Skup się. Skoncentruj. Zbadaj.

Jego umysł nagle stał się pusty, a potem ją zobaczył. Szła w jego kierunku. Widział w wyobraźni, że zbliża się do drzwi balkonowych i że nie jest sama. Tuż za nią biegł mężczyzna. Ta myśl sprawiła, że wypadł na zewnątrz, jak wystrzelony z procy.

Nie uszedł daleko, kiedy oboje wyłonili się z cienia. Uspokoił się, gdy zobaczył, że Faith jest bezpieczna. Miał wielką ochotę chwycić ją za ramiona i mocno nią potrząsnąć. Powstrzymał go wyraz jej twarzy. Ulga, którą poczuła na jego widok, była tak ewidentna, że nawet ślepy by ją zauważył.

- James! - krzyknęła i osunęła się w jego ramiona. Tuż obok jego szyi wyszeptwała: - Schroniliśmy się w hangarze na łodzi. To było straszne.

Dobbinowi zostawiła do opowiedzenia resztę.

- Tam jest ciało... - Alastair przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. - Tam jest ciało mężczyzny. W hangarze na łodzi. Panna McBride się o nie potknęła. Nie mieliśmy światła, nie wiemy więc, kto to jest. Wiem tylko, że nie oddychał.

James wyrzucał z siebie rozkazy, jakby przemawiał do robotników, budujących jego koleje:

- Dobbin, zaprowadź pannę McBride do domu. Przekaż lady Cowdray, aby została z nią, dopóki nie wrócę. Opowiedz panu Hughesowi dokładnie to, co mnie przed chwilą. Nie będziemy wzywać policji, dopóki nie przekonamy się, z czym mamy do czynienia.

Faith zdobyła się na słaby protest, ale Dobbin wydawał się wiedzieć, że opór jest bezużyteczny.

Gdy tylko się odwrócili, James wyciągnął rewolwer z wewnętrznej kieszeni płaszcza, chwycił jedną z latarni, wyznaczających ścieżkę i pobiegł w stronę rzeki.

Ciało leżało twarzą do ziemi, tuż za drzwiami. Ktokolwiek to był, właśnie wychodził, gdy został zaatakowany od tyłu. Wyglądało na to, że został załuczony młotkiem lub podobnym narzędziem, ale niczego takiego James nie znalazł przy zwłokach.

Morderca musiał być w nie najlepszym nastroju.

James przykucnął i odwrócił ciało. Niewidome oczy, wpatrzone w niego, należały do Roberta Danversa.

Przysiadł na piętach. Robert Danvers, uświadomił sobie nagle, miał dziwny nawyk pojawiania się wszędzie tam, gdzie była Faith. Był regularnym gościem w Winnifred. Był w sali lekcyjnej, gdy on i Faith zatrzasnęli się w kredensie. Był w arkadach Burlingtona, gdy Faith wyszła z salonu madame Digby.

A teraz biedny drań leżał tutaj.

- W co ty grałeś? - zapytał James, oddychając głęboko. Potem uniósł brwi. - Dla kogo?



Było dobrze po północy, gdy James i Faith w końcu wsiedli do taksówki, która miała ich zawieźć na Berkeley. Najpierw musieli czekać na policyjne przesłuchanie, potem opowiedzieć wszystkim pozostałym, co się stało. Początkowo policja była bardzo podejrzliwa w stosunku do Faith i Alastaira Dobbina, ponieważ oni nie tylko znaleźli ciało, ale jeszcze znali zamordowanego. Dopiero policyjny patolog zamknął tę ścieżkę śledztwa. Na podstawie krwi na ubraniu ofiary i temperatury ciała orzekł, że Danvers zginął na co najmniej godzinę przed tym, jak Faith i Dobbin weszli do hangaru na łodzie. Podejrzani faktycznie znali zamordowanego, ale nie różnili się tym od większości członków Towarzystwa. Danvers nie był członkiem, ale czasami pojawiał się na wykładach otwartych i innych wydarzeniach, choć tym razem akurat nikt nie zauważył go wśród gości.

- Czyli wniosek z tego jest prosty - powiedział James.
- Każdy mógł zamordować Danversa przed lub po wykładzie.
- Namyślał się przez chwilę. - Albo w jego trakcie, gdy się nad tym zastanowić. Nie wszyscy przecież zostali, aby posłuchać profesora Marsha. - Myślał o Hughesie i jego zaproszeniu, aby dołączył do innych Filistynów w bibliotece.

Faith wstrząsnął gwałtowny dreszcz, potem kolejny. Wciąż miała na sobie przemoczone ubranie, więc James zarzucił na nią swój płaszcz, aby powstrzymać drżenie.

- Ale po co ktokolwiek miałyby zabijać Roberta? Był doskonale wychowany i uprzejmy. - Faith spojrzała na Jamesa. - Nie

mogę przestać myśleć o jego rodzicach, zwłaszcza o matce. Robert był dla niej wszystkim.

- Cóż, został jej jeszcze mąż.
- Pewnie masz rację. - Faith potrząsnęła głową.

Nie zamierzał sam zadawać jej pytań, dopóki nie dotrą do domu i nie zmieni mokrych ubrań, ale uchyliła drzwi, wykorzystał więc okazję.

- Nie lubiłaś Danversa seniora?

- Nie, nie lubiłam. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego zasiada w zarządzie szkoły. Na pewno nie sympatyzował z jej celami. Był zbyt autorytarny. Ledwie mogę sobie wyobrazić, jaki musiał być w domu.

James wzruszył ramionami.

- Danvers senior jest filarem społeczności bankowców. Zasiadanie w takich zarządach to część jego pracy. Niektórzy ludzie lubią prestiż. Inni uważają to za szansę utrzymywania kontaktów z innymi wpływowymi osobami.

- Nie powinnam była go krytykować. Tak naprawdę w ogóle go nie znam. To samo zresztą mogę powiedzieć o Robertcie. Bywał w Winnifred tylko przy specjalnych okazjach, nie mieliśmy więc sposobności lepiej się poznać. Nawet nie lubiłam go szczególnie, chociaż oczywiście nie żywiłam do niego antypatii. - Przerwała i potrząsnęła głową. - Zresztą, teraz to nie ma znaczenia. Był młodym człowiekiem. Jego śmierć to nie tylko tragedia. To po prostu hańba. Nie mogę tego pojąć. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Czuję się taka winna.

- Winna?! A niby czego?

Pociągnęła nosem.

- Powinnam była dołożyć więcej starań, by go poznać, a teraz jest za późno. Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby chcieć go zabić. Jak ja to wytłumaczę dziewczynkom w szkole? Będą zdruzgotane. Uwielbiały Roberta. Lily! Muszę natychmiast napisać do Lily i powiadomić ją o tym - wykrzyknęła po chwili.

Chwycił jej dłoń i uściśnął.

- Ale nie dzisiaj. Jesteś zbyt wyczerpana, aby przelewać myśli na papier. Zaczekaj do jutra.

Wolno pokiwała głową.

- Tak. Napiszę do Lily jutro, ale kto powiadomi uczennice? Większość z nich wyjechała na wakacje do domów, ale zawsze zostaje kilka, które nie mają dokąd jechać. Kto im powie?

- Policja wszystkim się zajmie. Nie podziękuj ci, jeśli zaczniesz się w to mieszać. Pamiętaj, Faith, to śledztwo w sprawie morderstwa.

Pograżyła się we własnych myślach, a James nie próbował nawet jej od nich odrywać, choć jej charakterystyka Danversa wzbudziła w nim ciekawość. Bardziej martwiły go dreszcze, które cały czas wstrząsały jej ciałem. Wciąż była w szoku, a efekty wmuszenia w nią przed przyjazdem policji kieliszka brandy dopiero teraz dawały o sobie znać.

Gdy w końcu dojechali do domu, okazało się, że na górze nie świecą się żadne światła.

- Czy moja rodzina już dotarła? - zapytał James służącego.

- Nie, sir. To żadna niespodzianka. Podobno stąd aż do Reading mgła jest gęsta jak mleko.

- Kto tak twierdzi?

- Kamerdyner, proszę pana. Czy życzy pan sobie z nim porozmawiać? Mam go obudzić?

- To nie będzie konieczne. - Z panującej w domu głuchej ciszy James wywnioskował, że wszyscy inni służący również już śpią. - Ale wezwij jedną z pokojówek, aby pomogła panie McBride zmienić to mokre ubranie.

Portier z ciekawością obserwował Faith.

- Złapała panienkę burza?

W surowym głosie Jamesa słyhać było zniecierpliwienie.

- Poślij po pokojówkę, aby zeszła do panny McBride. I zapal lampy.

Służący z wawo obrócił się na pięcie i pobiegł schodami na górę.

Faith odezwała się cicho, spiętym głosem.

- Po prostu chciał być uprzejmy. To miło z jego strony, że się o mnie troszczy. A teraz wyrwie ze snu pokojówkę, co naprawdę nie jest konieczne. Sama potrafię o siebie zadbać.

Nie była to prawda, co wyszło na jaw. gdy pomagał jej wspiąć się po schodach. Kurczowo ścisnęła jego ramię. Popatrzył na nią w skupieniu i zauważył twarz pozbawioną kolorów i konwulsyjnie zaciśnięte usta.

- Nie wiedziałam kto to - wyszeptała. - Myślałam, że może jakiś włóczęga, który schronił się tam przed deszczem. Był taki zimny. Myślałam, że jeśli okryjemy go kocem, może się ogrzeje.

Powiedział coś kojącego. Wkrótce pojawiła się pokojówka w płaszczu służącym za szlafrok, narzuconym na nocną koszulę, aby zająć się Faith. James pierwszy wszedł do pokoju, zapalił lampę gazową nad kominkiem i przyłożył zapałkę do drewna, ułożonego w palenisku kominka.

- Uważaj na ogień - powiedział do pokojówki. -I dopilnuj, aby pannie McBride było ciepło. Wróć za kilka minut, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Gdy pokojówka pokiwała głową, zwrócił się do Faith:

- Za chwilę wróć i wtedy porozmawiamy.

Nie więcej niż dziesięć minut zabrała mu zmiana ubrania i doprowadzenie się do porządku. Wychodząc, chwycił jeszcze karafkę brandy i dwa kieliszki, z którymi udał się do Faith. Gdy wszedł do pokoju, siedziała zwinięta w kłębek na fotelu przy kominku, ale nigdzie nie było ani śladu pokojówki.

- Odesłałam Millie do łóżka - powiedziała. - Czy wiesz, że musi wstać o piątej rano, aby zagrzać wodę? Powinna być w łóżku już całe wieki temu, ale czekała, aż wrócimy, ale jej oczy same się zamykały i... - Jej głos zamarł. - Za dużo mówię. Czy to wynik szoku?

Podszedł do niej i nalał brandy do kieliszka.

- Z pewnością. A tu masz lekarstwo.

Przyjęła kieliszek i przytknęła go do ust. Po chwili powiedziała bojaźliwie:

- Po tym, jak nas rozdzielili w domu Hughesów, policja raz jeszcze zaprowadziła mnie do hangaru, żebym zobaczyła ciało. Zidentyfikowałam je jako Roberta Dan versa. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy i krwi. Jest na mojej sukni, ale nie od razu

to zauważyłam, bo jest praktycznie takiego samego koloru, jak zaschnięta krew.

Był wzburzony. Nikt nie powiedział mu, że policja zaprowadziła Faith na miejsce zbrodni. Przecież już zidentyfikował Danversa. Nie było potrzeby zmuszania jej do tego samego. Był to policyjny wybieg, jedna z tych ohydnych sztuczek, która miała wytrącić podejrzanego z równowagi i zmusić jego lub ją do mówienia. Dziki gniew chwycił go za gardło. Nic dziwnego, że teraz była w szoku.

Sobie również nalał brandy, wychylił ją jednym haustem i odstawił karafkę i kieliszek na stół. Tak łagodnie, jak tylko potrafił, powiedział:

- Tak mi przykro. Nie wiedziałem, że policja zaprowadziła cię tam raz jeszcze.

Znów upiła łyk brandy.

- Chyba nigdy nie zdołam o tym zapomnieć. Na jawie, czy we śnie, będę pamiętała. - Spojrzała na niego ogromnymi, zranionymi oczami. - To wszystko ma związek, prawda? W moim życiu nie działo się nic, dopóki nie opublikowałam tego ogłoszenia. Potem zostaliśmy zaatakowani, teraz zginął Robert. Gdybym tylko nie znalazła fotografii matki...

Przykucnął przy fotelu i ujął jej dłoń. Jej skóra była lodowata, a zęby szczękały. Popatrzył jej głęboko w oczy.

- Nie możesz obwiniać się o to, co spotkało Roberta. Nie wiemy, co mu się przytrafiło i czy ma to cokolwiek wspólnego z ogłoszeniem, które zamieściłaś w gazetach.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności, a już na pewno nie takie.

On także nie wierzył, ale nie była to odpowiednia chwila na dyskusowanie o tym.

- Potrzebujesz teraz porządnie się wyspać.

Spojrzała na szklanekę brandy i odstawiła ją.

- Nie będę spać. - Przeszedł ją kolejny dreszcz. - Nie wiem, czy zdołam zasnąć.

Pomógł jej wstać.

- Więc nie śpij. Tylko się połóż.

- A gdzie ty będziesz?

Wskazał dłonią kominek.

- Tutaj. Będę czytał książkę i czuwał nad tobą.

Nie zdjęła sukienki, po prostu wślizgnęła się pod pikowaną narzutę z rozdzierającym serce westchnieniem i ułożyła głowę na poduszce. Szeroko otworzyła oczy i obserwowała, jak James wybiera książkę z małego stolika obok okna.

- „Opowieść o dwóch miastach” Dickensa - powiedział, sadowiąc się w fotelu.

Udawał, że czyta, ale jego umysł był skoncentrowany na Faith. Po bardzo długiej chwili w końcu poczuł, że jej powieki robią się ciężkie i rozpoznał dokładnie moment, w którym zapadła w drzemkę. Dopiero wtedy porzucił książkę. Podszedł do łóżka. Wprawdzie zasnęła, ale nie był to sen kojący. Rzucała się na łóżku, słyszał szloch, kiedy próbowała zacerpnąć oddechu.

Pamiętał, jak zazwyczaj pocieszała go babcia McEcheran, gdy był małym chłopcem i obawiał się potworów, które czekały na niego w jego snach. Potrzebny był tylko ciężar ciepłego ciała, które mógł poczuć blisko, ktoś, do kogo można się było przytulić, gdy pojawiały się potwory. Prawie słyszał głos babci, osuszający jego łzy.

Tego właśnie potrzebowała teraz Faith.

Wspiał się na łóżko i wyciągnął obok niej.



James?
- Jestem przy tobie. Śpij. Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

Takimi słowami pocieszała go babcia. Pamiętał również inne rzeczy - jak poklepywała go po ramieniu i trzymała za rękę. Powtórzył gesty, które zapamiętał, gdy jednak złączył swoje palce z palcami Faith, poczuł nagły przypływ energii, jak wyładowanie elektryczne pomiędzy nimi i nagle ogarnęła go jasność, a potem został porwany przez trąbę jaskrawego światła, która wessała go do snu Faith.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś - powiedziała Faith, trzymając się kurczowo jego dłoni.

Znajdowali się w domu Hughesa, tuż na początku wieczoru. Wszyscy goście przybrali złowieszczy wyraz twarzy. Wyglądali jak sępy, choć świetnie ubrane. Otaczali Faith, jakby chcąc ją zadziobać, i James poczuł, jak w jego wnętrzu wzbiera uczucie paniki. Wtedy napiął swoje świeżo odkryte mięśnie i przemienił się w wygłodniałego wilka. Sępy wycofały się w popłochu, dzięki czemu Faith mogła zaczerpnąć powietrza.

Więc tak, pomyślał James, babcia przeprowadzała mnie przez moje koszmary. Niektóre babcie śpiewały kołysanki. Jego natomiast uśmiercała smoki. Cóż, dla każdego coś dobrego.

Zanim mógł zbadać wszystkie możliwości, jakie dawało mu jego nowe wcielenie, sceneria się zmieniła. Wybiegali przez drzwi balkonowe na taras, a jego zastąpił Alastair Dobbin. Młody człowiek chciał opowiedzieć Faith mnóstwo rzeczy,

ale ona nie słuchała. Zbierała siły na tragiczny moment, kiedy pchnie drzwi do hangaru na łodzi i potknie się o ciało Danversa. Jej serce tłukło się w piersi, umysł był sparaliżowany strachem.

James wiedział, co musi zrobić. Musi oderwać jej myśli od tego wydarzenia i pokierować nią w stronę bezpieczniejszych wspomnień. Ku jego przerażeniu, okazał się do tego żałośnie nieprzygotowany. Próbował ją odciągnąć, ale jej dłoń stała się przezroczyta i nie mógł dłużej jej utrzymać. Krzyczał jej imię, ale nie zwracała na niego uwagi. Jej umysł był skupiony na niewidomych oczach Roberta Danversa. Jej ręka już sięgała klamki, gotowa uchylić drzwi.

Gdy wahał się, myśląc, co zrobić, stała się rzecz nie do pomyślenia - on i Faith zostali wciągnięci do jego najgorszego koszmaru.

Z mgły wyłoniły się wielkie wrota z kutego żelaza, prowadzące do zrujnowanej posiadłości, a tuż za nimi dom, jak duch dawnego siebie. Słyszał chrzęst żwiru pod butami, gdy przechodził przez bramę. Woda kapała z drzew, a ziemia, rozgrzana ciepłem słońca, zamieniała deszcz w cienką, koronkową mgłę.

Śnił o tym tak wiele razy, że znał sen na pamięć. Wszedł do marmurowego hallu z klatką schodową na wspornikach, prowadzącą na górne piętra. Wiedział, że Faith gdzieś tam jest i walczy o życie. Ktoś czaił się na nią w cieniu, z nienawiścią w sercu i planem morderstwa.

Jego serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Krew szumiała mu w uszach. Próbował oczyścić umysł, ale paraliżował go strach. Wiedział, że istnieje sposób na odnalezienie Faith i ocalenie jej życia. Dlatego zesłano mu tę wizję. Przyszłość może zostać zmieniona.

W jego głowie rozległ się potworny krzyk i nagle zrozumiał, że jest za późno.

Nie, nie może być za późno. Nie jest za późno. Przyszłość można zmienić. Ta litania brzmiała w jego myślach, gdy zaczął biec. „Faith”, krzyczał, „Faith!”.

Jeden długi korytarz przechodził w inny, jeszcze dłuższy

i następny. To nie był dom, to był labirynt. A Faith gdzieś tu była. Musiał ją odnaleźć. „Faith!”, krzyczał „Faith!”

Dobiegł go cichy dźwięk. Jęk kobiety. Zbliżał się do niej... j

Labirynt rozpadł się przed jego oczami, a do środka, jak trąba powietrzna, wtargnęła mgła. „Nie!”, krzyknął „Nie!”

Drżał jak gałązka osiki. Z oszalałym sercem i paroksyzmem strachu ściskającym gardło otworzył oczy. Faith klęczała na łóżku. Jej policzki były mokre od łez, ręce trzymała na jego ramionach, potrząsając nim, próbując go obudzić.

* * *

Uspokoiła się, gdy zobaczyła, że James nie śpi.

- Nie mogłam cię odnaleźć. Myślałam, że cię straciłam.

Wciąż łapczywie chwycił powietrze, jakby naprawdę przebiegł kilometry korytarzy, szukając jej.

- Tak jak ja - zdołał wydusić. Jego dłonie otoczyły jej twarz.

- Nic mi nie jest. Nie przejmuj się tym. To tylko sen.

Przyłożyła dłoń do jego policzka. Skóra rozgrzała się pod wpływem dotyku. Ich oczy się spotkały, potem pochyliła powoli głowę i dotknęła ustami jego ust. Pocałunek był jak szept, delikatny i kojący, ale nie mógł wymazać z pamięci wszystkich emocji, które groziły jej załamaniem.

- Wydawał się taki realny - wyszeptała.

- Wiem. Dla mnie też.

Ramiona Faith opadły, gdy powrócił do niej koszmar. Kiedy zaczęła z trudem oddychać, James przemówił do niej kojąco, szepcząc do ucha słowa pocieszenia i głaszcząc ją po włosach. Przyłgnęła do ciepłej tarczy jego ciała i pocałowała jego kark.

Odsuwając się trochę, aby zobaczyć jego twarz, wyszeptała ochryple:

- Byłam w opuszczonym domu. Z labiryntem korytarzy. Próbowałam cię odnaleźć, ale ciągle się oddalałeś.

- Miałem ten sam sen.

Nie powiedział jej, że koszmar to przedsmak tego, co ich

czeka. Nie była na to gotowa. A jedyne, co się liczyło, to świadomość tego, że teraz jest bezpieczna.

Ale jak długo? - zasyczał głos w jego głowie.

Dopóki nie zmienię przyszłości!

Świadomość, że może ponieść porażkę, cały czas nie dawała mu spokoju. Ciasno objął Faith ramionami, jakby próbując stworzyć schronienie, w którym nie spotkają nic złego. W świecie biznesu podejmował codziennie szalone ryzyko, a większość jego decyzji o włos dzieliła go od utraty fortuny. Jeśli jednak chodziło o osobę, która liczyła się dla niego bardziej niż ktokolwiek inny, był strasznym tchórzem.

- Faith - szepnął i pocałował ją z desperacją.

Faith czuła jego rozterki i instynktownie próbowała pocieszyć go tak, jak on pocieszał ją. Jego bliskość i siła pomogły jej przetrwać horror nad rzeką, ale wciąż nie mogła zapanować nad emocjami. Cały ból, który przeżyła w przeszłości, był niczym w porównaniu z tym, czego doświadczyła, gdy myślała, że go straciła. Nieważne, ile razy powtarzała sobie, że to był tylko zły sen. Choć nie przypominało to wcale snu, raczej wspomnienie.

Nie zamierzała oglądać się za siebie. Nie myślała o przyszłości. Jej matka pisała podobnie w swoim pamiętniku. Jedyne, co się naprawdę liczy, to chwila obecna.

Odważne myśli nie powstrzymywały jej od szcękania zębami, gdy po raz kolejny przypomniała sobie swój koszmar. Był tam Robert Danvers. Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć wido-ku jego pozbawionej kolorów twarzy, gdy policjant poświecił w nią latarnią, aby mogła zidentyfikować ciało? A gdyby to była twarz Jamesa?

Gdy przeszedł ją kolejny dreszcz, przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Jęknął i z dużym wysiłkiem zsunął się z łóżka. Usiadła i wyciągnęła do niego rękę, ale on odsunął się i nerwowo przeczesał włosy palcami.

- Czy ty w ogóle nie znasz mężczyzn. Faith? - zapytał surowo. - Nie mogę zostać z tobą w łóżku. Desperacko pragnę się z tobą kochać!

Intensywność jego spojrzenia sprawiła, że jej serce zaczęło tłuc się w piersiach bolesnymi uderzeniami.

- Obiecałeś, że ze mną zostaniesz.
- Tej obietnicy ośmielę się nie dotrzymać. Zawołam pokojówkę. Ona z tobą zostanie.

- Nie chcę Millie. Chcę ciebie.

Wymamrotał przekleństwo.

- Wiesz, co się stanie, jeśli zostanę.

Uświadomiła sobie nagle, że właśnie tego pragnie. Ta myśl krążyła w jej głowie i przenikała do najgłębszych zakątków jej duszy.

Patrzył na nią tak, jakby jego życie zależało od jej następnych kilku słów. Na jej wargi wypłynął delikatny uśmiech. Wyciągając rękę, powiedziała:

- Cóż, nie będę mogła potem mówić, że nie zostałam ostrzeżona.

Zrywali z siebie ubrania, trawieni gorączką. Słowa, które wypowiadali, nie miały sensu, ale nie potrzebowali przecież słów. Nie potrzebowali łagodności ani czułości. Chcieli poczuć puls życia, który w nich przyspieszał. Pragnęli zmyć z siebie ślady zatoki. Ich zbliżenie było szalone, dzikie i intensywne. W pewnym momencie Faith poczuła ostry ból, ale była zbyt pochłonięta nowymi doznaniem, aby się tym przejmować. Krzyknęła na szczycie wstrząsającej przyjemności i wolno opadła obok niego.

Gdy James zdołał odzyskać oddech, uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Mój Boże! - powiedział. - O czym ja myślałem? Czy zrobiłem ci krzywdę? - Rozdrażniony, sam odpowiedział na swoje pytanie: - Oczywiście, że cię skrzywdziłem. Przecież to był twój pierwszy raz.

Faith wciąż łapczywie łąpała powietrze ustami. Roześmiała się drżąco i wyszeptła:

- Czy skrzywdziłeś mnie? Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Napadłeś na mnie jak szarżujący byk.

- A ty byłaś jak pędzący pociąg.

Była nieziemsko zadowolona. Poczwała się tak, jakby porzuciła pannę McBride, nauczycielkę sterczącą na peronie, podczas gdy sama przeżyła pełną przygodę podróży w szalonym tempie.

- Naprawdę byłam jak pędzący pociąg?

Owładnęła nią przyjemna niemoc, która uniemożliwiała racjonalne myślenie. Z delikatnym westchnieniem zamknęła oczy i wtuliła się w Jamesa.

Usłyszał zadowolenie w jej głosie i odetchnął z ulgą. Nigdy nie uważał się wytrawnego kochanka, ale nigdy też nie zniżył się do poziomu niedoświadczonego młodzieńca, odkąd... cóż, odkąd był niedoświadczonym młodzieńcem. Nie przyszło mu do głowy, aby działać powoli i wprowadzić ją w świat miłości 7. pomocą wszystkich umiejętności, których nabył. Pochłonał go zamęt emocji, który zmaćił mu umysł. Poczwał, że nie będzie w stanie uchronić ją przed wrogiem, którego nie znał, i próbował, w nielogiczny, prymitywny sposób, przekonać siebie, że nic nie może jej tknąć, dopóki nie tknie jego.

Gdyby to tylko mogło być takie proste.

Poczwał znajomy strach, ściskający gardło. Był tylko zwykłym śmiertelnikiem i mógł nie sprostać siłom, które, jak wyczuwał, już ustawiały się do nich w kolejce. Gdzie był wróg? Kto nim był?

Teraz myślał jasno i dokładnie badał każde wrażenie, które pojawiał się w jego głowie. Nie wiedział, w jaki sposób wpasować Roberta Danversa do układanki, ale instynkt podpowiadał mu, że Danvers był kluczowym graczem. Myślał o opryszkach, które zaatakowały Faith zaraz po tym, jak lady Cowdray wręczyła jej pamiętnik Madeline. Należy także wyjaśnić rolę Alastaira Dobbina. Dlaczego Faith wymknęła się z nim, sama, do ciemnego ogrodu, choć już raz została napadnięta? Co było aż tak ważne, aby podjąć takie ryzyko?

Były też inne kwestie, równie pilne. Dokąd zmierzają z Faith? Poczwał zadowolenie z siebie. Faith nie była ryzykantką. Nie była stworzona do romansu czy bycia kochanką. I nie oddałaby mu się, gdyby naprawdę się nie zaangażowała. Mieli

pewne problemy w przeszłości, ale w porównaniu z zagrożeniem, w obliczu którego stali teraz, wydawały się one trywialne.

Musieli porozmawiać, oczyścić atmosferę i wspólnie złożyć w całość elementy układanki. Był przecież jasnowiedzem, na lotność boską, i został ostrzeżony. To musiało się liczyć.

W pokoju był ciepło, ale jej skóra była chłodna w dotyku. Okrył ją narzutą i delikatnie potrząsnął, aby ją obudzić.

- Faith? - powiedział. - Musimy porozmawiać.

Budziła się powoli. Ciemne rzęsy zadrżały, a potem się uniosły, gdy na niego spojrzała. Oczy nabrały ciepła, gdy skupiły się na jego twarzy. Potem przeciągnęła się jak kot.

- Słucham - powiedziała.

Urzekła go zmiana, która się w niej dokonała. Jej oczy były pokryte mgłą rozkoszy, skóra jaśniała. Warkocz zaczynał się rozsypywać, tworząc delikatną aureolę z włosów wokół jej twarzy. To było coś więcej niż uroda, choć w jego oczach była najpiękniejszą kobietą na świecie. Otrzymał od niej znacznie więcej, niż dotychczas znalazł w innych, nie dlatego, że była niezwykła, ale dlatego, że była idealna dla niego.

I wszystko to odrzuciła!

Słowa, które wyszły z jego ust, nie były tymi, których zamierzał użyć.

- Boże. Faith! Tyle lat zmarnowaliśmy. Wiem, że nie jestem zbyt oddanym korespondentem, ale myślałem, że zrozumiesz. - Ściągnął usta i potrząsnął głową. - Przyrzekałem sobie, że nie będę przywoływał dawnych historii, ale myślałem, że cię znam. Wierzyłem, że ty mnie znasz. Myślałem, że sobie ufamy. A teraz, dzisiaj, znów związałaś z tym... tym piegowatym trzpiotem, z którym już raz uciekiasz. Czy chciałaś, abym był zazdrosny o Dobbina? Czy coś między wami jest?

Spojrzała mu głęboko w oczy. Ich wyraz, ton jego głosu nie były tym, czego spodziewała się od mężczyzny, który zaledwie przed chwilą został jej kochankiem. Dotarło do niej w końcu znaczenie jego słów i wzdrygnęła się z oburzeniem.

- Ty hipokryto! - Odetchnęła głęboko i kontynuowała bardziej opanowanym tonem: - To ty ożeniłeś się z Fiona, córką

bogacza? Zapomniałeś o tym. Od początku to ją zamierzałeś poślubić, nawet wtedy gdy widywałeś się ze mną! Potrzebowałeś pieniędzy jej ojca, aby wybawiły cię z kłopotów. Cóż, ja postąpiłam honorowo. Zniknęłam, aby ci to ułatwić.

Był zdezorientowany.

- Ożeniłem się z Fiona, bo nie mogłem mieć ciebie i było mi wszystko jedno, z kim się wiąże. Tak, była córką bogacza. Tak, jej ojciec zainwestował w moją firmę, ale na długo przed tym, zanim ty zwiłaś z tym pajacowatym osłem!

- Pajacowatym osłem? To niktzemne!

Kiedy poderwała się z łóżka, wyciągnął ręce w łagodzącym geście.

- Przepraszam. To było nie na miejscu. Wiem doskonale, że pomiędzy tobą a Dobbinem nic nie ma i nigdy nie było. A wiesz skąd wiem, Faith? Ponieważ cię znam.

Włożyła szlafrok i ciasno go zawiązała.

- To mają być przeprosiny? Jeśli tak, możesz je sobie wsadzić głęboko w... - Przerwała na chwilę, aby poluznić pasek, który wżynał się w jej ciało.

- Tak? - podjudzał.

- W nos! - dokończyła.

- Cóż, wyrażasz się jak prawdziwa dama.

- Obraziłeś nie tylko mnie, ale także Alastaira - wysyczała przez zaciśnięte zęby. - On jest dżentelmenem po koniuszki palców. Nie zwiłam i nim, jak to ładnie określiłeś. Po prostu razem podróżowaliśmy pociągiem. Kiedy dojechałam do celu, on pojechał do domu swoich rodziców.

- Do domu rodziców? - Zmarszczył brwi i usiadł z plecami opartymi na poduszkach. - A niby gdzie to jest?

- W Szkocji!

Wiedziała, że w końcu do tego dojdzie, odkąd Alastair wyznał jej, że inni wiedzą o jej wycieczce. Przeklinała się teraz za to, że tak długo utrzymywała to w tajemnicy. Gdy już raz zataiła swoją pochopną eskapadę, wydawało się jej lepszym rozwiązaniem w ogóle o niej nie wspominać. Ale teraz nie miała wyboru. Jeśli nie powie Jamesowi, dowie się o tym od kogoś innego.

- W Szkocji?
- Tak - odpowiedziała. - Mieszkają w Aberdeen. Alastair chciał spędzić z nimi kilka dni, a potem udać się do Orkney. Są tam jakieś wiekowe budynki, które chciał badać.

Patrzył jej w oczy i wydawał się bardziej zaintrygowany, niż rozgniewany.

- Gdzie się rozstałicie?
- W Edynburgu - powiedziała krótko. - Zameldowałam się w hotelu, niedaleko dworca i wysłałam ci list, w którym powiadamiałam cię, że - niespodzianka - właśnie przyjechałam do miasta.

- Nigdy nie dostałem twojego listu.
- Wiem. - Jej głos zaczynał drżeć, odchrząknęła więc.
- Został przejęty przez Fionę. Pamiętasz może Fionę? Córkę twojego partnera w interesach, u którego się zatrzymałeś?

- I moją byłą żonę - wymamrotał.
- Cóż. - Przerwała, aby odzyskać kontrolę nad głosem. - Nie tracąc czasu, pojawiła się u moich drzwi, aby uświadomić mnie co do mężczyzny, z którym, jak mi się wydawało, byłam zaręczona.

Przeżywała tę scenę w myślach setki razy, a teraz znów do niej wracała. Aby ukryć łyzy zażenowania, które cisnęły się jej do oczu, podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Nic nie było widać, ale słyszała deszcz spływający strumieniami po dachu i pomyślała nagle bez związku, że deszcz na pewno rozwieje mgłę.

To nie urodę czy elegancję kosztownej garderoby lady Fiony zapamiętała najlepiej. Tylko jej nieskrywane rozbawienie. Wzięła Faith za pokojówkę lub też tylko tak powiedziała i od tego momentu przybrała protekcyjny ton. Zanim wyszła, zdołała obrócić w pył jej całą przez lata zdobywaną pewnością siebie. Po tym spotkaniu Faith pragnęła tylko opuścić Edynburg, zanim ktokolwiek dowie się, jaką idiotką z siebie zrobiła.

- Fiona! Mogłem się domyślić. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Ona uznała, że będzie lepiej, jeśli nigdy się nie dowiesz. A ja miałam swoją godność. Zgodziłam się z nią.

Odwróciła się twarzą do niego. Lodowaty gniew przemienił jego twarz w kamień.

- I uwierzyłaś tej zwodniczej dziwce, nie mnie? - Jego głosem targała furia. - Zapytaj mnie o Fionę, a powiem ci, jaka była.

- Nie chcę wiedzieć.

- Oczywiście, że nie. Wolisz myśleć o mnie to, co najgorsze. Wiele osób pokładało we mnie zaufanie, ale nie kobieta, która miała zostać moją żoną!

- I ty mi mówisz o zaufaniu?! - Gorycz, która wzbierała w niej tyle lat, w końcu znalazła ujście. - Ani razu nie wspomniałaś o niej w tych kilku listach, które mi wysłałaś. Nie było cię trzy miesiące, a ja dostawałam tylko plany podróży. To było jak studiowanie rozkładu jazdy pociągów -jutro w Aberdeen, potem Perth. Więcej informacji o tobie miałam z plotkarskich kolumn w londyńskich gazetach. Tam po raz pierwszy przeczytałam o tobie i Fionie.

- Pomyślałaś więc że zaskoczysz mnie w Edynburgu - zapytała brutalnie? I co. Faith? Przyłapiesz z Fioną na gorącym uczynku?

- Nie bądź ordynarny! Chciałam cię zobaczyć, przekonać się, czy te plotki zawierają choć ziarno prawdy.

- I uwierzyłaś Fionie, nie mnie?

- Ożeniłaś się z nią! - wykrzyknęła gwałtownie.

- I pożałowałam tego, zanim wysechł atrament na akcie małżeństwa! - Zrobił w jej stronę krok. potem następny. - Po prostu pragnęła mnie i chyba mi to pochlebiało. W końcu to przecież ty porzuciłaś mnie bez słowa wyjaśnienia. Szukałem cię całymi miesiącami, ale dotarło do mnie pewnego dnia, że ty wcale nie chcesz być odnaleziona.

Cofnęła się. Nie uśmiechał się do niej tak często, jakby tego chciała, ale kiedy już to czynił, jego krzywy uśmiech mógł stopie lód w najbardziej zatwardziałym sercu. Ten, który jej teraz ofiarował, był parodią tego, który kiedyś pokochała. Cierpiała, gdy na niego patrzyła.

- To, co wydarzyło się między nami, stało się w innym życiu - powiedział. - Czy nie najwyższa pora, abyśmy zostawili przeszłość za nami i zaczęli od nowa?

- Zaczęli od nowa? - Jej oczy przemknęły z niepokojem pomiędzy łóżkiem a jego twarzą. - Jesteśmy teraz innymi ludźmi.

- Faith - odparł, potrząsając głową - gdybym mógł zmienić przeszłość, uczyniłbym to bez wahania. Ale nie mogę. Ta kłótnia jest bezcelowa. Musimy przecież wspólnie dowiedzieć się, co spotkało Danversa. Jest pamiętnik twojej matki. Jeśli będziemy ciągle skakać sobie do gardeł, nie rozwiążemy żadnej z tych zagadek. Czy możemy zawrzeć rozejm i kontynuować od tego momentu?

Nie wiedziała, czemu z nim walczy. Jeszcze przed chwilą byli kochankami. Ale James wskrzesił przeszłość i całą rozpacz, którą pamiętała z tamtych czasów, wróciła do niej z całą zawziętością.

Czy potrafi zapomnieć o tym, co się wydarzyło pomiędzy nimi? Nagle znów przypominała sobie swój koszmar i straszne uczucie, które nią owładnęło, gdy uświadomiła sobie, że na zawsze straciła Jamesa.

On nic nie mówił, nie uśmiechał się. Ujął jej twarz w dłonie i popatrzył na nią badawczo.

- To się skończyło - powiedział. - Nic mi nie jest. I tobie też nie. - Potem ją pocałował.

XVII

Jedną ręką obejmował ją mocno, podczas gdy drugą otoczył jej pierś. Gdy palcem musnął brodawkę, lekko się zachłysnęła. Wchłonał ten dźwięk i zrobił to ponownie.

Gdy w końcu się od niego oderwała, oddychała z trudem. Chciała czuć jego ramiona wokół siebie, ale oczekiwała pocieszenia. Jego skupiony wzrok powiedział jej, że James ma inny pomysł na spędzenie wieczoru.

- Teraz zwolnimy - powiedział. - Pokażę ci, jak powinno wyglądać prawdziwe zbliżenie.

- To znaczy... - Zmarszczyła brwi. - Nie zrobiłam tego dobrze za pierwszym razem?

Skrzywił się. Nigdy nie był wybitnym mówcą.

- Nie, to ja nie zrobiłem tego, jak należało. Chyba straciłem głowę. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że czekałem na ciebie osiem długich lat. - Znów się skrzywił. Czy jego głupota naprawdę nie ma końca? Tak sprowokował sprzeczkę, która przed chwilą między nimi wybuchła. Spróbował raz jeszcze. - Faith, chciałem powiedzieć, że...

Uciszyła go. kładąc mu palec na ustach.

- Nie potrzebuję wymówek ani zapewnień o miłości. Nasza kłótnia o Roberta... Cóż, oboje straciliśmy panowanie nad sobą. Ostatni raz. - Przełknęła. - Mam nadzieję, że ostatni raz. - Przypomniała sobie zły sen i wzdrygnęła się. - Mnie wystarczy, jeśli zdołam zapomnieć, przynajmniej dzisiaj.

Koszmar nie powinien był aż tak na nią wpłynąć. To był

przecież tylko sen? Dlaczego więc wciąż czuła się opuszczona, jakby naprawdę straciła Jamesa?

Musiała wypowiedzieć swoje myśli na głos, bo zaczął ją tulić w ramionach i kołysać.

- Zapomnij o śnie, Faith, - wyszeptał z ustami w jej włosach.
- Zapomnij o labiryntach i korytarzach. Nie zgubię się. I nie pozwolę tobie się zgubić.

Naprawdę wierzył w to, co mówi. To był przecież jego sen, nie jej. Następnym razem gdy dotrą do bramy, strzegącej wjazdu do opuszczonej posiadłości, zamknie ją i wyrzuci klucz.

Już gdy o tym myślał, wiedział, że jest skazany na wejście do domu i podjęcie próby ratowania Faith.

Ale nie chciał teraz o tym myśleć. Ani o przeszłości, ani o tym, co spotka ich nazajutrz. Nie podobał mu się ton jej głosu, gdy mówiła, że teraz są innymi ludźmi. On nie był inny, nie w sprawach, które naprawdę się liczyły, i nie sądził, aby Faith znacząco się zmieniła.

Mimo że brak zaufania i nieporozumienia odcisnęły na nich swoje piętno. Ale magnetyzm, który ich do siebie przyciągał, wciąż był pomiędzy nimi. To nie była zwykła żądza. Tę można łatwo zaspokoić. Wiedział tylko, że gdy Faith wchodziła do pokoju, świat zdawał się weselszy.

Chciał trochę tego szczęścia dla siebie. Nie tylko na dzisiaj, ale na resztę ich wspólnego życia.

Marszcząc brwi, skupił się na Faith, czym wprawił ją w zdenerwowanie, ale trwała w bezruchu, gdy zburzył jej fryzurę i przeczesawszy palcami tak, aby opadły w falach na ramiona. Ich oddechy zaczęły przyspieszać. Pieścił palcami wypukłości jej kości policzkowych, płatki uszu, potem przesunął dłonie wzdłuż jej ramion, aby w końcu pozwolić palcom bawić się kołnierzem szlafroka.

- Co takiego w tobie jest? - wyszeptał do siebie.

Od dnia, w którym spotkali się po raz pierwszy w sali balowej lady Beale, nie mógł się nadziwić, jak bardzo różniła się od innych debiutantek, rywalizujących o męską uwagę. One były jak Fiona - chciały zapewnić sobie wygody materialne, które na

nich czekały, jeśli zdołałyby zaciągnąć odpowiedniego kandydata do ołtarza. Faith знаła swoje miejsce, które wyznaczyła jej posada damy do towarzystwa, i dlatego nie pozwoliła sobie nawet na jedno spojrzenie w jego stronę.

Oczywiście był zaintrygowany. Nie wyróżniał jej. To byłoby zbyt oczywiste, ale stwarzał sytuacje, aby ją lepiej poznać i im więcej z nią rozmawiał, tym bardziej ją podziwiał i lubił.

Była w niej delikatność, którą zaczął uważać za pociągającą, być może dlatego, że było jej tak mało w pełnych sztuczności osobach z towarzystwa. Była jednak zbyt ufna. Słowa wszystkich brała za dobrą monetę, nie kwestionując ich szczerości i motywów.

Trzymała go na dystans, bo, jak podejrzewał, nie wierzyła, aby dla niej. damy do towarzystwa, i dla niego, wpływowego, zamożnego kawalera, mogła zaistnieć jakakolwiek wspólna przyszłość. Tak myślała cała socjeta i ośmieszała się. Nie mógł jednak powiedzieć, że jego intencje od początku były uczciwe, bo wtedy nie żywił w stosunku do niej żadnych zamiarów. Podziwiał ją, lubił i cieszył się, mogąc przebywać w jej towarzystwie.

Tak było, dopóki nie natknął się na nią pod jemiolą. Emocje, które wyzwolił jeden pocałunek, nieomal spaliły go na popiół. Potem już nie mógł wyrzucić jej z myśli.

- Pierwsza miłość... - zażartowała, gdy cisza stała się nie do zniesienia. Intensywność jego spojrzenia pozbawiła ją oddechu.

Nic nie powiedział, mówiła dalej:

- Poeci piszą o niej od zarania dziejów. Każdy na zawsze zapamięta swoją pierwszą miłość.

- Wiesz, że nie czytam poezji. - Posłał jej uśmiech, który stopił jej serce.

- Tak. tak. pamiętam. - Jej ton stał się oschły. - Dla ciebie poezja to rozkład jazdy pociągów.

- Nie, dla mnie poezja to ty. Faith. Nie zawsze potrafię cię zrozumieć, ale wiem... - Urwał. Przemilczał to, że bez niej świat byłby smutniejszy. Jego świat.

Objął ją, przytulił i zadrżał. Zauważyła, że zaszła w nim

zmiana, i wstrzymała oddech. Jeszcze przed chwilą przekomarzyli się. Teraz rysy jego twarzy stwardniały, usta zacisnęły się surowo. Wciągnęła głęboko powietrze, gdy nagle objął ją szczerze ramionami i pociągnął w stronę łóżka. Przywarła do węgłowia i objęła rękoma kolana. Nie bała się go, choć teraz nie był sobą.

- James, co się stało? - zapytała łagodnie.

Pochylił się nad nią.

- Co się stało? - Znów znalazł się na skraju swego koszmaru, ale nie chciał jej o nim przypominać, powiedział więc tylko:

- Chcę, aby było ci dobrze, ale pragnę cię tak bardzo, że boję się, że moja samokontrola nie dorówna moim szlachetnym intencjom.

- Mój Boże! Nic z tego nie rozumiem.

- Cóż, mój... zapał może cię zaszokować.

Te słowa podbiły ją zupełnie. Czy może istnieć coś bardziej namiętnego, niż to, co wydarzyło się pomiędzy nimi tak niedawno? W jej piersi zaczął rodzić się spazm, który przesuwiał się niżej. Żar przemknął po jej skórze.

Powiedział jej tylko niewielką część prawdy. Pragnął jej bez wątpienia, ale kierował nim strach. Była taka drobna i bezbronna, nie stanowiła żadnego przeciwnika dla potwora, który krył się w zrujnowanej posiadłości w jego snach. Chciał ją do siebie przywiązać tak, aby już nigdy od niego uciekła. Jej życie zależało od tego, do cholery! Jego zdrowie psychiczne od tego zależało! Nie mógł jej tego powiedzieć, jeśli nie chciał wystraszyć jej na śmierć. Wszystko, co mógł zrobić, to przybrać dobrą minę, ukryć lęk i nie tracić czujności nigdy, nawet na chwilę.

Kiedy położył się obok niej ciężko oddychając i wpatrując się w nią intensywnie, przez ułamek sekundy poczuła alarmujący dreszcz. Wydawał się jej taki obcy. Potem wyszeptał jej imię i strach zastąpiło rozkoszne wyczekiwanie na chwilę, kiedy jej w końcu dotknął. Kiedy to zrobił. Faith jęknęła z rozkoszy, która ogarnęła ją całą.

Przycisnął ją do materaca ciężarem swojego ciała. Jego usta pochłonęły jej, w gorączkowym, wilgotnym pocałunku, potem

całował jej szyję, ramiona, zanim dotarł do boleśnie napiętych w oczekiwaniu piersi. Wygięła się, dając mu swobodny dostęp do całego ciała. Jak gałązka bluszczu owinęła się wokół niego, obejmując go ciasno kończynami. Ale to jej nie wystarczyło. Pragnęła doświadczyć go tak intymnie, jak on poznał ją. Chciała poczuć na sobie jego nagą skórę.

Uśmiechnął się, gdy próbowała zerwać z niego ubranie. Potrzebowała pomocy, szybko więc pozbył się spodni i koszuli, zanim wrócił do niej do łóżka. Postanowił posiąść ją z całą finezją, której powinien był użyć wcześniej. Chciał, aby było to dla niej doskonałe przeżycie.

I mógłby osiągnąć swój szlachetny cel, gdyby Faith nie zaczęła wić się i wyginać pod nim. Jej namiętne jęki, wydobywające się z głębi gardła, sprawiły, że w uszach zaszumiała mu krew.

Czuła, że James zaczyna tracić kontrolę i to wstrząsnęło nią głęboko, w prymitywny sposób dając zadowolenie, którego do końca nie rozumiała. Nawet nie podejrzewała, że ma nad nim taką władzę. Ośmieliła ją świadomość, że wystarczy jedno jej słowo, aby natychmiast przerwał. Byłby potem wściekły, przeklinałby, ale nie miała najmniejszej wątpliwości, że posłuchałby jej.

Ale ona nie chciała, by przestawał. Odkryła w sobie coś, co napełniło ją dumą. Była naprawdę namiętną kobietą. Co takiego było w tym mężczyźnie, zastanawiała się, co czyniło go tak wyjątkowym? Wielu skradło jej pocałunek. Było to jedno z niebezpieczeństw zawodu damy do towarzystwa. Ale żaden pocałunek nigdy nie poruszył jej tak, jak dotknięcie warg Jamesa. Teraz pragnęła go równie dziko, jak on jej.

- Teraz, kochanie? - spytał, rozchylając jej nogi.

Bezwstydnie poprowadziła go w kierunku swej kobiecości.

- Teraz - powiedziała głosem równie chrapliwym jak on.

Tylko to chciał usłyszeć. Unosząc wysoko jej kolana, wszedł w nią głęboko.

Myślała, że jest gotowa, ale nie mogła powstrzymać się przed okrzykiem. Nie czuła, że paznokciami przeorała jego plecy.

- Sprawiałem ci ból - powiedział drżącym głosem i spróbował się wycofać.

Jej ramiona konwulsyjnie zacisnęły się wokół niego.

- Nie waż się mnie teraz opuszczać, Jamesie Burnett!

Kiedy uniosła biodra, aby przyjąć go głębiej, stłumiony jęk wydarł się z jego gardła.

- Spokojnie - wydyszał - spokojnie.

Ale ona nie chciała spokoju. Zaczęła się poruszać.

Każdy mięsień jego ciała był napięty. Starał się zachować kontrolę, ale ona mu ją odebrała. Gwałtownie, rytmicznie poruszali się, aż w końcu opadli drżący na łóżko spleceni w uścisku.

* * *

Upłynęła długa chwila, zanim któreś z nich się poruszyło. James odwrócił głowę, aby spojrzeć na zegar. Była północ i był pewien, że jego rodzina nie będzie podróżować nocą. Prawdopodobnie zatrzymali się w wygodnym hotelu i wyruszą o świcie. Miał więc mnóstwo czasu, aby porozmawiać z Faith. Musiał jakoś obudzić w niej czujność, nie strasząc jej jednak bardziej, niż to było konieczne.

Miał wielką ochotę ją pocałować, ale zwyciężył rozsądek. Jeden pocałunek sprowokowałby następny i w końcu w ogóle by nie rozmawiali. Zsunął się z łóżka i, ubierając się, obserwował ją, pogrążoną we śnie. Jedną dłoń wsunęła pod policzek. Jej włosy, rozsypane na poduszce, tworzyły piękną, koronkową zasłonę. Gdy tak patrzył, westchnęła i przewróciła się na plecy. Spomiędzy fałdów pikowanej narzuty wysunęła się pierś. Bóg jeden wie, co stało się z jej szlafrokiem.

Dziwne uczucie ścisnęło mu gardło. Wydawało się mu właściwe, tak naturalne, być z nią, jak teraz. Chciał budzić się obok niej każdego ranka, słyszeć jej głos, zanim położy się spać. Do teraz powinni już mieć gromadę dzieci.

Odżyły w nim stare urazy, ale szybko je stłumił. Nie wiedział, co zrobiła Fiona. Ale Faith miała rację. On też nie był bez winy. Pisała do niego długie, pełne nowin listy, które ogromnie go

cieszyły. Jedynym wytłumaczeniem dla jego zaniedbań na tym polu mógł być fakt, że był po uszy pogrążony w negocjacjach, które były zbyt skomplikowane, aby opisywać je w listach.

Nie mogli zmienić przeszłości, ale mogli zacząć od nowa. W zasadzie, nie mieli zbyt dużego wyboru. Przecież Faith już mogła nosić w sobie jego dziecko.

Bawił się przez chwilę tą myślą, ale w końcu ją odrzucił. Faith musiała się obecnie borykać z wystarczającą liczbą żartów. Powinna sama do tego dojść. Musi zrozumieć, że małżeństwo jest dla nich jedynym słusznym krokiem.

Spała tak spokojnie, że nie chcąc jej budzić, przysunął krzesło do kominka, w którym żarzyła się już tylko kupka popiołu, rozsiadł się w nim wygodnie, złączył palce i skoncentrował na najbardziej niepokojącym aspekcie całej sprawy - na morderstwie Roberta Danversa.

Po rozpatrzeniu tej kwestii pod wszelkimi możliwymi kątami, był pewien tylko jednego - ktoś zwerbował Danversa do wykonania brudnej roboty. Ten albo poniósł porażkę i nie wypełnił zadania, do którego został wynajęty, albo też stał się zbyt cenny.

Nagle do jego umysłu gwałtownie wdarła się wizja. Wyczuł, gdy przeglądał odpowiedzi na ogłoszenie Faith, że przegapił coś istotnego. Czy Danvers dotarł do nich przed nim? To miało sens. Dzięki temu znał czas i miejsce spotkania Faith z lady Cowdray i mógł donieść o tym swemu zleceniodawcy, który zastawił na Faith pułapkę.

Były to jednak czyste spekulacje. Potrzebował niepodważalnego dowodu albo odrobiny pomocy babci.

Wstał i przeciągnął się. Jego wzrok przykuł ruch na łóżku. Faith usiadła i podciągnęła narzutę pod sam podbródek.

- Kolejny koszmar? - zapytał, podchodząc do niej.
- Nie, tylko ten. co zwykle. - Poklepała łóżko, zapraszając go, by usiadł przy niej.

- To znaczy? - Zajął miejsce i wziął ją za rękę.

Wzruszyła ramionami.

- Stoję przed moją klasą pierwszego dnia szkoły, a wszyst-

kie uczennice wpatrują się we mnie wyczekująco. Niestety, nie mogę znaleźć notatek i zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Wszystko to obserwuje dyrektorka, czuję się więc okropnie.

- Przerwała i roześmiała się bez przekonania. - To nie jest koszmar tego kalibru, co tamten. Ale chyba o tym wiesz.

Objął ją, gdy zadrżała.

- Co tam się stało, James? - zapytała. - Dlaczego znalazłam się w ruinach tego domu? Dlaczego ty tam byłeś? To nie był tylko mój sen, prawda? Twój także. Byliśmy tam razem.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nie próbuj się wymigiwać! Wiem, że to także twój sen, ponieważ... Coś powiedziałeś. Tak, wspomniałeś, że błądziłeś w labiryncie. Cóż, mnie śniło się to samo. Biegłam przez płataninę korytarzy, próbując cię odnaleźć.

Ścisnęła jego dłoń i popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Nie odpychaj mnie, James. Powiedz mi, co się tu dzieje.

Westchnął. Wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Wiedział jedno - nie zamierzał jej straszyć opowieściami o przeżyciach i zmienianiu przyszłości, wyznał więc tylko lekko zmienioną wersję prawdy.

- Ktoś nikczemny chce mnie skrzywdzić - powiedział.

- A ja o tym śnię. Wspominałem ci chyba kiedyś, że moja babcia była wiedźmą i że odziedziczyłem część jej mocy? Cóż, tak właśnie działa ten dar. Śnię o przyszłości, abym mógł się przygotować i obronić, gdy stanę twarzą w twarz z osobą, która życzy mi śmierci.

- Ta osoba nie chce skrzywdzić tylko ciebie, James. - Nachyliła się ku memu. - Ściga również mnie. Byłam w tym śnie, pamiętasz?

- Ale to był mój sen, nie twój.

- Sen, który dzieliliśmy. Ile osób. które znasz, miewa wspólne sny?

Był zdumiony tym, że nie zakwestionowała wzmianki o jego darze. Spodziewał się, że odrzuci tę część jego tłumaczenia i zastąpi ją czymś bardziej racjonalnym. On na jej miejscu tak właśnie by postąpił.

- Nie sądzisz, że brzmi to zbyt nieprawdopodobnie? Powiedziałem ci, że widzę przeszłość.

- Oczywiście, że brzmi to nieprawdopodobnie - odparła z powagą - ale jestem pół krwi Irlandką. Wiem, że istnieją na świecie rzeczy, które wymykają się racjonalnemu wytłumaczeniu. Poza tym, we śnie wiedziałam, że masz specjalne moce, których jednak nie używałaś. Czy to prawda? Możesz przepowiedzieć przyszłość? Czy też to tylko część snu?

- Cóż, to prawda, do pewnego stopnia. Nie wiem na przykład, kto jest tym złoczyńcą i jak skończy się sen.

Jeszcze raz przeanalizowali koszmar. Gdy rozmawiali, James odkrył, że Faith wierzy w to, że sen jest zwiastunem zbliżającego się niebezpieczeństwa. Musiała jeszcze zrozumieć, że może stać się rzeczywistością. W pewnym momencie zasugerowała, że powinni spróbować zasnąć i jeszcze raz przywołać wizję.

- Nie widzisz, James, że to da nam możliwość rozejrzenia się, zebrania wrażeń, a może nawet zobaczenia twarzy zabójcy?

Wykonał gwałtowny ruch ręką.

- Zapomnij o tym! Nie słyszałaś nigdy o ludziach, którzy umarli w czasie snu, mimo że byli świetnego zdrowia? To się naprawdę zdarza.

Zamilkła, rozważając jego słowa.

- Czy ten sen stanie się rzeczywistością? Czy jest gdzieś dom, o którym śnimy? Czy zgubimy się w labiryncie korytarzy?
- spytała po chwili.

- Miejmy nadzieję, że nie. Ale pamiętaj, jeśli znajdziesz się w opuszczonym budynku, na jawie czy we śnie, zawołaj mnie albo tylko o mnie pomyśl, a ja się zjawię. Mówię poważnie. Faith. - Wyraz jej twarzy zmusił go do dodania: - To był tylko sen, koszmar, który ma mnie ostrzec przed niebezpieczeństwem. Zapomnij o nim w końcu i pomyśl o czymś innym.

- Nie chcę spać.

- Nie dziwię ci się. Może chcesz poczytać?

Potrząsnęła głową.

- Nie zdołam chyba teraz czytać Dickensa, a to jedyna książka, którą tutaj mamy.

- Jest jeszcze pamiętnik twojej matki.
- No tak. - Nie wydawała się zbyt entuzjastycznie nastawiona do tego pomysłu. - Wracasz do swojego pokoju?

- Nie. Będę tutaj siedział i czytał moją „Opowieść o dwóch miastach”. - Nie mógł zasnąć i znów wciągać jej w swoje piekło.

- A co z twoją rodziną? Co pomyślą, gdy znajdą nas tutaj oboje?

- Wątpię, aby wrócili do domu, zanim zrobi się jasno, a nawet jeśli, jestem pewien, że zrozumieją, dlaczego nie chciałem zostawiać cię samej po tym, co zdarzyło się dzisiaj u Hughesów. Zapalę światła i zostawię drzwi szeroko otwarte. Gdzie trzymasz pamiętnik?

Uśmiechnęła się w drzwiach szeroko.

- Dziękuję. Jest zamknięty w garderobie. - Znalazł się przy drzwiach, zanim skończyła mówić. - Schowałam go w fałdach płaszcza kąpielowego Margaret. Klucz trzymam w górnej szufladzie sekretarzyka.

Zdumiała się, gdy otworzył garderobę bez klucza.

- Ktoś wyłamał zamek - powiedział. Przetrasnął wszystkie jej ubrania. - Nie ma pamiętnika.

Porwała szlafrok z podłogi i włożyła go, podchodząc szybko do garderoby, a następnie sama przeszukała każdą sztukę odzieży.

- Ktoś go zabrał - powiedziała słabo. - Kto mógłby zrobić coś takiego?

- A któż, jeśli nie Robert Danvers?

- Robert ukradł pamiętnik? Ale dlaczego?

- Bo ktoś go o to poprosił albo zapłacił mu za to. Szkoda, że musiał oddać również życie.

Faith oddychała głęboko, próbując skupić myśli.

- Czy ktoś nie powinien był go zauważyć, gdy włamywał się do domu? Służba? Ktoś z nas?

- Nie, jeśli odpowiednio wybrał moment.

Zrezygnowana, opadła na fotel przy biurku.

- Arkady Burlingтона - jęknęła. - Za jaką idiotkę musisz mnie teraz uważać!

- Co masz na myśli?

- Kiedy odprowadzał mnie do powozu, powiedziałam mu, kiedy dom będzie pusty. Próbowaliśmy wybrać porę, kiedy przyprowadzi do mnie w odwiedziny swoją matkę. Oczywiście nie przyszła. Myślałam, że to mgła zatrzymała ją w domu.

- Kiedy ostatnio przeglądałaś pamiętnik?

- Wczoraj. Zrobiłam kilka notatek - co nie znaczy, że zbliżyłam się do rozwiązania. Ten przeklęty kod nadal jest dla mnie czarną magią.

Oparł się biodrem o blat biurka i skupił wzrok na jej twarzy.

- Danvers wiedział więc, że dom będzie pusty tego wieczora. Musiał zabrać pamiętnik, gdy wyjechaliśmy do Hughesów. Wymyślił jakiś pretekst, aby wejść do domu, coś, co nie wzbudziło podejrzeń służby. Przeszedł przez sypialnie po kolei, dopóki nie odnalazł twojej. Kiedy znalazł pamiętnik, nie tracąc czasu, chciał go przekazać osobie, która go zabiła. A ta osoba była dzisiaj na wykładzie. Tak, już rozumiem. Zaaranżowali spotkanie w hangarze na łodzie, aby dokonać wymiany.

Stłumiła drżenie.

- Co jest w tym pamiętniku tak obciążającego dla kogoś, że powoduje te wszystkie straszne wydarzenia?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

Załamano dłonie.

- Łatwo powiedzieć, ale od czego zaczniemy?

Uniósł jej podbródek palcem.

- Możemy zacząć od tego, że opowiesz mi dokładnie, co powiedziałaś panu Danversowi, gdy spotkaliście się w Arkadach Burlingtona. Niczego nie pomijaj.

XVIII

Burnettowie dotarli do domu przed południem następnego dnia. Towarzyszyła im ciotka Jamesa. Faith była zadowolona z zamieszania. Jej myśli ciągle powracały do morderstwa Roberta Danversa i do tego, co stało się potem, gdy z Jamesem w końcu wrócili na Berkeley. Śmierć, sny, koszmary i cudowna noc rozkoszy - to było dla niej zbyt wiele. Ciotka Marian wypełniła dom swoją wyjątkową energią, wywiewając z niego zmartwienia.

Po późnym lunchu w oranżerii Harriet poszła się bawić, a reszta rodziny zebrała się przy stole, popijając kawę i herbatę. Do tego momentu rozmowy koncentrowały się głównie na weselu. Pierwszą dłuższą przerwę James wykorzystał, aby powiedzieć krewnym, tak zwięźle, jak to tylko możliwe, że Robert Danvers, syn bankiera, został brutalnie zamordowany poprzedniej nocy w dzielnicy South Bank i że to Faith znalazła ciało.

Po tych słowach zapadła kompletna cisza. Mogli nie znać Danversa juniora, ale jego ojciec był postacią powszechnie szanowaną w kręgach handlowych. Tak nagle, jak zapadła, cisza została przerwana, gdy wszyscy naraz zaczęli zadawać pytania. Opowiedzieli im całą historię. Mówił głównie James, a Faith wtrącała od czasu do czasu szczegóły, które sobie przypominała.

Kwitły spekulacje na temat tego, kto mógł popełnić tę ohydną zbrodnię. Włóczęga, zazdrosna kochanka, oszukany mąż? Po-
dejrzaniom nie było końca, ale wszystkie one dotyczyły obcych.

bez twarzy i bez nazwiska. Nikt z zebranych nie podejrzewał, aby winnym był ktoś, kogo znali.

- Nic nie mówisz, Roderick - powiedział James. - Znałeś Danversa, prawda?

- Znałem?

- Mówiłeś mi kiedyś, że niespecjalnie go lubisz.

Roderick wyciągnął się na krześle, prostując nogi.

- Znałem go trochę, ale on raczej nie przyznawał się do tej znajomości. Był ode mnie znacznie starszy, więc może dlatego. Ale masz rację. Nie darzyłem go sympatią. Zbyt dużo pieniędzy przeznaczzał na hazard i obnosił się z tym. - Wzruszył ramionami. - Na miejscu policji, szukałbym kogoś, kto wiedział, że Danvers zawsze miał przy sobie gruby zwitek banknotów.

Jamesowi przysłała do głowy pewna myśl, ale zanim zdążył ją powiedzieć, wtrąciła się Margaret:

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że zbyt dużo pieniędzy przeznaczzał na hazard? Wracasz do starych, złych nawyków. Roderick? Grasz w karty czy na wyścigach?

Roderick zauważył, że brat zmarszczył brwi, i na usta wypłynął mu uśmiech znużonego światowca.

- A cóż innego może robić młody dżentelmen w tej kwitującej metropolii? Chodzę tam. dokąd chadzają moi przyjaciele.

Margaret znacząco spojrzała na męża, ale jedyną pomocą, jaką uzyskała, było obojętne wzruszenie ramion.

Faith wygładzała swoją serwetkę, próbując zapanować nad oburzeniem. Jej zdaniem, pan Burnett był odrażającym rodzicem i jeszcze gorszym mężem. Nie spodziewała się, że udzieli Roderickowi publicznej nagany, bo wiedziała, że nie jest nawet w połowie tak zepsuty, jakim starał się pokazać. Ale Roderick potrzebował odrobiny ojcowskiego zainteresowania, męskiego mentora, którego mógłby szanować i naśladować. Niewiele wiedziała o chłopcach, ale rozumiała młode dziewczęta, w Winnifred też mieli swoich buntowników i nigdy się od nich nie odwracali.

To ciocia Marian rozładowała napięcie, oddalając widmo nieprzyjemnej sceny.

- Oczywiście, że Roderick chodzi tam, gdzie jego przyjaciele. Nigdy jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który nie popełniłby w młodości kilku gwałtów. Wyrośnie z tego.

Spojrzała znacząco na Jamesa.

Zauważył przytyk i zgodził się z nim, kiwając lekko głową.

- To prawda - powiedział. - Prawdziwe kłopoty nadejdą, gdy Roderick zacznie interesować się dziewczętami.

- A kto powiedział, że już się nimi nie interesuję? - przeciągając głoski, odpowiedział Roderick.

Konsternacja, malująca się na twarzy Margaret, spowodowała wszystkich do chichotu. Ciocia Mariah dyplomatycznie skierowała więc rozmowę na inne tory:

- Biedny pan Danvers. Co mogło go skłonić do wyznaczenia na miejsce spotkania hangaru na łądzie? Musiał być umówiony z kimś z domu.

- To zawęży krąg podejrzanych do zaledwie stu osób - zauważył sucho James.

- Bzdura! - odparła ciotka. - Nie znał wszystkich jego mieszkańców, prawda? Nie, to musiał być ktoś, kogo znał i komu ufał.

- Może - wtrącił pan Burnett - ten znajomy chciał pożyczyć pieniądze, a kiedy pan Danvers odmówił, pokłócili się i tamten go zabił.

James sięgnął po imbryk i nalał sobie kawy. Zbliżali się do jego teorii, ale nie byli dostatecznie blisko. Jego rodzina nie wiedziała o Madeline Maynard i jej pamiętniku, ani o tym, że on podejrzewa Danversa o jego kradzież. Zresztą, nie było to podejrzenie. Był tego pewien i wiedział już, jak do tego doszło.

Zadał kilka pytań lokajowi i dowiedział się, że wkrótce po tym, gdy z Faith wyszli na spotkanie Towarzystwa Egipcjoznawczego, przyszedł młody detektyw, twierdząc, że policja przeszukuje okolicę, tropiąc złodzieja, który uciekł im tylną uliczką i najwyraźniej zakradł się do sąsiedniego ogrodu. Jego obowiązkiem, jak stwierdził detektyw, było przeszukanie domu. Lokaj i służący mieli, dla swojego własnego bezpieczeńst-

wa, pozostać na dole, dopóki nie wykona zadania. Posłuchali, pozwalając oszustowi swobodnie wędrować po domu.

Bo to był oszust. Gdy tylko usłyszał tę historię od Butchera, James udał się natychmiast na posterunek policji. Dowiedział się tam, że nikt nie został wyznaczony do przeszukiwania domów na Berkeley.

Było to bardzo sprytnie zagranie ze strony Danversa, który jednak nie był na tyle bystry, aby rozpoznać prawdziwe intencje swojego partnera.

Od spekulacji oderwało Jamesa pytanie, skierowane wyraźnie do niego.

- Przepraszam - powiedział, patrząc na ciotkę - nie słuchałem.

- Powiedziałam, że zakładam, że ty i Faith pójdziecie na pogrzeb?

- Pogrzeb? - Spojrzał na Faith.

- Tak - odparła, odpowiadając jednocześnie na pytanie w jego oczach. - Jestem pewna, że moja przyjaciółka Lily również będzie chciała tam być. Napiszę do niej dzisiaj, aby powiadomić ją, co się stało.

- Ja również się wybiorę - powiedziała ciotka Mariah. Spojrzała na ich zdziwione twarze i wyjaśniła: - Mam konto u pana Danversa seniora, znamy się więc z widzenia, a młodego Danversa poznałam na Dniu Otwartym. - Lekko wzruszyła ramionami. - No, dobrze. Jestem po prostu ciekawa. Wiecie, że może tam być także jego morderca? My, stare kobiety, musimy szukać nowych wrażeń wszędzie, gdzie się tylko da.

- Czy to rozważne? - zapytał jej brat. jednym okiem spoglądając na zegarek. - Mordercy zazwyczaj nie lubią, gdy zagląda się im przez ramię.

- Będę wzorem przyzwoitości. Poza tym, James i Roderick też tam będą. aby czuwać nade mną i Faith.

- Słucham? - Roderick nadal siedział wyciągnięty na krześle, ale uwaga ciotki tak go zaskoczyła, że krzesło znacznie odchyliło się do tyłu. przez co nieomal stracił równowagę. - Ale ja prawie go nie znałem. Dlaczego ty nie pójdziesz, ojcze?

Pan Burnett energicznie potrząsnął głową.

- Nie moja sprawa. Nie, jestem pewien, że moja obecność tam jest zbyt duża. - Aby uciąć dalsze dyskusje, dodał: - Patrzcie, która to godzina! Umówiłem się z majorem Howie i kilkoma przyjaciółmi w klubie. To jego sześćdziesiąte urodziny, jak widać, i urządzamy mu z tej okazji wspaniałą uroczystość. Nie czekaj na mnie, skarbie - powiedział, zwracając się do żony.

- Wrócę późno.

- Szkoda - podsumowała ciotka Mariah radosnym głosem.

- A co z jutrzejszym wieczorem? Również będziesz zajęty?

Pan Burnett wyglądał na skonsternowanego, ale tylko przez chwilę.

- Och, zapomniałbym. Gram w karty. Przykro mi. Nie mogę tego odwołać.

- Nieważne - odparła jego siostra tym samym pogodnym tonem. - Ale stracisz prawdziwą ucztę, którą dla was wszystkich przygotowałam w tajemnicy. - Popatrywała na zgromadzonych po kolei. - Zanim wyjechałam do Henley, zarezerwowałam łożę w teatrze Savoy. Tak, Gilbert i Sullivan wystawiają „Mikado”. Podobno jest wspaniałe. - Zachichotała. - Spodoba ci się, James. Wnętrze teatru jest w całości oświetlane elektrycznością.

Dała im trochę czasu, aby dotarło do nich, co powiedziała, po czym, przeprosiwszy wszystkich, odeszła od stołu.

* * *

- Roderick, nie wychodź, proszę. Chciałbym zamienić z tobą słowo - powiedział James.

Gdy pozostali gęsiego opuszczali oranżerię, James sięgnął po srebrną papierośnicę, leżącą na stole. Gdy ją otworzył, okazało się, że jest pusta.

- Możesz mnie jednym poczęstować? - zapytał brata.

Roderick spoglądał na niego z ciekawością.

- Nie palę. Tytoń powoduje u mnie astmę.

O tym James nie pamiętał. Rozdarty pomiędzy zażenowaniem a poczuciem winy, powiedział:

- Cóż, chyba nie byliśmy dla siebie najlepszymi braćmi. Z mojej winy, wiem, ale uwierz mi teraz, martwię się o ciebie.

W odpowiedzi Roderick tylko uniósł sceptycznie brwi. James kontynuował:

- Chciałem powiedzieć, że twoje dobro zawsze leżało mi na sercu.

- A to ci dopiero nowina! Mam dziewiętnaście lat, a ty nie traktowałeś mnie nigdy inaczej niż jak uprzykrzonego baka. Nie, przesadzam. W ogóle chyba nie byłeś świadom mojego istnienia. Och, proszę, nie płacz się, próbując usprawiedliwiać swoją obojętność. Rozumiem. Miałeś przecież do zbudowania mnóstwo kolei, a ja jestem zaledwie twoim przyrodnim bratem.

- Masz dziewiętnaście lat? Myślałem, że osiemnaście.

Roderick przewrócił oczami.

Wyrzuty sumienia, które nękały Jamesa, powoli zaczynały blednąć.

- Posłuchaj - powiedział - jeśli masz długi karciane albo tracisz pieniądze na wyścigach, chcę o tym wiedzieć.

Roderick skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się.

- A co? Poratujesz mnie? Cóż, Jamie, jestem wzruszony.

James przyznał w duchu, że zazwyczaj nie troszczył się zbyt o brata, ale głównie dlatego, że chłopak miał przecież ojca. Ich ojciec był opiekunem i powiernikiem Roddy'ego. On nie miał natomiast żadnego autorytetu. Gdy ta myśl dotarła do niego, poczuł irytację. Kontrolował rodzinne wydatki, w mniejszym lub większym stopniu i to, jego zdaniem, dawało mu prawo do wyrażenia opinii na temat tego, jak funkcjonują sprawy rodzinne. Ojciec był bezużyteczny, nawet gorzej niż bezużyteczny. Bez interwencji Jamesa Colin Burnett wydałby ostatniego pensa na utrzymanie zamku, który chłonał pieniądze jak woda gąbkę.

James wiedział, co powiedziałyby teraz Faith - że jego młodszy brat potrzebuje mentora, którego mógłby szanować i naśladować, ale on nie czułby się komfortowo, wstępując w taką rolę, poza tym był pewien, że Roderick i tak by na to nie pozwolił. Po prostu byli sobie obcy. Nie zanieczywał chłopca

celowo. Zbyt rzadko się widywali i ich drogi zwyczajnie się rozeszły.

Spojrzał na brata i zobaczył w nim siebie, gdy miał dziewiętnaście lat. *Obaj* zostali odesłani do szkoły z internatem, gdy mieli po osiem lat, obaj częściej niż rodziców widywali służących i babcię McEcheran oraz *ciocię* Marian, u których spędzali letnie wakacje. Nic więc dziwnego, że obaj wyrosli na ludzi pełnych urazy do świata i o trudnym charakterze. Różnica polegała tak naprawdę tylko na tym, że on przestał się buntować, gdy odnalazł swoją pasję - po-ciagi. Zastanawiał się, czy Roddy ma jakiegokolwiek zainteresowania, poza tymi oczywistymi. Po części zgadzał się z ciotką. Chłopcu należy pozwolić na popełnienie kilku gwałtów. Bał się tylko, że jego brat siedzi w kłopotach po uszy.

Spróbował raz jeszcze.

- *Słuchaj*, Roddy...

. - Nie, to ty posłuchaj, braciszku! - Roderick wstał gwałtownie i strzepnął rękaw, jakby chcąc *pozbyć się dłoni*, która go przytrzymywała. - Nie chcę twojej jałmużny, nie chcę, abyś mi mówił, co mam robić. *Szczerze mówiąc*, *trochę* chyba za *późno* na odgrywanie roli starszego brata. Więc, jeśli będę chciał grać w karty, łączyć na dziwki i upijać się do nieprzytomności - schodź mi *Zdrogi*.

James odepchnął krzesło z hukiem i wstał. Był zły. Nie. Był wściekły, a cień prawdy w słowach brata dodatkowo jeszcze zaostriął jego gniew. Przecież, do cholery, dawał tej rodzinie utrzymanie i choć nie spodziewał się, że będzie za to kochany, oczekiwał przynajmniej odrobiny szacunku.

- Radzę ci zważać na słowa - wycedził przez zacisnięte zęby - bo inaczej będę zmuszony udzielić ci lekcji, której długo nie *zapomnisz*.

Roderick wybuchnął śmiechem.

- Ostrzegam cię, drogi bracie, że byłem na moim roku mistrzem zapasów, dopóki mnie nie wydalono.

James uśmiechnął się szyderczo.

- Siłowanie się z małymi chłopcami to jedno. Nie jesteś jeszcze mężczyzną na tyle, aby stanowić dla mnie konkurencję.

Te słowa starły uśmiech zadowolenia z twarzy Rodericka, ale nie zastąpiła go *ostrożność*. Zamiast *tego* wysunął bojowniczo podbródek, jego nozdrza rozszerzyły się, a oczy błysnęły ponurą determinacją. Podobieństwo pomiędzy Jamesem a młodszym bratem jeszcze chyba nigdy nie było tak uderzające.

Jednym, zręcznym ruchem Roderick zsunął z siebie surdut i odrzucił go na bok. James zrobił to samo. W geście, który miał prowokować. Roderick zagiął wskazujący palec i kiwnął nim na Jamesa.

- Thigibh an so, bodach! - powiedział. - Podejdz, staruszkule!

- Boże, ratuj! Ten chłopczyk zna gaelicki. - James przykucnął, przyjmując postawę zapaśnika. - Eisol, bhalaich. - Na tym kończyła się jego znajomość gaelickiego, ale niezrażony tym kontynuował: - Nach ist thu.

Grymas zmarszczył brwi Rodericka.

- Co to w ogóle znaczy?

- Chodź tu i złap mnie, mały.

Ledwo James skończył mówić, Roderick zaatakował i popchnął ich obu na pokrytą dywanem podłogę, na której zaczęli się siłować. Delikatna porcelanowa zastawa na stole zabrzęczała alarmująco, ale żaden nie zwrócił na to uwagi. Stękali i dyszelili ciężko, próbując nawzajem założyć sobie obezwładniający chwyt.

W końcu rozdzielili się, wstali i znów na siebie natarli. Tym razem nie tylko zrzucili ze stołu kruchą porcelanę, ale także wpadli na krzesło, które zatrzęszczało, a potem złamało się jak zapałka. James był cięższy, ale Roderick wił się jak węgorz. James nie potrafił założyć mu klucza, chwycił go więc za włosy i odciągnął głowę, aby odsłonić gardło. Nie miał pojęcia, co robić dalej. W prawdziwej walce uderzyłby Rodericka kantem dłoni, ale nie chciał skrzywdzić brata, tylko dać mu nauczkę.

Roderick nie miał takich skrupułów. Z olbrzymią siłą zamachnął się łokciem, trafiając Jamesa w sam środek podbrzusza. James zachłysnął się, zadławił, ale nie zwolnił uchwytu.

Otumaniony bólem i gniewem przycisnął głowę Rodericka do poduszki, która spadła na podłogę. Zamierzał udusić mówiarza.

Drzwi do oranżerii nagle otworzyły się na oścież i do pokoju wbiegły ciotka Mariah, Faith i Margaret. Margaret, przewidując taką potrzebę, była uzbrojona w miotłę. Nie czekała, aż zdołają złapać oddech. Jak wcielenie Furii natarła na nich, tłukąc po głowach szczotką i wykrzykując przekleństwa, które potem długo jeszcze wywoływały u niej rumieniec, gdy przypominała sobie tę scenę. W międzyczasie Faith złapała Jamesa za poły koszuli i próbowała go odciągnąć, wykorzystując całą swoją siłę. Ciotka Mariah chwyciła Rodericka za kołnierz.

Ale *to nie* brutalna siła kobiet, lecz dopiero łzy dziecka zawstydziły obu panów na tyle, aby przerwali walkę. Harriet wbiegła przerażona do pokoju, zobaczyła bałagan i natychmiast zalała się łzami.

Mężczyźni podnieśli się z podłogi zmieszani.

- To była zabawa - powiedział Roderick. - Taka gra.

Harriet podbiegła do niego i schowała się w jego objęciach, popatrując bojaźliwie na Jamesa.

- Powiedz jej, James - nakazał mu Roderick.

James usłuchał.

- To był mecz zapaśniczy. Roderick udzielał mi kilku wskazówek. Nie myślałaś chyba, że to poważnie?

Ciotka Mariah otaksowała wzrokiem skorupy swojej cennej porcelany, zniszczone krzesło w stylu Hepplewhite'a i prychnęła. Niczym koń czystej, angielskiej krwi.

- Zabawa? - powątpiewała Harriet.

Roderick uśmiechnął się do niej.

- Głuptasie, nie wiesz, że James i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi? - Spojrzał na brata i wyciągnął dłoń. - Jesteśmy najlepszymi kumplami, widzisz, Harriet?

James ucisnął zaferowaną prawicę i potrząsnął nią.

- Najlepszymi - powiedział.

Harriet odetchnęła z ulgą. Jej łzy obeschły i zapytała błagalnym głosem:

- Czy mogę iść z wami do teatru, mamó? Proszę, zgódź się. Uwielbiam Gilberta i Sulli vana. Proszę! Mogę?

Opuszczali pokój z minami, wskazującymi na to, że nic niefortunnego się nie wydarzyło, choć uśmiechy pań były nieco sztuczne. Nikt jednak nie chciał zniszczyć spokoju dziecka.

* * *

Wyjście do teatru zaraz po tym, jak zamordowany został młody mężczyzna, nie wydawało się Faith właściwe. Z drugiej jednak strony, nawet ona potrzebowała czegoś, co odwróciłoby jej uwagę od ciągłego przywoływania w pamięci momentu, kiedy weszła do hangaru i potknęła się o ciało Danversa. Był jeszcze James i to, co nocą rozpętało się pomiędzy nimi jak burza pełna wyładowań elektrycznych. Tyle kwestii zaprzętało jej umysł, że była pewna, że nie będzie dobrze się bawić na przedstawieniu.

Okazało się, że jednak się myliła. Okazałość teatru Savoy przekroczyła jej najśmielsze oczekiwania. Budynek miał zaledwie pięć lat, był imponujący i posiadał scenę, która mogłaby konkurować z amfiteatrami starożytnego Rzymu, światła paliły się na każdym poziomie. Ale wszystko to przewyższała sama sztuka. Gilbert i Sullivan zdecydowanie wiedzieli, jak zadowolić publiczność. W pewnym momencie Faith zorientowała się, że stopami wystukuje rytm muzyki. Śmiała się, klaskała, a nawet nuciła swawolne refreny. Kiedy w końcu rozblęły światła i nadszedł czas na opuszczenie łoża, czuła się oszołomiona, jakby wypijała butelkę szampana.

Foyer było zatłoczone. Goście niecierpliwie oczekiwali w kolejce na swój powóz. James i Roderick zajęli miejsca na przedzie. Wszyscy przepychali się i rozpychali łokciami. Ktoś nadepnął na rąbek sukni Faith, jednej z nowych sukni, które zamówiła u madame Digby. Usłyszała odgłos rozdzieranego materiału i chociaż wiele ją to kosztowało, zmusiła się do uśmiechu i odwróciła, aby stanąć twarzą w twarz z osobą, która dokonała tej zbrodni.

Był to pan Hughes z Towarzystwa Egipcologicznego. Daleki od przeprosin, patrzył wprost na Faith, w ogóle jej nie rozpoznając, nieświadomy ogromu zniszczeń, jakich dokonał. Faith otworzyła usta, ale zanim zdolała zawołać go po imieniu, ciotka Mariah chwyciła ją za rękę i odciągnęła na bok.

- Nie teraz. Faith! - upomniała ją. - Nie możesz okazywać, że rozpoznałaś dzentelmena, gdy towarzyszy mu jego flama.

Faith była zaszokowana.

- Flama? Masz na myśli kochankę?

- Dokładnie to mam na myśli. - Ciotka Mariah potrząsnęła głową. - Współczuję jego żoncie. Na pewno się o tym dowie. Nie zdziwię się, jeśli są tutaj jej znajomi, którzy nie będą tracić czasu i natychmiast doniosą jej, co wyprawia jej wiarołomny mąż. Jakby biednej Sophie trzeba było to uświadamiać!

- Dlaczego więc od niego nie odejdzie albo go nie wyrzuci? - zapytała Faith. - Przecież mamy lata osiemdziesiąte! Dziś mężczyzna nie może traktować kobiety, jak swojej własności. A pani Hughes po pierwszym mężu jest bardzo zamożna, prawda?

- Mądrość młodości jest taka odświeżająca - zauważyła ciotka Mariah z bładym uśmiechem. - Bo go chyba kocha - odpowiedziała. - Wiem, to żalosne, ale niektóre kobiety stają się niewolnicami swojej miłości. Sophie Hughes jest jedną z nich. Ale jest także coś więcej. Jeśli go wyrzuci, drogo za to zapłaci. Kobiety w separacji i rozwódki to nadal w naszej sferze pariasi. Sophie straciłaby wszystkich przyjaciół, nigdzie by jej nie zapraszano.

W tym momencie zrównały się z nimi Margaret i Harriet, więc rozmowa się urwała. Twarz Harriet jaśniała ekscytacją, słowa mieszały się jej z podniecenia.

- Czyż nie była to najwspanialsza operetka, jaką panie kiedykolwiek słyszały? To było takie zabawne! Kiedy dorosnę, będę występować na scenie i...

Faith słuchała jednym uchem. Jej oczy śledziły parę, która właśnie zmierzała do wyjścia - pana Hughesa i jego flamę. Chociaż Hughes był przystojny, miał tyle lat, że mógłby być

ojcem towarzyszącej mu damy. A ona naprawdę wyglądała jak dama, może nie w stylu cichej, doskonale wychowanej pensjonarki, ale raczej jak ożywiona ikona mody z zalotnym uśmiechem na ustach.

Faith poczuła się urażona w imieniu zdradzanej żony. Pani Hughes była dla niej wcieleniem dobroci, gdy towarzyszyła jej w oczekiwaniu na policyjne przesłuchanie, po tym jak Faith znalazła ciało Danversa. Zaoferowała jej zmianę ubrania. Siedziała przy niej i trzymała ją za rękę. Jej kojąca obecność odwlekła znacząco chwilę, w której Faith się załamała. Zaslugiwała na coś znacznie lepszego niż niewierny mąż.

Faith przypomniała sobie inny epizod - przygnębiający obraz starzejącej się kobiety odzianej w suknię debutantki. Owca przebrana za jagnię. Czy Sophie Hughes próbowała wyglądać młodziej, aby konkurować i paniami, z którymi zadawał się jej mąż? Czy go kochała? Ciotka Mariah mogła mieć 00 do tego rację, ale na pewno myliła się co do przyjaciół pani Hughes. Oni nie podporządkowywali się normom społeczeństwa. Pamiętnik jej matki był tego dowodem. Nie odwróciliby się od przyjaciółki tylko dlatego, że ta rozwiodła się z mężem. Nie dbaliby o to.

Zanim dotarli do domu, przyjemne oszołomienie wyparowało z Faith. Gdy wszyscy wspinali się po schodach do swoich sypialni, brała jednak udział w dyskusji na temat przedstawienia. Harriet była w swoim żywiole. Obaj bracia śmiali się i żartowali i obaj nalegali, aby siostrzyczka pozwoliła im odprowadzić się do pokoju.

Faith zastanawiała się, jak długo potrwa rozejm pomiędzy braćmi.

XIX

Millie, to wspaniałe!

Faith znajdowała się w swojej sypialni, poddając oględzinom suknię, w której poszła na wykład, gdy nagle do pokoju wpadły bez uprzedzenia Margaret i ciocia Marian. Spojrzała na nie i uniosła suknię, tak aby i one mogły to zobaczyć.

- Millie potrafi czynić cuda. - powiedziała. - Patrzcie, nie ma nawet śladu. - Nie mogła zmusić się, aby wypowiedzieć słowo krew. - Jak tego dokonałaś. Millie?

Pokojówka zarumieniła się i rozpromieniła.

- Próbowałam wszystkiego, panienko, ale chyba dopiero wino podziało.

Do rozmowy wtrąciła się ciocia Marian:

- Tak, Millie to istne чудо. dlatego też płacę jej fortunę, aby nikt mi jej nie podkradł.

Millie zachichotała i pozwoliła wygonić się z pokoju.

Dwie pary oczu skupiły się na Faith.

- Słucham? - zapytała dziewczyna.

- Wasz sekret się wydał - oznajmiła poważnie ciotka Marian.

Margaret podeszła do Faith i serdecznie ją uścisnęła.

- Spotkałyśmy na Bond Street panią Hughes, która powiedziała nam, że wszyscy już wiedzą o tym, że ty i James jesteście zaręczeni. Oczywiście, nie mogliśmy zaprzeczyć, ale była to dla nas niespodzianka. Myślałyśmy, że to tajemnica, bo czekacie, aż twój wuj wyrazi zgodę, zanim cokolwiek ogłosicie.

Faith powoli opadła na łóżko. Pamiętała, jak pan Hughes na

wykładzie przedstawił Jamesa publicznie jako człowieka zaręczzonego z córką Madeline Maynard.

Spojrzała na Margaret i zauważyła w jej oczach radość. Ciotka Mariah przyglądała się jej bardziej badawczo. Jej oczy mogły być przygaszone z powodu wieku, ale nadal wyrażały inteligencję.

Faith zastanawiała się, jak wplątała się w cały ten bałagan. I jak miała bronić swojej wersji wydarzeń, która teraz wydawała się już nie do obronienia?

Zresztą, mogła przecież na samym początku wprost oznajmić rodzinie Jamesa, że nie są zaręczeni.

Ale tego nie zrobiła. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego?

- Cóż - powiedziała - sytuacja wygląda tak. Popełniliśmy z Jamesem całą masę błędów, gdy byliśmy zaręczeni wiele lat temu, więc tym razem chcieliśmy się upewnić, zanim ostatecznie się zdeklarujemy. Potrzebujemy po prostu więcej czasu, aby móc na nowo się poznać.

- To brzmi rozsądnie, prawda, Mariah? - pomogła jej Margaret, wieczny rozjemca.

Stopniowo twarde spojrzenie ciotki łagodniało i na jej twarz zaczął wypływać ciepły uśmiech.

- Bardzo rozsądnie - zgodziła się. - Ale nie czekaj zbyt długo. To nie byłoby uczciwe wobec Jamesa i wobec nas. Widzisz, Faith, zaczynamy cię traktować jak członka rodziny. To byłby dla nas bardzo bolesny cios, gdybyś nagle nas opuściła.

Kiedy obie panie wyszły. Faith zapatrzyła się w przestrzeń, rozmyślając.

* * *

W końcu zdecydowała się porozmawiać z Jamesem. Czekwała na odpowiedni moment, który nadszedł dopiero tuż przed udaniem się na spoczynek. Znalazła go w bibliotece, przeglądającego zdjęcia pociągów.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Właśnie zastanawiałem się nad przejściami, które umożliwią pasażerom przechodzenie z jednego końca składu na drugi podczas jazdy. - Urwał, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. - Co się stało. Faith?

Przysunęła krzesło do jego fotela.

- Margaret i ciocia Mariah spotkały na Bond Street panią Hughes - zaczęła Faith i pokrótce opowiedziała mu, jak to się stało, że wszyscy wiedzą, że oni oboje są zaręczeni. - To przez zapowiedź pana Hughesa podczas wykładu. Przykro mi, James. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć cioci, pozwoliłam jej więc myśleć, że potrzebujemy czasu, zanim się ostatecznie zdecydujemy, czy chcemy ponownie wchodzić do tej samej rzeki.

Patrzyła na niego wyczekująco. Nie chciała przyznać tego nawet sama przed sobą, ale miała nadzieję, że się zdeklaruje.

Spojrzał na fotografie, które trzymał w rękach, i odłożył je na bok.

- Nic się nie stało - odparł tylko. - Myślę, że świetnie sobie poradziłaś.

To wszystko co miał do powiedzenia? Pogłębiło to w niej uczucie zawodu, które dodatkowo ją zirytowało. Czego się zresztą spodziewała? Deklaracji dozgonnej miłości? Miał obsesję na punkcie pociągów. Nawet teraz, otoczony przez książki, wolał oglądać ich zdjęcia. Żadna kobieta nie mogła rywalizować z tym uczuciem.

Patrzył na nią z rezerwą, jakby spodziewał się... Łez? Napadu złości? Zmusiła się do okazania uprzejmości, gdy tymczasem chciała tylko zaszyć się w jakimś ciemnym kącie, gdzie mogłaby rozczulać się nad sobą w samotności.

- Nie poradziłam sobie. Po prostu odroczyłam nieuniknione. Zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- Musisz przecież zdawać sobie sprawę z tego - powiedziała, - że nie mogę tu zostać. Oszukujemy twoją rodzinę i to jest złe. Ciocia Mariah i Margaret, jestem tego pewna, wkrótce zaczną planować nasze wesele. Nie możemy pomagać pod-

sycać ich marzeń tylko po to, aby je potem rozmyślnie zburzyć. Im szybciej wyjadę, tym lepiej.

- Wyjedziesz? Zapomniałaś o zbirach, które cię zaatakowały?

- Teraz nic mi przecież nie grozi. Żadnemu z nas nic nie grozi. Ktokolwiek zabił Roberta, zdobył pamiątnik, być może nawet już go zniszczył, nie będziemy więc musieli już nigdy bojaźliwie oglądać się za siebie.

Jego oczy zwężyły się.

- A co to zmienia?

Westchnęła, zniecierpliwiona.

- Zazwyczaj nie jesteś taki ograniczony. Nasz czarny charakter na pewno już wie, że mu nie zagrażam, mogę więc wrócić do swojego życia.

Roześmiał się z niedowierzaniem.

- I co zrobisz? Podejmiesz na nowo pracę w Winnifred?

Ogarnął ją gniew, który przyspieszył jej tętno.

- Nie ma nic złego w mojej posiadzie w Winnifred, ale jeszcze nie zdecydowałam, co zrobię. Mam trochę oszczędności. Poradzę sobie, dopóki czegoś nie wymyślę.

- Wiem, o co chodzi. Chcesz być jak te kobiety, które postawiłaś na piedestale - jak twoja matka i jej podobnie myślące koleżanki.

Kiedy się podniosła, on również wstał.

- Ty hipokryto! - napadła na niego. - Można pozwolić mężczyźnie na posiadanie ambicji, ale gdy kobieta pragnie zrobić coś ze swoim życiem, wszystko, co może od ciebie otrzymać, to pogarda. Powinieneś je podziwiać, James. Macie wiele wspólnego.

Stał tak, wpatrując się w nią długo. W końcu westchnął ciężko.

- Nie możesz jeszcze wyjechać. - Zagłuszył słowa protestu, które wydarły się z jej ust. - Nie jesteśmy bezpieczni i nie będziemy, dopóki nie spełni się koszmar, w który cię wciągnąłem. Powiedziałem ci przecież. Jestem jasnowidzem. Umieję zobaczyć przyszłość i wiem, że ty i ja znajdziemy się w tym opuszczonym domu, z mordercą, który będzie nas tropił.

- Słucham? - Była skonsternowana.
- Ten sen, który dzieliliśmy, Faith, to nasza przyszłość. Przeżyjemy to. nie możemy więc teraz się rozdzielić.

Opadła na fotel i popatrzyła na niego szeroko otwartymi, pytającymi oczami.

- Powiedziałeś, że to był tylko sen.
- Wiem. Nie chciałem cię wtedy jeszcze bardziej wystraszyć. Po morderstwie Danversa i całej reszcie myślałem, że stawiasz czoło wystarczającej ilości problemów.

Nie mogła tego pojąć. Zdołała tylko potrząsnąć głową.

- To dlatego cię znalazłem - kontynuował.

Gdy spojrzała na niego ze zmieszaniem, podjął wątek.

- Wiedziałem, że jesteś w niebezpieczeństwie, zanim spotkaliśmy się w księgarni Pritcharda. Powierzono mi zadanie. Mam ocalić ci życie.

- Mnie? Powiedziałeś, że ten sen ostrzega o grożącym tobie niebezpieczeństwie!

- Kłamałem. Tak to wszystko się zakończy, a do tego czasu mam zamiar dopilnować, aby nikt cię nie skrzywdził.

Złączyła palce i siedziała długo z pochyloną głową, gdy jej umysł zmagał się z faktami, które jej w końcu wyjawiał. Kiedy uznała, że dostatecznie nad sobą panuje, spojrzała na niego z zimnym uśmiechem.

- Wiedziałam, że jest coś więcej, niż to, co mi mówiłeś. Jak ty to ująłeś? Jedyнным celem, dla którego mnie odnalazłeś, jest chęć rozprawienia się z przeszłością?

- To także chciałem zrobić. Ale nie mogłem od razu wyznaczyć ci całej prawdy. Co miałem powiedzieć? Że miałem wizję i w związku z tym zrobię wszystko, aby ocalić ci życie? Wyśmiałybyś mnie przecież i pokazała drzwi.

Roześmiała się z przymusem.

- Rozumiem twój dylemat. Zakładam, że powinno mi to jednak pochlebiać. Ścigałeś mnie z taką samą nieustępliwością, z jaką zazwyczaj osiągasz swoje cele. Ale, James, czy zaciągnięcie mnie do łóżka naprawdę było niezbędne?

W jego skruszonym spojrzeniu pojawiło się rozdrażnienie.

- Myślałem, że oboje tego chcemy.

Jej rozsądek niebezpiecznie szybko przeistaczał się w gniew.

- Że ja tego chcę? Nie miałam z tobą szans! Grasz, aby wygrać, nie zważając na to, kto będzie cierpiał.

Zerwała się na równe nogi i minęła go. Gdy wyciągnął do niej rękę, odepchnęła go, aż zatoczył się i z trudem odzyskał równowagę. Poczowała się po tym tak dobrze, że pchnęła go jeszcze raz. Cały gniew i zawiedzione nadzieje napłynęły do niej falą, a słowa, które sprowokowały, wylewały się z niej rzeką.

- Teraz ty mnie posłuchaj, Jamesie Burnett. Nie życzę sobie być twoją misją, zrozumiałeś? Niezależnie od tego, czy wkroczyłbyś w moje życie, czy nie, i tak zamierzałam dowiedzieć się, co spotkało moją matkę. Byłam zadowolona z twojej pomocy, nawet bardziej niż zadowolona, ale na pewno jestem w stanie sama sobie z tym poradzić.

- Zrozumiałem. Teraz pozwól mi upewnić się, że ty rozumiesz. - Jego głos był twardy, oczy płonęły. - Dopóki ta przekłeta sprawa się nie skończy, będziesz robić to, co ci każę. Nie zamierzam pozwolić na to, aby ktoś zatłukł cię, jak Roberta Danversa. Obwiniąłbym siebie, a nie mam zamiaru mieć na sumieniu twojej śmierci.

Faith wzdygnęła się na samo wspomnienie Danversa.

- Otóż to - powiedział. - Wolę cię wystraszyć, niż potem identyfikować twoje ciało. To mogłaś być ty w tym przekętym hangarze na łodzie - dokończył ochryple.

Kiedy zaczęła się trząść, chwycił ją za nadgarstek.

- Faith - powiedział łagodnie - nie powinniśmy się tak kłócić. Pozwól mi zabrać się do łóżka. Gdy się kochamy, problemy same się rozwiązują. Chodź ze mną do łóżka. Faith. Przecież oboje tego chcemy, prawda?

Z całej siły rąbnęła go pięścią w ramię. Gdy ją puścił, uciekła L zasięgu jego rąk.

- Ty! Ty! - Miała problemy ze znalezieniem słów, zjadliwych na tyle, aby wyrazić jej uczucia.

James obserwował ją nieufnie, rozcierając obolałe ramię.

- Naprawdę nie było potrzeby mnie bić - powiedział mar-
kotnie.

Jej pierś drżała, głos był niski i napięty, gdy w końcu zdołała
wydusić:

- Chyba że chciałam przykuć twoją uwagę! Chciałam być
pewna, że tym razem będziesz mnie słuchać. Nie musisz brać
mnie do łóżka, bo myślisz, że wtedy będę bardziej uległa. Nie
musisz mnie straszyć, abym robiła to, czego chcesz. Zrozumi-
łam. Nie będę na razie działać w pojedynkę. - Wymierzyła
w niego drżący palec. - Ale koniec z twoimi pozbawionymi
zasad sztuczkami. Nie pójdę z tobą więcej do łóżka. - Pomasz-
rowała do drzwi i otworzyła je z hukiem. - i trzymaj się z dala od
moich snów!

Zaskoczenie dosłownie go sparaliżowało, dopiero po chwili
zerwał się i pobiegł za nią.

- Faith! To nie były sztuczki. Chyba tak nie myślisz?

Zatrzymał się, gdy w drzwiach pojawił się jego brat. Rode-
rick wyglądał, jakby dopiero wrócił do domu po długiej nocy
pełnej rozpusty. Kiedy zobaczył Jamesa, oparł się o framugę
i uśmiechnął dwuznacznie.

- Czy to oznacza, że ślub został odwołany? Jamie, Jamie
- potrząsnął głową, - może i wiesz, jak prowadzić firmę, ale nie
masz bladego pojęcia o kobietach. Może chcesz, abym udzielił
ci kilku wskazówek?

Ta kropla przepełniła czarę. James zatrzasnął bratu drzwi
przed nosem i podszedł ciężkim krokiem do stołu, na którym
leżały fotografie pociągów. Przez chwilę patrzył na nie niewi-
dzącym wzrokiem, a potem, jednym, wściekłym ruchem zrzucił
wszystkie na podłogę.



Faith założyła na pogrzeb swoją najciemniejszą sukienkę, w kolorze butelkowej zieleni, która była zbyt ciężka na gorące, letnie miesiące, ale pasowała do okazji i dobrała do niej czarne dodatki, pożyczone od Margaret, która zdecydowała się zostać w domu i leczyć przeziębienie. Miała nadzieję, że tak ubrana, będzie pasować do otoczenia. James podtrzymywał dłonią łokieć, gdy wsiadała do powozu, i dzięki temu poczuła się odrobinę lepiej.

Zdecydowali się odłożyć na bok spory i skupić na rozwiązaniu zagadki śmierci Roberta - kto go zabił i dlaczego. James wierzył, że im więcej będą wiedzieć, zanim ich sen stanie się rzeczywistością, tym lepiej będą na to przygotowani. Ona sama nie wiedziała, w co wierzyć. Gdy dopuszczała do głosu rozsądek, była skłonna przyznać, że miała przerażający koszmar, podobny po prostu do tego, który dręczył Jamesa. Z drugiej strony, nie potrafiła wyjaśnić, jak to możliwe, że James zjawiał się przy niej zawsze, gdy był potrzebny. Nie miała natomiast najmniejszych wątpliwości co do tego, że James traktuje swoje przeczucia poważnie. Lepiej jednak dmuchać na zimne. Pozwalała mu panować nad sytuacją, do czasu, gdy okaże się, że się mylił.

Z domu udali się prosto do kościoła, a potem na cmentarz. Była to posępna uroczystość, tym bardziej przygnębiająca dla Faith, że życie Roberta zostało brutalnie przerwane w kwiecie wieku. Fakt, że zdradził jej zaufanie i prawie na pewno ukradł pamiątkę Madeline, nie umniejszał w jej oczach tragizmu jego

śmierci. Ktoś z premedytacją go zabił, ktoś, kogo wygląd zewnętrzny mógł nie zdradzać kłębiącego się w jego wnętrzu zła.

Nie mogła się powstrzymać przed uważnym lustrowaniem wzrokiem żałobników. Towarzystwo Egipcologiczne było szeroko reprezentowane, jak się domyślała dlatego, że ciało Roberta zostało znalezione w posiadłości, w której się spotykali. Sophie Hughes była od stóp do głów odziana w surową czerń i wyglądała w niej nad wyraz elegancko. Spotkały się wzrokiem i wymieniły uśmiechy. Faith była zaskoczona tym, jak bardzo odmiennie wyglądała Sophie Hughes w porównaniu ze starszą kobietą, która okazała jej tyle dobroci w noc śmierci Roberta. Nie wyglądała teraz jak owca przebrana za jagnię, lecz jak kobieta, która rozkwitłaby całym swoim urokiem, gdyby tylko mąż poświęcił jej odrobinę uwagi.

Spojrzenie Faith przeniosło się na pana Hughesa. Jej zdaniem, potwierdzał starą prawdę, że jednak piękny ten, co pięknie czyni. Nie uśmiechnął się do Faith, co skłoniło ją do zastanawiania się, czy to przez powagę sytuacji, czy też przez to, że jego żona dowiedziała się o jego ostatniej niedyskrecji i teraz go za to karała. Alastair Dobbin stał nieco z boku, obok wuja, cichy i bez uśmiechu. Nie rozmawiali od nocy, kiedy wspólnie znaleźli ciało Roberta. A to była ostatnia rzecz, o której ona chciałaby rozmawiać. Przeżycie było wciąż zbyt przerażające, zbyt żywe, aby je analizować minuta po minucie.

Zauważyła Larry'ego Coltrane'a. Wydawał się ... wyobcowany, prawie smutny. Jego siostra natomiast wyglądała na znudzoną. Jayne Coltrane nie czyniła ustępstw na rzecz konwencji, nawet jeśli uczestniczyła w pogrzebie. Miała na sobie suknię w kolorze pawiego błękitu z odpowiednio dobranym kapeluszem, który ukrywał jej koszmarnie włosy.

Faith skrzywiła się, gdy dotarła do niej pewna myśl. To była uroczysta okazja. Powinna słuchać słów pastora, a nie osądzać ludzi i wyszukiwać u nich wad. Może ktoś tak samo teraz myślał o niej.

Spojrzała przez grób w stronę głównych żałobników. Twarz pani Danvers była wykrzywiona bólem, gdy wspierała się cięż-

ko na ramieniu męża. On również wyglądał na pogrążonego w żalu. Robert Danvers był jedynakiem. Faith nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, przez co teraz przechodzą jego rodzice. Wszystko to wydawało się tak pozbawione sensu i niegodziwe. Jej myśli zatoczyły koło. Czy to możliwe, że w pogrzebie bierze udział morderca Roberta?

* * *

Dom Danversów znajdował się na Knightsbridge i chociaż odległość pomiędzy nim a kościołem można było bez trudu pokonać pieszo, wszyscy żałobnicy wsiedli do powozów, aby nimi odbyć krótką przejażdżkę do miejsca, w którym organizowano konsolację.

Dom był przestronny, prawie tak duży jak posiadłość ciotki Marian, ale masa żałobników sprawiła, że wydał się mniejszy. James znał wiele par, ponieważ panowie należeli do tych samych klubów co on albo robili wspólne interesy. W tej sytuacji musiał przy każdej z nich przystawać, aby zamienić z małżonkami kilka słów. Faith grała swoją rolę w pełni opanowana i przekonywała się, że bardzo bawi ją to, jak żony przyglądały się nie tylko jej, ale i Jamesowi. Zwłaszcza jemu. Powinna była się tego spodziewać. Nie był tak przystojny, jak Larry Coltrane, ale jego urok oddziaływał silniej.

Gdy podchodzili do kolejnej pary. James nachylił głowę do jej ucha.

- Gapisz się na mnie, jak bym był pierwszorzędną porcją koniny, którą masz nadzieję kupić.

- Taka myśl mogła mi przejść przez głowę - odpowiedziała. Uśmiechnął się szeroko.

- I co postanowiłaś?

Spojrzała na niego poważnie.

- Nie warto. Konie zawsze szukają bardziej zielonych pastwisk.

Ich oczy starły się i trwały przez chwilę zatopione w sobie. Faith z trudem odzyskała oddech. Odłożyli na bok spory, ale

uraza wciąż w niej się tliła. Była jego misją, tak jej powiedział. Czuli się przez to jak ofiara akcji charytatywnej.

Oderwała od niego wzrok i zaczerpnęła oddechu.

- Wmieszamy się w tłum? - zapytała.

* * *

W pewnym momencie James przeprosił i odszedł, aby zamienić słowo z Larrym Coltrane'em. Roderick miał zostać z Faith, ale tłum ich rozdzielił. Kątem oka dziewczyna zauważyła ciotkę Jamesa pogrążoną w rozmowie z panią Danvers i zaczęła torować sobie ku nim drogę, gdy nagle została zatrzymana przez rękę, która spoczęła na jej ramieniu.

- Faith - powiedziała lady Cowdray - zdawało mi się, że widziałam cię na cmentarzu. Ten ścisk jest nie do wytrzymania. Nie słyszę własnych myśli. Przejdźmy do jadalni. Teraz są tam tylko służący, którzy nakrywają stoły.

Faith była zadowolona, mogąc uciec od duchoty, wywołanej zbyt dużą liczbą gości, stłoczonych na ograniczonej przestrzeni. W jadalni spacerowało kilkoro żałobników, którzy już częstowali się pieczonym mięsem i kanapkami, ustawionymi w przepychu na stole. Nie był to lunch zasiadany i Faith czuła się dziwnie, starając się utrzymać w jednej ręce mały talerzyk, a kieliszek wina w drugiej. Jak ludzie mieli jeszcze w takiej sytuacji jeść? Odstawiła wino.

Lady Cowdray natomiast przyjęła kieliszek trunku i zignorowała jedzenie.

- Chciałam cię zapytać - powiedziała - po wykładzie tamtego wieczoru, jak idzie ci rozszyfrowywanie pamiętnika Madeline. Ale... Cóż... Wydarzenia nieco nas przerosły i zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Obawiam się, że jest on zdecydowanie trudniejszy do odkodowania, niż przypuszczałam. Czy mówiła pani komuś o pamiętniku matki lub o tym, że mi go przekazała?

Pytanie zaskoczyło lady Cowdray.

- Ależ skąd. Nikomu. Tak, jak powiedziałam, gdy ci go

wręczyłam - Madeline zbyt dużo wiedziała albo też udawała, że tak jest. Nie chciałam, aby ktokolwiek był zażenowany tym, co mogła tam napisać.

- Ale, mimo to, przekazała mi pani pamiętnik.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Ale dopiero po tym, gdy mogłam cię ocenić. Pięć minut po poznaniu cię wiedziałam, że jesteś właściwą osobą do opieki nad pamiętnikiem. Choć i tak - westchnęła ciężko - czasami zastanawiam się, czy nie powinnam była jednak zniszczyć go, gdy miałam okazję.

Ta ostatnia uwaga sprowokowała u Faith szereg skojarzeń.

- Proszę mi wyznać prawdę, lady Cowdray - powiedziała powoli. - Dlaczego nie wynajęła pani kogoś do rozszyfrowania pamiętnika Madeline? Co panią powstrzymywało przez te wszystkie lata?

- Przecież już ci mówiłam - odparła lady Cowdray. Nagle przerwała, posłała Faith wymuszony uśmiech i zaczęła raz jeszcze: - Masz rację. Mogłam kogoś wynająć, ale bałam się, że ta osoba nie będzie dostatecznie dyskretna. Widzisz, Faith, miałam romans, och. bardzo dawno temu, z mężczyzną, który miał dużo do stracenia, gdyby wydało się, że byłam jego kochanką. Już dawno odszedł z tego świata, ale wdowa po nim umarła dopiero sześć miesięcy temu. Teraz już nie poczuje się skrzywdzona, jeśli wyda się, że miałam romans z jej mężem.

- Dlaczego więc nie zniszczyła pani pamiętnika?

- Nie wiem. Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu należał do Madeline.

Faith rozumiała sentyment. Jej strata była większa. Nigdy jeszcze nie była tak blisko poznania prawdy o matce. A teraz znów ją straciła.

- Nie ma nic złosliwego ani tym bardziej szokującego - powiedziała cicho i zgodnie z prawdą, - na tych kilku stronach, które zdołałam rozkodować. W zasadzie, jest nawet raczej zabawny.

- Co jest zabawne?

Jayne Coltrane niepostrzeżenie dołączyła do nich i teraz częstowała się kieliszkiem wina.

- Słucham?

Faith poczuła, że cała sztywnieje. Nie lubiła tej oschłej kobiety, nie dlatego, że ta wyrządzała jej jakąś szczególną krzywdę, ale za to, że robiła lekceważące uwagi na temat Madeline.

- Och. to był prywatny żart - odparła, zmuszając się do uśmiechu. - Nie wart powtarzania.

Usta, niezbyt skłonne do uśmiechu, opadły w kącikach.

- Jak bardzo jesteś podobna do matki.

- Dziękuję. - Tym razem Faith nie musiała wysilać się na uśmiech.

- Tylko uważaj, panno McBride, aby nie narobić sobie tylu wrogów co ona.

- Doprawdy, Jane! - zaprotestowała lady Cowdray.

Faith była wściekła.

- A co to miało znaczyć?

- Miało to znaczyć, panno McBride, że pani matka była oszustką i wichrzycielką. Nie dbała o to, kogo krzywdzi. Zresztą, powinna to pani wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny. Porzuciła przecież panią i pani ojca, prawda? Nie wiedziałam, że w ogóle miała męża i córkę, dopóki nagle nie wychynęła pani znikąd. Madeline Maynard była pozbawioną skrupułów jędzą, która zrobiłaby i powiedziała wszystko, aby osiągnąć swój cel.

Faith wciąż jeszcze szukała w myślach słów, którymi mogłaby dać do wiwatu pannie Coltrane, gdy ta uśmiechnęła się triumfalnie i odeszła.

Lady Cowdray próbowała pocieszyć Faith, klepiąc ją po ramieniu i przemawiając do niej kojąco:

- Jayne zawsze była zazdrosna o twoją matkę. Obie pisywały do gazet, ale artykuły Madeline były cenione o wiele wyżej i to drażniło Jayne.

Faith zdobyła się na niezobowiązującą odpowiedź, ale w głębi ducha wciąż próbowała wymyślić jakąś kaśliwą ripostę na raniące słowa Jayne. Nie, żeby miało to teraz jakiś znaczenie. Panna Coltrane już dawno zniknęła jej z pola widzenia.

W jadalni gromadziło się coraz więcej osób, rozmawiających

i krążących wokół stołu, więc Faith i lady Cowdray odsunęły się, aby zrobić im miejsce. Po chwili lady Cowdray przeprosiła i poszła porozmawiać z przyjaciółką, zostawiając Faith samą, krążącą od jednej grupy ludzi do następnej i szukającą znajomych twarzy. Nikt nie zwracał na nią uwagi. James nadal rozmawiał z Larrym Coltrane'em. Gdy podniosła wzrok po raz kolejny, podchodził właśnie do Alastaira Dobbina. Zaczynała czuć się dziwnie, gdy nagle rozpoznała młodą kobietę, która wydawała się równie zagubiona jak ona.

- Lily!

Podniosła głos, aby przyciągnąć uwagę przyjaciółki, i kilkoro gości odwróciło głowy, wpatrując się w nią. Faith nie dbała o to. Nie widziała Lily od dnia, kiedy udała się do Chalbourne, aby spotkać się z lady Cowdray i zdażyła się już stęsknić za ich rozmowami. Poza tym, scena, którą urządziła Jayne Coltrane, sprawiła, że Faith była roztrzęsiona, a przyjazna obecność Lily była dokładnie tym, czego potrzebowała, aby ukoić nerwy.

Zza Lily wychynęła młoda dziewczyna, w której Faith rozpoznała Dorę Winslet. ale zupełnie inną od Dory, którą zapamiętała. Ta wyglądała na chorą. Może to ponura czerń żałobnej sukienki starła kolory z jej twarzy, a może szok związany z przedwczesną śmiercią mężczyzny, którego znała i lubiła, przydał surowego wyrazu jej oczom. Faith nie mogła zrozumieć, dlaczego Lily pozwoliła siedemnastoletniej uczennicy wziąć udział w pogrzebie kogoś, z kim ta nie była spokrewniona.

Dora potaknęła głową w odpowiedzi na coś, co powiedziała Lily, a potem podeszła do stołu i zaczęła nakładać przekąski na mały talerzyk. Lily zbliżyła się do Faith. Początkowo się uśmiechała, ale gdy wpadła w ramiona przyjaciółki, jej twarz zalała się łzami. Widok ten rozsuptał węzeł, który ścisnął gardło Faith od śmierci Roberta Danversa. Dziewczęta objęły się kurczowo i trwały długie minuty w milczeniu.

Kiedy w końcu się rozdzieliły, Lily powiedziała niepewnie:

- Kiedy przeczytałam twój list, byłam w szoku. Nawet sobie nie wyobrażam, przez co musiałaś przejść, gdy znalazłaś ciało.

- Była to chyba najgorsza chwila mojego życia. - Przyznała Faith. - Gdyby zmarł naturalną śmiercią, albo na skutek wypadku, mogłabym to zaakceptować. Ale morderstwo!

Lily wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos.

- Czuję się taka winna - powiedziała. - Gdybym tylko choć trochę postarała się poznać go lepiej. Gdybym się z niego nie naśmiewała. Jestem taką paskudną osobą. W ogóle się teraz nie lubię.

- Takie same myśli krążą w mojej głowie. Powinnam była być dla niego miłsza, a teraz jest za późno.

- Nie masz czego żałować - odparła Lily, osuszając policzki chusteczką. - To ja miałam zatruty język. Ty zawsze byłeś miłą dla Roberta.

Faith potrząsnęła głową.

- Nie zawsze. - A na pewno nie w myślach.

Wzrok Lily prześlizgiwał się po twarzach zgromadzonych.

- James Burnett - powiedziała nagle i spojrzała na Faith.
- Jest tutaj. Czy to prawda. Faith? Jesteś z nim zaręczona?

Faith była zadowolona, że porzuciły temat morderstwa Roberta.

- Wszyscy wmawiają mi, że jestem, więc chyba tak musi być. Ale chyba nie widzisz pierścionka na moim palcu, prawda?

Uśmiech wykrzywił kąciuki ust Lily.

- Wiedziałam, że to nie może być prawda. Jesteś zbyt rozsądna, aby dać się uwieść takiemu łobuzowi jak Burnett. To nicpoń.

Ze zdziwieniem Faith zauważyła, że nie podoba jej się, gdy ktoś wyraża się o Jamesie w taki sposób. Tylko i wyłącznie ona miała prawo do mieszania Jamesa Burnetta z błotem. Poza tym nie mogła pozwolić nikomu obsypywać obelgami mężczyzny, który uratował jej życie. W końcu nie był przecież taki zły.

- Sprawy nie zawsze są takie, jakimi je widzimy na pierwszy rzut oka - powiedziała. - Wiem, że ciężko go zrozumieć, ale...

- Ciężko go zrozumieć? Ja czytam w nim jak w otwartej księdze. - Ludzie zaczynali zwracać na nie uwagę. Faith chwyciła więc nadgarstek Lily i pociągnęła ją do ogrodu. Niezrażona tym Lily kontynuowała: - Czyny przemawiają głośniejsz niż

słowa. Faith, a moim zdaniem jego uczynki względem ciebie były paskudne. Nie mów mi tylko, że go kochasz, bo ci nie uwierzę. To przez jego pieniądze? Czy przeraża cię perspektywa zostania starą panną?

- Lily - przerwała jej Faith. - Przecież powiedziałam ci, że nie jestem z nim zaręczona. Ludzie tak mówią, ale to wszystko plotki.

- Wyłumacz mi więc, dlaczego mieszkasz u jego rodziny? I nie próbuj mnie zbyć opowieściami o tym, że musiałaś zostać w Londynie, aby pomóc policji w śledztwie. Mogłaś równie dobrze zatrzymać się przecież w Winnifred.

Faith była zaskoczona. Lily była jej najlepszą przyjaciółką, wyznała jej prawdę, ale Lily nie uwierzyła. Zaczynała wierzyć, że jakiś psotny duch próbuje płatać jej figle.

- Och, Lily - powiedziała - tylko nie ty, proszę.

Lily spojrzała uważnie w oczy Faith. Po chwili powiedziała powoli:

- Sama już nie wiem, w co mam wierzyć.

- Zaufaj mi, Lily. Powiedziałam ci prawdę. A teraz poszukajmy Dory. Co, na litość boską, skłoniło cię do przywiezienia jej tutaj?

Lily wyglądała, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale słowa Faith ostrzegły ją, że pora zmienić temat.

- Bardzo nalegała - odparła. - Ponieważ Robert był dla niej zawsze uprzejmy i stwierdziła, że powinna tak postąpić. Próbowalam ją odwieść od tego pomysłu, ale tylko jeszcze bardziej się denerwowała. - Lily wzruszyła ramionami. - Jesteśmy jedynymi reprezentantkami Winnifred. Wszyscy inni są na wakacjach. Pomyślałam więc, dlaczego nie?

Weszły do jadalni i stanęły twarzą w twarz z Dorą. Talerz, który trzymała, drżał. Jej oczy pały gorączką.

Faith wyciągnęła rękę, aby uspokoić dziewczynę, ale Dora wzdrygnęła się i odsunęła.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała Faith. - Nie wyglądasz najlepiej, Doro. Myślę, że ceremonia pogrzebowa była dla ciebie zbyt dużym przeżyciem.

- Rzeczywiście, marnie wyglądasz - potwierdziła Lily, przyglądając się twarzy uczennicy. Otoczyła ramionami talie Dory w geście pocieszenia. - Jakbyś miała gorączkę. Chodź, Doro, chyba powinnaś położyć się do łóżka.

Dora nawet nie drgnęła. Z oczami, utkwionymi w Faith, krzyknęła:

- Zabiłaś go. prawda? Ty zamordowałaś Roberta. Spotkałaś się z nim w hangarze na łodzie. Wszyscy wiedzą, że tam byłaś. Byłaś zazdrosna, bo on kochał mnie, nie ciebie. To o to chodziło, prawda?

Ludzie odwracali się i przyglądali się im. Faith znieruchomiała, zakręciło się jej w głowie z powodu tego niespodziewanego ataku. Lily i Dora przekrzykiwały się, ale ona nie słuchała. Widziała tylko ból i nienawiść, które płynęły w oczach dziewczyny.

Doszła do siebie, gdy przy jej boku pojawił się James. Towarzyszył mu Roderick. Lily prowadziła Dorę do drzwi, uspokajając ją.

- Co się stało, Faith? - zapytał James. - Co ta dziewczucha ci powiedziała? - Gdy nie odpowiadała, ścisnął jej dłoń. aby zwrócić na siebie jej uwagę. - Co powiedziała ci Dora Winslet? - powtórzył.

- Powiedziała, że... - Faith przełknęła głośno ślinę. - Powiedziała, że wszyscy myślą, że to ja zabiłam Roberta. Powiedziała, że on ją kochał, a ja byłam o niego zazdrosna. - Potrząsnęła głową. - Myślę, że ona naprawdę w to wierzy.

- Nie zastanawiaj się nad tym teraz. Porozmawiamy później. Roderick, odprowadź Faith do cioci i powiedz jej, że czas wracać do domu.

- A ty gdzie będziesz?

- Chcę zamienić słówko z panną Winslet i upewnić się, że bezpiecznie dotrze do domu. Zbierz naszą małą kompanię i spotkajmy się na zewnątrz.

Faith poczuła, że się rumieni, gdy ona i Roderick zaczęli torować sobie drogę w stronę wyjścia. Ostrożne spojrzenia, szepty, plecy, które wyraźnie do niej były zwrócone, spowodowały

wały, że zaczęła dosłownie wić się z upokorzenia. Dopiero gdy Roderick wyszeptał do jej ucha coś, co miało poprawić jej humor, zdołała przybrać wygląd kobiety, która nie ma nic do ukrycia.

Tylko jedna osoba nie ustąpiła im drogi - Jayne Cołtrane. Jej oczy patrzyły zimno, a uśmiech zdradzał głębokie rozradowanie.

- Proszę, proszę - powiedziała. - Pani wciąż jest rozbawiona, panno McBride? Wciąż chichocze pani w kułak z powodu prywatnego żartu? Tym razem chyba stała się pani jego ofiarą.

Chociaż głos jej drżał, Faith zmusiła się, aby przemówić.

- Morderstwo nie jest dla mnie powodem do śmiechu, panno Cołtrane. A już na pewno nie morderstwo przyjaciela. Robert Danvers był moim przyjacielem. A teraz pani wybaczy, chciałybym złożyć rodzinie wyrazy współczucia, zanim wyjdę.

Ale Jayne Coltrane jeszcze nie skończyła.

- To pełne tragizmu zachowanie nikogo nie oszuka - zaczęła, ale nie dane jej było dokończyć.

Roderick ustawił się pomiędzy Faith a rozgniewaną kobietą. Nie zdążył jednak nic zrobić, bo nagle ktoś chwycił nadgarstek Jayne Cołtrane i zaczął odciągać ją na bok.

- Myślę, droga Jayne - powiedziała Sophie Hughes lodowatym tonem - że zdecydowanie przesadziłaś dzisiaj z ilością wypitego wina.

Panna Cołtrane próbowała wyrwać dłoń z uścisku, ale był on niewzruszony jak imadło.

- Sophie - wyjęczała, gdy chwyt jeszcze się zacisnął.

- Najmocniej przepraszam, panno McBride. - Pani Hughes uśmiechnęła się przelotnie. Jej wzrok był skupiony na pannie Coltrane. - Chodź, Jayne. Robisz z siebie widowisko, a to odbija się na twoich znajomych. Jeśli nadal będziesz się tak zachowywać, mogą cię wykluczyć ze swojego grona.

Te słowa podziały i Jayne Cołtrane pozwoliła się odprowadzić. Faith zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem je powoli wypuściła.

Roderick posłał jej rozbawione spojrzenie.

- Wydawało mi się, czy słyszałem w głosie pani Hughes groźbę? Słowo „wykluczenie” ma jednak bardzo nieprzyjemny wydźwięk, prawda?

Dawał jej czas, aby mogła dojść do siebie, i Faith była wdzięczna za jego troskę. Wykrzesła z siebie uśmiech.

- Powiedz mi, co zamierzałeś zrobić, kiedy wyszedłeś przede mnie i stanąłeś twarzą w twarz z tą kobietą? Chciałeś ją znokautować?

- Och, myślę, że tak daleko bym się nie posunął. - Podniósł trzymane w dłoni kieliszek czerwonego wina. - Wziąłem go z tacy przechodzącego kelnera. Jeszcze jedno słowo, a sytuacja zakończyłaby się bardzo niefortunnie dla sukienki tej harpii.

Faith zachichotała nerwowo. Była nieznośnie świadoma tego, że jest w centrum zainteresowania otaczających ją ludzi. Zresztą, należało się tego spodziewać. Wzięła udział w dwóch przerażających scenach, jednej z Dorą Winslet i kolejnej, z Jayne Coltrane.

Roderick odstawił nietknięty kieliszek wina na tacę.

- Chodź. Faith - powiedział. - Jego królewska mość nakazał mi odprowadzić cię do cioci Marian i to właśnie zamierzam uczynić.

- A od kiedy to wykonujesz rozkazy Jamesa?

Skrzywił się.

- Odkąd rozgniół mnie na miazgę podczas naszego improwowanego meczu zapasniczego.

Faith odchyliła głowę, aby lepiej przyjrzeć się bratu Jamesa. Zrozumiała w tym momencie, że z biegiem czasu ten trudny młodzieniec wzbudzał w niej coraz cieplejsze uczucia. Wyglądał jak młodsza wersja Jamesa, tyle że gdy James był nieobecny, zachowanie Rodericka było bardziej swobodne, częściej się uśmiechał. Gdyby miał w sobie choć odrobinę ambicji Jamesa, na pewno zaszedłby daleko.

Przyłapała ją na wpatrywaniu się w niego i unióśł brwi w niemym pytaniu.

- Właśnie myślałam o tym - powiedziała Faith - że nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego. Jak bardzo jesteś podobny do Jamesa.

Położył dłoń na sercu.

- Naprawdę potrafisz zranić mężczyznę, wiesz?

Nagle coś zrozumiała.

- Podziwiasz go, prawda?

Poruszył brwiami.

- Kogo? Jamesa? - zapytał z niedowierzaniem.

Przytaknęła.

- A skąd ten pomysł?

Przytknęła dłoń do głowy i uśmiechnęła się szeroko.

- Chyba umiem czytać w myślach.

W tym momencie wrócił James. Wydawał się zdesperowany.

- Twoja przyjaciółka Lily - powiedział - nie pozwoliła mi zamienić z dziewczyną nawet jednego słowa. Wepchnęła ją do powozu i tyle je widziałem. - Spojrzał na Faith i jego głos złagodniał. - To była dla ciebie ciężka próba, prawda? Znajdźmy ciocię Mariah, złóżmy rodzinie kondolencje i będziemy mogli stąd wyjść.

Na ten sam pomysł wpadła lady Cowdray. Stała w kolejce przed nimi. To sprowokowało Faith do opowiedzenia Jamesowi rozmowy, którą z nią odbyła, i jej wyjaśnienia na temat tego, dlaczego tak długo przetrzymywała pamiętnik, nie próbując go przy tym rozszyfrować.

- Myślę, że to pokazuje jej prawdziwy charakter - podsumowała Faith. - Nie chciała zranić uczuć żony swojego kochanka.

- Tylko nie zacznij zbyt mocno jej lubić - ostrzegł James.
- Nikogo nie możemy na razie uwolnić od podejrzeń.

Mówiąc to, myślał o Dorze Winslet.



Podczas krótkiej drogi powrotnej Faith starała się zachowywać tak, jakby podczas przyjęcia nic się nie stało. Zwłaszcza gdy okazało się, że ciotka Mariah o niczym nie wie. Faith objaśniła jej tylko pokrótce, że jedna z jej uczennic źle się poczuła i musiała zostać odwieziona do szkoły.

Pogrążona w milczeniu Faith jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie, toczącej się wokół niej. Pomyślała, że będzie uczestniczyć jeszcze w wielu innych pogrzebach, ale ten z pewnością pozostanie na długo w jej pamięci. Dorównywał on każdej operetce Gilberta i Sullivana, tyle że oni akurat umieli ją rozśmieszyć.

Ciotka Mariah powiedziała coś, co zwróciło uwagę Faith.

- Powiedziałaś pani, że pokoje Roberta zostały splądrowane? - zapytała.

Lady Mariah przytaknęła.

- Tak mówiła jego matka. Jego ojciec wszedł do pokoju, aby uporządkować jego rzeczy, i zastał kompletny chaos.

- Kiedy to było?

- Przedwczoraj. Z tego, co potrafili stwierdzić, nic nie zginęło, ale pan Danvers i tak złożył doniesienie.

Faith spojrzała na Jamesa. Ten pokiwał głową.

- Słyszałem o tym od Alastaira Dobbina - powiedział. - Według niego, policja uważa, że Robert miał coś, na czym złodziejowi bardzo zależało, coś, co miał nadzieję zdobyć, gdy zwiabił Roberta do hangaru na łodzie. Kiedy mu się nie udało, zabił Roberta i postanowił przeszukać jego mieszkanie na Rider Street.

- Robert zawsze miał przy sobie mnóstwo pieniędzy - zauważył Roderick. - Zawsze, kiedy przypadkiem go spotykałem.

- Wszyscy wiemy gdzie - wymamrotał James ponuro.

Roderick posłał mu jeden ze swoich wyzywających uśmiechów.

Ciotka Marian skierowała rozmowę na to, co ją najbardziej zaintrygowało.

- Pani Danvers nie wspominała o pieniądzach, ale to całkiem zrozumiałe, prawda?

- Dlaczego tak pani mówi? - zapytała Faith.

- To wzbudziłoby zbyt wiele pytań, na przykład, skąd je brał. Przecież wiadomo powszechnie, że nie od ojca. Stary Danvers to straszna sknera.

- Cóż, na pewno nie wygrywał ich w karty czy na wyścigach - zauważył Roderick, spoglądając na Jamesa, tym razem jednak bez prowokacji w oczach. - Wiem, że dość dużo tracił przy stolikach, ale zawsze spłacał długi.

- Może - wtrąciła ciotka Marian - wyprzedawał rodzinne pamiątki albo klejnoty matki?

James i Faith wymienili szybkie spojrzenia. Oboje wpadli na ten sam pomysł. Może ktoś płacił mu za świadczone usługi?

* * *

Gdy dotarli do domu, Faith przebrała się i od razu pobiegła sprawdzić, co z Margaret. Znalazła ją, idąc śladem dziewczęcego śmiechu, w żółtym saloniku. Była z nią Harriet. Pochylały się w skupieniu nad małym stolikiem, pogrążone w grze w karty. Obie podniosły głowę, gdy usłyszały wchodzącą do pokoju Faith i rumieniec winy natychmiast oblał twarz Margaret.

- Czujesz się lepiej? - zapytała Faith.

Dopiero gdy Faith się uśmiechnęła, poczucie winy zniknęło z twarzy Margaret. Uniosła ramiona, delikatnie nimi wzruszając.

- Jak widzisz, cudownie ozdrowiałam. - Obie się roześmiały. - Może się do nas przyłączysz?

- Tak, proszę! - Uśmiechnęła się błagalnie Harriet. - Mama jest beznadziejna w grze w karty.

Faith poczuła, że odmowa byłaby grubiaństwem. Poza tym, targały nią silne emocje, a wiedziała już o Margaret tyle, że mogła z pewnością stwierdzić, że jej obecność wpłynie na nią kojąco.

- Dziękuję - powiedziała, przysuwając sobie do stołu krzesło. - Chętnie się przyłączę.

Harriet zaczęła rozdawać.

- Muszę cię ostrzec - powiedziała do Faith - że gram, aby wygrać, nie wstrzymuj się więc, proszę, tylko dlatego, że jestem dzieckiem.

Podobieństwo pomiędzy Harriet a Jamesem, gdy był zdecydowany przeforsować swoją opinię, uderzyło Faith z całą siłą - wyrachowany wyraz oczu, zaciśnięte usta, wygląd kota, szykującego się do ataku.

- Nawet przez myśl by mi to nie przeszło - odparła Faith cicho. Nie pozwoli dziecku się zastraszyć. Jeden Burnett działał w ten sposób w zupełności jej wystarczał.

Margaret nie grała, ale w trakcie rozdania pytała Faith o pogrzeb. Faith podjęła temat delikatnie, mając na uwadze wiek przysłuchującej się Harriet. Z upływem czasu jej mięśnie zaczęły się rozluźniać. Rozmowa na błahe tematy, oczywiste zadowolenie Harriet z posiadania godnego siebie przeciwnika, śmiech i chichoty były dokładnie tym, czego potrzebowała, aby zrekompensować sobie ohydę godziny, którą spędziła w domu Danversów.

To Margaret nadała ton rozmowie i kierowała nią tak, aby nie dotykała ona niezręcznych lub bolesnych kwestii. Nakłoniła Faith do opowiedzenia o życiu nauczycielki w Winnifred i Faith była pewna, że zrobiła to celowo. Spoglądała teraz na Margaret z szacunkiem.

Na podstawie pierwszego wrażenia sklasyfikowała ją jako trzymającą się na uboczu żonę, która specjalnie kryła się w cieniu męża. Teraz natomiast zaczynała rozumieć, że to Margaret jest w tym związku ważniejsza. Byłoby to bardziej widoczne,

gdyby nie otaczała jej grupa przystojnych, stanowczych krewnych. Oni wszyscy byli Burnettami i wszyscy byli tacy sami. Tylko Margaret i ona były usuwane w cień przez ich dominujące charaktery.

Myśli o matce próbowały zakłócić jej dopiero co odzyskany spokój, ale je odepchnęła. Przez krótką chwilę nie chciała roztrząsać przeszłości czy przyszłości. Musiała skupić wszystkie siły na pokonaniu tej nieznośnej, małej Burnett, która, oczywiście, wygrywała każde rozdanie!

Tak znalazł je James. Nie były świadome jego pojawienia się, został więc tam, gdzie stał, tuż za drzwiami, nie chcąc zdradzać im swojej obecności. Byłoby szkoda zepsuć ten śliczny, rodzinny obrazek, a on nie był pewien, czy będzie mile widziany. Nikt nigdy niczego mu nie powiedział, ale Margaret z pewnością popatrzyłaby na niego, jakby był inwalidą, którego należy oszukiwać, a Harriet gapiłaby się na niego albo grymasiła, gdyby nie pozwolił jej postępować po swojemu.

Co do Faith, musiała wiedzieć, że mają do przedyskutowania mnóstwo spraw po tym, czego dowiedzieli się na pogrzebie Danversa. Sprawy nareszcie zaczynały się układać, nie znali jeszcze tylko twarzy mordercy. Koniecznie musieli porozmawiać.

Chciałby móc się dowiedzieć, o czym myślała. Był sposób, aby to osiągnąć. Musiałby tylko spróbować otworzyć na nią swój umysł. Problem polegał na tym, że na pewno byłaby wściekła, gdyby mu się udało. Nie. Musieli porozmawiać normalnie, twarzą w twarz.

Tym razem ona rozdawała. Jej palce były zwinne i pewne, jak palce zatwardziałego szulera, ale on nie myślał o kartach. Pamiętał, jak te ręce przesuwają się po jego nagim ciele, doprowadzając go na szczyt rozkoszy. O wiele ważniejsza jednak była przyjemność, którą on jej sprawił. Była oszołomiona siłą swojego spełnienia. Nie mógł pojąć, dlaczego go odepchnęła. Przecież odnaleźli siebie na nowo. Czy naprawdę takie ważne było to, w jaki sposób tego dokonali?

Słumił westchnienie. Nie miał na tyle czasu, aby móc go

marnować na rozpatrywanie wszystkich sukcesów i porażek sprzed lat. Miał sprawę do załatwienia. Bardzo ważną sprawę. Faith i ich rozmowa będą musiały poczekać. Może zresztą tak będzie lepiej. Gdyby wiedziała, co zamierza, na pewno chciała-
by jechać z nim.

Niezauważony, odwrócił się i wyszedł.

* * *

„Słodki Jezu, Faith, przecież ja tu tonę. Zejdź na dół i otwórz drzwi. Wiem, że mnie słyszysz. Obudź się i otwórz drzwi”.

Głos Jamesa. Nie chciała go słyszeć. Nie lubiła tonu jego głosu. Poza tym, był na jej czarnej liście. Zdecydowanie wolała swój sen. Stała z matką na szczycie piramidy, a Madeline pokazywała jej wszystkie interesujące miejsca, które zwiedza w czasie pobytu w Egipcie. Matka i córka. Faith uwielbiała dźwięk tych słów.

Matka uśmiechnęła się do niej. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale zamiast niej Faith znów usłyszała głos Jamesa. „Otwórz te cholerne drzwi. Faith, zanim ktoś weźmie mnie omyłkowo za włamywacza i wezwie policję”.

Zamrugała powiekami. To był tylko sen, prawda? Ten łądak nie ośmieliłby się przecież umyślnie zaatakować jej umysłu? Był jasnowidzem. Kto to w ogóle, do diabła, jest jasnowidz?

„Otwórz te przeklęte drzwi!”

To nie był sen. On naprawdę wdarł się do jej umysłu. Z zimną furią odrzuciła narzutę i wstała. Chwilę zajęło jej zapalenie lampy, kolejną przywdzianie szlafroka. Potem przemaszerowała przez pokój i zeszła po schodach, do frontowych drzwi.

Nawet gdyby nie zaatakował jej myśli i tak byłaby na niego wściekła. Nie widziała go. odkał wrócili z pogrzebu Roberta Danversa. Tyle rzeczy chciała z nim przedyskutować, a on opuścił dom bez słowa wyjaśnienia, przekazując tylko przez kamerdynera, że nie będzie go na kolacji. Nie wiedziała, czy Roderick już wrócił, ale wszyscy inni już dawno spali, włączając w to służbę. Powinna wrócić do łóżka i zostawić go, aby sam

sobie radził. Ludzie powinni zdawać sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów.

Boże! Zaczynała myśleć dokładnie jak jej ojciec.

- Podejrzewam, że uważasz, że to w porządku wdzierać się siłą do czyjegoś umysłu, tylko dlatego, że jest się jasnowidzem?

- To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, otwierając drzwi.

- Nie wiedziałem, czy to zadziała i myślę, że raczej by nie zadziałało, gdybyś nie była taka otwarta na mnie.

- Otwarta na ciebie? - Z trudem rozwarła zaciśnięte z gniewu usta. - Zepsułeś wspaniały sen. Wyglądasz jak zmokła kura - dodała z niesmakiem.

- Pewnie dlatego, że sterczę tu pół nocy na deszczu.

Lampa w przedsionku wciąż się paliła i mogła wyraźnie zobaczyć jego twarz, gdy przekroczył próg. Był śmiertelnie blady, a woda płynęła z jego kapelusza strumieniami.

- James - wykrztusiła. - Co ci się stało?

Rzucił kapelusz na krzesło.

- Zostałem zaatakowany przez włamywaczy - poinformował ją i skrzywił się, próbując wykonać kolejny krok. - Nie, nie zgłosiłem tego na policję, ponieważ chciałem uniknąć niezręcznych pytań.

- Gdzie to się stało? - Ponieważ miał problemy z chodzeniem, podtrzymała go, otaczając go ramieniem.

- Opowiem ci wszystko, jak złapię oddech. Nie, nie zbliżaj się do mnie. Tylko przemoczysz ubranie.

- To bez znaczenia.

Na pozór była opanowana, ale w duchu poważnie się niepokoiła. Krew rozmazała się na jego kołnierzyku, a okolica lewego oka była całkiem spuchnięta.

Powoli i z mozołem w końcu dotarli do jego sypialni. Faith proponowała wezwać lekarza, ale James nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Nie jestem ciężko ranny, to tylko kilka sińców i zadrapań.

- Zmarszczył brwi. - Jaki sen?

- Słucham?

- Powiedziałaś, że zepsułem wspaniały sen, kiedy obudziłem cię, żebyś mi otworzyła.

- Cóż, nie śniłam o tobie, panie Próżny, nie pozwól więc, aby woda sodowa uderzyła ci do głowy. Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, śnił mi się Egipt, mama i jej przyjaciele.

- Och. - Grymas powoli ustąpił z jego twarzy. - To mi o czymś przypomniało. Miałem ci o tym powiedzieć. Wiem, kto zrobił to grupowe zdjęcie. Coltrane powiedział mi, że to był Basil Hughes. Wygląda na to, że nasz drogi Larry zawsze stał po złej stronie aparatu i w końcu, na wyraźną prośbę siostry, dał się przekonać, aby dla odmiany jemu zrobiono zdjęcie.

- Czy to ważne?

- Myślę, że nie tak bardzo.

Zapaliła lampę i zamknęła drzwi. James usiadł na brzegu łóżka.

- Nie chcesz wiedzieć, gdzie byłem?

Jego uwodzicielski uśmiech nie robił na niej wrażenia. Nad był na czarnej liście.

- Najpierw obejrzę twoje siniaki i zadrapania. Ściągnijmy płaszcz.

Zrzędził przy tym i przeklinał.

- Och, przestań narzekać. - przerwała mu. - Myślałam, że będziesz szczęśliwy, że cię rozbieram.

Przyglądał się jej zdrowym okiem.

- Mówisz tak, bo myślisz, że jesteś bezpieczna, ale gdybym założył, że to poważna propozycja...? - Pozwolił swoim słowom zawisnąć pomiędzy nimi.

Zdecydowała się zmienić temat.

- Opowiedz mi, co się stało.

- Myślałem, że nie chcesz. A zresztą, co mi tam.

Gdy zaczął mówić, zdjęła mu płaszcz i szalik, potem rozpięła koszulę. Gdy rozchyliła jej poły, jej palce zadrżały. Wtedy przerwał.

Ich oczy się spotkały.

- Myśl o mnie jak o siostrze miłosierdzia - powiedziała.

- Siostrze miłosierdzia! Pewnie jeszcze w habicie? To mnie chyba przerasta.

Doprowadzona do skraju wytrzymałości. Faith powiedziała:

- Dostyc tego. Chcę wiedzieć, gdzie byłeś i co się wydarzyło! Uśmiech wypłynął na jego twarz.

- Pojechałem do Winnifred, porozmawiać z Dorą. Faith, ona dała mi pamiętnik twojej matki.

Oniemiała, opadła na łóżko obok niego. W końcu odezwała się powoli i ostrożnie, jakby podejrzewając, że mogła źle zinterpretować to, co usłyszała.

- Pojechałeś do Winnifred zobaczyć się z Dorą, a ona dała ci pamiętnik mojej matki?

Przytaknął.

- Roderick go ma, ale przyniesie ci go dopiero jutro, jak tylko wróci.

- Roderick? Dora? - Potrząsnęła głową. - Dlaczego? Jak?

- Zastanów się, Faith, a jestem pewien, że sama się domyślisz. Mamy wiele tematów do przedyskutowania, ale najpierw pozbędę się tych mokrych ubrań.

Nie było go kilka minut, a gdy wrócił, miał na sobie bordowy płaszcz kąpielowy.

- I co? - zapytał. - Już rozumiesz?

- Mniej więcej. Danvers ukradł pamiętnik i oddał go Dorze na przechowanie, ponieważ wiedział, że może jej ufać. Przecież była w nim po uszy zakochana. - Jej głos był zjadliwy jak kwas. - Podejrzewam, że nie przekazał go od razu swojemu pracodawcy, bo liczył na to, że uda mu się podbić stawkę?

- Według Dory, pieniądze za pamiętnik miały pomóc im w ucieczce. Niestety, Danvers stał się zachłanny i zapłacił za chciwość wysoką cenę.

- Nie uciekłyby z nią przecież! Jest za młoda. Cały czas ją wykorzystywał! - Teraz żałowała, że kiedykolwiek czuła się przez niego winna.

- Wiem, ale nie możesz powiedzieć tego Dorze. Nie uwierzy ci.

- Biedna Dora. Czy nie wie, kto był zleceniodawcą?

- Twierdzi, że nie, a ja jej wierzę.

- Podejrzewam, że musiałeś ją nieźle nastraszyć, aby wyznała ci to, co wie.

W opozycji do jej gniewnego tonu jego głos był łagodny.

- A co niby miałem zrobić? Poklepać ją po główce i powiedzieć, że jest dobrą, małą dziewczynką? - Nagle jego głos stwardniał. - Powiedziałem jej prawdę - że ktokolwiek ma pamiętnik, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i naraża się na taki sam los, jaki spotkał Roberta Danversa. I miałem rację. Patrz, co mi się dziś przytrafiło.

Ujął jej dłoń.

- Nie usprawiedliwiał jej, Faith. Zasłużyła na surową reprimendę, i o wiele, wiele więcej. Tak, Danvers tak zaaranżował sytuację, aby się w nim zakochała, ale ona sama chciała mu pomóc. Myślę, że wypróbował tę samą taktykę na tobie, ale w końcu się poddał. To Dora była twoim prześladowcą. Obserwowała cię przez cały ten czas. Nie mogłaś być tego świadoma, bo przecież dla ciebie była, jakby to powiedzieć, elementem krajobrazu.

Kiedy nadal milczała, kontynuował.

- Wiedziałem, że ktoś przeglądał odpowiedzi na twoje ogłoszenie. Kto łatwiej niż Dora mógłby wślizgnąć się do twojego pokoju i go przeszukać? Przyznała, że to ona przekazała Danversowi informację o czasie i miejscu twojego spotkania z lady Cowdray. To, czy on, czy też jego pracodawca zaaranżowali zasadzkę, jest nieistotne. Wszyscy są winni.

Oddychała głęboko, mocując się w myślach z tym, co usłyszała.

- Powiedz mi, co wydarzyło się dziś wieczorem. I jak Roderick stał się częścią tego wszystkiego?

Pokiwał głową, jakby dawał za wygraną.

- Po przedstawieniu, które urządziła Dora w czasie konsolacji, wiedziałem, że muszę działać szybko. Niewiele osób wiedziało, kim była, i miałem nadzieję, że ten fakt zapewni jej ochronę, dopóki nie zdołam z nią porozmawiać. Ale za każdym razem gdy o niej myślałem, włosy na karku stawały mi dęba. Wiedziałem, że czas ucieka. Ktoś na pogrzebie mógł słyszeć jej wybuch i dodać dwa do dwóch.

- Domyślić się, że Robert zwierzał się jej, a być może nawet zdradził, gdzie jest ukryty pamiętnik?

- Otóż to. Miałem nadzieję, że zdołam z tobą porozmawiać przed wyjściem, ale cóż. bałem się, że będziesz mnie przekonywać, abym cię zabrał ze sobą...

- Oczywiście, że pojechałabym z tobą! - Wyrwała dłoń z jego uścisku. - To moja sprawa! Powinnam była brać w tym udział!

- Poprosiłem więc Rodericka, aby pojechał ze mną.

Jej brwi w zdziwieniu uniosły się prawie pod linię włosów. Wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy może najlepszymi przyjaciółmi, ale to mój brat. Był na miejscu. Cieszę się, że przewidziałem, że powinienem go ze sobą zabrać. - Zachichotał. - Bije się lepiej ode mnie. Nie boi się niczego. - Jego *ton* był ożywiony, gdy relacjonował wydarzenia. - Dotarliśmy tam pierwsi, miałem więc czas zastraszyć twoją owieczkę i zmusić ją do oddania pamiętnika. Nie patrz na mnie wilkiem, Faith. To do ciebie nie pasuje. Twoja przyjaciółka, Lily, też tam była, nawet bardziej wściekła na Dorę niż ja. Zabrałem pamiętnik i oddałem go Roderickowi, aby go przechował. Lily i Dora spakowały walizki, a Roderick odwiózł je do tego nowego hotelu na Regent Street. To było wszystko, co miał zrobić - zaopiekować się Lily i Dorą oraz pamiętnikiem, ale gdy tylko one się zameldowały, on wrócił po mnie. Ale uprzedzam fakty. Gdy już pozbyłem się Dory, zaszyłem się w krzakach i postanowiłem poczekać na rozwój wydarzeń. Wtedy zaczęło padać. Są wakacje, w budynku było co prawda kilka nauczycielek i uczennic, ale nikt nie włączył się po ogrodzie. Łatwiej było więc namierzyć intruza.

Ogarnęło ją przerażenie, potem wściekłość.

- Chcesz mi powiedzieć, że miałeś szansę stamtąd uciec bez walki, ale zdecydowałaś się zostać?

Spojrzał na drzwi.

- Mów ciszej. Tak, zostałem. I miałem powód. Chciałem przekonać się, czy ktoś przyjdzie po Dorę. Chciałem wydusić z tej osoby prawdę i odkryć, dla kogo pracuje.

- Ale sprawy nie ułożyły się pomyślnie? - zapytała Faith w napięciu.

Uśmiechnął się smętnie.

- Niezupełnie. Nie spodziewałem się, że będzie ich dwóch.

Prychnęła wzgardliwie.

- Ależ z ciebie jasnowidz! I co się stało dalej?

- Aby nie przedłużać, gdy siedziałem na jednym, ten drugi zaszedł mnie od tyłu i zdzielił po głowie czymś twardym. Ogłuszył mnie, ale nie pozbawił przytomności. Wtedy pojawił się Roderick. Zbiry dały nogę. Roderick podrzucił mnie do domu, a potem wrócił do hotelu, aby czuwać nad Lily i Dorą. Jutro rano odprowadzi je na pociąg do Cambridge. Zatrzymają się u kuzynki Margaret. Tam będą bezpieczne. - Pozwolił sobie na chwilę refleksji, a potem powiedział łagodnie: - Może ty też powinnaś z nimi pojechać?

Ta sugestia wywołała ostrą reakcję.

- Może powinnam z nimi pojechać? A co z moją matką? Myślisz, że potrafiłabym o niej zapomnieć? Nie życzę sobie, aby obcy ludzie działali w moim imieniu. Nie potrafię ci wytłumaczyć, co czuję. Powiem tylko, że zaczynam podejrzewać, że nie umarła przez przypadek. To wszystko zaczyna mieć sens.

- Przerwała, próbując przypomnieć sobie, co powiedziała jej lady Cowdray. - Madeline spotkała kogoś na krótko przed śmiercią, kogoś, kogo znała już wcześniej, ale kto jej nie rozpoznał. Wkrótce potem umarła z powodu przedawkowania laudanum, a jej pamiętnik zniknął. Co takiego wiedziała, że doprowadziło to do morderstwa? Co takiego napisała w pamiętniku, że ktoś posuwa się do takich czynów, aby go zdobyć? - Potrząsnęła głową. - Jestem córką Madeline. Nie odpuszczę, dopóki nie dowiem się, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego dnia. I będę brać w tym czynny udział.

Kiedy westchnął, zerwała się i podeszła do okna. Przed nią rozciągał się opustoszały plac, porośnięty kwiatami i drzewami. Lampy gazowe odbijały się bladym srebrem w listowiu. Świat wyglądał uroczyście i spokojnie, tak odmiennie od zgiełku targających nią emocji.

Śniła o matce, gdy James wtargnął do jej umysłu. Matka i córka. Lubiła dźwięk tych słów. Ale Madeline nie była dla niej

prawdziwą matką. To jej ojciec trwał przy niej zawsze, w zdrowiu i w chorobie, w radości i smutku. Ale ją okłamał i z trudem przychodziło jej wybaczenie mu tego. Mogła przecież pisać do matki. Mogły stworzyć jakiś rodzaj więzi, choćby słabej. Ojciec jej to odebrał.

A może były to tylko jej pobożne życzenia? Może to Madeleine nie życzyła sobie wiadomości od córki, którą porzuciła? Zresztą, to nie miało znaczenia. Tak, czy inaczej, musiała się dowiedzieć, kim jest wróg, i dopilnować, aby stanął przed obliczem sprawiedliwości.

Ten dzień nadejdzie, według Jamesa, gdy znajdą się w opuszczonym domu, z klatką schodową wspartą na filarach.

- Nie mogę wyjechać z Lily i Dorą - powiedziała. - Mam przecież spotkanie z przeznaczeniem. Na końcu powinniśmy być razem, prawda?

Nie usłyszała odpowiedzi.

Odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć. Wyciągnął się na łóżku i wyglądało na to, że zasnął.

- James?

Poruszył się i wyciągnął do niej dłoń, ale nie otworzył oczu.

Podeszła do niego, przykryła go narzutą i wzięła za rękę.

- Nie chcę siostry miłosierdzia - wymamrotał. - Chcę tylko ciebie i nikogo innego.

Kiedy pociągnął ją za rękę, usiadła obok. Na jego kłykciach rysowały się głębokie zadrapania, jego twarz była pokryta pręgami. Wyglądał jak poległy gladiator.

Dziwny, prawie niewyczuwalny ból odezwał się w pobliżu jej serca i zaczął ogarniać całe ciało. Poczowała słabość w kolanach, palce jej drżały, a gardło nieznośnie się zaciskało. Ten gladiator poległ, służąc jej. a jedyną nagrodą, jaka go spotkała, był jej ostry język. Powinna się wstydzić.

Pociągnęła nosem i ułożyła się obok niego. Z powiekami ociążałymi od snu wtuliła się w jego ciepłe ciało.

Obudziwszy się, odkryła, że trzyma jego ręce i pokrywa pocałunkami postrzępione otarcia na kostkach. Czubkami palców wyczuwała nieregularnie bijące tętno. Łapiąc oddech, przechyliła głowę, aby na niego spojrzeć i znieruchomiła, uwieczona przez jego nieufnie wpatrzone w nią oczy.

- Powiedz mi, że to nie sen - poprosił.

Wtedy zauważyła, że w pewnym momencie musiała wślizgnąć się pod narzutę i teraz wtulała się ciasno w jego ciało.

- Tak, to znaczy, nie - odparła błyskotliwie.

Nieufność zniknęła z jego oczu.

- Co robisz, Faith?

- Scałowuję ból. - To wyjaśnienie wydało się jej nie do końca odpowiednie, dodała więc: - Mój tato tak robił, kiedy zdarłam kolana w dzieciństwie.

- Nie przerywaj więc. Na pewno mam też zadrapania na twarzy. Wyraźnie je czuję. Stamtał nie scałujesz bólu?

- To był sen.

- Teraz nie śpimy.

- Nie.

- Właśnie to chciałem usłyszeć.

Nie wahał się, gdy pochylił głowę i zagarnął jej usta w słodkim pocałunku, nie wahał się, gdy rozchylił poły jej szlafroka i zawładnął piersiami. Słyszał, jak nagle wciągnęła powietrze, poczuł przyspieszone uderzenia serca. Nie odepchnęła go. Zamiast tego, przemknęła dłońmi po jego plecach i otoczyła ramionami jego szyję. Całował ją raz po raz, a pasją, którą wyczuwał w jej pocałunkach, sprawiała, że pragnął więcej.

Chciał pojąć ją od razu. Ale wiedział, że nie może, że nie powinien. Kierowało nim nie tylko czyste pożądanie. Chciał ją brać i brać. aby przekonać ją w końcu, w ten znany od wieków rasie ludzkiej sposób, że należy tylko do niego.

Oderwał od niej usta. Nie powstrzymała go, gdy zerwał z niej nocną koszulę i odrzucił ją na bok. To samo zrobił ze swoim ubraniem. Szczytowali razem, nagie ciało przy nagim ciele, ale on pragnął więcej. Chciał głaskać i zadowalać jej delikatną, kobiecą kibić, aż będzie tak spragniona jego, jak on jej.

Potaął kciukiem koniuszek piersi, a jęk zadowolenia, który wyrwał się z jej gardła, sprawił, że zaszumiała w nim krew. Zastąpił palec językiem i wargami i ssał mocno. Wygięła się w łuk, odrywając plecy od łóżka i zajęczała głośno z rozkoszy. Gdy zrobił to znowu, odsunęła się od niego.

Oddech rwał mu się tak bardzo, że z trudem wydobywał słowa.

- Tylko mi nie mów, że tego nie chcesz, bo ci nie uwierzę.
- Idioto! - Łapała powietrze równie łapczywie, jak on. - Jestem tutaj, bo chcę tu być. Nie musisz mnie uwodzić ani przekonywać do niczego. Nie zmienię zdania. - Oparła czoło na jego czoło. - Sama podejmuję decyzje. Zrobimy to jeszcze raz? Ale tym razem ja też chcę się bawić.

Miała rację. Nie zamierzał dawać jej czasu na zastanowienie, bo bał się, że może się rozmyślić. Wszystkie te bzdury o braniu kobiety do łóżka, aby ją przekonać, że do niego należy były dokładnie tym - bzdurami. Była wolną, niezależną kobietą. Szła tam, dokąd chciała iść.

I to niewypowiedziane go przerażało.

Miał rywali, ale nie takich z krwi i kości. Jej serce było już zapełnione blaskiem i patosem, bijącym od matki, której nawet nie znała, jej nieustraszonej matki i podobnie myślących przyjaciółek. Nie wiedział, jak z nimi walczyć, ale musiał spróbować.

- Zgoda, baw się więc - powiedziała.

Nie była już nowicjuską i wiedziała, jak i gdzie go dotykać, aby sprawić, że będzie się wił z rozkoszą. Ale było to coś więcej, niż zaspokajanie zmysłów. Było to przejście przez kobietę prawa do bycia pełnym i równoprawnym partnerem gry, w której ludzkość brała udział od pokoleń. Odebrała mu oddech.

Powoli znaczyła mokrymi pocałunkami ślad od jego ust do pachwin. Musiał zacisnąć zęby, bo przyjemność była tak intensywna, że graniczyła z bólem. Pot wystąpił mu na czoło, gdy owiała ciepłym strumieniem powietrza jego umięśniony brzuch. Jej pieszczoty były coraz bardziej śmiałe, aż zupełnie stracił zdolność logicznego myślenia, pogrążony w pożądaniu, które wydawało się przenikać przez pory skóry. Jej palce od-

nalazły jego silnie pobudzoną męskość, a wtedy zupełnie przestał się kontrolować. Gdy zrzucił ją na łóżko i pochylił się nad nią, zapiszczała, by po chwili się roześmiać. On zrobił to samo, ale szybko śmiech przeszedł w ochryply jęk. gdy jego palce wślizgnęły się w jej wilgotne wnętrze. Wydobywające się z niej pełne zdziwienia jęki rozkoszy sprawiły, że dziko zapragnął ją posiadać.

Jednym szybkim pchnięciem przykuł do siebie jej ciało. Owinęła się wokół niego ściśle ramionami i nogami. Orgazm przeszedł przez nich oboje jak błyskawica. Ich usta układały się w nieskładne deklaracje miłości. Na końcu nie potrzebowali słów. Została tylko nagła potrzeba zlania się w jedno.

Później, znacznie później, z głową wspartą na rękach, James uśmiechał się patrząc w sufit.

- To było wyjątkowe - powiedział. - Toaczy, dla mnie. A czy tobie było dobrze?

Wtuliła się w niego, a jej oddech łaskotał go w pache.

- Było cudownie - odparła.

Chciał od niej czegoś więcej. Przecież nawiedzała go w każdej chwili, na jawie i we śnie. Już dawno zrozumiał, że jest dla niego stworzona. Choć bał się odrzucenia, nie miał odwagi wyrzec tych słów jako pierwszy, pragnął usłyszeć je od niej.

- Jak cudownie? - zachęcał.

- Cóż, jak stanie na szczycie piramidy i rozglądanie się na wszystkie strony. To takie wszechogarniające przeżycie.

Odpłynęła w sen, zostawiając Jamesa analizującego jej odpowiedź. Piramidy. Nie był pewien, czy spodobała mu się ta wizja.

Odwrocił się do niej i jęknął, gdy prawe ramię przeszył ból. Inne części jego ciała również dawały o sobie znać, wszystkie te, które zetknęły się w nieprzyjemny sposób ze zbirami, wysłanymi do Dory po pamiętnik.

Kochał się dziko, namiętnie z Faith i nie poczuł nawet ukłucia. Taki był efekt całkowitego skupienia się na jednej tylko rzeczy. Jej siła, która sprawiała, że zapominał o bólu, była inspirująca i budziła respekt.

Uderzyła go kolejna myśl, która sprawiła, że gwałtownie wciągnął powietrze. Nawet we śnie Faith go słyszała. Poklepywała go, jak matka pocieszająca płaczące dziecko i wydawała dodające otuchy, kojące dźwięki.

Zasnął z uśmiechem na ustach.



Na trzeci dzień po pogrzebie Danversa, gdy James zszedł na śniadanie, zastał w pokoju śniadaniowym Rodericka. Tace zabrano już z kredensu, ale na stole nadal stał imbryk z kawą i zestaw zastawy stołowej oraz sztuczków. James przekazał czekającemu lokajowi, że tego ranka ograniczy się do kawy i małej miseczki owsianki ze śmietaną.

Starał się nad sobą panować, ze względu na obserwującego ich lokaja, ale był na krawędzi wybuchu. Roderick miał wrócić do Londynu dwa dni temu, ale młody zuchwalec w ogóle nie zaprzętał sobie tym głowy.

Gdy tylko lokaj wyszedł, pierwszy odezwał się Roderick.

- Wyglądasz, jakbyś przeszedł przez magiel. Nie rozważałeś może przyłożenia soczystego steku na to podbite oko?

- Dziękuję za radę. Będę to miał na uwadze, gdy następnym razem weźmiemy udział w rundzie wolnej amerykanki.

James odchylił się na krześle i ostrożnie się w nim zagłębił. Każdy mięsień jego ciała piekł, jakby dopiero co złapał go skurcz. Na szczęście, nie trwało to długo. Gdy zaczynał się ruszać, sztywność ustępowała. Roderick natomiast wyglądał jak gibki, zwinny akrobata. Nie miał na ciele nawet śladu zadrapań, choć przecież także oberwał w czasie szamotaniny. Świadomość, że przestaje dotrzymywać kroku temu młodzieńskowi, była dla Jamesa deprymująca.

- Zakładam - odezwał się James - że odeskortowałeś Lily i Dorę na pociąg do Cambridge?

Roderick uniósł w zdziwieniu brwi, słysząc nieprzyjemny ton brata.

- Tak jak napisałem w telegramie.

- Tak jak napisałeś! - James z trudem powstrzymywał się od zgrzytania zębami. - Spodziewałem się, że wrócisz następnym pociągiem z Cambridge i opowiesz mi o tym osobiście.

- Dlaczego? Wszystko przebiegło tak, jak to zaplanowaliśmy. Dowiozłem przyjaciółki Faith do moich kuzynów. Zostałem, bo spotkałem tam przez przypadek kilkoro znajomych. A pamiętnik przecież odesłałem z telegramem.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że mogę się o ciebie martwić?

Roderick wyglądał na zaskoczonego.

- Szczerze mówiąc, nie. Nigdy wcześniej się o mnie nie martwiłeś.

- Cóż, ludzie się zmieniają! - ryknął James.

Zapadła cisza. W końcu Roderick sięgnął po dzbanek i uniósł go.

- Kawy? - zapytał uprzejmie.

- Dziękuję. - James obserwował, jak brat nalewa płyn do jego filiżanki.

Znów zapadła cisza.

- Od czego więc zaczniemy? - zapytał Roderick, napełniając swoją filiżankę.

- Nie wiem. Pomogłoby, gdybyśmy zdołali rozszyfrować pamiętnik.

- Na co liczysz?

- Że znajdę w nim odpowiedź na pytanie, dlaczego zginął Danvers. i. oczywiście, kto stoi za tym morderstwem.

James do pewnego stopnia wtajemniczył w sprawę Rodericka. Brat wiedział już, że pamiętnik należał do matki Faith i że od dnia, kiedy wypłynął, morderca ze wszystkich sił stara się go przejąć. Nie powiedział mu natomiast o swoim darze. Chciał, aby Roderick traktował go poważnie, nie kwestionując jego poczytalności.

- Studiowałem pamiętnik w pociągu, aby zabić czas - napomknął Roderick. - Nie znalazłem w nim niczego kontrowersyjnego. Pani Maynard niewątpliwie miała złośliwe poczucie hu-

moru, bardzo satyryczne, ale nie ma tam nic, za co warto byłoby zabić, przynajmniej moim zdaniem.

James już miał powiedzieć, że ludzie zabijali z powodów bardziej błahych, gdy nagle dotarł do niego sens wypowiedzi brata.

- Rozszyfrowałeś pamiętnik? - Był zdumiony. Szyfry były dla niego równie niezrozumiałe jak hieroglify, pokrywające Kamień z Rosetty. - Nie miałem pojęcia, że jesteś taki zdolny.

Roderick zarumienił się.

- Nie tak trudno jest złamać ten kod, z wyjątkiem ostatnich kilku stron. W tych w ogóle nie mogłem się połapać.

- Nie dziwię się. Jeśli ktokolwiek mógłby dać im radę, to chyba tylko Aleks, ale on wyjechał na jedną ze swoich dyplomatycznych misji i nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy wróci do kraju.

Roderick potrząsnął głową.

- Aleks nie złamie szyfru, dopóki nie będzie miał odpowiednich narzędzi.

Zapadła cisza, którą przerwał James.

- Mów dalej. Nie trzymaj mnie w niepewności. Jakich narzędzi będzie potrzebował Aleks?

Roderick wyraźnie rozkoszował się zamianą ról. Długo żył w cieniu starszego brata, który teraz potrzebował pomocy. Stare urazy poszły w niepamięć. Współpracowali i Jamesowi bardzo podobała się ta nowa sytuacja.

Z łokciami opartymi na stole Roderick pochylił się ku niemu.

- Te narzędzia to dwa egzemplarze tego samego wydania tej samej książki, jeden dla osoby, która wysłała wiadomość, drugi dla odbiorcy. W zasadzie nazywa się to „systemem dwóch książek” i zostało wynalezione przez Anglika nazwiskiem Scovell podczas wojen napoleońskich w Hiszpanii i Portugalii. A działa to tak...

Zaczął opowiadać o numerach stron i kolumn, a wszystko to przyprawiało Jamesa o ból głowy. W końcu Roderick zapytał:

- Masz jakieś pytania?

James starał się wyglądać inteligentnie.

- Czy mógłbyś powtórzyć tę część o zasadach działania kodu?

Roderick powtórzył i tym razem system zaczął nabierać dla Jamesa realnych kształtów.

- Dwie osoby, wysyłające informacje jedna do drugiej - du-mał. - Czyli Madeline musiała kierować wiadomość do osoby, która miała narzędzie do rozszyfrowania jej?

- Na to wygląda.

- To brzmi zbyt prosto.

- I na tym polega piękno tej metody. - Roderick skubnął winogrono z czaszy z owocami, ustawionej w centralnym punkcie stołu i wrzucił je sobie do ust. - Kod Scovella nigdy nie został złamany, co dało Brytyjczykowi ogromną przewagę.

- O jakiego rodzaju książce mówimy?

- To może być cokolwiek, powieść, słownik, nawet wiersz. Ale obie strony muszą mieć dokładnie taki sam tekst.

James był pod wrażeniem.

- Skąd tyle wiesz o szyfrach?

Roderick wzruszył ramionami.

- Matematyka, w tym jestem dobry. A kody to czysta mate-matyka. Lubię bawić się liczbami.

James usiadł wygodniej na krześle. Myślał o tym, że im więcej dowiadywał się o swoim bracie, tym bardziej uświada-miał sobie, jak mało go zna.

Roderick obserwował go przez chwilę, zanim zakłócił jego chwilę refleksji.

- Jestem też dobry w grze w karty, choć wiem, że ciężko ci będzie w to uwierzyć. Umyślnie wprowadzałem cię w błąd, ale tylko dlatego, że wydawało mi się, że spodziewasz się po mnie najgorszego i nie mogłem się powstrzymać, aby się z tobą nie podroczyć.

Myśli w głowie Jamesa galopowały z zawrotną prędkością.

- A twoje długi karciane?

- Nie ma żadnych długów. - Roderick chrząknął. - Wszyst-kie pieniądze, które zarobiłem na graniu, a nie było tego dużo, oddawałem matce i Harriet. Czasami spłacałem długi ojca. On niestety nie jest najlepszy, jeśli chodzi o liczby.

Roderick uniósł filiżankę do ust i wpatrywał się w Jamesa znad jej brzegu. Wyglądał, pomyślał James, jak uczeń, przyłapany przez dyrektora na jakiejś haniebnej psocie.

Dyrektor! Czy tak właśnie był postrzegany przez młodszego brata? Jak to tego doszło? I dlaczego nie zwrócił się do niego, Jamesa, aby on pospłacał długi ojca?

Był całkiem pochłonięty własnymi myślami, gdy Roderick znów chrząknął.

- James?

- Tak?

- Czy wiesz, jakiego tekstu użyła matka Faith?

- Nie. Ale Faith może to wiedzieć. - James odsunął krzesło. - Pójdę i zapytam.

- Nie ma jej. Wszystkie wyszły, Faith, ciotka Mariah, Harriet i moja mama.

- Co?! - Filiżanka Jamesa zabrzęczała, gdy odstawił ją gwałtownie na spodek.

Roderick zmarszczył brwi.

- Myślałem, że wiesz, inaczej od razu bym ci powiedział. Zaaranżowały to kilka dni temu. Poszły na lunch do Verry, na Regent Street, a potem do Domu Burlingtona obejrzeć wystawę akwareli. Chyba wybierają się jeszcze na zakupy do Arkad.

James spojrzął na zegar. Było po dwunastej. Zasnął, ale nie przyszło mu do głowy, że ma powód, aby się spieszyć. Uznał za pewnik, że Faith nigdzie nie pójdzie, jeśli wcześniej z nim tego nie uzgodni.

Roderick rozumiał jego niepokój.

- Myślisz, że te opryski, z którymi się biliśmy, będą próbowały ją skrzywdzić?

- Nie wiem.

- Ale dlaczego? Szukają pamiętnika, a przecież ona nie nosi go przy sobie. Jeśli chcą coś osiągnąć, powinni przyjść tutaj.

- Pewnie masz rację. - James oparł dłonie płasko na stole i podźwignął się. - Ale lepiej bym się czuł, gdybym z nimi był, wiesz, tak na wszelki wypadek.

- Na miłość boską! - Roderick również wstał. - Nie byłbyś

w stanie utorować sobie drogi przez bąbelki w wannie. Ja pójdę. Ty lepiej ostrzeż służbę i poleć im strzec domu.

Spokojnie podszedł do drzwi.

- Roddy! - zawołał James.
- Tak?
- Dziękuję ci. Za wszystko.
- Nie ma sprawy.

Była to zwyczajowa odpowiedź, oznaka dobrego wychowania, która nic nie znaczyła. Tym razem jednak nieśmiały uśmiech Rodericka i jego niekontrolowany grymas wbiły kolejną szpilę w już przeciążone sumienie Jamesa. Dlaczego nigdy nie uczynił wysiłku, aby poznać tego chłopca?

Po wyjściu Rodericka podano owsiankę, ale James nie od razu zanurzył w niej łyżkę. Myślał o Faith, zastanawiając się, czy nie powinien jednak iść do niej. Po chwili doszedł do wniosku, że przesadza. Minęły trzy dni od czasu, gdy zabrał pamiętnik pannie Winslet. Morderca musiał wiedzieć, że Faith niczego się z niego nie dowiedziała, bo w przeciwnym razie siedziałaby już przecież w areszcie. Roderick miał rację. Morderca chciał pamiętnika.

Zanurzył łyżkę w miseczce i zauważył, że owsianka ma konsystencję błota. Jego żołądek wykonał salto. Odepchnął miszkę, wstał i udał się na poszukiwania Butchera, aby ostrzec go przed możliwością włamania i przedsięwziąć odpowiednie środki, aby temu zapobiec.

* * *

Potem udał się prosto do pokoju Faith, skąd zabrał pamiętnik i inne osobiste drobiazgi. Wrócił do siebie i rozłożył wszystko na stoliku przy oknie.

Nie było tego wiele. Dokumenty jej ojca były związane razem kawałkiem sznurka. Odłożył je na bok. Został tylko pamiętnik, odpowiedzi na ogłoszenie Faith, fotografia jej matki i grupowe zdjęcie, zrobione przed Grand Hotelem. Studiował je wiele razy, ale nic to nie dało.

Z radością zauważył, że pod wpływem ruchu sztywność w stawach i mięśniach staje się łatwiejsza do zniesienia. Tylko gdy siadał, zamieniał się w kawałek drewna. Wstał więc, okrążył kilka razy pokój, a potem zatrzymał się naprzeciwko długiego, stojącego lustra. Spoglądało z niego jego własne odbicie i nie był to przyjemny widok. Opuchlizna pod okiem ustąpiła, ale żółty siniak spurpurowiał. Odsłonił zęby w uśmiechu. Przy najmniej one wszystkie były na miejscu.

- Cóż, babciu - powiedział. - Co dalej? - Nie było reakcji, nie spodziewał się jej zresztą. - Nie musisz od razu podawać nazwiska. Ale twarz by się przydała. - Tylko jego własne, puste oblicze spoglądało na niego w odpowiedzi. Wrócił do stolika, a pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, była fotografia matki Faith. Podniósł ją bliżej światła.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że podobieństwo pomiędzy Faith a matką jest uderzające. Na pierwszy rzut oka wiedziałby, kim dla siebie są. Spotykał kopie Madeline Maynard w salach zarządów instytucji handlowych i finansowych, ale wszystko to byli mężczyźni, nastawieni na sukces. On także był jednym z nich. To samo zdecydowanie biło z oczu Madeline. Nie miał nic przeciwko kobietom z ambicjami. Przykładem były dziewczęta z Winnifred. Miały wprowadzić nową epokę. Aleks by temu przyklasnął. On sam w końcu by do tego przywyknął, ale nie mógł przejść do porządku nad postępkiem samolubnej jędzy, która porzuciła własną córkę bez chwili wahania.

Pomyślał o Dorze Winslet i poczuł ukłucie żalu. W każdym stadzie znajdzie się czarna owca. Z drugiej strony, jeśli potrafi uczyć się na błędach, może równie dobrze zostać wkrótce pierwszą kobietą w parlamencie.

Pamiętnik Madeline leżał na stole, w zasięgu ręki, ale poza jego możliwościami, ponieważ nie umiał go rozszyfrować, nie dlatego, że nie rozumiał zawiłości metody Scovella, ale dlatego, że nie miał tekstu, dzięki któremu mógłby złamać kod.

Przyjrzał się pamiętnikowi uważniej, potarł palcami skórzaną okładkę. Gdziekolwiek była spękana, ale inicjały, wygrawerowane w złocie, wciąż były czytelne. Madeline Maynard.

Cofnął się o krok, jego brwi złączyły się w łuk w koncentracji. Widział książkę bardzo podobną do tej, w pokoju Faith, w Winnifred, gdy przeszukiwał jej rzeczy. Książka była komentarzem do dzieł Herodota, a autorem był jej ojciec. Była z niej bardzo dumna.

Zapomniał o bólu, gdy znów pobiegł do pokoju Faith. Znalazł to, czego szukał, wśród innych woluminów, rozrzuconych na stoliku nocnym. Wrócił do siebie, przyciągnął krzesło do biurka i zaczął czytać.

Po kilku minutach wiedział, że jest na właściwym tropie.

- Numer strony, numer kolumny, słowa lub litery, od góry - mamrotał, podczas gdy jego palce przesuwają się raz po jednej, raz po drugiej książce. Spisywał każdą literę, w miarę dekodowania. Po dwudziestu minutach przerwał, rozradowany własnym sukcesem. Odczytał słowa, które już zdążył rozszyfrować.

„Najdroższy Malcolmie, jeśli cokolwiek mi się przydarzy, obserwuj Basila Hughesa. Jego prawdziwe nazwisko to Artur Toombs.”

Chociaż do odkodowania pozostała jeszcze ogromna ilość tekstu, porzucił pracę w tym miejscu. Faith wyznała mu, że w ostatnią noc swojego życia Madeline zdradziła lady Cowdray, że rozpoznała, albo myślała, że rozpoznała kogoś, kogo znała już wcześniej. Była roztrzęsiona.

To musiał być Basil Hughes. Wszystko się zgadzało.

Toombs. To nazwisko nie było mu obce. Wstał, podszedł do stolika, na którym rozłożył rzeczy Faith, i podniósł plik odpowiedzi na jej ogłoszenie. Poza listem lady Cowdray, wszystkie inne były prośbami o pieniądze.

Znalazł tę, o której myślał. Była podpisana przez Lizę Begg, zamieszkałą na Greek Street, w Soho.

„Myślę, że moja ciotka, pani Berta Toombs, niech spoczywa w pokoju, znała kiedyś Madeline Maynard. Jeśli mojej ciotce pozostawiono jakieś pieniądze, powinny one przypaść mnie. Z wyrazami szacunku, Liza Begg”.

Włosy na jego karku stanęły dęba. Basil Hughes to Artur Toombs. Co go łączyło z Bertą Toombs?

Uporządkował stół, odniósł wszystko do pokoju Faith, a następnie polecił lokajowi wezwać dorożkę, która miała go zawieźć na Greek Street.

* * *

Wystawa angielskich akwareli w Domu Burlingtona nie przykuła zainteresowania Harriet na długo. Przemykała od obrazu do obrazu w dwa razy szybszym tempie niż pozostali, aby móc w końcu pójść na zakupy do znajdujących się naprzeciwko Arkad Burlingtona.

Faith nie mogła winić dziewczynki za niecierpliwość. Przecież Harriet miała zaledwie dwanaście lat. Sama Faith zresztą też zaczynała się niecierpliwić. Cały czas spoglądała na zegarek, z nadzieją, że już czas iść dalej. Nie dlatego, że jakoś szczególnie cieszyła ją myśl o sklepach w Arkadach. Samo wyjście z domu tak na nią podziałało, chciała oderwać się od zamętu, który w ciągu ostatnich kilku dni rozbił jej cichą, stabilną egzystencję na małe kawałeczki.

A koniec miał nastąpić dopiero w opuszczonym domu z klatką schodową, wspartą na filarach, jak twierdził James. Tyle że ani tu, ani w Arkadach nie było żadnego opuszczonego budynku. Nie miała więc chyba się czego bać?

Prawdę mówiąc, była z siebie teraz zadowolona. Dryfowała, pozwoliwszy innym, przede wszystkim Jamesowi, przejąć kontrolę nad swoim życiem i podejmować za siebie decyzje. Nadszedł czas, aby na powrót objęła nad sobą władzę. To wyjście było krokiem we właściwym kierunku.

Wpatrywały się w tę samą akwarelę już od dobrych pięciu minut. Faith ziewnęła. Kiedy Harriet zaczęła mruczeć coś pod nosem, nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

- Może zabiorę Harriet na zakupy? - powiedziała. - Możemy się umówić u madame Digby, jak skończycie zwiedzanie.

Harriet klasnęła w dłonie.

- Będę mogła wybrać materiał na sukienkę dziewczynki do sypania kwiatków.

Faith wstrzymała oddech. Nie było sensu poprawiać teraz Harriet. Wszyscy wierzyli w to, w co chcieli wierzyć.

Margaret podeszła do pomysłu z rezerwą.

- Ależ nie, Faith. To byłoby wobec ciebie niesprawiedliwe. To ja powinnam zaprowadzić tam Harriet. Ty zostań na wystawie i baw się dobrze.

- To żaden problem - zaprotestowała Faith.

Harriet wyraziła swoje zdanie bardziej hałaśliwie. Chciała Faith i tylko Faith. Sprzeczkę rozstrzygnęła ciotka Mariah.

- Za bardzo się martwisz, Margaret. Pozwól dziecku pójść. Faith jest nauczycielką. Wie, jak sobie radzić z psotnymi dziewczynkami.

Faith przypomniała sobie słowa ciotki, gdy weszły w Arkady Burlingtona. Zastanawiała się, jak bardzo nieposłuszna może stać się jedna mała dziewczynka. Nie było dużego ruchu, tylko kilkoro spacerowiczów, takich jak one, podziwiała towary wystawione w sklepowych witrynach.

Nagłe wspomnienie o Dorze Winslet nakazało Faith ująć Harriet za rękę.

Wciąż jeszcze nie umiała myśleć o Dorze ze spokojem. James miał rację, dziewczyna dopuściła się czynu o wiele poważniejszego niż zwykłe nieposłuszeństwo. Spiskowała z Robertem Danversem, aby ukraść pamiętnik. Dora doniosła mu o jej spotkaniu z lady Cowdray, w ogóle nie zastanawiając się nad tym, że wystawia ją na niebezpieczeństwo. W imię czego? Miłości? Wiedziała na pewno, że Robert wykorzystywał ją do swoich własnych celów, a mimo to nadal deklarowała, że go kocha.

To nie była miłość, lecz zaślepienie.

Ta myśl przypomniła jej o Jamesie. Ich nieuregulowana sytuacja, a może powinna nazywać to związkiem, musiała się w końcu rozwikłać, tak czy inaczej. Była pewna, miała nadzieję, że znaczyła dla niego więcej niż przelotna miłośćka.

A może teraz ona kierowała się zaślepieniem?

Była jego misją. Jej szczęki zacisnęły się, a oczy zaczęły płonąć. Do diabła z tym! Upokarzała ją świadomość, że myśli

o niej w ten sposób. Był beznadziejny nie tylko w pisaniu listów, nie umiał też składnie wypowiedzieć kilku zdań, chyba że w miłosnym uniesieniu, jak miała więc wierzyć w to, co jej mówił.

Dlaczego nie umiał wydusić z siebie właściwych słów?

Palant!

Harriet pociągnęła ją za rękę.

- Faith - powiedziała tak cicho, że Faith musiała pochylić głowę, aby ją usłyszeć. - Siedzi nas jakiś mężczyzna, nie, nie oglądaj się. Możesz go zobaczyć w witrynie sklepowej.

- Dlaczego myślisz, że nas śledzi? - zapytała Faith z bijącym sercem.

- Przystaje wtedy, kiedy my i udaje, że interesują go towary na wystawach. Teraz ogląda lalki. Nawet ja tak długo na nie nie patrzę.

Harriet podniosła na Faith zaniepokojone oczy.

- Myślisz, że to kieszonkowiec?

- W Arkadach na pewno jest policjant municypalny, który jest szkolony do tego, aby pomagać ludziom - powiedziała Faith, aby rozwiać obawy dziewczynki. - Zaraz go znajdziemy i powiemy mu o mężczyźnie, który twoim zdaniem nas śledzi.

- Kto to jest policjant municypalny?

- Taki inny rodzaj policjanta.

Faith tłumaczyła sobie w duchu, że biedny dżentelmen, który szedł za nimi, jest z pewnością niewinny jak dziecko. Poza tym, miała nie zetknąć się z prawdziwym niebezpieczeństwem, dopóki nie znajdzie się w opuszczonym domu. Ale mogła przecież zostać zraniona. Lub okaleczona. Czy nie dlatego James znalazł się przy niej, gdy pojechała na spotkanie z lady Cowdray?

A jeśli James wcale nie był jasnowidzem? Jeśli to wszystko było tylko wytworem jego wyobraźni?

Poklepała delikatnie torebkę. Miała przy sobie rewolwer. Nie była bezbronna.

Zatrzymały się, aby podziwiać damskie kapelusze, wystawione u modystki. W szkle witryny odbijali się inni kupujący. Tak naturalnie, jak tylko potrafiła. Faith przechyliła głowę

w ich stronę, aby móc lepiej przyjrzeć się przechodniom. Wtedy go zobaczyła, a jej serce zaczęło bić szybciej. Znała go, ale nie pamiętała gdzie się poznali. Był dobrze zbudowanym, mniej więcej pięćdziesięcioletnim mężczyzną z władcą fizjonomią i surowymi rysami, które wyglądały jak wykute z kamienia. Najbardziej znaczące było jednak dla niej otarcie na policzku.

Patrzyła, jak odwraca głowę w jej kierunku i podnosi palce, aby dotknąć runda jedwabnego cylindra. Mógł dawać sygnał komuś z przodu, kto właśnie wchodził w Arkady od strony Ogrodów Burlingtona.

Nie może dawać ponosić się wyobraźni. Zakładając, że był on jednym z opryszków, z którymi zetknęli się James i Roderick w Winnifred, skąd mógł wiedzieć, że ona będzie tutaj dzisiaj? Kto mu powiedział? Jak się dowiedział? Od Margaret? Ciotki Mariah? Jednej z pokojówek?

To nie była tajemnica. Jeśli chciał poznać jej rozkład dnia, nie napotkał zbyt wielu trudności.

Gdy ich oczy spotkały się przez nieuwagę, oboje szybko odwrócili wzrok. Każdy nerw w ciele Faith był napięty do granic wytrzymałości. Odetchnęła głęboko.

- Posłuchaj mnie, Harriet - powiedziała. - Zaprowadzę cię teraz do madame Digby. abyś mogła wybrać sobie materiał na swoją sukienkę.

W oczach dziewczynki nie było śladu radości. Wydawała się wyczuwać niepokój Faith.

- A ty gdzie będziesz?

- Znajdę policjanta i powiem mu, że ktoś nas śledzi. Nie, nic nie mów. Posłuchaj mnie. Nie mamy zbyt wiele czasu. Powiedz pani Digby, że masz z nią zostać, dopóki nie odbiorę cię ja lub twoja mama. Cokolwiek się stanie, nie opuszczaj jej sklepu.

Usta Harriet zaczęły drżeć.

- Faith...

- Nie! Żadnych kłótni, żadnych pytań. Bądź grzeczną dziewczynką.

Wypowiedziane surowym tonem słowa uciszyły Harriet. Faith nie mogła sobie pozwolić na łagodność wobec niej. Stać

się celem obłąkanego mordercy - to jedno, ale wciągać w to niewinne dziecko - to było zupełnie co innego.

- Nie oglądaj się za siebie, po prostu idź - powiedziała.

W głowie miała gonitwę myśli. Mogła krzyknąć z całej siły „morderca”, ale nie była pewna, czy ktoś pospieszy jej z pomocą. Większość osób zamarłaby lub zaczęła zadawać pytania, na które mogłoby być już za późno. Morderca był nieustępliwy. Uciszył Roberta Danversa i najprawdopodobniej także jej matkę. Teraz miał zamiar postąpić tak samo z nią. Ale mężczyzna, który się na nich zamierzył, nie mógł być główną postacią tego dramatu. Był tylko podwładnym. Jego zleceniodawca musiał być członkiem ostatniej ekspedycji Madeline.

Skąd więc знаła mężczyznę, który je śledził? Nagle sobie przypomniała. Był to kamerdyner Basila Hughesa, mężczyzna, który zbierał datki na kolejną wyprawę do Egiptu.

Jej kolana drżały, gdy doszły w końcu do sklepu madame Digby. Tylko częściowo uświadamiała sobie obecność doskonale ubranych członków elity, którzy mijali ją w Arkadach. Wszystkie jej zmysły były skoncentrowane na mężczyźnie, który cały czas za nimi podążał. Gdy się zatrzymały, on również stanął.

- Harriet - powiedziała Faith - pamiętasz, co ci mówiłam? Dziewczynka przytaknęła.

Faith odczekała chwilę. Do sklepu zbliżyła się grupa pań.

- Teraz! - powiedziała rozkazującym tonem.

Harriet zrozumiała, czego od niej oczekiwano. Wmieszała się pomiędzy kobiety, jakby przysłała razem z nimi i zniknęła w sklepie.

Faith odetchnęła płytko. Nie była odważna. Nie było w niej nic z bohaterki. Pozostawiona sama sobie, uciekałyby stąd, ile sił w nogach, ale musiała myśleć o Harriet. Kamerdyner nie mógł ścigać ich obu, a była pewna, że to ona jest jego celem, nie dziewczynka.

Starając się wyglądać naturalnie i ignorując obecność kamerdynera, przeszła spacerowym krokiem całą długość Arkad, szukając wzrokiem odzianego w mundur policjanta i potencjał-

nych współników służącego Hughesa. Nie mogła zrozumieć, co zamierzają z nią zrobić. Zabić? Uprowadzić? Pobić, aby dać jej nauczkę? I dlaczego tak długo zwlekają?

Chcą pamiętnika, pomyślała gorzko. To wszystko przez pamiętnik Madeline, a ona nadal nie wiedziała, jakie sekrety kryje jego wnętrze.

Doszła prawie do końca Arkad, gdy zauważyła policjanta municypalnego w ciemnym mundurze i hełmie, otoczonym złotym warkoczem. Nie był uzbrojony, ale ona była. Ta myśl kazała jej sięgnąć do torebki i wyjąć rewolwer. Ukrywszy go w połach płaszcza, podeszła do policjanta.

Był młody i to ją zaskoczyło. Spodziewała się, że będzie starszy, bardziej doświadczony.

- Słucham, panienko - powiedział, unosząc lekko brwi.
- W czym mogę pani pomóc?

Trzęsa się tak bardzo, że z trudem mogła wydusić z siebie głos.

- Panie oficerze - wyjąkała i urwała, gdy jego wzrok powędrował na chwilę do jakiegoś punktu nad jej ramieniem, a potem znów spoczął na jej twarzy.

Jak u dzikiego zwierzęcia, władzę nad jej ciałem przejął instynkt. Wyciągnęła rewolwer, ale było za późno. Ramię jak imadło zacisnęło się od tyłu na jej talii, a do nosa i ust przyciśnięto jej szmatkę, nasączoną substancją o mdłym zapachu. Rewolwer wyslizgnął się spomiędzy jej palców, gdy zawisła na ramieniu mężczyzny, który ją trzymał.

- Proszę zrobić miejsce dla pani - usłyszała krzyczącego policjanta. - Proszę się przesunąć!

Z jej twarzy usunięto duszącą szmatkę, ktoś ją podniósł.

- Pani zemdląca - krzyczał policjant. - Proszę się odsunąć! Proszę zrobić miejsce!

Ktoś wciągał ją do dorożki. Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, zanim straciła przytomność.

XXIII

Do diabła! Nie zniosę tego czekania! James nerwowo przeczesał włosy palcami i zaczął nerwowo krażyć po pokoju. Siedział z Roderickiem w bibliotece ciotki na Berkeley, czekając na wyznaczoną przez porywaczy godzinę dokonania wymiany - Faith za pamiętnik Madeline.

Po wizycie u pani Begg wrócił do domu i zastał ogromne poruszenie. Harriet poinformowała go, że Faith została uprowadzona przez dwóch mężczyzn w Arkadach Burlingtona. Dziewczynka była doskonałym świadkiem. Faith zdawała sobie sprawę z tego, że ktoś ją śledzi, i rozkazała Harriet zostać u madame Digby. Na szczęście ta nigdy potulnie nie wypełniała rozkazów i zobaczyła całe zajście, mogła więc wszystko opowiedzieć Roderickowi. gdy przybiegł do sklepu z ciotką Mariah i Margaret.

Łajdaki otumaniły Faith w środku dnia szmatą nasączoną eterem. James podejrzewał, że był to eter. ponieważ policjant został uśpiony w ten sam sposób i pozbawiony płaszcza i hełmu. Ci złoczyńcy nie bali się ryzyka. Zostawili zaadresowany do niego liścik, przypięty do kamizelki policjanta. Na szczęście, Roderick miał na tyle przytomności umysłu, aby go otworzyć i przeczytać, zanim zdecydował się wezwać policję.

James podniósł notkę i przebiegł po niej wzrokiem. Mówiła, że Faith spotkają zgubne konsekwencje, jeśli zaangażowana w sprawę zostanie policja i że wymiana zostanie dokonana tej nocy, o jedenastej, w północnej części mostu Westminster. Miał być sam. I przynieść pamiętnik.

Skierował wzrok na Rodericka. skonsternowany brat marszczył brwi, wodząc palcem po kolumnach i spisując gorliwie

litery, pochłonięty rozszyfrowywaniem ostatniej wiadomości Madeline dla jej męża. Nie wydawało się to teraz istotne. Nawet bez pamiętnika mógł dowieść motywu. Pani Begg opowiedziała mu znacznie więcej. Ale wciąż nie mógł udowodnić, że to Basil Hughes zamordował Madeline czy Danversa. Gdyby umiał to zrobić, mógłby wziąć sprawy w swoje ręce. Jediną rzeczą, która się dla niego teraz liczyła, było ocalenie życia Faith.

„Faith”, zawołał ją w duchu. „Gdzie jesteś?” Wołał jej imię raz po raz. Wiedział, że eter to potężny narkotyk. Czy wciąż cierpiała z powodu efektów jego działania, czy też może podali jej kolejny środek?

Jego gardło ścisnął strach. „Faith! Obudź się! Walcz z tym!”

* * *

Odzyskała przytomność, jęcząc z bólu. Głowa jej pękała, żołądek miała ciężki. Zwlekła się z łóżka i zamrugała gwałtownie, próbując zorientować się w otoczeniu. Z początku pomyślała, że śni. To nie była jej jasna i przestronna sypialnia na Berkeley. Znajdowała się w wilgotnej, zakurzonej piwniczce na wina. Jedinym źródłem światła była lampka gazowa, ustawiona na szczycie chybottliwych schodów, a za łóżko służyła jej paleta, pokryta słomą.

Gdy spróbowała wstać, przeszła ją fala mdłości. Odczekała chwilę i spróbowała znowu. Opierała się na jednej z półek, gdy nagle drzwi na szczycie schodów otworzyły się. Mężczyzna, w którym rozpoznała policjanta, zaglądnął do środka, ale nie wszedł na dół.

- Wydawało mi się, że coś słyszałem - powiedział.

Jego radosny głos sprawił, że zrobiło się jej niedobrze.

- Będę wymiotować, - zawołała. - I muszę skorzystać z łazienki.

- Ho, ho, jesteście dystygowane, tak, wasza wysokość? Tam jest stara toaleta. - Wskazał najciemniejszy kąt piwnicy, który Faith wydał się mroczny jak koniec świata. - Ale nie radzę pić tamtej wody. Chociaż, jak o tym pomyślę, tam nie powinno być żadnej wody. To miejsce ma zostać rozebrane. - Odwrócił

się i przez ramię dodał: - Ach. przy okazji, to jedyne wyjście stąd, dlatego ostrzegam, bez głupich pomysłów.

Zamknął drzwi z głośnym trzaśnięciem. a Faith usłyszała, jak przekręca klucz.

Ogarnęły ją wspomnienia. Znała ten głos - spotkała go, gdy opuszczała posiadłość lady Cowdray w Chalbourne. To ten mężczyzna zaatakował ją przy wodospadzie.

A może się myliła?

Jej umysł był zamglony, reakcje spowolnione, przedmioty falowały. Jak długo wdychała eter? Miała szczęście, że żyła.

Ta ostatnia myśl sprowokowała ją do poruszenia stopami. Zataczając się od jednej półki z winami do następnej, w końcu dotarła do ściany. Toaleta nie miała drzwi, zdołała więc dostrzec zlew i podobny do tronu ustęp. Nie miał racji co do wody. Ciekła z kranu, ale śmierdziała tak obrzydliwie, że Faith nie mogła się zmusić nawet do ochlapania nią twarzy.

Po zatroszczeniu się o najbardziej podstawowe potrzeby, podeszła do światła, oparła się o ścianę i spróbowała zebrać myśli. Nie wiedziała, dlaczego tutaj jest i co mają zamiar z nią zrobić, ale wydawało się logiczne, że postarają się, aby zniknęła.

Z jej gardła wyrwał się paniczny śmiech. Nie było żadnego innego wyjścia, poza zamkniętymi na klucz drzwiami, a jeśli nie zdoła się stąd wydostać, wkrótce umrze z pragnienia.

Wino. Mogła przecież wypić wino.

W ciągu kilku minut odkryła, że wszystkie butelki są puste. Powinna była zdawać sobie sprawę z tego, że ludzie, którzy tu mieszkali, nie zamierzali zostawiać cennych rzeczy. Próbowwała zwilżyć usta, ale jej język smakował jak stara, zeschnięta skóra i nie mogła zdobyć się na splunięcie. Z oczu pociekły jej łzy frustracji. Im bardziej była zła, tym jaśniejsze były jej myśli. W jej głowie zaczął tworzyć się plan. Nie był bardzo dobry, ale lepiej było zrobić cokolwiek niż nic. Nie mogła tak po prostu stać, jak spętana koza, czekająca na pojawienie się tygrysa.

Sięgnęła po pustą butelkę po winie i zaniósła ją, krok po kroku, na szczyt schodów. Zmniejszyła płomień gazu w lampie do minimum i ułożyła butelkę na boku, na pierwszym stopniu.

Zadowolona ze swojego osiągnięcia, zeszła na dół, wzięła następną butelkę i cisnęła nią z całej siły o kamienną ścianę, na której szkło rozbiło się z satysfakcjonującym ją hukiem. Wtedy zaczęła krzyczeć. Krzyczała i krzyczała.

Usłyszała tupot nóg. drzwi otworzy się z trzaskiem. Krzyknęła znowu. Przeklinając soczyście, jej porywacz wbiegł na schody, stracił równowagę, potykając się o butelkę i runął głową w dół. U podnóża schodów uczynił słaby wysiłek, by wstać, a potem zemdlał. Faith nie czekała dłużej. Stopień po stopniu wygramoliła się z piwnicy i zamknęła drzwi na klucz.

Cofnęła się i obserwowała drzwi. Udało się! Naprawdę tego dokonała! Sukces uderzył jej do głowy. Ale była to krótkotrwała radość. Porwało ją dwóch mężczyzn. Gdzie więc był ten drugi?

Próbując zachować czujność, znalazła po omacku kolejne drzwi, przecisnęła się przez nie i nagle stanęła. Porywacz powiedział jej, że dom ma zostać rozebrany, i wyglądało na to, że robotnicy już zaczęli pracę. Wsparta na filarach klatka schodowa niebezpiecznie odstawała od ściany, na której powinna była się opierać.

Klatka schodowa wsparta na filarach. Opuszczony dom. Obrazy przebiegały jej przed oczami. Już tu kiedyś była. Morderca czał się tuż za nią. Musiała uciekać.

Lampa gazowa zamigotała i zgasła. Jej oczy wędrowały w przerażeniu od jednego, groteskowo wyolbrzymionego przedmiotu do drugiego. Tylko tyle mogła dostrzec - kształty. Wszystkie jej zmysły wyostrzyły się. Usłyszała, że ktoś za nią oddycha ciężko. A potem znów to poczuła - mdląco słodki zapach eteru.

Jej stopy poruszyły się dosłownie na moment przed tym, zanim zaatakował. Pchnęła frontowe drzwi i ze szlochem przerażenia rzuciła się w ciemność.

Nie zabrnęła zbyt daleko. Choć mogła w oddali dostrzec światła, mrok, który ją ogarnął, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niesamowitego przez mgłę, która owinęła jej twarz jak cienki welon. Słyszała za sobą kroki porywacza, kamerdynera, jak przypuszczała, który przedzierał się przez zarośla, próbując ją z nich wypłoszyć.

Był coraz bliżej.

Przygryzła wargi, aby zdławić szloch i pobiegła dalej. Kształoty krzaków i drzew powoli wyłaniały się z mgły. Poczwała pod stopami żwirową ścieżkę i zrozumiała, że zbliża się do domu.

Nagle wyrosła przed nią ogromna brama z kutego żelaza. Wciągnęła gwałtownie powietrze i przystanąła, zapatrzona w nią, a potem ostrożnie pchnęła wrota.

Wtedy przypomniała sobie wszystko.

„James”, krzyknęła w myślach, „jestem w twoim koszmarze.”

Odpowiedział od razu. „Posłuchaj mnie. Faith. Musisz mi powiedzieć, gdzie się znajdujesz.”

Nie wiem, wyszlochała na głos.

Jego ton w jej głowie był rozkazujący i przykuwał uwagę. „Rozejrzyj się dookoła. Opisz, co widzisz.”

Zrobiła, jak polecił. „Jestem niedaleko rzeki. Chyba widzę migające światła łodzi. Stoję na ulicy. Jest tu drogowskaz.”

„Co jest na nim napisane?”

Zadarła głowę, aby odczytać znak. „Ulica Belvedere.” Pode-rwała się, gdy usłyszała trzask łamanej gałązki. Jej prześladowca ją doganiał. Musiała uciekać.

„Faith? Dom Hughesów jest na Belvedere! Nie zbliżaj się do niego. Schowaj się. Znajdę cię.”

Nie było odpowiedzi.

- Znalazł ją.

Roderick podniósł głowę znad notatek.

- Co mówiłeś?

- Powiedziałem, że wiem, gdzie ona jest i że nie będzie żadnej wymiany. Od początku wiedziałem, jak to się zakończy.

- A niby skąd?

- Bo przeżyłem tę noc już setki razy. Bierz płaszcz i broń.

- Ale...

- Wyjaśnię ci wszystko po drodze do posiadłości Hughesów.

- Ale...

- Rusz zadek, Roddy! Nie mamy czasu do stracenia.

Nie wiedziała, jak długo już kryje się w cieniu drzew i ucieka, ale zdawała sobie sprawę z tego, że jej siły się kończą. Od-
dychała z trudem, dopadła ją kolka, a mgła przeniknęła przez
ubranie, sprawiając, że jej skóra była zimna i wilgotna.

Przykucnęła w następnej kępie gęstych zarośli i nasłuchiwa-
ła. Do jej uszu dotarł odgłos jego stłumionych kroków. Doga-
niał ją. Zaskomlała jak przerażone zwierzę. Musiała się ruszać.
On ją widział! Szedł po nią!

Podniosła się i pobiegła przed siebie, jak spłoszony zając,
zapominając o kolce i nie zwracając uwagi na gałęzie, które
podarły jej ubranie i odsłoniły ciało. Teraz już nie zdoła się
przed nim skryć. Słyszała, jak przedziera się przez zarośla, ale
nie chciała się poddać. Biegła resztkami sił, walcząc o życie.

Nagle drzewa się przeredziły, a pomiędzy nich wyłonił się
rzęsiście oświetlony dom. Uczyniła wysiłek, aby przyspieszyć.
Udało się jej zwiększyć dystans pomiędzy nią a prześladowcą.
Łkając z ulgi, z trudem wdrapała się po schodach na taras. Przez
drzwi balkonowe wylewała się struga światła. Wbiegła do
pokoju i upadła na kolana. Podeszła do niej kobieta.

- Musi mi pani pomóc - zdołała wykrztusić, skulona. - Ści-
ga mnie mężczyzna. Myślę, że chce mnie zabić.

Ledwie wypowiedziała te słowa, a przez drzwi balkonowe
wszedł jej porywacz. Odezwał się do kobiety. On także z trudem
łapał oddech.

- Proszę o wybaczenie, pani. Uciekła nam. Gdybym wie-
dział, że biegnie tutaj, zaoszczędziłbym wiele fatygi.

- Nic się nie stało, John. Można powiedzieć, że przeznacze-
nie kierowało jej krokami.

Oboje roześmiali się.

Faith szarpnęła głową i spojrzała w zimne oczy Sophie
Hughes.

- Ty! - wyszeptała, nie wierząc własnym oczom i uszom.
Pani Hughes była przecież jej przyjaciółką.

Nikt jej nie odpowiedział. Kamerdyner chwycił ją za ramiona

i rzucił bezceremonialnie na krzesło. Faith była zbyt zdumiona, aby walczyć czy protestować.

- Powinienem wrócić, aby sprawdzić, czy z Roperem wszystko w porządku. - Wyciągnął z kieszeni rewolwer Faith. - Czy wie pani, jak się tym posługiwać?

- Czy wiem, jak używać pistoletu? - Pani Hughes roześmiała się. - Drogi Johnnie, nikt nie podróżuje po Egipcie, jeśli tego nie wie. Połóż go tutaj.

Kamerdyner uśmiechnął się.

- Proszę zamknąć drzwi - powiedział. - Nie chcemy, aby przypadkiem zawędrował tu ktoś ze służby.

Gdy wyszedł, pani Hughes zamknęła oboje drzwi, nie spuszczać oczu z Faith.

Zmysły Faith wyostrzały się z każdą minutą. „James”, zaskakiwała w duchu.

„Najwyższy czas, żebyś do mnie wróciła. Nie zamykaj się teraz. Staraj się ze mną rozmawiać. Powiedz, gdzie jesteś.”

„Jestem z panią Hughes w pokoju z tarasem. To ona jest naszym złoczyńcą, James, a jej kamerdyner kryje się gdzieś na zewnątrz. Bądź ostrożny! Ona ma mój rewolwer! Oboje są uzbrojeni.”

„Zmusz ją do mówienia. Postaraj się ją zatrzymać. Jestem na moście Westminster. Nie poddawaj się. Jestem teraz w twoim umyśle i usłyszę każde słowo, które wypowiesz lub pomyślisz.”

Wiedział, gdzie ona jest i że to pani Hughes jest przestępcą. Obudziła się w niej nadzieja. Kazał jej zmusić ją do mówienia. Przeciagać rozmowę.

- Co zamierza pani ze mną zrobić?

Nikły uśmiech pojawił się w kącikach ust Sophie Hughes.

- Zaaranżowaliśmy wymianę, ty za pamiątnik Madeline.

- Jacy my? Pani i pani mąż? Czy pani i kamerdyner?

Pani Hughes podniosła rewolwer, jej kłykcie zbielewały, gdy zacisnęła pace na rękojeści.

- Mój kamerdyner i ja zrobimy wszystko, co konieczne, aby chronić mojego męża.

- Pani kamerdyner?!

- John Arden był służącym mojego zmarłego męża i jest wobec mnie całkowiec lojalny.

Nagle Faith zrozumiała.

- Pani mąż nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, prawda? - wyrzuciła z siebie. - To pani zamordowała moją matkę. Madeline go rozpoznała. Znała jego sekret i próbowała panią ostrzec, ale pani nie chciała słuchać. Bała się pani, że Madeline ujawni jego tajemnicę na łamach pamiętnika, i nie chciała pani do tego dopuścić. Czy tak właśnie było?

„Wycofaj się, Faith!”

Była zbyt mocno ogarnięta strachem i żalem, aby brać pod uwagę ostrzeżenia Jamesa.

- Otruła ją pani. Musiała się tego spodziewać i dlatego ukryła pamiętnik. Zrobiła to pani z premedytacją. Chciała pani, aby umarła i w ten sposób umilkła na zawsze. Potem zaczęła pani szukać pamiętnika. Dlatego jej kufry zaginęły? Ukradła je pani, mając nadzieję na znalezienie dziennika?

Sophie Hughes uśmiechnęła się wyniośle, ale nadal milczała.

- Ale go tam nie było! - Sprowokowana Faith kontynuowała. - Co pani musiała wycierpieć przez te wszystkie lata, nie wiedząc, kiedy pamiętnik znów wypłynie. Proszę na siebie spojrzeć. Przedwcześnie się pani postarzała. Nic dziwnego, że pani mąż ucieka do innych kobiet.

Przemiana, która dokonała się w pani Hughes, była przerażająca. Wytrzeszczyła oczy, wykrzywiła usta, odsłaniając zęby, w jej oczach błysnął dziki gniew.

- Basil mnie kocha. Zawsze kochał i zawsze będzie kochać. Nie pozwolę nikomu ani niczemu wejść pomiędzy nas.

Faith nie mogła powstrzymać się od szyderstwa.

- Brzmi pani jak chora z miłości nastolatka. Dora Winslet mogłaby się od pani uczyć. To nie jest miłość. To ułuda. Jeśli mąż panią kocha, to gdzie teraz jest?

Starsza pani ukryła twarz za maską pogardy.

- On jest mężczyzną, panno McBride. Nie spowiada mi się z każdej minuty. Ma swoje zajęcia.

- I swoje kobiety? Och. to żaden sekret. Ale pani przecież

o nich wie. prawda? Jest pani pewna, jednak obawia się pani bardziej, że skandal dotknie panią, niż upadku męża? Będzie pani pośmiewiskiem.

Twarz pani Hughes pokryła się rumieńcem gniewu.

- Mój mąż to prawdziwy mężczyzna. Tamte kobiety są tylko błąhą rozrywką. Nic dla niego nie znaczą.

Faith powoli kończyły się pomysły na rozmowę.

- Danvers - powiedziała, nie mając pojęcia, co będzie dalej. Z łatwością, która ją zaskoczyła, słowa popłynęły same. - To w klubie pani mąż poznał Danversa? Danvers był mu winny pieniądze? Tak wciągnęła go pani w swoje gierki?

- Jaka pani jest dociekliwa! - Pani Hughes wybuchła śmiechem, pełnym uznania. - Przyznaję się do winy. Gdyby biedny Robert nie stał się chciwy, żyłby do dzisiaj. Zasłużył jednak na śmierć.

Faith potrząsnęła głową.

- Czy pani się słyszy? Był chciwy, więc zasłużył na śmierć? A co ze mną? Co zamierza pani ze mną uczynić? James nie odda pamiętnika, jeśli mnie pani zabije. A możliwe, że zdołałam go rozszyfrować. I co wtedy?

- Dlaczego myślisz, że zostawię cię przy życiu? - Jej głos stał się zjadliwy. - Kiedy dokonamy wymiany, zginiecie oboje.

„Przygotuj się do ucieczki. Faith. Odwrócę jej uwagę. Gdy to zrobisz, biegnij, ile sił.”

Na tarasie rozległ się huk wystrzału.

- John! - Pani Hughes rzuciła się do drzwi balkonowych.

Jednym ruchem Faith zerwała się z krzesła i pobiegła w przeciwnym kierunku. Jej palce jeszcze nigdy tak szybko nie przekęcały klucza w zamku. Puściła się pędem przez korytarz. Kula śmignęła tuż obok jej ucha i utkwiała w ścianie. Uchylając się, przemykając od ściany do ściany, pobiegła w kierunku klatki schodowej. Służący w koszulach nocnych wyszli z pokoi i pochylali się nad balustradami, spoglądając w dół. Dwa strzały zmusiły ich do schowania się.

Kiedy Faith dotarła na półpiętro, przystanąła. Nie wiedziała, dokąd biegnie. Schody były oświetlone przez zwisający z sufitu

żyrandol i choć większa jego część była wygaszona, nadal dawał na tyle światła, aby zdradzić jej położenie. Po prawej miała długi, ciemny korytarz, zakończony jasnym pomieszczeniem. Wstrzymując oddech i drżąc ze strachu, ukryła się w mroku.

„Faith, gdzie jesteś?”

„W korytarzu, długim, ciemnym korytarzu. O, Boże! Jest dokładnie tak, jak w naszym koszmarze.”

„Nie panikuj!”

„Łatwo ci mówić.”

Musiała znów przystanąć, aby zaczerpnąć powietrza i krzyknęła, gdy waza na wysokim postumencie roztrzaskała się, a fragmenty porcelany rozleciały się po korytarzu. Drobnny pył pokrył jej włosy. Nad jej głową eksplodował kolejny wystrzał.

„James, ona jest coraz bliżej!”

„Posłuchaj mnie. Faith. Na następnym piętrze jest galeria, pamiętasz? Góruje nad pokojem, w którym słuchaliśmy wykładu. Biegnij na galerię.”

„A gdzie ty będziesz?”

„Będę tam na ciebie czekał.”

Słyszała za sobą kroki, ale nie odwracała się. Ślepy instykt dał jej zwinność, o jaką się nie podejrzewała. Przebiegła korytarz, wspięła się po schodach i wbiegła na galerię. Nie było ani śladu Jamesa.

Obejrzała się za siebie. W głębi korytarza dostrzegła postać, która się do niej zbliżała. Faith wiedziała, że to pani Hughes. Wiedziała, że właśnie tu wszystko się zakończy. Nie miała siły, aby uciekać dalej. Im bliżej była pani Hughes, tym bardziej Faith się cofała. Nie chciała przyznać się do porażki. Jej umysł był jasny. Nie panikowała. Zdołała unieszkodliwić tę kobietę albo... albo... Napięła mięśnie, gdy pani Hughes podniosła rewolwer i westchnęła z ulgą, bo w ciemności rozległ się głos, głos Jamesa.

- Pani Hughes, aresztuję panią za zamordowanie Madeline Maynard.

Sophie Hughes okręciła się na pięcie i pociągnęła za spust.

Faith usłyszała, jak James zachłysnął się, gdy dosięgła go kula. Zamarła w przerażeniu. Wtedy Sophie zwróciła broń na nią. Gdy znów pociągnęła za spust, rozległ się tylko dźwięk pustej komory po naboju.

Oczy Faith przeszukiwały ciemny korytarz.

- James? - Jej głos drżał. - Nie widzę cię.

- Daj mi chwilę. - W jego głosie słychać było wysiłek. - Ta kula mocno mnie drasnęła. Zostań tam, gdzie jesteś. Policja będzie tu lada moment. Roderick miał ją sprowadzić. Zabrał ze sobą Ardena. spętanego jak cielaka, na wszelki wypadek.

Na dźwięk tych słów pani Hughes rzuciła się na Faith jak zapędzone w ślepy zaułek dzikie zwierzę. Pociągnęła ją do balustrady i popchnęła na nią, próbując ją zrzucić na dół. Faith zaczęła walczyć o życie. Słyszała jęk Jamesa, który próbował się podnieść, ale wszystkie jej zmysły i energia były skupione na jednym celu - utrzymaniu stóp na podłodze. Popychała, kopała, biła i drapała. Jej przeciwniczka była silniejsza i cięższa. Zdołała podnieść Faith i przechylić ją przez poręcz. Obie miały spaść.

- Nigdy nie opublikujesz wspomnień swojej matki! - wyszczała pani Hughes przez zaciśnięte zęby. - Nigdy nie zhańbisz mojego męża.

James odwrócił jej uwagę, gdy ruszył do przodu. Potężnym pchnięciem Faith wyrwała się z jej silnych ramion. Przez krótką chwilę Sophie Hughes machała rękami jak ptak zrywający się do lotu, a potem powoli spadła w przepaść. Jej mrozący w żyłach krzyk słyszano w całym domu.

* * *

Kolejne godziny były dla Faith niewyraźną plamą. Roderick przybył z dwoma policjantami, którzy zebrali zeznania, a potem puścili ich wolno. Dowieźli Jamesa do domu i wezwali lekarza, który usunął kulę z jego ramienia. Cały dom był wypełniony ludźmi, wszyscy tłoczyli się w sypialni Jamesa. Faith nie mogła ich do końca zrozumieć. Byli Burnettami. Zazwyczaj nie oka-

zywali sobie cieplejszych uczuć, a jednak byli tu wszyscy, ze śmiertelnie bladymi twarzami, drżący i duszący się od łez, pocieszając się nawzajem, jakby James był jedną nogą w grobie, podczas gdy lekarz wyraźnie stwierdził, że jego życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Ją także przytulali.

W końcu, bardzo już sfrustrowany, medyk nakazał wszystkim opuścić pokój. Niechętnie odnieśli się do tego pomysłu, ale doktor obstawał przy swoim, twierdząc, że ma na względzie tylko dobro pacjenta. Idąc do swojej sypialni, Faith została zatrzymana przez Rodericka.

- Faith - powiedział cicho, jakby bojąc się, że obudzi cały dom, jeśli podniesie głos - James zdobył klucz do rozszyfrowania ostatnich dwóch stron pamiętnika twojej mamy.

Kilka sekund zajęło jej zrozumienie jego słów.

- James złamał kod?

Przytaknął. Miał ze sobą pamiętnik i jeszcze inną książkę, którą rozpoznała natychmiast - komentarz ojca do dzieł Herodota.

- Posłuchaj - powiedział - może to jednak nie najlepszy moment, aby tłumaczyć ci, jak to działa. Dużo przeszłaś tej nocy. Chciałem po prostu powiedzieć, że, za twoim pozwoleniem, rozszyfruję dla ciebie te dwie strony i dam ci je przepisane jutro, po tym, jak się porządnie wyśpisz.

Nagle opuściło ją całe zmęczenie.

- Nie. To znaczy, myślę, że to ja powinnam rozszyfrować ostatnią wiadomość od mamy. Pokażesz mi, jak to zrobić?

- Oczywiście. Przecież właśnie to zaproponowałem.

- Chodźmy więc do mojego pokoju.

Nie obraziła się, widząc jego prowokacyjny, prawie lubieżny uśmiech.

- Faith - wyszeptał - co powiedziałaby James, gdyby cię teraz usłyszał?

W odpowiedzi na jego słowa po raz pierwszy od niepamiętnych czasów uśmiechnęła się.

XXIV

Grand Hotel
Kair,
Listopad 1875

Najdroższy Malcolmie!

Jeśli cokolwiek mi się przydarzy, obserwuj Basila Hughesa. Jego prawdziwe nazwisko to Artur Toombs, jest mężem Berty Toombs, właścicielki pensjonatu na ulicy Greek, u której zatrzymuję się czasami, gdy jestem w Londynie. Wiem to. bo trzyma ona na kominku ich fotografię ślubną. Wyszedł z domu prawie dziesięć lat temu i słuch o nim zaginął. Biedna Berta myśli, że został napadnięty i zamordowany, a jego ciało wrzuciono do rzeki. Zawsze miałam co do tego wątpliwości. Zaginiony, uznany za zmarłego - tak chyba określiła to policja.

Wyobraź sobie więc moje zdziwienie, gdy tydzień temu pojawił się w Kairze, aby dołączyć do Sophie, którą poślubił w Anglii, jeszcze przed rozpoczęciem się ekspedycji. Sophie jest w ekstazie. Ja nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia. Zmienił nazwisko i z księgowego przekształcił się w człowieka biznesu. Rozpoznałam go dzięki fotografii, ale on nie mógł o tym wiedzieć, ponieważ nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Zauważyłam natomiast coś ciekawego. Pan Hughes staje się niezwykle nieśmiały, jeśli ktoś chce mu zrobić zdjęcie. Ciekawe, dlaczego?

Z początku mnie to bawiło. Znasz mnie. Niechętnie mieszam się w życie innych ludzi. Sophie jest wystarczająco doświad-

czona i na tyle mądra, tłumaczyłam sobie, aby przejrzeć osobę tak oślizgłą, jak pan Hughes. Chyba na starość łagodnieję. To nasza ostatnia noc w Kairze, a jutro rozdzielamy się do czasu kolejnej ekspedycji. Byłam w sentymentalnym nastroju, zupełnie jak nie ja. W każdym razie zdecydowałam się ocalić Sophie przed wyrachowanym panem Hughesem. Jest przecież bardzo zamożną wdową.

A powinnam była trzymać się mojej filozofii niewtrącania się pod żadnym pozorem w życie innych. Rozpętała się koszmarna scena. Sophie oskarżyła mnie, że chcę Hughesa dla siebie. Ja z kolei powiedziałam, że jeżeli tego nie zgłosi na policję, ja to zrobię. Bigamia to przestępstwo.

Oczywiście nie zrobiłabym tego. Po prostu poniosły mnie nerwy, ale później zaczęłam się nad tym zastanawiać i doszłam do wniosku, że jeśli ona powie Hughesowi, że wiem, kim on jest, może on się poważać na coś strasznego.

Myślę, że chyba nie mam się czego obawiać, ale na wypadek, gdybym jednak się myliła, schowam ten notatnik w pokoju lady Cowdray. Wiem, że Elsie ci go przekaże, jeśli coś mi się stanie. Poza naszym pełnomocnikiem, panem Andersonem, jest jedyną osobą, która wie o twoim istnieniu.

Zastanawiasz się pewnie, dlaczego wszystkie moje notatki są zakodowane. Powiedzmy, że to skrzywienie zawodowe. Zarabiam na życie, pisząc o ludziach, których spotkałam, i miejscach, które odwiedziłam. Plagiatorstwo króluje nawet pomiędzy uczonymi i pisarzami. Raz padłam jego ofiarą. Nazywa się Jayne Coltrane. Zdaje się w ogóle nie rozumieć, że to, co zrobiła - opublikowanie mojego artykułu pod swoim nazwiskiem - jest bezczelną kradzieżą. Po tym nieprzyjemnym epizodzie koduję notatki. Dziś używam naszego specjalnego szyfru. Czy uważasz, że przesadzam?

Znów jestem w sentymentalnym nastroju. To pewnie przez lampkę czy dwie szampana, które wychyliłam, zanim poszłam na górę. Mamy dziś nasze zwyczajowe, pożegnalne przyjęcie, zanim jutro rozjedziemy się do domów. Nie powinnam była pić tego drugiego kieliszka. Kręci mi się w głowie.

Muszę ci powiedzieć, że nie żałuję wyboru, którego dokonałam, tego, że podażyłam za swoimi marzeniami. Nie byłam stworzona do roli żony i matki. Ty także to wiedziałeś. Dziękuję ci, Malcolmie, z całego serca, za uszanowanie mojej decyzji. Jak zwykleś mawiać, nasze czyny mają swoje konsekwencje, a ja myślę, że spłaciłam swój dług. Tak, myślałam o córce, którą porzuciłam, i zastanawiałam się, czy coś po mnie odziedziczyła. Dotrzymałam warunków naszej umowy. Chciałeś całkowitego rozstania i myślę, że miałeś rację. Nigdy nie próbowałam spotkać się z naszą córką ani do niej napisać.

Powinłam zejść na dół i pogodzić się z Sophie. Wciąż wożę ze sobą, jak najdroższy skarb, twój komentarz do dzieł Herodota. Odwiedziłam wiele z tych miejsc, które wymienia w swoich opowieściach. Taki los sobie wybrałam. Mam nadzieję, że ty jesteś równie szczęśliwy, żyjąc ze swoim wyborem.

Madeline

Faith odłożyła pióro, zamknęła książkę ojca i zagłębiła się w fotelu. Ostatnie kilka godzin spędziła, rozszyfrowując pamiętnik matki i teraz opadała z sił. Wszyscy już dawno spali, a jedynymi dźwiękami, jakie do niej dochodziły, było tykanie zegara i przytłumiony syk lampy gazowej.

Istota listu jej matki zawierała wyczerpujące odpowiedzi na pytania, które męczyły ją i Jamesa. Westchnęła, myśląc o bezsensownie odebranych życiu. Ale smuciło ją o wiele więcej niż tylko to. Rozczarowanie i uraza kłębiły się w jej wnętrzu. Słowa matki rozbrzmiewały w jej głowie. Całkowite rozstanie. Umowa. Żadnego żalu. Jacy rodzice zrobiliby coś takiego swojemu dziecku? Matka nawet nie nazywała jej po imieniu. Bardziej wyrozumiała była dla ojca. On przynajmniej starał się stworzyć jej dom, choć w całości zbudowany na kłamstwach.

Wstała, aby rozprostować nogi. Madeline nie miała żadnego poczucia winy w związku z porzuceniem córki. Ona po prostu podażyła za swoimi marzeniami. Wybrała sobie taki los. Faith wiedziała, że Madeline nie była zwyczajną kobietą, ale skrycie

miała nadzieję, że były jakieś okoliczności łagodzące, które usprawiedliwiałyby ucieczkę matki z jej życia - nieszczęśliwe małżeństwo, romans, który źle się skończył. Cokolwiek. A ta zimna i bolesna argumentacja na rzecz dokonanego wyboru sprawiła, że we wnętrzu Faith coś uschło, umarło.

Madeline nigdy nie obserwowała swej córki z daleka. Nigdy z nią nie korespondowała. Jeśli jej rodzice w ogóle się ze sobą komunikowali, to chyba tylko za pośrednictwem pełnomocnika.

Faith czuła się zdezorientowana, jakby nagle cały jej świat wywrócił się do góry nogami. Jej życie jako nauczycielki w Winnifred teraz smakowało jak popiół. Była dumna z tych dziewcząt i próbowała zaszcześcić w nich pragnienie doskonalenia się w wybranej przez nie dziedzinie, ale bez szkody dla delikatnych uczuć, które czyniły je istotami ludzkimi. Czy zdawały sobie z tego sprawę?

To zmęczenie, powiedziała sobie, sprawiało, że była marudna. Wiedziała, że te nieliczne odniesienia do jej osoby nie były niczym więcej jak uwagami na marginesach. Liczyła się treść listu, nie obojętność matki wobec jedyne go dziecka. Była dorosłą kobietą. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego to tak bardzo boli.

Na pewno trudniej było jej ojcu zapomnieć o Madeline. Intuicja podpowiadała Faith, że on nigdy nie przestał kochać jej matki. To, czy byłby zdolny z nią żyć, było inną kwestią. Zorientowani na cel ludzie, skupieni w całości na podążaniu za swoimi marzeniami, nie dbali o to, że po drodze złamią kilka serc.

Wzruszyła ramionami. Przynajmniej jedna dobra rzecz wyniknęła z odnalezienia pamiętnika. Uświadomiła sobie, że nie chce być taka jak matka. Z czasem może zdoła nauczyć się ją podziwiać, ale przynajmniej nie będzie uparcie ślepa na jej wady.

Szła do łóżka, gdy jej wzrok padł na książkę, która od niepamiętnych czasów była jej najdroższym skarbem, na komentarz ojca. Pod wpływem impulsu sięgnęła po nią i przebieg-

ła wzrokiem po kartkach. Na marginesach umieścił ołówkiem mnóstwo notatek, które miały przyciągnąć jej uwagę do najbardziej interesujących fragmentów. Mrugając przez łzy i przyciskając do piersi swoją najbardziej wartościową pamiętkę, położyła się i prawie natychmiast zasnęła.

* * *

- Cóż - powiedział James. - Pamiętnik twojej matki niewątpliwie wypełnia wiele luk. - Ostrożnie odłożył kartki, które podała mu Faith, na stół przy sofie.

Od śmierci Sophie Hughes minęły dwa dni, w czasie których James był przykuty do swojego łóżka. Był późny wieczór i oboje z Faith zamknęli się w żółtym saloniku, aby móc swobodnie rozmawiać i aby nikt im w tym nie przeszkadzał. James leżał na sofie, podparty poduszkami. Faith zajęła jeden z foteli i wydawała się całkowicie pogrążona w myślach.

- Co mówiłeś?

- Powiedziałem, że pamiętnik twojej matki niewątpliwie wypełnia wiele luk. - Pochylił się do przodu i z uwagą studiował jej bladą twarz. - Spróbuj zapomnieć o Sophie Hughes, Faith. Ona nie może cię już skrzywdzić.

- Nie myślałam o Sophie, tylko o swojej matce. Rozszyfrowanie tej wiadomości zajęło mi wiele godzin. Jak ona zdołała spisać to wszystko w tym krótkim czasie, jaki jej pozostał?

- Miała wprawę. Znała szyfr na wylot. Choć się tego wypiera, myślę, że musiała być przerażona. - Kiedy twarz Faith straciła nawet tę resztkę koloru, którą jeszcze przed chwilą miała, skierował rozmowę na inne tematy. - Wiesz, widziałem fotografię Artura Toombsa. Nadal stoi na kominku w domu na ulicy Greek. Przeczytałem to nazwisko, gdy rozszyfrowałem pierwszych kilka linijek listu twojej matki i wydało mi się ono znajome. Pojawiło się wśród odpowiedzi na twoje ogłoszenie. Napisała do ciebie kobieta, która twierdziła, że jej ciotka. Berta Toombs, znała kiedyś Madeline.

Jego słowa przykuły jej uwagę.

- Dlaczego więc jej nie odpisałam?

Wzruszył ramionami.

- Może nie wydała ci się szczerą. Interesowały ją tylko pieniądze, które mogły ewentualnie przypaść jej ciotce. Jak się okazało, wiedziała tylko, że kobieta, która nazywała się Madeline Maynard, kiedyś się u nich zatrzymywała. Ważniejsze było zdjęcie, bo na nim rozpoznałem Hughesa. Zmienił się z upływem czasu, to fakt. ale nadal można było go zidentyfikować. Twoja matka nazwała go oślizgłym. Nawet dziesięć lat temu miał taki wyraz twarzy. Przypochlebny, powiedziałbym. Nic dziwnego, że stawał się nieśmiały w obliczu aparatu.

- Dziwi mnie, że nie bał się, że ktoś w Londynie rozpozna jego twarz - powiedziała Faith w zadumie.

- Nikt, kogo znał z poprzedniego życia, nie obracał się w jego nowych kręgach. Ryzykował, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale nie był mordercą.

Przełknęła z trudem.

- I to jego obawiała się Madeline, a nie Sophie. Tyle śmierci i po co to wszystko? Basil Hughes był zadeklarowanym oszustem i kłamcą. Sophie wiedziała o tym i w ogóle o to nie dbała.

- Podniosła wzrok. - Wszyscy byli ulepieni z tej samej gliny, prawda? Mam na myśli Sophie, Dorę Winslet i tego kamerdynera, Johna Ardena. Gotowi byli do największych ofiar na rzecz tych, których kochali. Powinnam powiedzieć, tych, których czcili. Chore, prawda?

- Chore - zgodził się. - Nawet w obliczu szubienicy Arden nie chce zeznawać przeciwko swojej pani.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Skąd wiesz?

- Od ojca. Za punkt honoru postawił sobie, że będzie na bieżąco ze sprawą. Nigdy nie widziałem, aby poświęcał na coś tyle czasu i energii, jeśli nie dotyczyło to Drumore. Tak jakby to jeden z jego synów miał mieć spotkanie z katem.

- Twój ojciec? W ogóle mnie to nie dziwi. Kiedy przynieśliśmy cię do domu, wyglądającego tak, jakby od śmierci dzielił cię tylko krok, całkiem się rozkleił. Jak oni wszyscy zresztą.

- Pochyliła się w jego stronę i spojrzała mu głęboko w oczy.
- Twoja rodzina bardzo cię kocha, James. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, jakie masz szczęście.

Widziała, że jej słowa go zaskoczyły, więc kontynuowała:

- Wiesz, o czym myślę, James? Myślę, że twój ojciec ma zbyt dużo wolnego czasu. Nudzi się. Jeśli pojawia się coś godnego zainteresowania, wtedy staje na wysokości zadania.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mój ojciec nigdy się nie nudzi w towarzystwie dobrej szkockiej whisky i talii kart.

Gdy zobaczył sztywny grymas jej ust, zmienił temat.

- Ale dowiedział się czegoś ciekawego. Twój drugi porywacz, ten, którego tak zmyślnie unieszkodliwiłaś w domu do rozbiórki... - Przerwał, gdy przypomniał sobie, jak bardzo był przerażony, gdy nie mógł wedrzeć się do jej umysłu, aby dowiedzieć się, gdzie jest, i zacisnął zdrową rękę, aby opanować drżenie.

- Co z nim?

- Podobno zeznaje śpiewająco. Niestety, nie wie zbyt dużo. Odgrywał w tym wszystkim niewielką rolę. Ale powiedział policji, że to on i John Arden zasadzili się na nas, gdy opuściliśmy posiadłość lady Cowdray. Tylko wypełniał rozkazy, jak twierdzi, i nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

Faith prychnęła.

- A co z moim porwaniem? Co miał do powiedzenia na ten temat?

- Mniej więcej to samo. Zeznał jednak, skąd wiedzieli, gdzie cię wtedy szukać. Podobno na pogrzebie Danversa moja ciotka powiedziała Sophie Hughes, że jesteś umówiona ze swoją krawcową w tym dniu, aby wybrać materiały na swoją wyprawę ślubną.

Faith oparła się w fotelu.

- Nie miałam wtedy wyznaczonego spotkania z madame Digby. Miałyśmy iść na wystawę, a dopiero potem, owszem, na małe zakupy.

- Wiem. Myślę, że ciotka chciała ci sprawić niespodziankę. Skłonić cię do przyjęcia w podarunku sukni ślubnej.

Faith spuściła wzrok na zaciśnięte dłonie.

James zmienił pozycję i jęknął, gdy ból przeszył mu bark i ramię.

- Wszystko w porządku - powiedział szybko, gdy zobaczył, że Faith zerwała się z fotela. - Lekarz ostrzegał mnie, że każdy niespodziewany ruch będzie bolał jak diabli.

Faith wróciła na fotel.

- Czy to oznacza, że odbędzie się wielki proces? - zapytała, przemyślawszy jego słowa.

- Nie jestem pewien. Arden przyznał się do morderstwa Danversa. To zresztą wszystko, co są w stanie mu udowodnić. Ale możemy zostać wezwani na świadków. W zasadzie jestem przekonany, że będziemy musieli zeznawać.

- Tego właśnie się obawiałam. - Potrząsnęła głową. - A to wszystko przez to, że Basil Hughes popełnił jedno, drobne przestępstwo. Mój ojciec zwykł mawiać, że wszystkie nasze czyny mają swoje konsekwencje, ale ten wywołał tragedię wartą pióra Szekspira. - Podniosła wzrok. - Co się stanie z Hughesem?

- Możliwe, że zostanie oskarżony o bigamię, ale Sophie nie żyje, więc władze mogą zdecydować, że sprawa nie jest warta wysiłku. Nie, prawdziwa kara uderzy go po kieszeni. Jako że w świetle prawa nie był mężem Sophie, nie może domagać się ani jednego pensa z jej majątku. Wszystko odziedziczy jej siostrzeniec.

- Masz na myśli Alastaira? - powiedziała Faith powoli.

- Tak, Alastaira Dobbina.

Jej oczy rozszerzyły się, a na twarzy pojawiło się zadowolenie.

- Cieszę się. Wiem nawet, na co wyda te pieniądze. Poprowadzi następną wyprawę do Egiptu. Mówił, że powinnam się do niej przyłączyć.

- Następną ekspedycja. - Wzmianka o Dobbinie go zdenerwowała. - I co, przyłączysz się?

Ich oczy się spotkały. Zapadła cisza. Gdyby na pokryty dywanem parkiet upadła pinezka, na pewno byłoby ją słychać. W końcu Faith chrząknęła.

- Być może powinnam - powiedziała.
- Och? - Znow zapadła cisza. - A co z nami?
- A są w ogóle jacyś „my”?
- Wiesz cholernie dobrze, że tak! - Jego twarz stwardniała, wyglądała jak wykuta w granicie. - Jesteśmy kochankami, Faith. Dzielimy sny...

- Chyba koszmary - ucieła stanowczo. - Jedyne powód, dla którego tu jestem, to twoje przeczucie.

- Przeczucie, które okazało się prawdą.
- Tak, wiem. Nigdy nie zapomnę tego, że zawdzięczam ci życie. Ale sam przyznałeś, że ocalenie mnie było twoją misją. Cóż, zadanie wykonane. Jesteś wolny, możesz robić, co ci się żywnie podoba, tak jak ja.

Czuła, jakby cała jej przyszłość zawisała na włosku, i wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

Podniósł się z sofy.

- Przestań gadać bzdury - powiedział tonem, jakim zwraca się dorosły do męczącego dziecka. - Wiem, czego pragniesz, lepiej niż ty sama.

- Nie wiesz, czego pragnę - zaprotestowała dotknięta.
- Ależ wiem doskonale. - Jego usta wygięły się w uśmiechu.
- Jestem jasnowidzem, pamiętasz?

Zanim zdołała wymyślić uszczypliwą odpowiedź, drzwi otwały się szeroko i do pokoju wbiegł Roderick. Wymachiwał kawałkiem papieru nad głową.

- Właśnie przyszedł telegram. James, udało się! Daimler zaakceptował naszą, cóż, twoją propozycję inwestycji. Jadę do Paryża, jak tylko spakuję walizki.

Faith zapomniała o kłótni z Jamesem. Zaskoczyła ją przemiana, która dokonała się w Rodericku. Maskę zmęczonym życiem światowca zniknęła, a jej miejsce zajął znacznie bardziej pociągający wyraz.

- Kim jest Daimler? - zapytała.
- James ci nie mówił? Daimler wynalazł samobieżny pojazd, napędzany benzyną, a ja zostałem przyjęty do francuskiej firmy, której udzielił licencji na jego produkcję. Będę pracował

nad techniczną stroną całego zagadnienia. To dla mnie spełnienie marzeń.

Wodziła wzrokiem pomiędzy jednym a drugim.

- Jaki rodzaj pojazdu?

- On ma na myśli automobil - wyjaśnił James.

- Automobile to przyszłość, Faith - dodał Roderick. - Tak jak kiedyś pociągi. Amerykanie i Francuzi znacznie już nas w tym wyprzedzili.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się do Rodericka, całkowicie ignorując Jamesa. - Szczerze cieszę się z twojego sukcesu, Roderick.

- Kazałaś mi zainteresować się młodszym bratem, a ja podążyłem za twoją radą - powiedział James.

Jej oczy spoczęły na nim na chwilę.

- Więc automobile to twój nowy cel?

- Nic z tych rzeczy. Cóż - poprawił się - trudno będzie się nimi nie interesować, ale nie zamierzam się angażować.

- Och, jestem gotowa nawet założyć się o to. Tylko upewnij się, że nie zmieniasz Rodericka w replikę samego siebie. A teraz wybaczone mi, czas do łóżka.

- Co ja takiego powiedziałem? - zapytał Roderick, gdy za Faith zamknęły się drzwi.



Uniosła powieki, budząc się powoli.

- Kto tu jest? - zawołała.

Nie było odpowiedzi. Podparła się na łokciu.

- James? - wyszeptała.

Była pewna, że ktoś zawołał ją po imieniu.

Cisza.

Jej powieki stały się ciężkie i na powrót zanurzyła się w poduszkach.

Znalazła się w lesie. Było ciemno, a z rozgrzanej ziemi podnosiła się mgła. James też tam był, biegł przed nią. Zobaczyła taras i światło, wylewające się przez balkonowe drzwi.

Znajdowali się przed salonikiem, w którym stawiała czoło Sophie Hughes.

„Przygotuj się do ucieczki. Faith. Odwróć jej uwagę. Gdy to zrobię, biegnij, ile sił”.

Zrozumiała, że James przeżywa na nowo noc, podczas której ocalił jej życie. Jego serce biło mocno i szybko, gdy podniósł rewolwer i wystrzelił w powietrze. Nie próbował nawet otworzyć drzwi, po prostu wyważył je kopnięciem i wbiegł do pokoju.

Czuła ogarniającą go panikę, gdy dotarł do hallu i zrozumiał, że ją zgubił. Kiedy usłyszał pierwszy strzał, znów zaczął biec. Dwa kolejne strzały kazały mu jeszcze przyspieszyć, prawie fruwał w powietrzu. Był na klatce schodowej dla służby, pokonywał schody z nadzieją, że zdoła stanąć pomiędzy nią a Sophie Hughes. Słyszała, jak jego oddech staje się coraz cięższy i coraz

głośniejszy, gdy doprowadził się na skraj swoich możliwości, wyczuwała paniczny strach, który budziła w nim myśl, że może ją stracić.

„Faith, gdzie jesteś?”

Odetchnął z ulgą, gdy odpowiedziała. Usłyszał czwarty strzał, potem piąty i zacisnął zęby. W komorze została tylko jedna kula.

Dlaczego liczył strzały?

Był w ciemnym korytarzu. Przed nim rozciągała się galeria. Widział Faith, ale pomiędzy nim a nią stała pani Hughes. Został jej jeden nabój. Nie chciał użyć swojej broni w obawie, że przez przypadek postrzeli Faith. Sophie Hughes podniosła rewolwer. Na pewno nie chybi z tej odległości. Musiał coś zrobić. Została tylko jedna kula. Zaczął biec.

Dalej, kobieto, wyceluj we mnie.

- Pani Hughes, aresztuję panią za zamordowanie Madeline Maynard.

- Nie! - Krzyk Faith przeszedł w jęk.

Kula uderzyła w niego z siłą eksplodującego pocisku artyleryjskiego. Rewolwer wyślizgnął mu się z rąk, a on sam upadł na podłogę. Usłyszał dźwięk, który wydała pusta komora. Sophie Hughes na niego zmarnowała swój ostatni nabój. Faith była bezpieczna.

Nagle zrozumiał, że to nie koniec. Pani Hughes próbowała przerzucić Faith przez balustradę. Zamroczony przez ból, wiedziony zwierzęcym instynktem, zdołał się podnieść i ruszył do przodu. Jedyłą siłą, która nim kierowała, były zaciekle emocje. Jeśli teraz się zatrzyma, będzie zupełnie bezradny, a Faith zginie. Wiedział, co musi zrobić. Zbliżając się do nich, wydał starożytny okrzyk bojowy Burnettów.

Okrzyk bojowy? Faith zamarła. To było coś nowego. Nie tak powinien skończyć się ten sen. Co James ma zamiar zrobić? Ogarnęła ją panika.

Musiała go powstrzymać.

- Obudź się, James! Obudź się! - powtarzała te słowa bez końca. - Obudź się!

Scena na galerii rozwiązała się, a ona ocknęła się z płaczem. Poderwała się z łóżka, chwyciła szlafrok i wybiegła z pokoju, kierując się do sypialni Jamesa.

Lampa była zapalona, a on siedział na skraju łóżka, z twarzą ukrytą w dłoniach. Podniósł głowę, słysząc jej kroki.

- Nic mi nie jest - powiedział. - Faith, to był tylko sen.

Wstał, gdy do niego podeszła. Wciąż zdezorientowana, przyłożyła dłoń do jego klatki piersiowej. Pod cienką, batystową koszulą jego ciało było ciepłe. Wyczuła miarowe uderzenia serca.

Zamknęła oczy i z drzeniem wypuściła powietrze.

Potem uszczypnęła go mocno w zdrowie ramię.

- Do diabła, kobieto! - Jęknął i roztarł rękę. - Przecież to boli!

- A myślisz, że jak ja się czuję? - Coraz bardziej podnosiła głos. - Zrobiłeś to celowo.

Nie wyglądał na człowieka, który poczuwa się do winy.

- Co zrobiłem?

- Okrzyk bojowy. Zobaczyłam, co dzieje się w twojej głowie. Zamierzałeś rzucić się na panią Hughes i pozwolić, aby twój impet przeniósł was oboje przez balustradę.

Nie zaprzeczył.

- Nie uderzyłbym przecież o marmurową posadzkę. Taka jest natura snów. Zawsze budzimy się, zanim przydarzy się nam coś naprawdę złego.

- Kiedyś powiedziałeś mi coś zupełnie innego - wyszczała przez zęby. - Powiedziałeś, że wiele osób umiera podczas snu i że nie ma na to wytłumaczenia.

Podrapał się w głowę.

- Tak mówiłem?

Chwycił ją za rękę i pociągnął, sadzając obok siebie.

- Dlaczego jesteś taka rozgniewana? Kiedy tutaj wbiegłaś, wyglądałaś, jakbyś była gotowa paść mi w ramiona. A teraz znowu chcesz mnie bić. Dlaczego?

Zobaczyła w jego oczach śmiech i to kazało jej wysunąć podbródek.

- Ty jesteś jasnowiedzem - odparła. - Ty mi powiedz.

Lekko pocałował jej gniewnie wystającą brodę.

- Dobrze, powiem. Myślę, że mnie kochasz. Dlatego jesteś taka zła.

- Słucham? - wykrztusiła.

- Kochasz mnie.

Prawie się skrzywiła. Prawie znów weszła na znajomą ścieżkę salwowania się ucieczką na wypadek zranienia. Przez tyle lat myślała, że ją porzucił. Mimo że w końcu zrozumiała, że to nieprawda, stara uraza stała się jej drugą naturą. Ale koniec z tym. Dzisiejszy sen był dla niej przebudzeniem. Nie była jasnowiedzem, a doświadczyła każdej emocji, którą on przeżywał, i wspomnienie tego zaparło jej dech w piersi. Jeśli to nie była miłość, to nie wiedziała, co nią jest.

Nagle coś zrozumiała. Powiedziała kiedyś Jamesowi, że on i jej matka mają ze sobą wiele wspólnego. Nie była to prawda. Madeline nie wiedziała, czym jest miłość. Czytała jej pamiętnik. Miała mnóstwo kochanków, ale żaden z nich nie poruszył nigdy jej serca. Ona i jej ojciec także byli tego dowodem. Biedna Madeline. Nigdy nie dowiedziała się, co straciła.

James nie zamierzał pójść drogą jej matki, na pewno nie, jeśli ona będzie mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Miał ją, miał rodzinę i kuzynów. Nie spodziewała się, że staną się dla niego całym światem, ale mógł przecież wykazać odrobinę zainteresowania i wsparcia. Rezultat mógłby go zadziwić.

- Odjęło ci mowę. Faith? - dokuczał jej.

- Zawsze myślałam - odezwała się w końcu - że Penelopa była żałosna, gdy tak przędła i tkła, latami czekając na męża, który w tym czasie przeżywał przygody. Myślałam, że gdy w końcu pojawił się w drzwiach, powinna była chwycić wiszący najbliżej łuk i posłać strzałę prosto w jego niewdzięczne serce.

Wyglądał na skonsternowanego.

- Penelopa?

- I Odyseusz.

- Ach, grecka legenda. A teraz myślisz, że...?

- Żal mi Odyseusza. Całe lata przygód. I co mu z tego

przyszło? Nigdy nie dowiedział się, co stracił. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Gdy się pobierzemy - powiedziała i prawie się roześmiała, gdy zobaczyła jego minę - nie zamierzam siedzieć w domu jak Penelopa. Nie twierdzą oczywiście, że będę chodzić za tobą krok w krok. I działa to w obie strony. Jeśli dokądś pojedziesz, wybiorę się z tobą, jeśli ja wyjadę, ty pojedziesz ze mną.

Śmiał się, gdy otaczał ją ramieniem.

- Czy to oświadczyń, panno McBride?

- To zależy od tego, jak dużo przygód jeszcze planujesz.

- Niewiele. W zasadzie nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Moje firmy praktycznie same się rozwijają. Jestem gotów na coś innego. - Zmarszczył brwi. - O czym myślisz? Ł nie udawaj niewiniątka. Twoje oczy mówią mi, że coś knujesz.

- Nie knuję! Planuję. Jeśli już musisz wiedzieć, myślałam o twoim ojcu. Nie ma żadnego zajęcia. Ty masz swoje pociągi, Roderick te zmotoryzowane ustrojstwa, a Margaret będzie szczęśliwa, jeśli twój ojciec będzie zadowolony. Bardzo go kocha, wiesz? Powinieneś coś dla niego zrobić, James.

- Co na przykład?

- Na przykład powinieneś pomóc mu przywrócić zamek Drumore do dawnej świetności. To jego największa pasja, prawda?

James był przerażony.

- Wiesz, ile będzie kosztować odnowienie tego rozpadającego się zamku?

- Ty jesteś finansistą - odpowiedziała chłodno. - Wiesz, jak radzić sobie z takimi rzeczami. Jestem pewna, że jeśli się przyłożysz, znajdziesz rozwiązanie.

Spiorunował ją spojrzeniem. Stopniowo jego wzrok łagodniał. Pochylił się ku niej i skubnął jej ramię.

- A co ze mną? Powiedziałem ci, że jestem gotów na coś innego.

- Na przykład?

Uśmiechała się, ponieważ dokładnie wiedziała, na co jest gotowy. Poczwała ciepło jego ust, gdy przemknął nimi po jej policzkach i zatrzymał się tuż przy jej ustach.

- Może na wiedźmę - powiedział. - Na kogoś takiego jak ty, kto mógłby dzielić ze mną sny. To zaoszczędziłoby nam masę nieporozumień. Nigdy nie byłem wielkim mówcą. Dla wiedźmy nie miałyby to znaczenia. Zawsze wiedziałyby, co myślę i czuję, i vice versa.

Skrzywiła się.

- O, nie, nie pozwolę ci pozbawić się słów. I nie będziesz czytać w moich myślach zawsze, kiedy najdzie cię na to ochota. Zabraniam ci! Każdy ma prawo do odrobiny prywatności.

- Ujęła jego twarz w dłonie. - Będziemy używać słów. To proste. Zaufaj mi. Powtarzaj za mną. - Z powagą spojrzała mu głęboko w oczy - Ko-cham-cię.

Pocałował jej szyję.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię, - szeptał zawzięcie, gdy ich usta złączyły się w pocałunku.

* * *

Dziennik Aberdeen, 29 sierpnia 1885 roku

James Burnett, następca i spadkobierca lorda Drumore, poślubił w piątek, w kaplicy zamkowej, pannę Faith McBride. Nabożeństwo odprawił pastor Peter McEcheran. Panna młoda miała na sobie suknię z białej satyny, ozdobioną szarfą w barwach klanu Burnettów, a we włosach, zgodnie z tradycją Burnettów, gałązkę ostrokrzewu. Panna McBride jest córką świętej pamięci profesora Oksfordu. Malcolma McBride'a. i jego żony, Madeline Maynard.

Wśród gości weselnych znaleźli się przedstawiciele licznych gałęzi rodu Grampianów ze wschodniego wybrzeża Szkocji, w tym Burnettowie z Crathes, McEwanowie z Feuchside, Hepbumowie z Banff i Gordonowie z Aberdeen. W uroczystościach wzięli udział także miejscowi, którzy przybyli z pobliskich wsi, aby być świadkami ślubu swego ulubionego potomka tego znakomitego rodu.

Młoda para następne kilka miesięcy spędzi na przedłużonym

miesiącu miodowym, podróżując po Grecji i Egipcie, a następnie zatrzyma się w Paryżu, gdzie młodszy brat pana młodego pracuje jako projektant i kierowca testowy zmotoryzowanego samochodu Daimlera.

Pan młody utrzymuje, że dni jego podróży dobiegły końca i że teraz ma zamiar skupić się na odnowieniu zamku, który następnie chce wynajmować zainteresowanym, najprawdopodobniej Amerykanom, powiązanim ze Szkocją więzami krwi. Jego rodzina zamierza zamieszkać w zamku, w prywatnych apartamentach. Zapewnił on także, że goście będą w jego domu zawsze mile widziani i że z chęcią sam będzie pełnił rolę przewodnika po miejscu, które odegrało w historii Szkocji tak znaczącą rolę.

Swoje weselne przemówienie pan młody zakończył wezwaniem do wzniesienia toastu za matkującą mu przez całe życie babkę, świętej pamięci lady Valerię McEcheran, która, jak zaznaczył, spełniła rolę swatki i połączyła jego i jego małżonkę. Wyznanie spotkało się z burzliwym aplauzem mieszkańców pobliskiej wioski. Okrzyki „za wiedźmę z Drumore” jeszcze długo potem rozbrzmiewały wśród zabytkowych, kamiennych ścian zamku. Pytanie, które pojawiło się na ustach wszystkich, gdy okrzyki ucichły, brzmiało: „kto będzie następcą lady Valerii?”.